

HENRYK HR. RZEWUSKI

**PAMIĘTNIKI
BARTŁOMIEJA
MICHAŁOWSKIEGO**

ULTIMA THULE

HENRYK HR. RZEWUSKI

PAMIĘTNIKI BARTŁOMIEJA MICHAŁOWSKIEGO

Z PORTRETEM AUTORA I 8-MA ILUSTRACJAMI

WYDAŁ
HENRYK MOŚCICKI



WARSZAWA

WYDAWNICTWO ULTIMA THULE
MCMXXXIV

124 760

P

W-79/2

8925

MIĘKRYH HR. RZEWUSKI

PAMIĘTNIKI
BARTŁOMIEJA
MICHAŁOWSKIEGO

IMAGINACJE I BIAŁA ILUSTRACJA

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0182172



26733

WYDANO z DUBLETÓW

Biblioteki Narodowej

3204. Drukarnia Gospodarcza, Warszawa, Wspólna 54. Tel. 8-84-12.

401-



H. H. A. A. A.

PRZEDMOWA WYDAWCY

„Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego” opracował i wydał w r. 1857 autor „Pamiętek Soplicy” i „Listopada”, Henryk Rzewuski. Nie są one dziełem oryginalnem, opartem na autentycznym rękopisie. Należy atoli stwierdzić, iż Rzewuski wczuł się znakomicie w epokę i styl drugiej połowy XVIII-go stulecia i aczkolwiek nieraz się myli w szczegółach faktycznych, a czasami nawet świadomych dopuszcza się fałszów, daje jednak żywą i barwną, choć niewątpliwie tendencyjnie jednostronną charakterystykę czasów i ludzi.

„Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego” nie odtwarzają pełnego obrazu, — brak w nim często najważniejszych stron ówczesnego życia, brak rzetelnego wnikięcia w prądy ideowe, nurtujące społeczeństwo polskie za Sasów i Stanisława Augusta, — natomiast obyczaje starszylacheckie, wyrazistość typów ludzi egoistycznych, tkwiących w prymitywnych lub spaczonych wyobrażeniach przeciętnej moralności osobistej i publicznej, nieumiejących odczuć i zrozumieć całej ohydy poniżenia jakiemu kraj podlegał — przedstawione zostały z całym artyzmem rasowego pisarza. Dziś „Pamiętniki Michałowskiego”, wbrew intencjom Rzewuskiego, są dla nas jakby pamfletem na czasy, które odtwarzają, wymownym dokumentem dowodowym, stwierdzającym przyczyny dlaczego kraj nasz nie mógł się politycznie ostać, gdy tego rodzaju ludzie niem rządzili i reprezentowali większą część narodu.

Nie można i nie należy uczyć się z tej książki dziejów Polski drugiej połowy XVIII-go wieku, — trzeba ją czytać z równoległym komentarzem, któryby tendencyjność oświecił, objaśnił i sprawiedliwą skalą prawdy historycznej odmierzył. Wtedy

„Pamiętniki” te dadzą obfity materiał do refleksyj i do wyrobienia właściwego sądu o opisaney epoce.

„Pamiętniki Michałowskiego” były ostatniem dziełem Henryka Rzewuskiego, napisanem w dobie zupełnego jego oderwania się od społeczeństwa, które w sposób ostry potępiło społeczno-polityczne zapatrywania autora „Listopada”, tętniące zaciekle wstecznictwem, skrajną chwałbą poniżających dumę narodu wspomnień przeszłości i jaskrawym serwilizmem w stosunku do szalejących na ziemiach polskich policyjnych rządów mikołajewsko-paskiewiczowskich. „Pamiętniki” były niejako syntezą historjozoficznych poglądów autora. Michałowski, to sam Rzewuski przeniesiony o setkę lat wstecz do umiłowanej, szczerym czy też udanym afektem, naprzekór ogólnie przyjętym wyobrażeniom, otaczanej przezeń epoki.

W takim, wyżej określonym, rozumieniu „Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego” uznać można za dzieło, obok „Pamiętek Soplicy”, godne i dziś jeszcze uwagi i krytycznego odczytania.

H. M.

Traf szczęśliwy zrobił mnie właścicielem tego rękopisu nader ważnego, gdyż zawiera w sobie opis okresu blisko osiemdziesięcioletniego, i to przez naocznego świadka. Zdaje mi się, że wydanie jego na świat jest jakąś przysługą wyrządzoną publiczności. Rzecz dziwna, że ten rękopis dotąd w całości mógł się zachować w partykularzu na prowincji, gdyż go znalazłem w klasztorze krześlińskim oo. bernardynów, gdzie od trzydziestu lat na półce spoczywał, bez zwrócenia na siebie uwagi. Co do mnie, w pierwszej chwili kiedym go zaczął wertować, taką radość uczułem, jak ten, co w Kalifornji nową żyłę złota odkrywa. W samej rzeczy mam go za drogi skarb, bo już te mniemane literackie nowości, które rzesisto sypią się na naszym horyzoncie, tak dalece kością w gardle mi stały, że postanowiłem sobie już nic nowego nie czytać; czem sobie oszczędzam i trochę nudów i wiele niechęci, bo nie czytając pisma, nie mogę go ganić, a uzbrojony moją niewiadomością, w rozprawach literackich najmniejszego nie biorę udziału. Możeż-li być położenie wygodniejsze? Ale stare rękopisy wielką mi przynoszą pociechę, gdyż mnie zajmują w chwilach wolnych od zatrudnień; widzę w nich szereg faktów niezmyślonych i spostrzeżeń szczerých, nie wyjętych żywcem z utworów niemieckich i francuskich; nie znajduję w nich tych krajobrazów, któremi anegdotka wzrasta w całkowity tom, a jakie napotykamy ciągle w pismach tuzinkowych pisarzy wszystkich narodów. Głupstwo oryginalne czasem zabawić może, ale głupstwo naśladowane cikliwość pobudza. Piszcie więc sobie tuzinkowi pisarze, durzcie publiczność, chwytajcie sobie honorarja księgarskie, mnie nie przywabicie do czytania waszych utworów. I byle o jeden krok tylko nasza publiczność postąpiła w ukształceniu, radzi nie radzi zmuszeni będziecie chwytać się innego rzemiosła, co daj Boże, Amen.

Inaczej z dawnymi rękopisami: w nich szlachcic opowiada naiwnie i sumiennie to, czego był naocznym świadkiem, to co słyszał, daje jako rzecz tylko słyszana. Nie jest ani naturalistą, ani fizykiem, ani ekonomistą politycznym; nie przekracza koła, może ciasnego, swoich rzeczywistych wiadomości; wie, że są mistrze naukowcy, do których należy o tem pisać, a miałby za hańbę potrącać o to, co mu jest obce albo mało znane, ażeby tym pyłkiem rzucać w oczy niedoświadczonym bliźnim.

Zresztą dawni pisarze pamiętników nie pisali, żeby być drukowanymi; pisali dla swoich krewnych i przyjaciół, jeżeli nie mieli własnego potomstwa; a najwięcej dla siebie samych, żeby nie zapomnieć tych, z którymi kiedyś żyli, a którzy ich uprzedzili w krainach wieczności. Ale to pewna, że nasi poprzednicy, którzy po sobie zostawili na piśmie pamiątki, umieli widzieć to, na co patrzyli — zdolność dziś tak rzadka, a dlaczego? Oto dlatego, że każdy nie własnym wzrokiem, ale patrzy przez okulary bądź we Francji, bądź w Niemczech sporządzone; a jako obcym rozumem nabywa wziętości, tak usiłuje czuć obcemi zmysłami.

Niestety, literatura jest zawsze odbiciem społeczeństwa, z którego ona powstaje. Pisarze-rzemieślnicy bardzo dobrze wiedzą dla kogo piszą. I wielki widzimy stosunek między temi elukubracjami, które codzien z pod pras wychodzą, a temi, którzy je czytają. Pierwsze są karykaturami książek teraźniejszych francuskich i niemieckich, a drudzy są karykaturami bądź obyczajów francuskich, bądź zaciekania się niemieckiego; wszędzie jakieś niezgrabne naśladowanie obczyzny. Nie mówi się o naszych kobietach, których towarzystwo bez wątpienia jest przyjemniejsze, niżeli jakichkolwiek innych; ale te, Bogu dzięki, nie czytają naszych nowości; a na coby się one im przydały, kiedy u niejednej z nich w jednym spojrzeniu jest więcej rozumu i uczucia, niż we wszystkich powieściach naszych, pod któremi prasy drukarskie od lat dwudziestu jęczały; a do tego wiedzą, że wdzięki niczem tak nie płowieją, jak nudami. Ale co się tyczy mężczyzn naszego pokolenia, niech im Bóg wieku przedłuży, są to w powszechności nudne figury, jakieś monety bez stempla. Mają cni bez wątpienia swoją wartość rzeczywistą, ale jakże trudno domacać się jej natury, kiedy ją przygłuszyli odbiciem przesądów, poruszeń, dowcipków, lekkości, junakierji, tak ob-

cym naszej obyczajowości, a tem pospołu i śmiech i litość przywołują. Oto do czego doprowadziło małpiarstwo! Mówią o naszych poprzednikach, że byli niedźwiedziami; niech i tak będzie; wszakże wolałbym być niedźwiedziem, niż małpą.

Obywatel, którego pamiętniki ogłaszam, Bartłomiej Michalowski, jak mi się zdaje, umarł w początkach drugiego dziesiątka lat XIX wieku; a jak sam mówi urodził się roku 1733. Miałby więc przeszło lat dziewięćdziesiąt, w których przeżył okres historyczny, najobfitszy w wielkie wypadki: widział albowiem Fryderyka Wielkiego, Marję Teresę, Katarzynę II, Napoleona I, cesarza Aleksandra i wszystkie księżyce, otaczające te świetne planety. Pomijam, że służył Augustowi III i jego świątobliwej małżonce, Marji-Józefie; niemniej Stanisławowi Augustowi, na którego dworze mógł się przypatrzyć olbrzymim figurom możnowładztwa polskiego, jako: Jaxy Branickiego, hetmana wielkiego koronnego; Radziwiłłów: ojca, hetmana wielkiego litewskiego, i syna, Karola, wojewody wileńskiego; Czartoryskiego, kanclerza i jego brata, wojewody ruskiego; Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego i tylu innych, przez których konająca Polska błysnęła jak gasnąca lampa. Znał też i uczoną plejadę, którą umiał wynaleźć Stanisław August, jako: Krasickiego, biskupa warmińskiego, Naruszewicza, Wyrwicza, Trembeckiego i Węgierskiego. Daje nam szczegóły tych czwartkowych obiadów królewskich, gdzie uczoność i dowcip były warunkami niezbędnymi dla tych, którzy usiłowali do nich przystąpić. Z lubością rozwodzi się nad przesłicznymi damami owej epoki, często pozwala sobie uwagi nad tem, na co patrzył; uwagi niezawsze trafne wedle wyobrażeń naszych, ale nie pożyczane, własne i zawsze ze stanowiska staropolskiego. W niektórych jego poglądach spostrzegać się daje walka między zasadami, jakie, żyjąc na wielkim świecie musiał polubić rozumem, a wstrętem, jaki jego serce do nich czuło. I tak wyznaje, że sukcesja tronu byłaby rzeczą najzbawieniejszą dla Rzeczypospolitej, a obok tego zdradza pociąg, jaki czuje do rządu formy elekcyjnej. Czasem w zdaniach i poglądach swoich sam siebie oszukuje — swojego czytelnika nigdy. Jest w nim jakaś prostota serca, dobra wiara, która, że tak powiem, za serce chwyta czytelnika. Możliwy mu wyrzucić, że nad jednymi wypadkami nadto, nad drugimi bardzo mało się

zastanawia; ale to pismo nie jest dziełem sztuki. Nigdy nie zwraca uwagi na wrażenie, jakie sprawi na czytelniku, ani przewiduje, żeby je miał kiedy pobudzić; pisze dla siebie, i to właśnie daje jego stylowi, często zaniedbanemu, wiele życia. Omal że nie we wszystkich utworach naszych teraźniejszych czujemy, że czytamy książkę, czasem dobrze napisaną; w pamiętnikach zaś Michałowskiego słyszymy opowiadanie. Zresztą czytelnik osądzi, czy mam słuszość w tem mojem zdaniu.

Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego

I.

Nim przyjdę do opowiadania tego com widział i słyszał, nim zacznę mówić o sobie; wzmiankę uczynię o mojem pochodzeniu, bo jeżeli wielce się chwali uczonych, którzy wyszukują początki narodów nam obcych, dlaczegożbym nie miał zastanowić się nad moim własnym rodem? Bliższa, jak to mówią, koszula od sukni; i nic dziwnego, że więcej miłuję przodków, którym po Bogu dłużny jestem mojego jestestwa, niżeli Celtów lub Scytów, a cóż dopiero Medów i Asyryjczyków.

Urodziłem się szlachcicem karmazynowym, ubogim, ale nie nędzarzem, bo z rodziców osiadłych. Kiedyś Michałowscy byli możni w naszym narodzie; jest nawet podanie, że jeden nasz przodek posiadał kilkadziesiąt wsi na Rusi, że był dziwnie pięknej urody, ale wielce burzliwy. Owoż tedy na jednym sejmiku, na którym szablą dokazywał, w tłumie odrąbano mu nos, a co gorsza, szlachta podkówkami tak go przypłaszczyła, że już nie można było do twarzy go doczepić. Aż lekarz Niemiec, który w tem mieście mieszkał, a został przywołany na ratunek, zapowiedział, że jeżeliby kto pozwolił sobie nos oderżnąć, a ten przyłożonymby został do świeżej rany, możeby się i wzrósł, jak sam to kilkakrotnie doświadczył. Michałowski za dwie wsie kupił nos u jakiegoś czynszowego szlachcica, który się poświęcił, ażeby potomstwu swojemu los zapewnić. I nos sprzedawcy jak najlepiej się przyjął na twarzy kupującego, tak, że śladu na niej nie było tej obczyzny. Wtedy z przywróconą pięknością

pojechał zdrów do Krakowa, gdzie pozyskał względy króla Zygmunta Augusta, oraz wysokie dygnitarstwo, bo umarł podstolim koronnym. Nos nabyty dopisywał mu przez lat piętnaście; szesnastego roku zaczął gnąć na twarzy, aż całkiem zgnił, że pan podstoli na nowo oszepeczony, wyniósł się ze stolicy, ażeby w dobrach swoich ukryć się przed wzrokiem ludzi. A skądże ta niefortunna przygoda? — to stąd, że sprzedawca tego nosa był umarł, a więc i nos musiał ulec przeznaczeniu swojego prawdziwego właściciela. Za rzeczywistość tego wydarzenia nie ręczę, *relata refero*; ale to pewna, że nie ma po dziś dzień Michałowskiego, któryby tej historii nie wiedział i jej nie powtarzał.

Dotąd jeszcze są gałęzie domu Michałowskich na Wołyniu, w kijowskiem i w lubelskiem, skoligacone ze świetnymi rodami tych województw i zaszczycone urzędami. W powszechności Michałowscy są ludzie poczciwi i światli. Wszyscy co z nimi żyją, to im przyznają; a wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi.

Ale jeżeli niektóre gałęzie naszego starożytnego domu się trzymały, ta z której wyrosłem, już od niepamiętnych czasów była podupadła, tak, że moi bliźsi przodkowie albo na czynszu cudzą grzędę kopali, albo w niższem służebnictwie po domach szlacheckich żywot płużyli. Dopiero mój rodzony dziadek pierwszy cokolwiek w pierze porósł, gdyż nie wiem jakim sposobem wcisnął się do służby księcia Lubomirskiego, wojewody lubelskiego, który go polubił, tak iż gdy na jego dworze odkryła się wakancja, mianował go koniuszym, pomógł mu do ożenienia się z panną mającą dwadzieścia tysięcy posagu, i nadał prawo dożywotnie na porządnej wiosce jemu i jego małżonce, na wypadek, gdyby ona go przeżyła. Mało na tem: wyrobił dla niego przywilej na starostwo niżyńskie, wprawdzie egzotyczne, a więc ani złamanego szeląga nie przynoszące; ale już go nazywano panem starostą, a jakby nie było, zawsze tytuł pieści jakoś ucho szlachy, który nie rad, żeby jego nazwisko rodowite było jakby szarżane ciąglem jego powtarzaniem.

Jednak mój dziad niedługo się cieszył temi splendorami i temi dostatkami, a z jakiego powodu, to mogę opowiedzieć najdokładniej, bo to wiem od mojej matki, która była świadkiem tego wydarzenia, nastąpionego w pierwszym roku jej zamełcia. Mój dziad miał wstręt najosobliwszy do kotów, tak dalece, że jeżeliby

kot był ukryty i milczący w drugim pokoju, już go poczuł i cały się trząsł jakby w paroksyzmie febry. To nawet pomogło mu może do łaski księcia wojewody, bo wielcy panowie lubią to, co jest niezwykajne. Ale co mu posłużyło do szczęścia, pewno, że go przyprawiło o zgubę, bo na *Prima Aprilis*, księżniczki puste, jak zwyczajnie młode panienki, za pozwoleniem księcia ojca kazały kuchmistrzowi, by mu przyprawił potrawkę z kota. Mój dziad nieobacznie kilka kęsów spożył i gdy mu pokazano ze śmiechem głowę i łapki kota, okropne go porwały ejekcje; obłożnie potem zachorował i po kilku dniach niemocy Panu Bogu ducha oddał.

Księżę z pozostałą po moim dziadzie wdową i jej synem jedynakiem, a moim ojcem, postąpił po pańsku: spłacił jej dożywocie, za które w gotowiznie kazał jej odliczyć czterdzieści tysięcy. Gdyby ta wieś była dziedziczną, mało co więcej za niąby dostała. Ale zastrzegł sobie, że ponieważ jej i syna przytomność zawszeby mu przypominała ciężki grzech obarczający jego sumienie, aby się więc nigdy nie ważyli zbliżyć do niego; czego miał prawo się domagać, dawszy im hojnie czem oczy ocierać po tak bolesnej siracie.

Żył natenczas stryj mojej babki, mało co od niej wiekiem starszy, ale głębokiej nauki i wysokiego zdania. Byłto ksiądz Adaupt Dzwonkowski, trynitarz, bo moja bábka była z domu Dzwonkowska. Byłto mąż niepospolity, lat kilka bawił w Rzymie jako asystent przy generale trynitarzskim, a za powrotem do kraju był cenzorem pism łacińskich i polskich mających wyjść na świat. W owym czasie cenzura zostawała w ręku duchownych, i jak mi się widzi, z wielu względów to miało swoją dobrą stronę; bo jużci co tylko jest przeciwne dobrym obyczajom i porządkowi przyjętemu w społeczeństwie, jest tem samem przeciwnie religji chrześcijańskiej, a na stanowisku religijnem ksiądz skrewić nie może, aniby tego zwierzchność kościelna dopuściła.

Otóż ksiądz Adaupt po śmierci mojego dziada został doradcą i, że tak powiem, głową naszej familji. Za jego radą i pośrednictwem moja babka kupiła dworek w Sandomierzu, w którym osiadła na dewocji, a sumy swoje oddała synowi, warując sobie do śmierci ordynarję i jakies *certum quantum*, wystarczające na jej potrzeby. Mój ojciec, dosztukowawszy do tych sum

zoniny posażek, za sześćdziesiąt tysięcy nabył wioskę *Porzecze*, o dwie mile od Sandomierza. Wówczas mawiano, że ona była przepłacona, a kiedyśmy ją sprzedali we dwadzieścia kilka lat potem za sto tysięcy, wszyscy mówili, żeśmy ją zbyli za bezcen. Czas płaci, czas traci.

Mój ojciec, a zwłaszcza moja matka, gospodarowali na wsi i dobrze lubili pracować. Jednak niewiele przyczynili majątku, raz, że co rok przybywało im potomstwa; powtóre, że będąc gościnni, żyli z sąsiedztwem i nie żałowali wydatków na przyjęcie gości; na koniec, że miłość współobywateli, o jaką mój ojciec ciągle się starał, powierzyła deputację na trybunał koronny. Wprawdzie po odbytej deputacji otrzymał przywilej na cześnikowstwo sandomierskie, ale lubo jego urzędowanie roku nie nie trwało, to pewna, że w tym roku więcej stracił, niż przez lat kilka na wsi uzbierał. Było to wówczas obyczajem, że skąpy nawet nie oglądał się na przyszłość, ile razy powołanym zostawał do usług obywatelskich; a cóż dopiero mój ojciec, który był rządnym, ale skąpstwem się brzydził. Jednak po odbytem urzędowaniu postanowił sobie nigdy nie brać na barki podobnego ciężaru i odtąd żył na wsi, by załatać dziury, które musiał zrobić w swoim majątku.

Moi rodzice spłodzili z sobą trzynaścioro dzieci, z których sześć, roku nie dożywszy, opuściło ich. Ja byłem ostatnim i ojca tylko jakby przez sen pamiętam, bo miałem lat pięć niespełna, kiedy mnie odumarał; matkę, która mnie wychowała, do pełnoletności mojej zachowałem, tak, że już własnymi skrzydłami latać mogłem. Najstarszy mój brat Jacek, skończywszy szkoły, poszedł do palestry i został znakomitym jurystą, a później regentem ziemskim sandomierskim. W pierwszym roku swojego zawodu wslawił się w interesie nader ważnym naszej siostry Agnieszki, o czem wkrótce wspomnę. Rozpoczynałem szkoły, kiedy on już żył o swoim chlebie. Ożenił się z ząną panią, która oprócz cnót i wdzięków, nic mu nie wniosła, tak dalece, że nawet jej wyprawę musiał własnym groszem opędzić; ale otrzymał z nią Boskie błogosławieństwo, bo i potomstwem go obdarzyła i dorobił się z nią szlacheckiego majątku. Po nim szedł Antoni, porządna głowa, uczył się doskonale; jezuici nie mogli się nim dość nacieszyć, więc też i przywabili go do siebie, bo

w piętnastym roku swojego żywota wstąpił do nowicjatu, a swego czasu uczynił profesję i niemałych zasług nabył w zakonie. Przed samą kasatą był rektorem kolegjum owruckiego na Rusi, a po kasacie umarł kanonikiem lwowskim i proboszczem w Kulikowie. Wyrzucają jezuitom, że jak tylko upatrywali wielkie zdolności w uczniu, usiłowali go przyciągać do swojego zakonu; w czym, wedle mojego zdania, nie zasługują na nagane, ale raczej na pochwałę. Wszakże dowódca pułku czy chorągwi, jeżeli dba o sławę podwładnych, a tem samem o swoją, stara się werbować najzdatniejszych żołnierzy. A widać, że jezuita bardzo dobrze w tem postępowali, kiedy mądrością swoich nad wszystkimi wynieśli się zakonami nietylko u nas, ale i w zagranicznych narodach. Trzeci był Cyprjan, który był tępym do nauki, za co często napędzano mu rozum do głowy; aż nakoniec to mu się sprzykrzyło, uciekł ze szkół, a gdzie się podział, o tem nigdy dowiedzieć się nie można było; przepadł jak kamień w wodzie. Po nim szła siostra Agnieszka; dziewczynka precudnej urody. Po niej Petronela, ot zwyczajnie sobie Boskie stworzenie, która nienajlepiej poszła za męża, nawet bez woli matki, bo za woźnego; ale i tej Bóg nie opuścił, gdyż jej mąż został rządcą dóbr jezuitów sandomierskich, matka dała się przeprosić i odtąd jakotako się im powodziło. Potem Walenty, jednym rokiem ode mnie starszy, z którym do końca ćwiczyłem się w szkole, a który tem samem był najbliższym mojego serca. Był to człowiek poczciwy, ale nie miał szczęścia do ludzi. Nic mu się nie wiodło i był bliskim ostatniej nędzy, kiedy ja jego wydzwignąłem, jak o tem później wspomnę. Jako się powiedziało, na mnie się ta liczna rodzina zakończyła.

Siostra Agnieszka była, jak się nadmienilo, czarującej piękności, z której powodu ucierpiała nieco wstydu, ale i znaczny jak na szlachciankę otrzymała posag. Pan Wielopolski, wojewódzic sandomierski, poznał ją w Sandomierzu, gdzie zjechał starać się o poselstwo na sejm, co i otrzymał. Poznawszy ją, zakochał się w niej szalenie i zaczął bywać w naszym domu, oświadczając się przed naszą matką, że pragnie być jej zięciem. Ani zasta nowiło ją, że magnaci wtedy tylko z szlachciankami się koligają, kiedy po nich otrzymać mogą znaczne wnioski. I owszem, łowiąc siebie przysłowiem, „że szlachcic na zagrodzie równy woje-

wodzie", a cóż dopiero osiadły, wcale nie był od tego. Jego nawiedziny cieszyły ją nadzieją wyniesienia naszej rodziny, ile, że pan wojewodzie dał jej na piśmie zapewnienie, że z nikim się nie ożeni, tylko z jej córką; a więc wierzyła, że przeszkody, jakie ze strony familji wojewodzica być mogły przeciw temu związkowi, zczasem usunięte zostaną, i że jej córce nie pozostaje jak czekać z cierpliwością końca. Nic zbyt złego z tego nie nastąpiło, bo matka była bogobojną i córki z oka nie spuszczała. Ale pokazało się, że posłuszeństwo wojewodzica woli rodziców przemogło w nim skłonność serca, bo zezwolił na swoje zaręczyny z JO. księżniczką Sanguszkówną, podskarbianką nadworną litewską, stosownie do układów obu domów, które wprzód jeszcze się zawiązały, nim poznał się z moją siostrą. Jak się o tem u nas dowiedziano, było niemało płaczu; ale płacz niczemu nie zaradzi. Na szczęście naszego domu starszy syn od roku był jurystą, i tu pola nie zaspiał, wziął plenipotencję, a nią uzbrojony podał inhibicję na małżeństwo wojewodzica. Unikając sromu, trzeba było zaspokoić sprawę, Jacek z mocy plenipotencji siostry cofnął inhibicję, wzięwszy za to zgodnym sposobem pięćdziesiąt tysięcy, z których siostra udzieliła mu piętnaście tysięcy, jako *deservita merces* za prowadzenie interesu, a resztę sobie zachowała. To jej na dobre wyszło, gdyż wkrótce po weselu wojewodzica zawarła sama ślubne związki z majątnym wdowcem Mężynskim, pisarzem ziemskim sandomierskim, który ją ubóstwiał, i odtąd ciągle żyła w nieprzerwanem szczęściu.

II.

Urodziłem się w Porzeczu dnia 24 sierpnia 1733 roku, na sam dzień świętego Bartłomieja; dlatego też na chrzcie dano mi imię Bartłomiej. Moim ojcem chrzestnym był mąż wielki, któremu winien jestem mogę powiedzieć cały mój los i całkowite moje powodzenie, a ten był sławny Szybilski. Był on z prostej kondycji, bo urodził się poddanym księcia wojewody lubelskiego i służył na jego dworze jako masztalerz pod zwierzchnością mojego dziada, który był koniuszym w tymże dworze. Pan Szybilski przede mną później kilkakrotnie powtarzał, że za wstawieniem się mojego dziada, postąpił na oficera konnej mi-



licji księcia, co mu otworzyło drogę do przyszłych zaszczytów, gdyż w czasie pobytu króla Augusta II w Białej u księcia kancle-rzego Radziwiłła, gdzie zjechał i książę wojewoda lubelski z dworem swoim, pod okiem tego króla pan Szybalski, nie zważając na niebezpieczeństwo, wyratował tonącego hrabiego de Saxe, po-bocznego, ale ulubionego jego syna. Nikt nie chciał się rzucić w wezbraną rzekę; jemu jednemu hrabia winien był swoje oca-lenie i umiał też mu być wdzięcznym, bo w następstwie tego czynu, książę wojewoda libertował pana Szybalskiego, a król dał mu stopień rotmistrza w wojsku saskiem i przyjął go w dwor-ską służbę.

Otóż, że pan Szybalski miał przyjaźń i obowiązki dla naszego domu, a więc gdy przybył nawiedzić starą swoją matkę, żyjącą w naszym sąsiedztwie, że właśnie wtenczas przyszedłem na świat, mój ojciec zaprosił pana Szybalskiego, żeby był moim chrzestnym ojcem. W czym później okazało się, że był dobrze dla mnie zainstytutowanym od mojego anioła stróża.

Pierwsze lata mojego żywota przepędziłem albo na podwó-rzu, albo w piekarni z czeladką, zwyczajnie jak u szlachty. Jed-nak ochmistrzyni domu, podupadła szlachcianka, a dobrze wy-chowana jak naówczas, bo umiała czytać i pisać, nauczyła mnie i brata Walentego tego, co sama umiała, tak, że mogłem już w siódmym roku mojego żywota rozpocząć zawód szkolny. Kto umie czytać, już ma połowę wychowania naukowego. Starsi bracia albo już byli skończyli nauki, albo byli bliskimi końca, kiedy nasza matka mnie i Walentego zabrała z sobą do Sando-mierza, by rozpocząć zawód szkolny. Nie miała potrzeby kło-potać się o nasze pomieszczenie, bo nasz brat Jacek, świeżo oże-niony, mieszkał w swoim własnym dworku w Sandomierzu, i nadto dobrze mu się powodziło, by miał żałować kąta i kawałka chleba rodzonym braciom. Jakoż zastaliśmy u niego brata Cyprjana, który był w poetyce, a dopiero w roku następnym uciekł ze szkół, czem niemało nafrasował Jacka; ten nas przy-jął prawdziwie po bratersku, a później, jak matka złała na niego rodzicielskie prawa, po ojcowsku. Pamiętał o naszych wygodach, żeby nam na niczem nie zbywało; ale obok tego przestrzegał naszych obyczajów i trzymał nas w ostrej karności. My się jego bali jak ognia, aleśmy go i miłowali, bo lubo nie oszczędzał

nam plag za swawolę i lenistwo, umieliśmy już poznać się na jego sprawiedliwości, że nie dla własnej chimery, ale dla naszego dobra nas karał.

Jacek był mężem światłym i bogobojnym, a do tego nadzwyczajnie pracowitym. Próżniactwo jego podwładnych oburzało go i więcej nas karał za lenistwo, niż za swawolę, na którą był dość wyrozumiały. Kładł się spać przed dziewiątą, a o czwartej zrana już był na nogach i zaraz się brał do roboty, którą przerywał o godzinie siódmej Mszą Świętą, bo tej codziennie słuchał; przed ósmą wracał do domu i znowu przy kantorku swoim pracował. Jego żona trudniła się gospodarstwem domowym, gdyż sam do niego się nie mieszał; i miał w tem słusność, bo jego żona była wzorowa gospodyni; ona utrzymywała dom z wszelką przyzwoitością szlachecką. Ani my, ani goście, ani czeladka, nie doświadczali nigdy niedostatku, a jednak ani jeden szeląg, ani jedna szczypta mąki marnie nie poszły.

Było też jej na czem gospodarować, gdyż praca męzowska niemałe korzyści domowi przynosiła, a do tego Jacek miał szczęście do ludzi. Oprócz codziennych prawie akcydensów był rocznym plenipotentem pana Małachowskiego, starosty opoczyńskiego, i pobierał ze skarbu tego pana sowitą ordynarję i rocznej kapitulacji ośmset złotych, kwota, w owych czasach znaczna. Nasza bratowa, chociaż młoda, została dla nas prawdziwą matką; a że jeszcze nie miała dzieci, wielce to ją bawiło, kiedy my ją nazywaliśmy mamą; i to była jedyna osoba, do której używaliśmy tego pieszczotliwego wyrazu, bo nasza babka już nie żyła, a naszą matkę nazywaliśmy imością, stosownie do ówczesnego zwyczaju.

Bratowa oprócz najrzadszych przymiotów duszy, miała także i te wdzięki powierzchowne, które pobudzają skłonności serca; byłaby nawet wcale piękną kobietą, jedno, że była wzrostu do zbytku drobnego. Wszelako, kiedy Jacek zaczął się jej zalecać, miał dwóch współzawodników dość majątnych, ubiegających się o jej dożywotnią przyjaźń; a jednak ona była ubogą sierotą, żyjącą na łasce pani Ustrzyckiej, sędziny grodzkiej sandomierskiej, samej szczupłego majątku. Kiedy Jacek, upewniwszy się o jej wzajemności, przed wyraźnem oświadczeniem o jej rękę, prosił naszą matkę o błogosławieństwo, ta się z początku

wzbraniała, bo każda matka radaby mieć synowę z posagiem siakim takim; ale gdy, zmiękczona jego stałością, zezwoliła na koniec na ten związek, a później przypatrzyła się ich pożyciu, powtarzała często, że gdyby Jacek miał mądrość Salomona, lepszej żony nie mógłby wybrać. On też żonę miłował nad życie. Nietylko, że w ich pożyciu nawet chwilowego kwasu nie było, ale zdawało się, że wzajemnie zgadują myśli jedno drugiego, by najskwapliwiej zadość im uczynić.

Bratowa ulokowała nas w porządnej izbie, gdzie pierwsze go roku nas trzech, a później dwóch stało z panem Sandałowiczem, naszym dyrektorem, który za dwieście złotych na rok i wikt, pilnował, żeby to, czego nas uczono w szkole, za powrotem do domu nie wywietrzało. On nas prowadził do szkoły i od niej odprowadzał, powtarzał z nami prelekcje szkolne; baczył, żebyśmy napamięć się uczyli pensów nam zadanych, odwoził w czasie wakacyj do Porzecza, a po skończonych wakacjach przywoził do Sandomierza. Niedarmo pobierał swoje dwieście złotych. Jeszcze to pierwszego roku było pół biedy, ale kiedy nam Cyprjan przepadł, czem Jackowi niemało zgryzoty i sromu nabawił, gdyż matka gorzko wymówiła mu niedozór nad jej chłopcem; dopiero istny czyściciel był dla Sandałowicza, na krok nie mógł nas odstąpić, nawet naszym szkolnym rekreacjom musiał asystować, tak dalece, że Jacek z własnego sumptu przyczynił mu pięćdziesiąt złotych co roku, bo sam poznał, że na to zasłużył.

Ojcowie jezuici uprzejmie nas przyjęli do szkoły, raz, że Jacek nasz zaszczyt przynosił ich wychowaniu i z niemi żył w zażyłości, a nawet chodził około interesów prawnych klasztoru; powtóre, że nasz Antoni był odbył profesję w ich zgromadzeniu i już z niego zakon miał pociechę, gdyż od roku był magistrem w kolegjum winnickiem. Przyjęli mnie i Walentego jako *noster vester*, bo jezuici uważali za swoje rodziny, z których jakiś członek należał do ich zgromadzenia. A że my umieli po ludzku czytać i pisać, więc zapisano nas w infimie, jako umiejących to, czego w proformie ucza.

Kolegjum jezuickie podzielone było na siedem części, szkołami nazwane, a temi były: proforma, infima, gramatyka, syntaxis, poetyka, retoryka, filozofja. Całkowity zawód szkolny trwał

zwykle około lat dwunastu, ale niewiele było takich, co by go w zupełności skończyli. Na stu uczniów, ledwo pięciu ukończyło filozofję, może kilkunastu retorykę, a najwięcej było takich, którzy wychodzili ze szkół po odbyciu poetyki. Ci, którzy potrzebowali pracować dla kawałka chleba w prywatnem służebnictwie, wychodzili z gramatyki; czegoż więcej potrzeba było dla dyspozytora, rachmistrza, lub pisarza prowentowego, bo to nie przechodziło kresu ich wyniosłości. Każdy z takich umiał pisać, rachować i trochę łaciny, mógł więc być pożytecznym sługą, ile, że jego wychowanie na religji oparte, już go było włożyło do spełnienia obowiązków chrześcijanina, a prawy chrześcijanin nie może być złym sługą.

Najmilszy dla mnie okres mojego długiego żywota był bez wątpienia ten przeciąg dziesięcioletni, przepędzony w szkołach sandomierskich. Ojcowie jezuici dziwnie umieli do siebie przywiązywać swoich uczniów, każdy kończący szkoły rozstawał się z nimi ze łzami, i do jakiegobądź zawodu się rzucił, choćby dopiął i wysokich zaszczytów, nie przestawał być ich przyjacielem i gorliwym stronnikiem. Wychowanie jezuickie miało na celu nie tylko ukształcenie rozumu, ale więcej jeszcze wprawienie serca do uczuć szlachetnych, a nawet pokrzepienie czerstwości ciała; nie obarczało umysłu zbytkiem nauk, które samym niedostatkiem czasu dokładnie zgłębionemi być nie mogły, a nauka niezgłębiona więcej szkody, niż pożytku przynosi. Każdy, co kurs naukowy przebiegł i skończył u jezuitów, byle nie był upośledzony zupełnie w zdolnościach umysłowych, dobrze myślał, dobrze mówił i dobrze pisał, bo to jest niezbędne dla każdego obywatela. I dlatego nauczanie opierało się na poznaniu literatury łacińskiej, jako klucza do nabycia stylu w każdym języku, i na retoryce polskiej, w której uczeń się kształcił tak nazwanemi okupacjami, to jest pisanem rozpraw lub mów na przedmioty mu podane przez profesora. A co się tyczy innych nauk, że te nie mogą być udziałem wszystkich, a tylko wybranych, były dla nich szkoły specjalne, akademje, skąd ochotnicy mogli je czerpać; ale te ani wchodziły, ani miały potrzeby wchodzić do składu nauczania powszechnego. Kto już przetrawił w sobie to nauczanie powszechne, nazwane *humaniores*, i zdał *examen maturitatis*, zostawał dopiero do fakultetów wyższych nauk przy-



puszczony. Ludzie światli byli pospolici w naszym narodzie, ludzie uczeni byli rzadkością; ale kto nim był, był nim rzeczywiście, a nie rzucał pyłu w oczy przy jakiejś powłoce naukowej, jak się to później u nas zagęściło.

W czym zwłaszcza jezuici byli mistrzami, to w obmyślanu zabaw pożytecznych dla uczniów, najtroskliwiej zapobiegali ich zniewieściałości. Każdy z nich, choćby nie wiem jak podeszłego wieku się doczekał, pewnie zapomnieć nie może o tych igrzyskach gimnastycznych szkoły, jakto na rekreacji potykano się w palcaty; jakto zimową porą uczniowie obłążnicy kulami ze śniegu dobywali twierdze, także ze śniegu wzniesione, a mężnie broniłone przez uczniów obłążonych. Kto przez lat kilka podobnym zabawom się oddawał, nietylko że nabierał zdrowia i sił, ale nawet przez całe życie musiał czuć wstręt do wszelkiej miękkości.

Była jeszcze jedna niemąla zaleta wychowania jezuickiego, a to jego taniość. Nauczyciele świeccy ani w taniości, ani w dozrze sprostać mu nie mogą, bo co innego jest nauczycielstwo z jakichś widoków, a co innego z powołania. Zakonnik nie ma potrzeby troszczyć się o swoją przyszłość; jakże więc dopuści się żądz bogactw, kiedy nie może posiadać żadnej własności, on nie jest nawet całością, ale członkiem zbiorowego ciała, które jego osobistość w siebie wsiąknęło. Świecki przeciwnie, musi dbać o zabezpieczenie swojej przyszłości, a cóż dopiero, kiedy zostanie obarczony liczną rodziną? Zresztą stan małżeński nie jest przyjazny dla ludzi nauki, i Anglja bardzo dobrze to rozumiała, kiedy dozwalając małżeństwa swoim księżom, a nawet biskupom, na bezżeństwo wskazała profesorów akademij, lubo ci do stanu duchownego nie należą.

Moi starsi bracia, Jacek i Antoni, byli wychowani w konwiktzie sandomierskim; mieli w nim kwaterę, strawę, opał, światło, opieranie bielizny, a nadewszystko dozór i naukę. I cóż za nich płacili rodzice? Oto od każdego na rok szkolny dwa korce żytniej mąki, miarkę mąki pszennej, tyleż krup gryczanych, cztery garnce krup perłowych, korzec grochu, korzec siemienia konopnego, cztery garnce fasoli, faskę masła, dzieżkę sera, poćć słoniny, trzydzieści łokci grubego płótna na ścierki i trzysta złotych. Mogłoby być mniej kosztowne utrzymanie i wychowanie młodzieńca?

Oprócz niedzielnych i świątecznych dni, codzień siedzieliśmy w szkole dziesięć godzin, z których cztery w klasie, a sześć na rekreacjach szkolnych. Resztę dnia pędziliśmy w domu brata, ale i tam nie próżnowali, bo trzeba było się gotować z panem Sandałowiczem na dzień jutrzejszy, i to pod srogą karą. Wiele jest przesady w tem co mówią o hojności jezuickiej w udzielaniu kar cielesnych; może być w tem i coś prawdziwego, ale to pewna, że nierównie więcej plag nam się dostało od brata i pana Sandałowicza, niżeli w szkole.

Po upływie lat dziesięciu skończył się nasz zawód szkolny i wcale piękny atestat otrzymaliśmy od oo. jezuitów. Bratu było lat ośmnaście, a ja byłem niespełna rokiem od niego młodszym. Aleśmy nie poszli na próżnowanie, Walenty osiadł przy matce dla pomagania jej w gospodarstwie, a ja zostałem w Sandomierzu przy bracie, który już był regentem ziemskim, urząd ważny i intratny. Jacek usiłował mnie wykierować na jurystę, a ja, lubo nie czułem popędu do tego stanu, pracowałem jednak pod nim gorliwie, bo byłem wprawiony do pracy. Matka mi naznaczyła sto złotych na kwartał, bratowa mi fundowała bieliznę. Miałem garderobę przyzwoitą, bo matka mnie i Walentego odziewała, pozostała po nieboszczyku ojcu, który był wykwiutnym w ubiorze. Nam dwom dostał się ten spadek, gdyż Jacek dobrze się mając, nie chciał brać w nim udziału, a tylko jedną szablą się kontentował. Miałem więc dwa kontusze, z których jeden jeden aksamitny, i tyleż żupanów i czapek; trzy pasy lite, jeden nieświeży, ale dwa jakby dopiero z igły, i jedną spinkę z ametystu, otoczonego brylancikami, było w czem pokazać się między ludźmi. Kwota naznaczona mi od matki aż nadto zrównoważała moje rzeczywiste potrzeby, bo u brata miałem izbę i stół, a do zbytków pociągu nie czułem. Nigdy kart nie miałem w ręku, a do wszelkich gorących napojów zawsze miałem wstręt ledwo nie taki, jak mój dziad do kotów. Z pierwszym lepszym nigdy się nie bratałem, a tylko o łaskę ludzi uczciwych dbałem. Przy takim usposobieniu moje potrzeby nie mogły być, jak tylko ograniczone.

Zresztą znałem język łaciński jak mój rodowity, bo siedem lat męczyłem się nad Alwarem. Później Towarzystwo ksiąg elementarnych wyśmiało tę dawną gramatykę jako zawiłą, a jed-

nak odkąd ją wywołano z nauczania publicznego, nikt po łacinie nie umie mówić, a cóż dopiero napisać. Co do mnie, to gramatyka wielce posłużyła mi do nabycia innych języków, których się uczyłem w dojrzałym wieku. Umiałem dobrze napisać w języku polskim, nie było konia, którego bym nie dosiadł; biłem się w szable, że najznakomitszy gracz mnieby nie zastraszył, a jednak w całym moim życiu jeden raz tylko dobyłem jej w prywatnym zatargu, i to ciąży na moim sumieniu, lubo do tego zgwałcenia praw kościoła byłem zmuszony.

Bóg, a po Nim moje wychowanie, opatrzyły mnie zdrowiem tak czerstwem, że doszedłem do późnej starości, nie potrzebując nigdy apteki, bo niema czego liczyć cierpienia, jakich doświadczyłem z poniesienia ran na wojnie. Mówiono o mnie, że byłem przystojny, sam muszę wyznać, że miałem wąs czarny, słynny w Sandomierzu, ale nie najdłużej nim się cieszyłem, bo już w trzydziestym roku szpakowacieć zacząłem, sam nie wiem dlaczego, gdyż nigdy zbyt wielkie zgryzoty mnie nie dotknęły.

Tak dalece byłem nawykły do posłuszeństwa, że jakkolwiek jurysterja nie była mi do smaku, z taką pilnością pracowałem pod moim bratem, i to przez dwa lata bez przerwy, że był przekonany, iż mam rzeczywiste powołanie do prawnictwa, i że wyjdę kiedyś na drugiego Herburta; ale Bóg inaczej mną rozrządził.

Miałem lat dziewiętnaście. Za pozwoleniem mojego brata i w jego pojeździe pojechałem na wieś do naszej matki i u niej od kilku dni bawiłem. Moja matka trzymała stadninę, ja natomiast lubiłem konie i w Sandomierzu zatrudniałem się stajnią brata, który jeździł konno i miał dwa wierzchowce, a ci więcej jeszcze mnie niż jemu służyli. Otóż u matki upatrzyłem żrebca w czwartym polu jej chowu. Ten koń jeszcze nie utarty, wielce mi się podobał i wziąłem się do niego. Miałem robotę naznaczoną mi od brata, od czwartej z rana do ósmej siedziałem nad dokumentami, a o ósmej kulbaczone mi tego konia za pozwoleniem matki i ucierałem go za wsią parę godzin po ugorach i łąkach. Koń miał z natury wszystkie przymioty wierzchowca i nie mogłem się nim nacieszyć; a miałem nadzieję, że mi go dobra moja matka daruje ile że już Jacek był zezwolił, żebym na jego koszcie utrzymywał parę koni, o czym matka była uwiadomiana.

Otóż jednego poranku, kiedy kłusowałem sobie w polu,

spozstrzegłem zdala porządny pojazd, czterema końmi ciągnięty, gościńcem prowadzącym do naszej wioski. Zażyłem konia i w cwał go przypuściłem ku pojazdowi, a zbliżywszy się do niego, wstrzymałem konia i osadziłem na miejscu. Z pojazdu odezwał się głos:

— Co tak, to ale, panie kawalerze, i jeździec i koń dobrani.

Patrząc, widzę człowieka już nie w pierwszej młodości, w mundurze wojskowym. Na ten widok zdjąłem czapkę i schyliłem głowę.

— Nakryj głowę, panie kawalerze, i powiedz czy daleko do Porzecza.

— Za kwadrans Wielmożny pan tam dojedziesz, ta wieś jest naszą i rad jestem panu do niej asystować.

— Z kimże mam zaszczyt mówić?

— Jestem synem właścicielki Porzecza.

— Kłaniam się Wielmożnemu panu, a czy szanowna mama jest w domu, czy zdrowa?

— Jest, Wielmożny panie. Ja pobiegnę naprzód, żeby ją uwiadomić o zaszczycie, jaki ją czeka, gdyż jak mi się zdaje, Wielmożny pan chcesz ją nawiedzić, bo jużci w Porzeczu innego interesu mieć nie można.

— Nie inaczej, do niej jadę, jako do dawnej mojej znajomej i dobrodziejki; ale waćpan nie masz potrzeby mnie opuszczać, razem do niej trafimy. A żeś mnie łaskawie uwiadomił, iż jesteś synem nieboszczyka cześnika sandomierskiego, niegdyś spadkowego mojego przyjaciela, więc i ja wywzajemniając się, muszę się jemu przedstawić. Jestem Szybilski, generał-major wojsk cesarskiej rzymskiej, i w tej okolicy zatrzymam się przez jakiś czas, stosownie do jej woli i rozkazów.

Na to imię Szybilski, zdjąłem powtórnie czapkę, bo to imię było mi znane, wiedziałem, że był moim ojcem chrzestnym, gdyż codziennie przy modlitwie wieczornej jego wspominałem, polecając Bogu. Było to w naszych szlacheckich obyczajach modlić się za chrzestnych jak za własnych rodziców.

— Jaśnie Wielmożny generale, — wykrzyknąłem — jakże mnie to przybliżenie do jego dostojnej osoby pociesza, wszakże jestem pańskim synem chrzestnym.

— Jeżeli nazywasz się Bartłomiej Michałowski, to nie ina-

czej; rzadko kiedy trzymałem kogo do chrztu, żeby nie obarczać siebie obowiązkami, których objętość rozumiem. A i tej małej liczby dzieci chrzestnych imiona i nazwiska mam zapisane, co względem ciebie niepotrzebne, bo jakże mógłbym zapomnieć o wnuku starosty niżyńskiego, który był dla mnie ojcem a nie zwierzchnikiem. Chociaż mnie widzisz generałem i orderowym panem, byłem kiedyś chudopachołkiem, gdyż urodziłem się poddanym księcia Lubomirskiego, czego strzeż mnie Boże, bym się zapierał.

Tak rozmawiając z sobą, zajechaliśmy przed dom matki, która wyszła do sieni dla przyjęcia jeszcze jej niewiadomych gości; ale kiedy wszedł pan generał, zaraz siebie poznali i jak zażyli przyjaciele przywitani się z sobą. Na wstępie moja matka wyciągnęła generała na obietnicę, że jej daruje ten dzień, a dopiero nazajutrz po rannym obiedzie ją opuści. Jak weszli do bawialnego pokoju, matka do mnie się odezwała:

— Bartku! pocałujże w rękę swego ojca, żeby cię pobłogosławił. Tak, to ale; a teraz waść powiedz Waluniowi, żeby się zatrudnił kwaterą generała i wygodą jego koni i sług. Pana generała niech roztasują w kancelarii nieboszczyka; a potem ubierz się jak należy z bratem i przyjdźcie służyć JW. generałowi, bo jesteś tak, jakby do rosołu.

Pobiegłem jak najspieszniej, by spełnić rozkazy matki, a ją z generałem zostawiłem sam na sam.

Na moje szczęście miałem z sobą mój kontusz aksamitny i garnitur do niego. Ulokowawszy sługi generała w kancelarii, a konie w stajni, pobiegłem do izby brata, którą wraz z nim byłem zajął. Zaczęliśmy się ubierać, a gdy skończyłem moje przestrojenie, nie bez jakiegoś upodobania, jak zwyczajnie młody, przeglądałem się w zwierciadle, przed którym stanąłem w kontuszu szafirowym, żupanie z bogatej materji, w złote kwiateczki na tle białem, w pasie tkanki lyońskiej złotym, w żółtych butach, czapce białej z jasno-kasztanowatym barankiem i szablą w jaszczur oprawną. Walenty niemniej bogato i gustownie wystąpił.

Kiedyśmy stanęli przed matką i generałem, matka przedstawiła Walentego generałowi, widać było radość w jej oczach, że byliśmy tak wykwintnie odziani, i że to było nam do twarzy.

Generał zwłaszcza mnie na wszystkie strony obracał, podziwiając niby bogactwo mojego ubioru, aż nakoniec odezwał się:

— Mój Bartku, twoje szaty piękne i bogate, a jednak znam odzież, którą ci jeszcze właściwiej przystała.

— A jaką? — odrzekła matka.

— Jaką? Oto szarawary, kurtka, a na niej pancerz.

— A więc generał radzi mi oddać Bartka do naszego wojska?

— Do naszego, broń Boże! Rzeczpospolita tak dobrze jak wojska nie ma, w kawalerji narodowej służby żadnej, a w zagranicznym autoramencie tylko pić i łotrować się nauczyć; zresztą, co to za wojsko, gdzie oficerów mało co mniej od gemejnow? Pułk księcia Massalskiego, który widziałem, ma żołnierzy ośmdziesiąt, a oficerów przeszło pięćdziesiąt, a ci tyle tylko, że mundur noszą i z przekupkami wojują. To darmo, odkąd konfederacja tarnogrodzka zamieniona w sejm nieszczęśliwej pamięci zwinęła wojsko, ludziom przymiotów rycerskich niema po co siedzieć w Polsce.

— A gdzieżby go umieścić? Nasze fundusze są nazbyt szczupłe, bym mogła go wyprawić za granicę i tam go utrzymywać, choćbym sobie i kęs z gęby odejmowała.

— Moja mościa dobrodziejko, jej wydatki na to są zupełnie niepotrzebne, jestem bezzenny, krewnych bliskich nie mam; bo jak jejmości wiadomo, wyrośłem z ziemi jak grzyb, a więc mogę myśleć o moim chrzestnym synu. Za rozkazem cesarzowej rzymskiej, a zezwoleniem Najjaśniejszego króla, pana naszego miłościwego, w tych stronach sztyftuję pułk jazdy do służby cesarskiej. Zanosi się na wojnę między cesarzową a kurfirstem brandenburskim, który liczne dał dowody, że zna lepiej rzemiosło bohaterskie, niż ja abecadło; bo co prawda, to prawda. Jak tylko mój pułk stanie na nogach, zaraz go poprowadzę tam, gdzie nie darmo wkrótce żołd będzie pobierał. Oddaj mi imość Bartka z niczem więcej tylko ze swoim błogosławieństwem, a mnie zostaw myśleć o nim.

— Najpokorniejsze składam dzięki panu generałowi za łaskę, jaką nas zaszczycaasz, ale pozwól sobie jako matce przełożyć, że już Bartek skończył szkołę jak najlepiej, bo na to ma świadectwo, które złożyć może, i dependuje przeszło od dwóch lat u brata swojego Jacka, regenta ziemskiego sandomierskiego, i ma

tak dobrze jakby zapewniony chleb, bo najdalej za rok przypuszczony być może do przysięgi i służyć będzie obywatelom. Pan generał swoim wysokim rozumem sam rozwiąże, czy rozsądnie zamienić pewne i bezpieczne na niepewne i niebezpieczne?

— Otóż imości do głowy przyszła jurysterja, jako najwyższe szczęście dla syna. Dlaboga! czyż już nie do zbytku macie w Polsce podżegaczy kłótni szlacheckich? Powtarzacie, że jurysci potrzebni, bo namnożyły się sprawy, a ja przekonany jestem, że gdyby nie było jurystów, zaledwoby setna część spraw pozostała. Widać, że ja w jednej godzinie lepiej poznałem animusz jej syna, niżeli imość, co go na świat wydała i wychowała. Kto tak mocno siedzi na koniu i tak zręcznie go prowadzi, nie dla niego chleb jurystowski, choćby najsmaczniejszy, jemu żyć nie z kłótni szlachty, ale z tego, co szlachcic nosi przy boku. Wszakże imość sama mi dopiero powiedziałaś, że masz czterech synów, a piąty niewiedomo gdzie się podział, i że z nich jeden jest jurystą, drugi księdzem, trzeci rolnikiem, a więc wyraźna wola Pana Boga, żeby czwarty był żołnierzem. Ja go umieszczę w moim pułku w stopniu nad nadzieje szlachcica i będę go zawsze trzymał pod mojem okiem, dopóki nie nabędzie zdolności do prowadzenia drugich.

Rada nie rada, moja matka uczyniła zadość woli generała, gdyż w owym czasie wdowa ulegała ojcu chrzestnemu swojego dziecka, w tem, co się tyczyło jego prowadzenia.

Słyszając jej przyzwolenie, nie posiadałem się z radości, że przecie odkaraskam się od dokumentów i piórowego rzemiosła, a koń i szabla odtąd będą mojem zatrudnieniem. Żyła rycerska, która u Polaka bywa przygłuszona, ale nigdy istnieć nie przestaje, odezwała się we mnie z całą swoją potęgą. Marzyły mi się boje, zwycięstwa, władztwa nad obcemi narodami; nawet porwania księżniczek i królewien, jak to się czytało w bohater-skich powieściach, zwyczajnie w młodej głowie. Całą noc oka nie zmrzyłem, byłem jakby w gorączce.

Generał dla mojego wybrania się cały następny dzień zatrzymał się w Porzeczu. Były w tym dniu czułości przy pożegnaniu. Matka mi dała błogosławieństwo, przekazując w pełni-sci swoją władzę macierzyńską na tego, który odtąd miał być moim opiekunem; i pierwszy raz w życiu pocałowała obie moje

jagody. Ta cnotliwa matka miłowała nas po bożemu, córki czasem popieściła, synów nigdy; owszem groźnie z nami postępowała, dając nam czuć swoją władzę. Wszyscyśmy się jej bali, nawet regent, choć urzędnik, ojciec dzieciom, nigdy bez jej nalegania nie odważył się usiąść w jej przytomności. Księżda Antoniego, że był kapłanem, szanowała, i nie tylko groźby, ale żadnej poufałości sobie z nim nie pozwalała. Zawsze sama przystawiała mu krzesło, ile razy w jej domu ją nawiedzał; ale w afekcie macierzyńskim żadnej między nami nie robiła różnicy. Kiedy mnie błogosławiła, spostrzegłem jak łza zakręciła się w jej oku. Na ten widok własnej czułości nie umiałem ukryć, rozplakałem się serdecznie, z czego się wielce zawstydzilem, a niepotrzebnie, bo tem nic nie utracilem w opinii generała.

Przy pożegnaniu matka mnie obdarzyła tym koniem, na którym się poznałem z generałem, a do którego tak się paliłem. Dodała do tego 5 czerwonych złotych, między nimi jeden węgierski, z wizerunkiem Najświętszej Panny świeżo wybitym. Ten dukat później zaszyłem w szkaplerz i dotąd go noszę na piersiach, jako pamiątkę po najlepszej matce. Dwa razy na rok, odnawiając szkaplerz, własnymi rękami pruję stary i wszywam dukat w nowy. Nikt, prócz mnie, tego dukata się nie dotknął, odkąd go dostałem. Widuję się z nim takim sposobem dwa razy na rok, a choć go posiadam przeszło od sześćdziesięciu lat, wygląda jakby dziś z pod stempla. W dniu tym, odkąd mam spokojny kawał chleba, zawsze mojej matce egzekwje sprawuję i zawsze też na nich popłaczę.

Moje wybranie i dwóch godzin nie trwało. Wziąłem na siebie kapotę szaraczkową, którą miałem wkrótce zamienić na innego rodzaju odzież, trochę bielizny w tłumoczek, opończę, kilimek, skórzaną poduszkę, wełnianą kołdrę, co mi ją dała przed tygodniem bratowa regentowa, pałasz po moim ojcu, kociołek miedziany, misę i trzy talerze latercynowe i sztuciec srebrny, co nie było rzeczą pospolitą u szlachty, a który otrzymałem w darze od infułata Klimontowskiego za to, że mu przyniosłem wyrok pomyślny w jego sprawie z Wielmożnym Dobrzańskim, wojskim sandomierskim, około której mój brat chodził i mnie do księda infułata posłał. Byłato jedyna korzyść, jaką wyniosłem z mo-

ją jurysterji. Nakoniec wziąłem z sobą moją strzelbę i torbę myśliwską, a moją polską garderobę, która była dość kosztowną, zawinałem w sepecie i to wręczyłem mojemu bratu Walentemu, który te moje rzeczy wiernie dochował do mojego powrotu. Oprócz spinki ametystowej, którą później przerobić kazałem na pierścioneł, niczego nie wziąłem ze sobą z tej sutej garderoby, gdyżby nic z niej nie było mi się przydało.

Nazajutrz wyjechaliśmy z generałem do Przemyśla, gdzie jego pułk się sztyftował. Rozumie się, że nie zostawiłem mojego konia, owszem część podróży na nim odbyłem. Raz Weszaj, węgier, sługa generała, który umiał się obchodzić z koniem, to znowu ja, nie daliśmy mu zależeć pola; a że generał swojemi końmi jechał, więc stawaliśmy na popasach i noclegach, że mój wierzchowiec po nie takto wielkiem zmęczeniu miewał spoczynek.

Drugiego dnia stanęliśmy w Przemyśle, mieście dość porządnem, bo już miało na swoim rynku kilka kamienic, tam była kwatery generała i werbunek do jego pułku. Mój Boże, co też do nas przybywało obywatelskich lokai, furmanów i innych sług dworskich, by zaciągnąć się do naszego pułku. Generał dowoli mianował oficerów, dopóki nie stanął z gotowym pułkiem na ziemi cesarskiej. Oprócz pana Godziemby, doświadczonego żołnierza z wojsk cesarskich, ale rodowitego Polaka, i pana Koitkiewiczza, Czecha, oficerowie wszelkich stopni byli świeżo zaciężni synowie naszych obywateli, którym było zasmakowało rzemiosło żołnierskie. Godziemba był u nas podpułkownikiem, Koitkiewicz majorem; i oni byli jedyną pomocą generała do wyćwiczenia pułku. Jednak każdy z nas po trzech miesiącach doskonale poznał swoją rzecz, tak, że kiedy generał Daun robił nasz przegląd w Iglau, nie mógł dość nadziwić się, że żaden stary pułk w szybkości obrotów naszemu nie sprostał.

W kilkadziesiąt lat potem wielce chwalono, jako świeżo odkrytą, metodę prędkiego nauczania dzieci, nazwaną *Lankąstrą*, gdzie wzajemnie uczą siebie żaczki czytać i pisać. Kiedym się jej przypatrzył, niczem nowem mnie nie uderzyła, bo takimże sposobem i nasz pułk nabył doświadczenia swojego rzemiosła. Generał zebrał tych, co ich z oka przeznaczał na oficerów, i z podpułkownikiem i majorem uczył ich obrotów, a każdemu z nich wydzielił pewną ilość zaciężnych, tak, że czego świeżo się

nauczyli, tego i innych zaraz uczyli, i tak dalej. Tym sposobem ułożenie pułku szło piorunem, i to we wszystkich szczegółach, jakoto: musztry piesze i konne, robienie bronia, nabijanie i strzelanie, jednym słowem cała szkoła żołnierza i plutonu. Wkrótce potem uformowały się stałe szwadrony i plutony i te powierzono oficerom nowym, ale już zupełnie wyćwiczonym.

III.

W kilka tygodni po naszym przybyciu do Przemyśla, kiedy stopnie oficerskie generał rozdawał, mnie mianował rotmistrzem, i ja, szczupłego majątku szlachcic, wstąpiłem w służbę wojskową, jakbym był książątkiem lub wojewody synem. Nie mogłem nie przywiązać się całem sercem do pułku, w którym tak świetnie i niespodziewanie rozpoczynałem zawód.

Nasz pułk był piękny i w ludziach i w koniach. Mielśmy mundury zielone z ponsowemi wyłogami, broń nasza była szabla i proporzec. Po ukończeniu siedmioletniej wojny, ten pułk, który kilkakrotnie się odnawiał, więcej nierównie od innych narażony w czasie wojny na niebezpieczeństwa, jak to zwykle bywa z temi, co nie z kantonu, ale z werbunku się podsycają, przy zawarciem pokoju ledwo dwieście koni rachował. Te niedobitki stały się zawiązką pułku hułanów, który dotąd istnieje w Austrii, gdzie nietylko że nie utracił, ale nawet ciągle coś przydawał do pierwotnej sławy.

Nasz pułk po trzech miesiącach stanął w tysiąc koni. Naród polski jest tak pochopny do służby wojskowej, że gdyby cesarzowa rzymska cztery pułki równie liczne chciała usztyftować, z równą łatwością i w niedłuzszym czasie mogłaby to wykonać. W samej rzeczy Polak lubi wojskowość i tak się przywiązuje do sztandarów, pod które się zaciągnął, że one stają się dla niego ojczyzną. Nie było przykładu, żeby szlachcic polski w jakim bądź wojsku służący, zdradził pana, któremu wierność zaprzysiągł, lub podle od jego chorągwi odstąpił. Kiedyśmy przysięgli Najjaśniejszej Cesarzowej Marii Teresie, odtąd lubo w obcym państwie zrodzeni, uważaliśmy siebie za jej poddanych, i gdyby nas była użyła nawet przeciwko swoim, acz z boleścią serca, z pełnem poświęceniem spełnilibyśmy jej wolę. Zbieg

z wojska, jakieby nie były jego powody, jest zawsze podłą istotą, do jakiej pocziwy człowiek zbliżyć się nie może bez wstrętu. Takie były nasze wyobrażenia o honorze szlacheckim, i Bogu dzięki, jeszcze one nie zostały zatarte, przynajmniej w naszym szlachectwie.

Nasz pułk wysztyftował się w ten sposób, iż na rękę każdemu zawierbowanemu generał nazначzył pięćdziesiąt złotych. Suma nie tak wielka, a i tej nie było potrzeba użyć, nie jedenby jeszcze coś ze swojego dodał, aby go tylko w służbę przyjęli; miałem to sam w doświadczeniu. Generał posłał mnie do Jarosławia na jarmark dla werbowania ludzi, czterdziestu zaciężnych przyprowadziłem z sobą do Przemyśla. Za nichby się należało dwa tysiące, a jednakże ośmset złotych mi się okroiło. Złożyłem te pieniądze generałowi, ale on kazał mi je zatrzymać przy sobie. Ja to przytaczam na dowód łatwości, z jaką można było u nas dostać żołnierza.

Generał Szybalski był człowiekiem nietylko rzadkiego serca, ale i niepospolitych zdolności wojennych. Urodzony roku 1701, miał lat dwadzieścia pięć, kiedy szczęśliwy wypadek, o którym wspomniałem, skłonił ku niemu życzliwość króla Augusta II. Na wstępie mianowany rotmistrzem w wojsku saskim, ale pełniąc służbę przy boku królewskim, już we dwa lata później był pułkownikiem; ale te bezczynne zaszczyty nie mogły zaspokoić jego serca żadnego sławy. Pojął to waleczny król, i kiedy Szybalski oświadczył mu chęć przystania do wojska cesarskiego, zagrożonego wojną ze strony Francji i Prus, bo już król pruski był Śląsk najechał, nietylko że mu tego nie wzbrowił, ale napisał za nim list polecający do Marji Teresy, której stryjeczna siostra, może po bożemu bliższa od niej spadku po domu austriackim, była małżonką jego syna. Ale tak zawsze król August umiał pisać kiedy chciał jakie żądanie swoje do pomyslnego doprowadzić skutku; a lubo jeden stopień musiał stracić, wielce się miał za szczęśliwego, że został mianowany podpułkownikiem w jednym pułku lekkiej jazdy w służbie domu austriackiego.

Ale wkrótce odzyskał stopień stracony, na czele dwóch szwadronów zdobył pod Rocoux sześć armat francuskich, za co ze stopniem pułkownika otrzymał dowództwo pułku, w którym

służył, i na jego czele ciągle okrywał się sławą. Pod Dettin-gen rozbił pułk piechoty francuskiej, nie bez własnej szkody, gdyż kula karabinowa twarz mu przestrzeliła. W ciągu wojny nazwanej o sukcesję, otrzymał pięć ran, ale i stopień generalski i szczególne względy cesarzowej Marji Teresy, która go chciała nawet zrobić grafem Imperji, ale on się wymówił od przyjęcia tego zaszczytu, i jej powiedział: „Gdzież mnie, który nie jestem nawet szlachcicem, a do tego ubogim, bo oprócz żołdu, co go pobieram od Waszej Cesarskiej Mości, ani grosza nie posiadam, myśleć o grafovstwie? Tylko śmiech ludzki wywołałbym”. Cesarzowa wtedy nazaczyła mu do śmierci cztery tysiące reńskich, oprócz żołdu, który pobierał w czynnej służbie. Książę Kaunitz, człowiek dumny i pochopny do obrażania drugich, ale wielki minister, miał dla niego niepospolity szacunek; czasem go używał do układów dyplomatycznych, i powtarzał, że nigdy na Szybalskim się nie zawiódł. Był więc generałem, kiedy mu polecono wysztyftowanie pułku z samych Polaków, i już miał sobie los zapewniony.

Pan Szybalski był mężem znakomitym, nadzwyczajnie biegłym w sztuce wojskowej i najrzadszej skromności. Nietylko, że nigdy się nie unosił, ale tak dalece umiał władać sobą, że przez kilka lat będąc do niego zbliżonym, nigdy nie usłyszałem z jego ust wyrazu nieprzyzwoitego; jednak wszyscy się go bali, i w żadnym pułku nie było tyle karności ile w naszym, chociaż w nim było kilku oficerów paniczów z wysokiej krwi. I tak: był u nas majorem drugim pan Stanisław Rzewuski, hetmanowicz polny koronny, który za powrotem do kraju został chorążym litewskim, a roku 1773 zostawszy poddanym domu austriackiego, wszedł na nowo w cesarską służbę jako feldmarszałek-lejtnant i poddowódca gwardji galicyjskiej, bo pierwszym dowódcą był książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, a feldcejmajster wojsk cesarskich. Kolegowałem także z dwoma wojewodzicami: Czapskim, malborskim, i Działyńskim, chełmińskim, którzy obydwaj byli rotmistrzami w naszym pułku; a jednak to wszystko panu Szybalskiemu było posłuszne.

Kiedy miałem zaszczyt go poznać, już szósty krzyżyk zapisywał się na jego metryce, ale jeszcze był przystojnym i blizna, którą miał na twarzy, bynajmniej go nie oszpecała. Chociaż

podeszłego wieku, jedna bogata wdowa chciała pójść za niego, ale o tem i mówić sobie nie dał. Był wzrostu małego, pleców szerokich, nadzwyczajnej siły w rękę, i nigdy mi się nie zdarzyło widzieć wyrazu łagodniejszego od tego, jaki błyszczał na jego obliczu. Był małomówny, poważny, tłumaczył się z łatwością w kilku językach. Lubił wspominać o pierwszych początkach swego zawodu i niejednokrotnie zaczynał dyskurs od tych słów: „kiedy służyłem za masztalerza u księcia Lubomirskiego, mojego pana” i t. d.; co już samo było dowodem wielkiej duszy, która pożyczanym blaskiem świecić nie chce. Był wstrzemięźliwym w pokarmie niż w napoju, bo w chwilach wolnych od zatrudnień, przy zdarzonej okoliczności lubił się bawić kielichem, co jego zdrowiu służyło. Gorliwy katolik, rad był codziennie Mszę Świętą słuchać i codziennie więcej godziny na modlitwy obracał, a nawet w pochodach wojennych nigdy postu nie złamał, ślepo stosując się do przepisów kościoła. Obyczajów był tak surowych, że o nim mawiano, iż przez całe życie ani jednego grzechu śmiertelnego w pewnym rodzaju nie popełnił, czemu bez trudności wierzę. Był dobrym Polakiem i właśnie dlatego z największem poświęceniem służył cesarzowej rzymskiej, ażeby tą wiernością swoją zaszczyt przynieść własnej ojczyźnie. Pomimo łagodności w obcowaniu był nieugięty w karności; całkowity rygor prawa wojskowego swoim podwładnym za wykroczenie stosował; a w czasie wojny szpiegów, którzy mieli nieszczęście wpaść w jego ręce, bez miłosierdzia wieszał.

Nasz pułk w tysiąc koni wystąpił w całym moderunku i wyruszył za generałem do Koszyc w Węgrzech, gdzie po kilkodzielnym pochodzie stanął i trzy dni wypoczął. Tam stanawszy w pierwszym mieście cesarzowej od granicy polskiej, otrzymaliśmy już przygotowane Jej Cesarsko-Apostolskiej Mości potwierdzenie naszych stopni, stosownie do wyborów naszego generała, i tam wykonaliśmy przysięgę wierności. Potem poszliśmy dalej, bo nam dano rozkaz iść do Iglau, gdzie pod dowództwem generała Daun zbierała się armja, by stamtąd wyruszyć na króla Fryderyka, przeciw któremu dom austriacki był się sprzymierzył z Francją i Rosją.

Generał Daun, dawny znajomy i przyjaciel naszego generała, wielce upodobał sobie nasz pułk. Jakiśmy się później

o tem dowiedzieli, w zdaniu sprawy cesarzowej o wojsku, którem dowodził, miał jej napisać o naszym pułku, że to go zadziwiło, iż ten z samych nowozaciężnych złożony, nietylko że w karności i wyćwiczeniu starym pułkom nie ustępuje, ale może im służyć za wzór, i że widać na nim piętno Szybilskiego.

Generał Daun był wodzem wyćwiczonym w wojnach dwóch ostatnich cesarzów. Nikt lepiej od niego nie umiał wybrać pola bitwy i dzielniej odpierać siłę nieprzyjacielską; ale o ile mogę sądzić moim słabym rozumem, był do zbytku kunktatorem. Bieglejszym był w odporze, niżeli w zaczepce. Nieufny w pomysły wypadki losu, wszystko u niego podlegało rachunkowi. Jak raz wybrał dla swojego wojska mocne stanowisko, już z niego nie chciał wyruszyć i czekał w niem nieprzyjaciela. Często opuszczał okoliczności, które mu fortuna nasuwała, bo chciał tylko działać na pewne. I dlatego niejednokrotnie utracił możebne korzyści, ile że miał do czynienia z Fryderykiem Wielkim, wodzem najwięcej przedsiębiorczym owej epoki. Dał tego dowód pod Iglau, gdzie nas trzymał około trzech miesięcy w obozie w bezczynności, żeby nas zabrać co do jednego; a tymczasem król Fryderyk jak piorun naszedł Saksonję i wojsko króla z nami sprzymierzzonego wcielił do swojego. Jednem słowem, generał Daun był doświadczonym wodzem, ale daleko mu było do Laudona. I takie było powszechne mniemanie w wojsku naszym.

Podczas pobytu naszego pod Iglau wydarzyły się dwa ustępy mojego żywota, ustępy ważne, które nigdy nie wygasną w mojej pamięci. Jeden nasz żołnierz, z rodziców Węgrzynów, ale urodzony i zamieszkały we Lwowie, był się zaciągnął do naszego pułku. Ja go sam zawerbowałem i generał nasz miał go w pamięci, bo z niego był piękny i rośły żołnierz, a do tego po mistrzowsku trąbił. Był on u nas sztabs-trębaczem i pewno w żadnym pułku cesarskim równego jemu nie można było postawić. Ten raptownie nam przepadł, czem generała Szybilskiego nie mało nafrasował. Otóż razu jednego poznałem go w bogatym mundurze strzelca dworskiego. Nie pokazałem, iż go znam, ale wziąłem się do śledzenia go i dowiedziałem się, że zmieniając imię i nazwisko, przysłał na strzelca nadwornego do hrabiego Caroly, młodego magnata węgierskiego, wielce zuchwa-

łego panicza, a rotmistrza w jednym pułku huzarskim, i że miał u niego łaskę. To wszystko doniosłem swojemu generałowi. Ten nie puścił sprawy odłogiem, dał mi rekwizycje do pułkownika pułku, w którym hrabia służył, i kilku żołnierzy, z rozkazem, żebym natychmiast zbiega uchwycił i do niego przyprowadził. Udałem się do pułkownika. Ten mając na uwadze rekwizycję generała, dał mi wszelką pomoc do odzyskania naszej szkody, i przydał jeszcze oficera, który mnie i moich ludzi zaprowadził do kwatery hrabiego. Tam znalazłem ptaszka i kazałem moim żołnierzom, żeby go wzięli.

Z początku hrabia sztorcem się stawiał, ale rad-nie-rad musiał się rozstać z swoją zdobyczą, namiotawszy mnóstwo przekleństw węgierskich, których ani rozumiałem, ani chciałem rozumieć. Ale nie na tem koniec: we dwa dni potem poszedłem w Iglau do traktjerni, wedle mojego zwyczaju. Było nas kilku oficerów Polaków, ale diabli tam wnieśli Węgrów, a między nimi i hrabiego Caroly. Ten się do mnie przyczepił i zaczął mnie łajać w języku łacińskim, tego już nie mogłem nie zrozumieć.

Trzeba wiedzieć, że generał rozkazał trębacza przepędzić przez różgi, i to, jak widać, najwięcej oburzyło hrabiego, że na jego instancje nie miał względu. Bo kiedy mu tłumaczyłem, że niesłusznie na mnie się gniewa, gdyż nic takiego nie uczyniłem, coby było przeciwne moim obowiązkom, bo jużćie oficer powinien być posłusznym swojemu generałowi; a ten mi na to: — „I ty i twój generał obydwascie huncwoty"! — wtedy już wstrzymać nie mogłem mojego uniesienia i cisnąłem na niego talerz, który mu twarz obznaczył. Koledzy rzucili się między nas; ale trzeba było bić się z sobą na ostre, albo haniebnie, bo w czasie wojny, opuścić służbę. Mnie sekundował pan Stanisław Rzewuski, tamtemu jakiś sztabs-oficer huzarski. Ułożono, byśmy się potykali na szable. Węgier umiał nią robić, ale mu się nie powiodło; bo mu przeciąłem gardłową żyłę, tak, że krew go uszła i w przeciągu dwóch godzin w naszej przytomności skonał. Ja mu tego nie chciałem uczynić i dotąd opłakuję to moje mężobójstwo; ale Bóg widzi, że nie było sposobu od pojedynku się wywinąć, jakoż wszyscy przyznali mi słusność. Chociaż hrabia był członkiem potężnej rodziny, wysokiej krwi i *expectans successionem*, z powodu jego śmierci najmniejszego

nie doświadczyłem prześladowania; owszem, nabyłem u moich kolegów więcej niż wprzód szacunku. Było pierwszy i ostatni pojedynek w życiu mojem.

Drugi ustęp był niekrwawy, ale niemało mnie nabawił wstydu. Burmistrz igławski miał piękną córkę, ja się w niej byłem zakochał z roztropnością zwykłą młodzieńca dziewiętnastoletniego. Przyszło do tego, że jak się upewniłem o jej wzajemności, wyraźnie oszalałem, gwałtem chciałem się z nią ożenić i opuścić rozpoczęty zawód. Byłbym dopełnił to głupstwo, jedno że wojskowemu trzeba na to otrzymać pozwolenie, co niełatwo było w wojsku cesarskiem, tem więcej, że mój generał wszelkie ku temu stawilby przeszkody. A znowu podać się do abszytu w czasie wojny byłoby wykroczeniem przeciw honorowi. Sam nie wiedziałem jak sobie poradzić, a byłem głuchy na perswazje moich kolegów. Ile razy generałowi o tem wspomniałem, ten zawsze zbywał mnie żartem, powtarzając: „Lada dzień pójdziesz na nieprzyjaciela, którego kule wypłoszą tobie te miłości z głowy”. Niepotrzeba było tego, wkrótce przekonałem się; moja Dulcynea była w najściślejszych stosunkach z jednym pułkownikiem, który chcąc się jej pozbyć, ukartował z nią projekt, żeby mnie złapać; a co gorsza, to nie była pierwsza jej miłośćka. Byłem czas jakiś w rozpacz, bo nie mogłem wątpić o jej zdradzie; ale z zajęciem się służbą, wszystkie te zapaly serca zastygły i jako moje nieporozumienie z hrabią Caroly dało powód pierwszemu i ostatniemu w życiu pojedynkowi, tak też moja miłość dla panny Amelji poszła tymże torem. Bo choć niemało lat od tego czasu upłynęło, nigdy ani jednej chwili nie pomyślałem wstąpić do stanu małżeńskiego, lubo próbowano mnie kilkakrotnie do tego nakłonić, nawet z pannami posażnemi i pięknie skoligaconemi.

IV.

Nakoniec wystąpiliśmy w pole. Wojna była ciężka, bo król pruski nie znał kwater zimowych, jak to było dotąd w zwyczaju, ale ciągle trzymał żołnierza pod bronią. I zimą i latem toczył bitwy, chwili nie mieliśmy spoczynku. O szczegółach tej wojny mówić nie będę, bo nie takiemu, co służył w niższych

stopniach, rozprawiać uczenie o kierunku wielkich wypraw wojennych. Mówiłbym chyba o sobie; ale coś więcej rotmistrz może powiedzieć, jak tylko, że w ciasnej swojej sferze udawało mu się nieźle dopełniać, co mu rozkazano. Są mężowie w różnych zawodach z ramienia Opatrzności, którym, że tak powiem, przeznaczenia ludzkości są powierzone, każdy ich czyn wiąże się do jakiegoś ogółu. Do podobnych mężów należy sądzić swoich współczesnych i poprzedników. Co się zaś nas tyczy, jesteśmy zera, mnożące wprawdzie potęgę jednostek, ale przez się nie mamy żadnej wartości. Pisząc w podeszłym wieku, doświadczenie mnie nauczyło, że każdy, którego ducha Bóg nie namaścił genjuszem, nic takiego nie uczyni, co by zasłużyło na wielką uwagę. Może on ją zwrócić ku sobie chyba podobnie jemu bezimiennych istot, a z nią coś podobnego do sławy, ale ta wziętość jest przechodnia, i za lat kilka, ani jego samego, ani jego czynów nikt nie wspomni, bo co tylko nie nosi na sobie piętna wielkości, nie może być jak tylko krótkotrwałe. W powszechności ludzie, którym się udało pozyskać jakąś wziętość, im mniej mają rzeczywistej wartości, tem większe mają o sobie wyobrażenie i tem więcej doświadczają zawodów. W ciągu długiego mojego żywota często zdarzało mi się widzieć takich, co przeżywszy niesłusznie nabytą sławę, obwiniali publiczność o niewdzięczność za to, że o nich zapomniła; a wcale niewłaściwie, gdyż niesprawiedliwość nie była w jej milczeniu, ale w dawnych jej oklaskach. Zresztą sława długotrwała jest zawsze zasłużoną, a kto ją utraci, ten winien na siebie, a nie na innych się użalać. Co do mnie, nie pragnę pozyskać tem pismem autorskiej sławy, bo do niej nie czuję w sobie zdolności, ani pochlebiam sobie, by to pismo miało być kiedyś drukowanem. Piszę dla moich synów - to, co widziałem i doświadczałem w mojem życiu, bo to ich jednych zajmować może z pożytkiem.

Pozyskanie wyższych stopni było dla nas trudne, bo nam zalegali drogę do tego synowie regnantów Rzeszy Niemieckiej, którzy się ubiegali o służbę cesarskiej i magnatów, jej poddanych. My się na to użalali, a wcale niesłusznie, bo jużci im kto więcej ofiar przynosi, tem większe ma prawo do dowodów wdzięczności tych, którym wysługuje. Panujący w Rzeszy lub nawet magnat poddany mógłby w rozkoszach i dostatkach pę-

dzić swoje chwile; a jeżeli to wszystko poświęca i naraża siebie na niewygody, wyrzucie się z własnej woli, kalectwa i śmierć przedwczesną, i za to od wdzięcznej monarchini otrzymał nade mną jakieś korzyści, czyż mogłem mu sprawiedliwie tego pozazdrościć, będąc chudym pacholkiem, który, gdyby się nie był zaciągnął do wojska, co najwięcej wyszedłby na jurystę sądu ziemskiego, i to dałby Bóg, żeby nie bez spraw. Zawsze i wszędzie regnanci i magnaci niemniej od nas narażali się na niebezpieczeństwa. W ciągu tej wojny przekonałem się, że waleczność okazuje się w ścisłym stosunku z zacnością krwi; i to nie może być inaczej, gdyż oficer z prostej kondycji baczy, żeby tylko siebie nie splamić; podczas kiedy ten, w którego żyłach krew świetna płynie, nietylko siebie, ale i ród swój najmniejszą skazą znieważa. Im kto wyższy rodem, tem cięższym obowiązkom winien ulegać.

Jednak i we względzie postępu w stopniu nie mam prawa narzekać, gdyż w trzeciej kampanji, kiedy pan Rzewuski przeszedł do sztabu feldmarszałka Laudona, a przez to odkrył się wakans na majora, ten stopień mnie się dostał; bo chociaż na początku wojny miałem przed sobą trzech rotmistrzów, ona w przeciągu lat trzech tak dalece nas przerzedziła, że byłem najstarszym. Zostałem majorem, gdyż o to generał Szybalski się upomniął, a feldmarszałek niczego mu nie odmawiał.

Wszakże niedługo cieszyłem się tym stopniem. W sześć tygodni niespełna po jego otrzymaniu, w bitwie pod Hohenfriedberg, gdy na czele dwóch szwadronów szarżowałem czworobok pruski, dostałem trzy strzały: dwa nie były niebezpieczne, ale trzeci był straszny, bo kula mnie ugodziła w kość krzyżową, i tej nie można było wydobyć; tyle tylko, że mnie namęczono okropnemi a bezskutecznemi boleściami. Leżałem kilkanaście tygodni w szpitalu bonifratrów w Pradze czeskiej. Tam mnie podłatano cokolwiek, że przynajmniej oparty na kulach, mogłem powolnym krokiem z jednego miejsca na drugie się przenosić, a nawet przechadzać się po ulicy. Nakoniec kazano mi jechać do Wiednia, do sławnego Brambilli, lekarza nadwornego Najjaśniejszej Marii Teresy, o którym cuda opowiadano. Generał Szybalski w tymże czasie kilka dni bawił w Pradze, gdzie go był posłał feldmarszałek dla jakichś potrzeb wojskowych. Ja

kem się dowiedział o jego przybyciu, powlokłem się do niego. On mnie przyjął jak opiekun; a że zastałem u niego kilku znakomitych gości, byłem im przedstawiony jako zasłużony oficer, za czem już kule, które mnie na nogach utrzymywały, przemawiały. Kiedy się dowiedział, że mnie wyprawiają do Wiednia, nie tylko że wręczył mi list zalecalny do księcia Kaunitz'a, ale jeszcze opatrzył na kosztą podróży.

Pojechałem więc do Wiednia landkuczerem. Było nas czterech w karecie, a temi: jeden kanonik katedralny wiedeński, starzec bardzo miły, który z Cieplic powracał do Wiednia; jego sługa, mało co młodszy od swojego pana; felczer z Pragi, którego miesięcznie zgodziłem, żeby mnie opatrzył i miał w opiece swojej tak w czasie podróży, jako i na miejscu. Był on mi bardzo potrzebny, tak, że bez niego nigdybym nie dojechał; a jednak żeby nie sukurs generała, nie byłbym w stanie utrzymać go przy sobie.

C całą podróż cierpiałem mniej lub więcej. Z początku każde cokolwiek gwałtowniejsze poruszenie pojazdu dawało mi czuć w krzyżach męki czyścowe; potem jakoś się włożyłem do tego. Co mi najwięcej dokuczało, to że ani wsiadać nie mogłem do karety, ani z niej wysiadać bez pomocy. Przynajmniej że mój felczer dopisywał mi, a jemu pomagał z dobroci serca sługa kanonika. W czasie podróży odmawiałem brewjarz z jego panem, gdyż mnie jezuici nauczyli byli modlić się z rubrycelli. I to niemało zadziwiło sędziwego kapłana, że ja, młody oficer, z porządnymi wąsami, tak religijnie się prowadziłem, i że w paroksyzmach bolesnych, nigdy z ust moich żadne nie wyszło przekleństwo, i że nigdy Boskiego wroga nie wspominałem, jak to wojskowi mają w zwyczaju. Wyszło mi to na dobre, bo sędziwy prałat, z zacnej krwi, gdyż jego nazwisko było Firmian, a był synem grafa Imperji, tak mnie polubił, że ofiarował mi wraz z moim felczerem w swoim domu kwaterę, jak przybędziem do Wiednia. Troszeczkę było z mojej strony ceremonji, lecz na koniec przyjąłem ten dowód jego łaski. W czasie mojego tam pobytu, miałem u niego izbę i wikt, a to mi niemało oszczędziło wydatków.

Ksiądz Firmian miał ściśle stosunki z doktorem Brambillą i do wszystkiego, co się tyczyło zdrowia, jego jednego się radził.

Nazajutrz z rana sprowadził go do swojego domu, i tam, za jego pośrednictwem, poznałem tego sławnego lekarza. Był on słusznego wzrostu, rysów twarzy jak zwykle u Włochów regularnych, na których błyszczał wyraz genjuszu. W rzeczy samej był on wielkim mężem w swoim kunszcie i oddawna posiadał europejską sławę. Cesarzowa Marja Teresa pokładała w nim zupełną ufność. On to uporządkował lub stworzył te szkoły i zakłady medyczne wiedeńskie, którym wszystkie akademje Europy wyższość nad innemi przyznały. Jeżeli cesarzowa obsypywała go łaskami i w niemocach swoich lub swych dzieci innego znać nie chciała lekarza; on też to odpłacał przywiązaniem bez granic. Król angielski Jerzy II ofiarował mu bogactwa, byle chciał wstąpić w jego służbę, ale Brambilla za nic w świecie nie chciał opuścić swojej pani. I ona była dla niego hojną, naznaczyła mu rocznie tysiąc czerwonych złotych. Po każdym jej połogu takąż kwotę otrzymywał, jeżeli Bóg ją pocieszył arcyksiężniczką; podwójną, jeżeli arcyksięciem. Przytem odbierał częste upominki i był wzywany do najmożniejszych domów zamieszkałych w Wiedniu. Z tem wszystkiem, jakkolwiek umiarkowane prowadził życie, zostawił swoim dzieciom po sobie spadek dość mierny, bo był bez miary dobroczynnym, i z namiętnym zapaleń zbierał starożytnie kamee, dla ich nabycia nie oglądał się na żadne wydatki.

Nie zdarzyło mi się nigdy spotkać uczonego tak mało zarozumiałego. Często powtarzał: — „My lekarze tylko macaniem żyjemy, w naszej profesji my strzelamy, a Bóg kule nosi”. Razu jednego opowiadał w mojej przytomności dwie anegdoty, które się mu wydarzyły: pierwsza, że wędrując *incognito* z rozkazu cesarzowej po Kroacji, trafił do pewnego miasta, gdzie mieszkał doktor, o którego kuracjach cuda opowiadano. Chciał się dowiedzieć, z jakiej akademji ów doktor wyszedł i sprowadził go do siebie. Pokazało się, że ten wielki człowiek był u niego służącym i wszystkie jego recepty przepisywał, tak, że miał niemi zapełniony kufer. Otóż opuścił swojego pana, udał się do Kroacji, krainy zapadłej, i tam zaimprovizował się doktorem. Jego metoda była taka: gdy go przywołano do chorego, przeżegnał się pobożnie, potem na los szczęścia z zamrużonemi oczyma wybierał receptę i przepisywał ją choremu. „Natu-

ralnie, dodawał, kogo zabił, ten się na niego nie skarżył, a kto przypadkiem zdrowie odzyskał, ten sławę jego trąbił, tak, że kiedy mu zabroniłem leczyć, o mały włos nie wzniciłem buntu w tem mieście i w jego okolicy”.

Druga anegdota była taka: „Razu jednego, rzekł, byłem przywołany w Wiedniu do ubogiego rzemieślnika, zastałem go niebezpiecznie chorym. Zapisałem mu receptę zupełnie nową, bo obmyśloną przezemnie, i odszedłem. Nazajutrz go nawiedziłem, stan jego nie był gorszym, ale też i bez widocznego polepszenia. Zapytałem jego żony, jaki skutek sprawiło na nim moje lekarstwo. Ta mi się przyznała, że tak są biedni, iż nie mieli czem zapłacić apteki, a więc że nie zażył tego lekarstwa. Rzucałem na stół kilka reńskich i zaleciłem, żeby zaraz sprowadził lekarstwo i zażył je; dopiero we dwa dni potem go nawiedziłem i z radością serca przekonałem się, że wyszedł z niebezpieczeństwa. Triumfowałem z doskonałości mojego wynalazku, aż później przekonałem się, że jego żona ani zajrzała do apteki, tylko że za moje pieniądze przyprowadziła mu rosół, i że Bóg bez udziału mojej pomocy wrócił mu zdrowie”.

Doktor Brambilla z największą rozważą opatrzył moją ranę. Mówiliśmy z sobą po łacinie, w tym języku z równą łatwością się tłumaczyłem, jak moim rodowitym.

— Widzę — rzekł do mnie — że niemało bólu dali ci doświadczyć chirurgowie, ale to nie może być inaczej. O wyjęciu kuli ani myśleć, niech ona sobie siedzi tam, gdzie zagrzezła, swojego czasu sama się wyrznie; tyle tylko, że nosząc ją, zwłaszcza przy zmianie powietrza, będzie ci męczyć, na to się trzeba przygotować. Przez tę zimę biorę cię w kurację i ufam w Boga, że będziesz chodził bez kul; a na wiosnę trzeba żebyś jechał do wód Bareż, w górach pirenejskich. Te wody są wysmienite dla wzmocnienia kości, uszkodzonych kulami, cały systemat nerwowy wzmacniają i z podobnych wypadków boleści uśmierzają.

— Te słowa pańskie wielce mnie zasmucają.

— Dlaczego?

— Gdzież mnie, ubogiemu oficerowi, myśleć o tak dalekich podróżach? Na to trzeba mieć jakiś fundusz.

— O to bądź spokojny. Najjaśniejsza Pani nigdy wiernego

sługi nie opuści, a tem mniej majora hułanów pułku Szybilskiego, który w jej obronie otrzymał kilka ran i kalectwo. Ja sam uważam za mój obowiązek tem się zatrudnić i dziś jeszcze za tobą przemówię.

Nazajutrz z rana udałem się na moich kulach do księcia Kaunitz'a, żeby mu wręczyć list od mojego generała. Więcej godziny czekać musiałem w przedpokoju, nie ja jeden, ale i ludzie wysokich stopni. Przynajmniej, że przez wzgląd na stan, w jakim zostawałem, przystawiono mi krzesło, i na niem czekałem spokojnie, póki mnie nie przywołają. Przyboczny urzędnik księcia szedł od jednego do drugiego i zapisywał go ołówkiem; potem wchodził do gabinetu księcia i znowu do przedpokoju wracał. Czterech przedemną zostało wpuszczonych, nakoniec przysła kolej i na mnie.

Wszedłem do gabinetu, gdzie tylko jedno było krzesło, na którym siedział książę. Wszystkim trzeba było stać, co mnie bynajmniej nie zadziwiło, bo byłem przyzwyczajony stać w przytomności starszych, ile że w gabinecie księcia i orderowi panowie stali. Oddałem mu list mojego generała i oparty na kulach czekałem co mi dobrego powie. Widać było, że książę był łaskaw na mojego generała, bo czytając jego list, ciągle zdawał się uśmiechać. Poczem w języku niemieckim, z którym byłem spoufalonym, raczył ze mną rozmawiać, zapytał mnie o stan zdrowia generała Szybilskiego, o szczegółach tej potyczki, w której odniosłem ranę. Ja to wszystko słuchałem stojąc i gdyby nawet było na czem usiąść, nawykłym będąc do stania, nie byłbym usiadł. Nakoniec zapytał mnie:

— Co waćpan myślisz z sobą robić?

— Rozpocząć kurację, — odpowiedziałem — żeby być w stanie służenia znowu Najjaśniejszej Cesarzowej.

— Kto jest waćpana lekarzem?

— Doktor Brambilla.

— Winszuję, żeś wpadł w tak dobre ręce. Gdzie waćpan zająłeś kwaterę?

— Ksiądz kanonik Firmian raczył mnie przyjąć do swojego domu. On dla mnie wczoraj sprowadził doktora Brambillę, z którym sam żyje w przyjaźni.

— Czy Brambilla robi waćpanu nadzieję, że będziesz mógł rychło powrócić do pułku?

— Bardzo słabą. Radzi mi środek, niepodobny do skutecznienia biednemu oficerowi: każe mi jechać na wiosnę do wód aż w górach pirenejskich.

Zauważyłem, że jego sekretarz zapisywał moje odpowiedzi. Księżę lekko kiwnął głową i rzekł:

— Do zobaczenia, mości majorze!

I odszedłem.

Większą część tego dnia, za powrotem moim do siebie, przeleżałem. Wieczorem przybył do mnie urzędnik departamentu wojny, który oświadczył, żeznaczono mi trzy reńskie dziennie na utrzymanie w Wiedniu, dopóki się nie skończy moja kuracja; a licząc moją należność od dnia, w którym wyszedłem z lazaretu bonifratrów w Pradze, zaliczył mi dziewięćdziesiąt reńskich za cały miesiąc, po upływie którego takąż kwota miała mi być wypłaconą.

Trzy reńskie na dzień na utrzymanie majora jazdy w stolicy! Nie było o czem paradować. Dom austriacki w czarnem ścierwie utrzymywał sługi swoje, a jednak żaden dom nie był równie dobrze usłużonym, może właśnie dla szczupłości nagrody, bo jakto mówią myśliwi, niewielka pociecha z zapasionego charta. Wszakże nie miałem prawa się użalać, bo przy oszczędności było z czego przyzwoicie się utrzymać każdemu, a cóż dopiero mnie, który miałem wikt, kwaterę i doktora darmo, bo doktor Brambilla żadnego honorarjum przyjąć nie chciał. Tyle tylko, że miałem na karku mojego felczera i opieranie mojej bielizny; resztę mogłem obrócić na zabawy, do czego nie byłem pochoptny, gdyż w stanie mojego zdrowia musiałem domu pilnować. Ażeby w nim się nie nudzić, na samym wstępie zgodziłem nauczyciela języka francuskiego, który codzień do mnie przychodził; tak że po trzech miesiącach, lubo nie gładko w tym języku się tłumaczyłem, przecież wszystko rozumiałem, co w nim przy mnie było powiedziane.

Jakież było moje zdziwienie, kiedy we dwa dni po mojem posłuchaniu u księcia Kaunitz'a, o dziesiątej z rana, ujrzałem przez okno mojej izby karetę dworską, która się zastanowiła

przed naszym domem, a z niej wysiadł szambelan, który zapytał szwajcara:

— Czy tu mieszka major wojsk cesarskich, ranny?

— Tu — odpowiedział szwajcar.

— A więc zaprowadź mnie do niego — rzekł szambelan.

Tę rozmowę słyszałem przez okno. Wyszedłem naprzeciwno niespodziewanego gościa. Po wzajemnem sobie przedstawieniu, pan szambelan, który okazał mi się jak to mówią, ludzianym, a był familjantem, powiedział mi, iż jest przysłany do mnie od Najjaśniejszej cesarzowej, żeby ze mną natychmiast do niej przybyć, gdyż dopuszcza mnie zaszczytu być jej przedstawionym o samej dziesiątej. Mielśmy więc blisko godzinę czasu, w ciągu której zabieraliśmy z sobą znajomość. Ale gdy ta godzina już była bliską upłynienia, ja z mojami kulami, a on błyszczący młodością i zdrowiem, siedliśmy w karetę dworską i ruszyli prosto do cesarskiego pałacu.

Kiedyśmy stanęli w audjencjonalnej sali, gdzie mnóstwo osób różnego stanu oczekiwało przybycia cesarzowej, przyznam się, że mi łydki drżały. Pierwszy raz zdarzało się mnie, szlachcicowi, zbliżyć do koronowanej głowy, władczyni tyłu ludów. Jeszcze niezupełnie byłem przyszedł do siebie, kiedy wielka monarchini pokazała się w podwojach. Na moje szczęście było kilku jej przedstawionych przedemną, a więc miałem czas przygotować się do mówienia z nią i jej się przypatrzeć.

Cesarzowa Marja Teresa, pomimo licznych połogów i zniknięcia wiosennej młodości, mogła jeszcze uchodzić za piękną kobietę, a nawet za doskonale piękną, gdyby surowość jej obyczajów chrześcijańskich, dozwalała wykwinnością ubioru podwajać już nieco przygasłe wdzięki. Majestat pasterzów ludu wyrażał się na jej obliczu, tak że gdyby wchodząc do sali, do mnie pierwszego obróciła mowę, zapomniałbym języka w gębie. Było coś czarującego w jej głosie, a w słodyczy jej spojrzenia niezupełnie się skrywała wyniosłość Habsburskiego domu. Odprawiwszy kilka nawet dość ważnych matador, kazała mi przybliżyć się do niej, przybliżyłem się i stanąłem, oparty na moich kulach, czekając co mi powie.

Po kilku zwykłych zapytaniach, na które odpowiadałem jak mogłem, oraz zaszczytnej wzmiance o pułku, w którym służy-

łem, powiedziała, że doktor Brambilla już jej mówił o mnie; że nie powinienem się troszczyć o środki, któremi swojego czasu w cieplicach zagranicznych mam uzupełnić moją kurację, gdyż poczytuje sobie za obowiązek mnie w tem zastąpić, o czem później uwiadomi mię dokładnie. Na tem skończyło się moje posłuchanie.

Ta sama dworska karetą, która mnie przywiozła do pałacu, odwiozła i do mojej kwatery, ale już bez szambelana. Byłem nieco znużonym tak długim stanieniem na kulach. Zrzuciłem z siebie mundur, który mi ciążył, i położyłem się, żeby trochę spoczynku dać moim kościom; ale nie spałem, bo uczyłem się gramatyki francuskiej. Niedługo odpoczywałem; szanowny Brambilla przyszedł mnie odwiedzić, opatrzył należytą, przepisał jakiś spirytus dla wzmocnienia moich zbolałych krzyżów i dał dokładne instrukcje felczerowi, jak ma obchodzić się ze mną. Później przyniósł mi wiadomość, że cesarzowa przeznaczyła sześćset reńskich na kosztą mojej podróży do Francji, i że on sam wręczy mi tę sumę, gdy mnie w porze właściwej wyprawi. Sumka trochę zaokrągliła, ale pomyślałem sobie, że oszczędzę coś z diety, jaką pobierałem, ile że jeszcze posiadałem większą połowę pięćdziesięciu czerwonych złotych, któremi generał Szybalski obdarzył mnie, wyprawiając do Wiednia. Z tem wszystkiem byłoby kręto koło mnie we Francji, gdybym nie był zboczył trochę z mojej podróży i nie udał się po drodze do Lunevilu, jak się o tem później powie.

Nasza rozmowa przerwana została następem wydarzeniem. Jużem wspomniał, że mi się dostała była po ojcu spinka amestystowa, okolona brylancikami; a znowu przed rokiem kiedyśmy stali obozem pod Zulichau, markietanka, u której się stołowałem, przyniosła mi kamień koloru wiśniowego, na którym był rżnięty orzeł porywający chłopięcia. Powiedziała mi, że jeden żołnierz z pułku Kroatów przepił ten kamień u niej za trzydzieści krajcarów, dodając, że od złego dłużnika i plewą trzeba się kontentować; ale jeżeli mi się na co przyda, żebym jej dał za niego co łaska. Ten kamień wcale mi nie był potrzebny, ale że nie byłem bez jakiegoś grosza, a lubiłem markietankę, bo nie zanadto nas obdzierała i dobre wiktuały dostarczała, więc ofiarowałem jej za to bzdurstwo cały reński,

który z wdzięcznością przyjął. Obok spinki ten kamień zawinięty w paperek spoczywał w pugilaresie, który nosiłem w piersiowej kieszeni mojego munduru.

Otóż kiedy stanąłem w Wiedniu na kwaterze, którą mi dał z miłosierdzia ksiądz Firmian, umyśliłem oprawić moją spinkę w pierścioneł i tym przysłużyć się wspaniałomyślnemu księdzu, jako właściwym jemu, gdyż był kanonikiem katedralnym, a kanonicy, jak biskupi, noszą ametystowe pierścienie. Przy tej okoliczności postanowiłem i mój kamień także oprawić w pierścienieł, żeby mi się nie zawieruszył. Otóż wyjeżdżając do pałacu, zaleciłem mojemu felczerowi, który cały mój dwór składał, żeby sprowadził dobrego jubilera, coby przyjął odemnie robotę. Ten jubiler właśnie podczas mojej rozmowy z doktorem przyszedł.

Chciałem go odprawić, ażeby później z nim pomówić, ale doktor Brambilla nalegał, żebym z nim w jego przytomności kończył swoją rzecz. Wyjąłem więc z pugilarasu spinkę i kamień. Brambilla dość obojętnie spojrział na spinkę, ale kiedy wziął w rękę kamień, największe zadziwienie wyraziło się na jego twarzy.

— Skąd waćpan dostałeś ten kamień? — zapytał.

— Kupiłem go od markietanki za reński — odpowiedziałem.

— Musiałeś się urodzić w czepku, kiedyś tak szczęśliwy.

A wiesz waćpan, że to jest prawdziwy antyk, jakiemu równego nie ma w całym moim zbiorze. Dam waćpanu za niego sto czerwonych złotych i powiem, że go znalazł, jeżeli mi odstąpisz za tę sumę Jowisza porywającego Ganimeda. Hycynt przecudowny, a jaka płaskorzeźba! Nic tak wykończonego w życiu mojem nie widziałem.

— A! kiedy tak, niech ten kamień, na którym się nie znam, panu służy.

— Nie, nie, byłby to monarchiczny prezent; od waćpana przyjąć go nie mogę.

Jednak nie wypuszczał kamienia z ręki i ciągle mu się przypatrywał przez powiększające szkieleł, które wydobył z kieszeni. Ale jak zacząłem na niego nalegać, dał się zmiekczyć i powiedział:

— Mam waćpana za mojego najosobliwszego dobroczyńcę,

gdyż cesarzowa Imość nigdy mi nie zrobiła daru, któryby mnie równie uszczęśliwił. Byłbym podłym, gdybym ci pozwolił jakikolwiek wydatek na kurację ponosić. Będę mu codzień służył z równą gorliwością, z jaką służyć cesarzowej, mojej pani. Przyjmże waćpan na pamiątkę ten mój zegarek, który mi służy od lat dziesięciu, a nigdy o minutę nie chybił. Zawsze wieczorem jestem u siebie, proszę u mnie bywać choćby codzień. Ten kamień będzie czołem mojego zbioru.

Tak uradowany, odszedł jakby nieprzytomny. W kilka dni potem jubiler odniósł mi spinkę przerobioną na pierścień, i tym przysłużyłem się księdzu, który go przyjął uprzejmie, jak gdyby nic dla mnie nie uczynił. Godzinnik angielski, który mi dał drogi dobrodziej, dotąd zachowuję, wiernie on mi służy i choć przeszło lat pięćdziesiąt go noszę, nigdy nie był w reperacji.

Urzędnik departamentu wojskowego, ten sam, który mi przyniósł miesięczną dietę, przybył do mnie w kilka dni potem z listami z Polski, które zalegały w departamencie. Feldmarszałek Laudon postanowił, żeby listy do oficerów czynnej armii adresowane, były odsyłane do departamentu, a nie dochodziły ich rąk, bo, jak mówił, listy, które z domów swoich odbierają oficerowie, sprawiają w nich tęsknotę, czem żołnierskie serce mięknije. Listy więc do mnie pisane były nieco stare, były to dowody pamięci matki i braci. Z nich dowiedziałem się, że matka w dobrym zdrowiu, że Jacek kupił wieś porządną pod Sandomierzem, ale już na prawym brzegu Wisły; że Walenty siako-tako się ożenił i że spodziewał się wkrótce być ojcem. Poznałem z listu matki, że wcale nie była rada z tego małżeństwa.

Tak więc spokojny o moją rodzinę, niczem się nie zajmowałem, tylko kuracją i językiem francuskim. Byliśmy już w pierwszych dniach października, Brambilla mi zapowiedział, że w połowie marca wyprawi mnie za granicę. Moje zdrowie, wraz z językiem francuskim, coraz szły lepiej, mogłem chodzić po pokoju bez kuli. Jednak jeszcze nie dowierzając moim nogom, brałem kule z sobą, kiedy z domu wychodziłem; tyle tylko, że jak to powiedział doktor, kiedy powietrze się zmieniło, niewypowiedziane cierpiałem męki. Nie uczęszczałem na zabawy miejskie, raz tylko byłem w teatrze i źle mi się w nim zro-

biło z powodu, iż nadto długo musiałem siedzieć na jednym miejscu. Za to codziennie między dwunastą a pierwszą, o której był nasz obiad, przechadzałem się po ulicach wiedeńskich, a po obiedzie chodziłem na czarną kawę do tej najdawniejszej kawiarni, którą rodowity Polak założył był w Wiedniu przed pięćdziesięciu laty. W owym czasie kawa nie była jeszcze w Polsce, ale ja w wojsku cesarskim do niej się przyzwyczailem, i ona mi służy. Wieczory zaś najczęściej przepędzałem u doktora Brambilli.

W jego domu zabrałem znajomość z drugim znakomitym mężem, którym był Metastazy, poeta nadworny cesarzowej. Nazwisko to było przybrane, miał on inne własne, które na kołku zawiesił dlatego, że nie było harmonijne. My Polacy wielkie czujemy przywiązanie do naszych rodowitych nazwisk, choćby jak mało dźwięczne, za nicbyśmy ich nie zmienili na inne, chyba za przywilejem królewskim. Każdy z nas uważałby za podłość odmienić samowolnie swoje nazwisko, choćby na najlepsze; ale u Niemców i Włochów to uchodzi, jednak nie między ludźmi szlachetnie urodzonymi.

Otóż ten pan Metastazy był wielkim poetą, jak o tem ludzie mi mówili, bo nie umiejąc po włosku, sam na tem nie mógłbym się poznać. Ale o tem nie mogłem wątpić, bo Brambilla kilkakrotnie mi powtarzał, że najmilszą jego rozrywką było czytanie tych wierszy; lecz o czem własnem doświadczeniem mogłem się przekonać, to, że był bardzo grzecznym i dziwnie słodkiego przystępu. Omal że nie codzień przepędzał wieczór u Brambilli, zawsze przegrali z sobą jedną partję szachów, a potem poncz rzymski i gawęda. Wielce się kochali. Metastazy, który był bardzo skąpym, zawsze Brambillę moralizował za jego nieumiarkowanie w wydatkach, czego ten śmiejąc się słuchał; było to kilka razy przy mnie. Nigdy mi się nie zdarzyło widzieć wielkiej głowy w proporcji tułowiui, jak u Metastazego. Było w niej coś monstrualnego, w żadnym sklepie nie mógł dobrać dla siebie kapelusza i musiał go w fabryce zamawiać. I nic dziwnego, że w wielkiej głowie mieścił się i wielki rozum. Rozmawiali z sobą zwykle swoim rodowitym językiem, ale odkąd ja trzeci do nich się przymieszałem, przez grzeczność rozmawiali po łacinie, żebym i ja uczestniczył w ich rozmowie, jak

gdybym się odważył mieszać do dyskursu prowadzonego przez tak mądrych mężów! Ale jeżeli do niego się nie mieszałem, to pewno że słuchałem z uwagą wszystkiego, co mówili, i uczyłem się tym sposobem, bo choć niewiele umiem, a i tę odrobinę nawet, słuchając rozmowy ludzi światłych, nabyłem. A chociaż, zwłaszcza na starość, lubię się bawić książką, sumiennie winienem wyznać, że wcale niewielką cenę przykładam do tych korzyści, jakie mojemu rozumowi przyniosły książki. Nie mówi się o księgach świętych, bo te nie przez ludzi wymyślone; ale co się tyczy książek, które są dziełem jedynie ludzkim, są między nimi i pożyteczne, lecz pewna, że ich jest nadto wiele i że papier, który się na ich wydanie użył, lepiejby do czegoś lepszego obrócono; a to, co tu mówię, nie z palca wyssałem. Często słyszałem panów Brambillę i Metastazego uważających się na tych, co nie byli powołani, ale sami siebie powołali do pisarstwa.

Nadszedł наконец marzec. Znacznie byłem pokrzepionym na zdrowiu, już mogłem chodzić o swoich nogach, byle tylko kij był w mojem ręku. Mogłem znieść pojazd, bo żeby się wprawić do długiej podróży, robiłem wycieczki na kołach do Merkenstein, Schönbrunn, Laksenburgu i Badenu, i to mi się udawało. Wprawdzie byłem żywym barometrem, tak boleśnie moje krzyże umiały przeczuwać zmiany powietrza; ale zresztą byłem dość silnym, żeby myśleć o mojej podróży. Doktor Brambilla przeznaczył dzień 30 marca na mój wyjazd.

W pierwszych dniach lutego spotkał mnie zaszczyt niespodziewany. Król nasz dał wielki krzyż Ś-go Henryka generałowi Szybilskiemu, oraz cztery mniejsze krzyże tego saskiego orderu oficerom jego pułku, którychby uznał godniejszymi tej łaski królewskiej. Generał o mnie nie zapomniał; byłem sztabs-oficerem, a do tego ciężko rannym, niesprawiedliwości więc nie uczynił. Dopiero w Wiedniu doszła mnie ta nominacja, a zaraz i pozwolenie cesarzowej, żebym, jako poddany króla-elektora, mógł włożyć ten krzyż na jej mundurze. Ta niespodziana łaska mojego króla wielce mnie uszczęśliwiła; a że nie tałem mojej radości, nikogo to nie zadziwiało, bo w owym czasie było więcej szczerości między ludźmi. Dopiero pod koniec zeszłego wieku weszło u nas w modę nibyto lekceważenie tych zewnętrznych

odznaczeń, ale w mowie tylko. Widziałem takich, którzy nie zaniebawszy żadnych zabiegów dla dostania orderu, skoro go otrzymali, pozwalali sobie żarty miotać na to, co tak gorliwie pożąдали. Wprawdzie nikt ich słowom nie wierzył, gdyż wzgarda zaszczytów jest przeciwną naturze ludzkiej. Starożytni mieli wieńce laurowe, dębowe, oliwne, i tak łożyli zdrowie i życie dla ich noszenia, jak my dla ozdobienia gwiazdą lub krzyżykiem naszych piersi. To szlachetne uczucie jest właściwem człowiekowi i godnem jego.

Nakoniec w wigilję dnia przeznaczonego na mój odjazd, Brambilla przyniósł mi sześćset reńskich, dar Najjaśniejszej cesarzowej, dla opędzenia kosztów mojej podróży. W dniu tym ksiądz kanonik Firmian wyprawił obiad na pożegnanie; było na nim nas czterech: Brambilla, Metastazy, gospodarz i ja. Już dnia poprzedniego byłem się zupełnie wybrał do podróży; pakunek nie był wielki: kilka koszul, mundur i garnitur cywilny, który świeżo sprawilem, gdyż odzieży wojskowej rzadko kiedy mogłem używać za granicą, i to co miałem na sobie. Opatrzyłem się był na drogę sakramentami; ksiądz Firmian, jak zwykle, wysłuchał mojej spowiedzi: czegoż mi więc było potrzeba? Miałem w złocie sześćset reńskich danych od cesarzowej, do tego oszczędzonych przezemnie dwieście i trochę srebrnej monety na drobne wydatki. Zaspokoilem należycie mojego felczera, z którym musiałem się rozstać; ale łaska Brambilli dla mnie umieściła go przy szpitalu rządowym i już miał zapewniony kawał chleba. Wprawdzie moje bogactwo było szczupłe, ale moje potrzeby były ograniczone. Do zbytków nie byłem nawykły, ani urodzeniem, ani wychowaniem, a nadewszystko miałem i mam dotąd ufność w Opatrzność.

Obiad nie był wesoły, bo byłem szczerze przywiązany do tych, których może na zawsze miałem wkrótce opuścić, a oni też nawzajem dawali mi ciągle dowody łaski i życzliwości. Ksiądz Firmian obdarzył mię krzyżykiem kryształowym, w którym była cząsteczka drzewa krzyża świętego. Jestto z macierzystym dukatem, zaszytym w szkaplerzu, najdroższy skarb dla mnie, i dotąd noszę je na piersiach, życząc sobie być z niemi pogrzebionym. Nawet Metastazy dał mi na pamiątkę ołówek, oprawny w srebrnym trzonku, który mi się przydał w podróży

do zapisywania w pugilaresie wydatków; pamiątka tem droższa dla mnie, że Metastazy wcale nie był rozrzutnym. Ale dar ten jego gdzieś mi się później zawieruszył.

Nazajutrz 30 marca, w sam dzień Najświętszej Panny Bolesnej, po wysłuchaniu nabożeństwa w kościele świętego Stefana, po spożyciu dobrego śniadania w traktjerni, wsiałem w dylizans, gdzie już miałem zamówione miejsce, a do którego mój poczciwy felczer przyprowadził mnie, nie odmawiając swojej usługi do ostatka.

Moje miejsce było opłacone aż do Strasburga, bo dalej dylizans cesarski nie szedł. Przez pięć dób podróżowałem dniem i nocą. Byłato rzecz męcząca, jednak Brambilla tak mnie pokrzepił, że jakoś się to wytrzymało. Wprawdzie, gdy przybyłem do Strasburga, byłem jak z krzyża zdjęty; ale gdy zajechałem do austerji *pod Różą* i w niej zająłem stancję, lubo była dopiero pierwsza po południu, ani pomyślałem dnia tego krokiem z niej wyruszyć. Tyle tylko, że kazałem sobie przynieść obiad, a podjadłszy, rozebrałem się, położyłem i przeleżałem, kolejno budząc się i zasypiając, aż do godziny siódmej z rana, to jest zgórą piętnaście godzin. Potem wstałem tak zdrów, jak gdybym nigdy nie podróżował i przed ósmą wyszedłem z domu, żeby miasto poznać.

Strasburg miał w swojej fizjonomji coś dwuznacznego, co nie mogło nie zadziwić obcego. I tak: był razem miastem wolnem, władnącym w Rzeszy, mającem swoich wasalów i poddanych na prawej stronie Renu, i znowu sam poddanym królów chrześcijańskich i stolicą Alzacji, prowincji francuskiej od półtorasta lat. Język uliczny, jakiego używali rzemieślnicy i pomierni handlarze, był niemiecki; zaś urzędowy i wykwinetnego towarzystwa, francuski. Miał on pyszną katedrę katolicką i biskupa, który był panującym książęciem, a wszyscy jego mieszkańcy byli lutrami. Był on miastem formą gminowładną rządzonem, a nigdzie nie było patrycjatu tak dumnego, tak mało dostępnego dla tych, co do jego składu nie wchodzili, jak ten, w którego rękach *de facto* zostawał magistrat miasta.

Senat strasburski, bo tak się nazywał magistrat, pozyskał był od królów francuskich dla swoich członków wszelkie przywileje służące szlachectwu, i często te rodziny, rzeczywiście

mieszczańskie, otrzymywały wysokie urzędy w królestwie francuskim, tak jak mieszczenie krakowscy w Rzeczypospolitej polskiej. Jednakże patrycjusze strassburscy nigdy nie byli uznani przez szlachtę francuską za jej równych, a to z powodu, że bez utraty przywilejów nadanych im przez królów i bez umniejszenia ich arystokratycznej pychy, handlem się bawili.

Do czwartej po południu przechadzałem się po mieście, zaczawszy od katedry, gdzie po wysłuchaniu mszy świętej miałem czas przypatrzeć się temu wytworowi budownictwa średnich wieków. Zdawało mi się, że kościół Ś-go Stefana był najwspanialszym gmachem religijnym na świecie; ale przekonałem się, że katedra strassburska daleko go za sobą zostawiła. Nawiedziłem i inne gmachy tego starożytnego grodu, jakoto: ratusz, kościół luterski Ś-go Tomasza, pałac książąt biskupów strassburskich, bibliotekę publiczną, posiadającą najdawniejsze wyroby drukarskie, gdyż, jak wiadomo, wynalazca druku był rodem z tego miasta, gdzie zebrał był niemało pieniędzy, sprzedając te swoje pierwotne druki za ręczne kopje, dopóki liczny cech kopistów zamieszkały w Strassburgu, nie oskarżał go przed senatem o stosunki z szatanem, dowodząc, że bez pomocy niepodobna ani tak prędko wygotować kopij, ani tak tanio je sprzedawać. A że żywcem palono tych, co byli obwinieni o czary, biedny Faust uciekł ze Strassburga do Moguncji, gdzie pozyskał dla siebie wsparcie księcia arcybiskupa-elektora, odkrywszy jemu swój wynalazek, który i wiele korzyści i niemało szkody przyniósł rodowi ludzkiemu.

Jeden wypadek, który nie był bez wpływu na dalszy ciąg mojego żywota, zdarzył mi się w Strassburgu. W tej samej austerji, do której zajechałem, od dwóch dni zajęli byli kwatery dwaj panicze polscy: jednym z nich był pan Poniatowski, stolnik litewski, drugim pan Rzewuski, wojewodzie podlaski. Oba dwa ci kawalerowie zwiedzali razem obce kraje i wzajemna przyjaźń ich jednoczyła. Otóż pan wojewodzie już tego samego wieczora, w którym zajechali *Pod Różę*, uskarżał się na ból głowy, a nazajutrz nerwowa gorączka się zdeklarowała. Pan stolnik nie chciał odstąpić obłożnie chorego przyjaciela i tym sposobem przedłużył swój pobyt w Strassburgu, jakkolwiek był żądny jak najprędzej dostać się do Paryża.

Skoro się dowiedziałem o pobycie tych panów pod jednym ze mną dachem, lubo nie miałem zaszczytu być im znanym, stosując się do zwyczaju szlachty polskiej poczytałem za obowiązek starać się do nich być zbliżonym. Spotkawszy więc na korytarzu kamerdynera pana stolnika, rodowitego Francuza, przemówiłem do niego w jego własnym języku i prosiłem, by oświadczył swojemu panu, że Michałowski, szlachcic polski, major wojsk cesarskiej rzymskiej, udający się do wód pirenejskich dla wyleczenia się z ran świeżo odniesionych, pragnie złożyć osobiście uszanowanie JJWW. stolnikowi i wojewodzie i prosi o wyznaczenie godziny, w którejby mu było pozwolono im służyć.

Kamerdyner odszedł i po kilku chwilach wrócił z oświadczeniem, że jego pan każdego czasu rad mnie poznać i że do siebie zaprasza. Ubrałem się najspieszniej, wziąłem mój mundur, nie zapomniawszy krzyża i zaraz potem stanąłem w przedpokoju tych kawalerów. Wkrótce ten sam kamerdyner wprowadził mnie do gabinetu pana stolnika.

Zastałem go w pudermantlu, siedzącego w krześle; w rękę trzymał książkę, podczas gdy fryzjer ubierał mu głowę. Skoro mnie zobaczył, nie dał mi mówić, aż wprzód usiadłem w krześle, które mi za jego rozkazem przysunął kamerdyner. Nie zaniebądał przeprosić, że przyjmuje mnie nieubranym. Po kilku uniżonych ukłonach powtórzyłem mu to, com już był powiedział kamerdynerowi.

Pan stolnik, wówczas w kwiecie młodości, był dziwnie pięknej urody, a do tego miał czarujący dźwięk mowy; rysy jego twarzy nie były polskie, było w nich coś wschodniego, zwłaszcza w wyrazie jego oczu. Ani mogłem przewidzieć, że patrzę na tego, którego kiedyś miałem być poddanym: raz, iż aniby się to mogło pomieścić w mojej głowie, żeby dom saski, sprzymierzony i skoligacony z pierwszymi domami panującymi w Europie, a do tego od lat kilkudziesięciu panujący w Polsce, miał kiedyś przestać władać Polską; powtórę, że pan stolnik nie należał do tych rodów, które u nas spadkowo piastowały pierwsze w kraju urzędy. Wprawdzie matką jego była Czartoryska, rodzona siostra książąt, kanclerza i wojewody ruskiego, a jego ojciec, ulubieniec Karola XII, był istotnym bohaterem i umarł osadzony w pierwszym krześle senatu polskie-

go; ale ten był jedynym przodkiem, jakim pan stolnik mógł się zaszczyścić. Co się zaś tyczy jego koligacji z domem Czartoryskich, ten dom, acz szczepu Jagiellońskiego, dopiero rozpoczynał zawód swojego znaczenia w Rzeczypospolitej i jeszcze nie był wzwyczaiał narodu do siebie. Był nawet ubogim, dopóki księżę wojewoda ruski nie związał się małżeństwem z pozostałą wdową po hetmanie Denhofie, spadkobierczynią szeregów dostatków świeżo zgasłego rodu Sieniawskich; a i po tym związku nawet, ani wziętością, ani miłością u szlachty sprostać nie mógł Lubomirskiemu, Radziwiłłom, Potockim i innym domom przewodniczącym w Polsce, które przecie zaprzęstały myśleć o koronie i rade były widzieć ją utwierdzoną na głowie elektorów saskich, których gorliwymi okazywały się stronnikami. Tak więc osobistość pana stolnika głośniejsza niż przemawiała, niż związki krwi i jego położenia w narodzie.

Dom saski był popularny w Polsce, bo magnatów miał po sobie, a szlachta szła za głosem panów, jak w Rzymie klienci za swoimi patronami, że zaś ród Czartoryskich okazywał się niezycielwym temu domowi, stąd nie był miłym narodowi. Ale przymioty pana stolnika i ten dar podobania się ludziom, który otrzymał od przyrodzenia, a który więcej niż wysokie cnoty zniewala serca, był w istocie węgielnym kamieniem jego przyszłej pomyślności i sprawił, że monarchowie najpotężniejsi krwi i potęgą, uznali później za brata szlachcica bez przodków, za ledwo znanego między swoimi.

Nasza rozmowa była taka:

— Z którego waćpan jesteś województwa?

— Mój ojciec był osiadłym szlachcicem w województwie sandomierskim i miał urząd cześnika, nawet był obrany deputatem na trybunał koronny. Po swej śmierci zostawił nam wieś dziedziczną, na której siedzi nasza pocziwa matka, jako oprawna i dożywotnia pani.

— Jakimże sposobem umieściłeś się waćpan w wojsku cesarzowej Marji Teresy?

— A cóż JW. panie! po skończeniu szkół poszedłem do palestry i dependowałem u mojego starszego brata, który jest regentem w Sandomierzu. Jurysterja nie była mi do smaku, ale rad-nie-rad musiałbym jej pilnować, gdy wtępan Szy-

bilski, mój ojciec chrzestny, a przyjaciel naszego szlacheckiego domu, namówił moją matkę, że mnie jemu oddała, a ten umieścił w swoim pułku, w którym dosłużyłem się majorostwa.

— Winszuję waćpanu tego stopnia, zwłaszcza w tak młodym wieku, pewnie w wojsku cesarzowej równie drugiego młodego majora nie znajdziesz. I cóż myślisz z sobą zrobić?

— O niczem innem teraz myśleć nie mogę, jak tylko o odzyskaniu zdrowia, bo kulę, którą dostałem pod Hohenfriedberg, dotąd noszę w ciele. Jadę więc do Barez, stosownie do rady doktora Brambilli, który postawił mnie w stanie, że przynajmniej mogę odbyć tak długą podróż, a cesarzowa, terażniejsza pani moja, opatrzyła mię na kosztą podróży.

— A po odbytych wodach, co waćpan myślisz nadal z sobą robić?

— Jeżeli tak mnie wody uzdrowią, że będę mógł siedzieć na koniu, powrócę do swoich szeregów służyć cesarzowej dopóki sił; a jeżeli na zawsze mam zostać kaleką, cesarzowa mnie nie opuści, i obmyśli mi siaki-taki kawałek chleba, jako sumienna pani. Doktor Brambilla kilka razy z tem się odezwał przedemną. Jeżeli zaś i to mnie ominie, powrócę do mojej ojczyzny, może mi się coś z ojcowizny okroi, gdy to mi do życia nie wystarczy, bo jest nas wielu, uderzę do Warszawy: może król, którego znak na sobie noszę, pozwoli mi za kąt i charcz, zamiatać pokoje albo drwa rąbać. Wreszcie, jako chudopacholek, może Bóg pomoże mi dostać się do jakiego magnackiego dworu.

— Niech Bóg dopomaga waćpanu w każdym jego zamiarze, bo z pierwszego rzutu oka poznałem, że jesteś uczciwym człowiekiem. Gdziebys mnie nie spotkał po drodze, o ile to będzie w mojej mocy, będę się starał być ci pomocnym. Teraz mu powiem, że jesteśmy w marcu, pora zbyt wczesna do używania wodnej kuracji; dopiero w maju pora do tego właściwa. Masz waćpan jeszcze około sześciu tygodni przed sobą, a te mógłbyś pożytecznie użyć.

— Kilka dni myślę się zatrzymać w Strassburgu, jedynie żeby JW panu służyć, a resztę nie wiem gdzie przemieszkać. Zapewne, że w jakim bliskim wód bareżskich miasteczku osiadę, by w niem o niewielkim koszcie doczekać się maja.

— A ja bym radził waćpanu jechać do Lunevilu, gdzie panuje niegdyś nasz król Stanisław. On łaskawie przyjmuje Polaków, którzy go nawiedzają; na jego dworze znajdziesz kilku rodaków. Jak tylko mój towarzysz podróży wyzdrowieje, udam się z nim do Lunevilu, i tam kilka niedziel zabawię; bo jak waćpanu musi być wiadomo, świętej pamięci mój ojciec był zaszczyconym szczególną przyjaźnią króla Stanisława. Może jeszcze waćpana zastanę w Lunevilu, bo tam zażręzniesz między swoimi z pewnością.

Takim sposobem zabrałem znajomość z Stanisławem Augustem, który w kilka lat potem był wyniesiony na tron, a który już wtedy był nacechowany w powierzchowności swojej czemś takim, co w każdym, kto się do niego zbliżał, wzbudzało pomimowolne uszanowanie. Kiedy już królował, Trembecki, poeta nadworny, wychwalając majestat jego postawy, powiedział:

Nie jeden wszędzie znany i mównym i górnym,

Stał się przed tem obliczem cichym i pokornym.

Było coś nakształt tego, nawet kiedy żył jeszcze w stanie równości; przynajmniej na mnie zrobił takie wrażenie. Książę Kaunitz rządził państwem, któremu służyłem; mógł mnie uszczęśliwić lub zgubić, a jednak czułem się do niego śmielszym, niż do pana stolnika Poniatowskiego, któremu urodzeniem byłem równy, a przeto nie był w możności wyrządzić mi najmniejszej krzywdy.

Już w owym czasie prawiono o nim wiele rzeczy nadzwyczajnych, jakoto, że rodząc się, przyniósł na sercu znamie wyrazistej korony; że w dniu, w którym się rodził w Wołczyń, krowa wydała tam na świat ciotka z podwójną głową; że kiedy pierwszy rok jego życia się kończył, w tym samym dniu, gdy kopano loch warzywny w folwarku wołczyńskim, wykopano koronę i berło z żelaza; że cyganka przechodnia wyróżyla pani Poniatowskiej, kasztelanowej krakowskiej, że panicz, którego urodziny obchodzą, będzie kiedyś królem. Być może, że pochlebcy, któremi zwykle władza bywa otoczona, później to wszystko powymyślali; ale to pewna, że kiedy król August III mianował go kawalerem orderu Orła Białego, przez jakąś niepojętą omyłkę, zamiast gwiazdy poddańskiej, dał mu gwiazdę, która tylko jednemu królowi służyła; a co dziwniejsza, że pan stolnik

Poniatowski przez cały dzień się nie opatrzył i chodził z gwiazdą królewską, którą aż dopiero idąc do wczasu zrzucił.

Jeszcze przez dwa dni zatrzymałem się w Strassburgu i te dwa dni spędziłem omal że nie całkowicie z panem stolnikiem, bo i obiadowałem u niego i towarzyszyłem mu w jego wycieczkach po mieście, siedząc obok niego w karecie. Poznałem, że nie miał wojennego animuszu, bo ciągle wypytując się o różne szczegóły mojego życia, dość obojętnie słuchał co wychodziło z ust moich o pochodach i wyprawach wojennych, które świeżo odbywałem; ale natężoną uwagę zwracał na to, co mu opowiadałem o Marji Teresie, o księciu Kaunitz, o poecie Metastazym i o pięknościach ulicznych Wiednia; bo co się tyczy salonowych, mówiłbym chyba o nich jak o żelaznym wilku, gdyż nie byłem w takim położeniu, bym mógł się obeznac z salonami.

Rada pana stolnika utwierdziła mnie w chęci złożenia czółobitności królowi Stanisławowi. W kilka godzin po moim wyjeździe z Strassburga, stanąłem w Lotaryngji, państwie Jego Królewskiej Mości. Pochlebiło to mojej dumie narodowej, że herb Wienera, którym tyle naszych domów szlacheckich się pieczętuje, błyszczał na granicy państwa lotaryńskiego, jako świadectwo panowania jednego z naszych nad obcym narodem.

VI.

W ciągu mojej podróży od granic Alzacji do Lunewilu, pomysłność, w jakiej żyli mieszkańcy wszelkich klas, nie mogła nie zwrócić mojej uwagi i nie sprawić na mnie najśłodszego wrażenia. Aż do Lunewilu nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego żebraka, każdy był przyzwoicie okryty, śladu nędzy nigdzie dopatrzyć nie mogłem; a jednak Lotaryngja żadnemu zachodniemu państwu nie ustępowała w ukształceniu. Było coś podobnego i w Polsce, ale tam nie było to nic dziwnego: Polska nie miała wówczas ani miast, ani przemysłu, skądżeby tam mogła się wyrodzić nędza, którą potrzeba odróżnić od ubóstwa. Zbawiciel nam zapowiedział, że zawsze będziemy mieli ubogich, i bez wątpienia są oni niezbędni dla życia społeczeńskiego; ale przeżywszy tyle lat, bo już w podeszłej piszę starości, przekonałem się, że to co nazywają cywilizacją, jeżeli z jednej strony

przynosi łatwość utworzenia dla siebie nieograniczonych bogactw tym, co mają jakieś zasoby, z drugiej, pogorszyła stan ubogich, pomnożyła ich liczbę aż do rozmiarów bajecznych i rozpowszechniła nędzę między ludźmi, z umniejszeniem środków ich ratunku. Jednem słowem, teraz bogaci są bogatsi niż byli wprzód, ale ubodzy są ubożsi. Zdaje się, że to aż nadto przeważa korzyści, jakie społeczeństwo dzisiejsze otrzymuje z machin zastępujących ręczną pracę, z ułatwienia środków podróży dla tych, którzy i bez tego mają o czem podróżować i z pomnożenia zakładów filantropijnych.

Już i w owym czasie, poza granicą naszej Polski, niższej w tej cywilizacji, z której się ludzie nieobacznie pysznia, wprowadzie nie w takiej jak dziś ilości, spotykałem jednak dosyć żebraków, a w Lotaryngji ani jednego nie zdarzyło mi się widzieć; co zaś więcej jeszcze mnie zachwyciło, to miłość, jaką czuł naród dla swojego króla. Wszyscy go błogosławili i każdy rad był sobie kilka lat ujać, byle tylko jemu te lata dołączyć. Rzecz tem więcej zdobiąca pamięć dobroczynnego monarchy, że był objął rządy Lotaryngji po rodzie, który odznaczał się spadkową dobrocią i sprawiedliwością dla poddanych, a którego cnoty Bóg wynagrodził spadkiem tyłu dzierżaw, po wygaśnięciu domu habsburskiego.

Wprawdzie i okoliczności posłużyły królowi Stanisławowi, że mógł być dobroczynnym dla swoich poddanych. Podatki były małe, bo i potrzeby rządu były ograniczone. Ufny w wsparcie potężnego zięcia i spadkobiercę, wojska nie utrzymywał, a załogi miejsc obronnych Lotaryngji składały się z samych Francuzów. Dwie rotys strażys przybocznej królewskiej i dwieście dragonów dla policjis, oto była cała siła zbrojna. Francuzi, którzy strzegli twierdz i granic, nietylko że nie byli ciężarem dla kraju, ale jeszcze zbożacali go kruszczem, który wywozili z Francjis. Usługa cywilna kraju, jak wszędzie było w owym czasie, odbywała się darmo przez właścicieli dóbr, którzy poczytywali sobie za zaszczyt bezpłatnie służyć monarsze i współobywatelom. Wychowanie młodzieży poruczonem było kongregacjom duchownym, uposażonym prywatnemi darami, a na które rząd ani szeląga nie wydawał. Długów publicznych jeszcze nie znano. Król więc, posiadając znaczne dobra stołowe, przy tak

małych wydatkach, nietylko że mógł się kontentować jak „najmniejszymi podatkami, ale i zupełnie bez nich się obchodzić, gdyż pomnożenie urzędników, a tem samem i podatków na ich utrzymanie, musi być koniecznym wypadkiem postępu cywilizacji.

Stanałem w Lunewilu jakoś pod porę obiadową, w gospodzie *Pod Złotym Sępem*, niedaleko królewskiego pałacu położonej. Zajawszy tam mieszkanie, tyle tylko że w niem się przebrałem, to jest: zbrukaną i zapyloną odzież z siebie zrzuciłem, a na jej miejsce wzięłem inną, świeższą, ale zawsze nie wojskową; wstążeczkę jednak od krzyża przyszyłem do mojej sukni. Potem zaraz zszedłem na dół do wielkiej sali, gdzie nakryte stoły czekały na przybycie gości.

Sala zaczynała się napełniać, kiedy do niej przybyłem; obrałem jedno z próżnych miejsc i kazałem podać sobie obiad. W owych czasach krzyże były tak rzadkie, że każdy mający na sukni wstążeczkę, mógł być pewnym zwrócenia na siebie oczu zgromadzenia, w którym się znajdował; tego na wstępie mojego obiadu doświadczyłem. Obok mnie był stół na dwanaście osób, przy którym siedzieli oficerowie pułku francuskiego Medok, który omal że nie zupełnie był zniszczony w bitwie pod Münden i na nowo formował się w Lunewilu. Oficerowie byli we właściwej odzieży: białe mundury z kołnierzem i wyłogami jasno-zielonemi. Świeżo wrócili oni z wojny, a nawet wiekiem starszy między nimi miał pierś ozdobioną krzyżem Ś-go Ludwika. Ogień marsowy błyszczał w oczach tej młodzieży, która widząc moją błękitną wstążeczkę, z tą rzutkością charakteru narodowego Francuzów, do mnie się przybliżyła.

Jeden z młodszych między nimi zagadnął mnie temi słowy:

— Po znaku, który pannosisz, a więcej jeszcze po jego postawie, poznajemy, że musisz być tak jak my żołnierzem, i dlatego śmiało przystępujemy, żeby z nim zabrać znajomość.

— Bardzo panom dziękuję za ich uprzejmość. Nie inaczej: jestem majorem jazdy w wojsku cesarzowej rzymskiej i jadę do wód w pirenejskie góry dla wyleczenia się z rany, którą otrzymałem w bitwie pod Hohenfriedberg.

Gdym oznajmił mój stopień, wszyscy przyłożyli rękę do czoła na znak uszanowania, a ja powstałem, nawzajem im się kłaniając.

— Mości majorze! — odezwał się ten sam młodzieniec, który zaczął rozmowę — zazdroszczę panu szczęścia, żeś się potykał z Fryderykiem Wielkim, nie tak jak my, co tylko mieli do czynienia z Hessami, Hanowerczykami i innemi jurgieltnikami Anglii w Rzeszy Niemieckiej. Ci jednak tak nasz pułk przerzedzili, że musimy tu go kompletować na nowo, podczas kiedy inne pułki się biją. Jednak daliśmy się im we znaki pod Klosterkamp. I my i pan służyjemy jednej sprawie, gdyż ściśle przymierze łączy naszego króla z pańską monarchią, a więc uważamy cię za naszego kolegę. Jestem podporucznikiem w pułku Medok, Gaskończyk rodem, nazywam się kawaler de Mor-nac; a oto nasz starszy, baron de la Houze, tak jak ja Gaskończyk, kapitan i kawaler orderu Ś-go Ludwika.

Poczem kolejno po nazwisku przedstawił mi wszystkich swoich kolegów.

Ja też jemu odpowiedziałem:

— Jestem Michałowski, szlachcic polski, ale służący w wojsku cesarskiem. Ten znak, który noszę, jest mi dany od mojego pana króla polskiego, a elektora saskiego, którego córka, da Bóg, będzie kiedyś waszą królową, gdyż jest zaślubioną Del-finowi.

— Pan więc jesteś Polakiem! Szacujemy was, bo choć macie nazwiska trudne do wymówienia, jesteście walecznym narodem. Mamy w wojsku naszym pułk z Polaków złożony, nazywa się *Royal Pologne*, którego szefem jest król Stanisław, teść naszego króla. Biję się teraz w Niemczech i jest czołem naszej jazdy, bo Polak na koniu, to istny Centaur. Zresztą, jeżeli pan tu się zatrzymasz, znajdziesz dość swoich rodaków, zaczynając od króla, który tu panuje.

— Przez dni kilka myślę tu bawić, bo chciałbym złożyć moją czołobitność królowi jegomości. Ale przyznam się panom, że nie wiem jakby dostąpić tego zaszczytu, nie mając tu znajomych.

— Najłatwiej, gdyż nie może być monarchy więcej dostępnego wszystkim od tutejszego, a cóż dopiero dla sztabs-officera, który ma zaszczyt być jego rodakiem. Ma on kilku Polaków na swoim dworze, pan z nimi zabierzesz znajomość, a oni mu dadzą należyte ku temu informacje.

— Ale gdzież mam ich szukać?

— Pozwól majorze, bym mu do tego pomógł, my ich wszystkich znamy, często się z nimi widując, lubo ich nazwisk nie umiemy wymawiać. O kilkadziesiąt kroków od tej gospody jest kawiarnia *Pod Głową Byka*; tam pod wieczór często Polacy się zbierają i zasiadają około wazy ponczu. Pozwolisz majorze, byśmy ciebie tam zaprowadzili; ale że daleko jeszcze do wieczora, oprowadzimy cię wprzód po mieście, żebyś je poznał. Póki raczysz z nami zabawić, chcę ci służyć za cyserona.

Podziękowałem szczerze zebranej młodzieży za jej otwartość dla mnie i po kilku chwilach, jakto zwykle bywa między żołnierzami, już byłem z nimi w zażyłości, zwłaszcza z kawalerem de Mornac, który swoją uprzejmością najwięcej uchwycił mnie za serce.

Poszliśmy więc razem na przechadzkę, rozmawiając z sobą w języku francuskim, którym już mogłem się tłumaczyć, ale z akcentem zdradzającym moją narodowość. Ten akcent nigdy mnie się opuścił, nawet wtedy, kiedy już uprawilem się do tej mowy tak, że mogłem pisać po francusku z łatwością. Ten akcent, który we Francji od nikogo nie zdawał się być uważanym, stał się później powodem żartów naszych dam w Warszawie, które własnym językiem się brzydziły, a szczyciły się tem, że kiedy z musu nim mówiły, wyrazy nasze wymawiały z akcentem francuskim. To małpowanie zagranicznych było w modzie między paniczami dworu Stanisława Augusta.

Obeszliśmy miasto, które swoją nadobność i pomyślność winne było królowi, bo ten, nie rozumiem dlaczego, obrał sobie na mieszkanie Lunewil, wówczas lichą miejscinę, kiedy miał Nancy, stolicę dawnych książąt lotaryńskich, miasto zamożne, ludne i w najpiękniejszym położeniu. Tak mu się podobało.

Nachodziwszy się po mieście i do syta napatrzywszy i na towary w magazynach i na gmachy wzniesione sumptem królewskim, jako to: ratusz, szpital Panien Miłosiernych, szkołę rycerską i wiele innych, które podziwiałem; moi towarzysze zaprowadzili mnie *Pod Głowę Byka*, gdzie na moje szczęście już zastaliśmy, jak mi powiedział kawaler de Mornac, trzech Polaków, dworzan królewskich, przy wazie ponczu. Rozmawiali po polsku, odwilżając swoje gardła. Kawaler de Mornac miał

z nimi dość ścisłą znajomość i przedstawił mnie jako ich rodaka. Oni też z najżyczliwszą uprzejmością zabrali ze mną znajomość i zaraz zaprosili mnie i francuzkich oficerów do swojego ponczu. Francuzi dotrzymywali im placu, ale ja, który, jako się powiedziało, czułem wstręt do wszelkich gorących napojów, co nie-mało ich wszystkich zadziwiło, iż będąc Polakiem i kawalerzystą, wodę tylko piję, nie dałem się namówić, tylko na jedną szklankę ponczu, i to wodą tak rozprowadzoną, że załedwie w niej arak rozpoznać się dawał. Jednak i to mi zaszkodziło, żem oka potem przez całą noc nie mógł zmrużyć, tak silnego doświadczyłem bicia serca. Widać, że mocny trunek jest przeciwny mojemu przyrodzeniu.

Jako z rodakami, wkrótce byłem z nimi jakby zdawna znajomymi i radzi byliśmy mówić z sobą rodowitym językiem; ale przez wzgląd na oficerów francuskich, rozmawialiśmy po francusku. Dowiedziałem się od nich, że było ich czterech Polaków, dworzan przy królu, ale w kawiarni było tylko ich trzech, gdyż czwarty, pan Łuba, podkomorzyc wyszogrodzki, będąc na służbie, nie mógł zamku opuścić. Pozostali trzej, których poznałem, byli: pan Łazowski, pan Zabłocki i pan Jankowski. Dwaj pierwsi byli kawalerami, trzeci świeżo był się ożenił z majątną Francuzką, i już Francuzi przekreśli jego nazwisko: nazwali go Jankowik de Jeszenice, bo był herbu Jasieńczyk; a odtąd potomkowie jego już zupełnie Francuzi, to nazwisko przekrecone noszą. We dwadzieścia kilka lat później poznałem się z jego synem w Warszawie, gdzie czas niejakiś przesiedział, poszukując spadku po Krosnowskich, gdyż matka jego ojca była Krosnowska. I w samej rzeczy kilkadziesiąt tysięcy mu się okroiło; ale ten ani słowa po polsku nie umiał. Dotąd zachowuję jego wizytowy bilet, na którym stoi: Louis Jancovic de Jeszenice.

Później i pan Łazowski i pan Zabłocki, który się przezwiał Jabalot, pożenili się z Francuzkami i we Francji osiedli na zawsze; jeden tylko pan Łuba, po śmierci króla Stanisława Leszczyńskiego powrócił do Polski i ze mną kolegował jako szambelan przy królu Stanisławie Augustcie.

Kiedy im oświadczyłem, że pragnę być przedstawionym królowi jegomości, ale że nie wiem, jakby do niego dostąpić, oni

mi powiedzieli, że to biorą na siebie, że wspomną królowi o tem mojem żądaniu, które nie może jak tylko uprzejmie przyjąć, i że spodziewają się nazajutrz przed południem przynieść do mego mieszkania łaskawą odpowiedź królewską.

W samej rzeczy, nazajutrz zrana przybył do mnie pan Jankowski, jak ja Sandomierzanin, z panem Łubą, który chciał się ze mną poznać i zapowiedział mi, bym się stawił o trzeciej po południu w pałacu na posłuchanie królewskie. Miałem kilka godzin przed sobą, a te obróciłem na odwiedzenie oficerów francuskich, którzy dnia wczorajszego tyle grzeczności mi wyświadczyli i dworzan królewskich, z którymi byłem zabrał znajomość. Ten obowiązek dopełniwszy, wróciłem do mojej kwatery, wziąłem na siebie mundur i udałem się do pałacu. W sali audjencyjnej przyjął mnie margrabia de Beaumont, dowódca pierwszej rotty przybocznej gwardji królewskiej, bo ten miał polecenie, przedstawić mnie Jego Królewskiej Mości.

Przedstawiłem się jemu, on mnie przyjął z największą grzecznością. Był to pan więcej niż sześćdziesięcioletni, wzrostu rośłego, rysów szlachetnych, postawy, zupełnie arystokratycznej, w epoce, kiedy arystokracja i moralnie i materialnie jeszcze istniała. Miał na sobie gwiazdę Orła Białego i jego wstęgę, którą od króla Augusta III-go otrzymał w czasie, kiedy z poselstwem francuskim przybył do Warszawy, by zawieźć królową polską Delfinowi; miał on i innych kilka podobnych ozdób, i wart był je nosić. Ale żeby ani ich, ani bogatej sukni nie miał na sobie, zarazby można było poznać, że jest z tej krwi, w której dostojęństwa i zaszczyty są spadkowe. Był z niego prawdziwy typ francuskiego magnata; posiadał też ufność i przywiązanie króla. Lubił mówić o Warszawie, o nadobnych jej białogłowach, przyznając im wyższość nad kobietami wszystkich innych narodów. Ma się rozumieć, że tego nie powtarzał w przytomności dam francuskich, bo równego dworaka płci pięknej nie było.

Podczas kiedy margrabia ze mną rozmawiał, podwoje od pokojów królewskich się rozwarły, a marszałek dworu, hrabia de Bouffleurs, stanął chwilę na progu i zaraz wszedł do sali, a za nim dworzanie królewscy; co było znakiem, że wkrótce sam król się pokaże. Ledwie miał czas margrabia przedstawić

mnie hrabiemu, a już król przybył. Margrabia jako wojskowego, sam królowi mnie przedstawił, a król do mnie raczył przemówić w naszej mowie.

Król miał zupełnie polską twarz i był nieco otyłym. Jego wielkie, błękitne oczy były pełne słodyczy; a uśmiech nie szyderczy, ale tej wesołości, która z czystego sumienia pochodzi, wdzięcznie krasił jego usta. Miał wtedy lat około siedemdziesięciu, ale był czerstwym i co do jednego wszystkie zęby zachował. Wzrostu był średniego i chociaż przeszedł przez wiele frasunków, jeszcze niezupełnie był osiwiiał, bo lubo się fryzował, on jeden na całym dworze nie używał pudru, co nawet zadziwiało. Nigdy nie mógł się on do pudru przyzwyczaić i twierdził, że kilkakrotnie próbował go, ale zawsze sprawiał mu ból głowy.

Tego dnia miał na sobie suknię aksamitną zieloną, kroju francuskiego, chustkę atłasową białą i także spodnie, trzewiki aksamitne czarne, zapięte stalowymi sprzączkami i białe jedwabne pończochy; żadnego haftu na nim nie było widać. Miał na sukni gwiazdę Świętego Ducha bez wstęgi i jakiś krzyżyk przy guziku.

Rozmaite mi robił zapytania. Kiedym mu powiedział moje nazwisko, rzekł do mnie:

— Znanie mi jest imię Michałowskich, w mojej chorągwi był jeden Michałowski towarzyszem. Czy to waści krewny?

— Nie wiem, Najjaśniejszy Panie, bo nasz dom po różnych województwach jest rozrzucony, a przytem wkrótce po ukończeniu szkół opuściłem ojczystą ziemię.

— Czy waść dawno służysz w wojsku cesarskiem?

— Już czwarty rok.

— To waść prędko dosłużyłeś się sztabs-oficerstwa, bo widzę ten stopień po szlifach.

— Nic dziwnego Najjaśniejszy Panie. Generał Szybalski, mój ojciec chrzestny, umieścił mnie w pułku, który sztytował w Polsce dla cesarzowej i prosto zrobił mnie rotmistrzem; a więc po trzech kampanjach, które w pułku odbyłem, nie dziw, że o jeden postąpiłem stopień.

— Szczęśliwie zacząłeś mości panie; daj mu Boże podobnie i ukończyć. Cóż waści zaprowadziło w nasze strony?

— Noszę w krzyżach pruską kulę. Z polecenia sławnego Brambilli, lekarza cesarzowej Marji Teresy, dążę do wód Ba-reżskich szukać ratunku na boleści, jakie we mnie ta kula sprau-wuje.

— Czemu mam przypisać tę jego pamięć o mnie, że mnie nawiedzasz w moim Lunewilu?

— Opuszczając Wiedeń, miałem zamiar jechać na Lunewil, żeby paść do nóg Waszej Królewskiej Mości. W tym zamiarze utwierdził mnie JW. Poniatowski, stolnik litewski, którego zastałem i zostawiłem w Strassburgu.

— Stolnik Poniatowski, to syn mojego niegdyś najlepszego przyjaciela. I cóż on robi w Strassburgu?

— Towarzysz jego podróży, pan Rzewuski wojewodzie pod-laski, obłożnie zachorował, tak, że nie może go odstąpić; ale skoro tylko stan jego zdrowia się polepszy, nie omieszka służyć Waszej Królewskiej Mości.

— I będzie tu dobrze przyjęty, bo dla krwi Poniatowskiego czuję obowiązki. Bardzo waści dziękuję, żeś do nas zawitał, szlachtę polską zawsze w sercu mojem noszę. Dam zlecenie, żeby waści pomieścili w pałacu, dopóki u nas zechcesz gościć, a daj Boże jak najdłużej; i ja przecie szlachcic polski, znam obowiązki gospodarza. Do zobaczenia mości panie Michałowski — i kiwnieniem ręki dał mi znak pożegnalny.

Tego samego wieczoru przyszedł do mojej gospody pan Jankowski z poleceniem królewskim, żebym nazajutrz był u kró-la na obiedzie i uwiadomieniem, że mi jest dane mieszkanie w pałacu. Sam zajął się przeniesieniem mojem do nowej kwa-tery, lubo mój pakunek tak był mały, że nie trzeba było wiele zachodu, żeby go przenieść. Rodacy, dworzanie królewscy, do tego stopnia byli dla mnie uprzejmi, że każdy chciał mnie przy-jąć do swojej komnaty, wyjąwszy pana Jankowskiego, bo ten nie w pałacu, ale w domu, który mu się dostał po żonie, mieszkał. Tamci trzej, nie mogąc się zgodzić między sobą, aż węzełek cią-gnęli o mnie. Los padł na pana Łubę, i ten mnie zabrał do siebie, gdzie przez cały czas mojego pobytu w Lunewilu, do najdrobniejszych szczegółów z jego łaski miałem wszelką wy-godę.

Otrzymałem więc zaszczyt być dopuszczonym do stołu królewskiego. Było jak zwykle kilkanaście osób obiadujących, między nimi dwie damy: jedna baronowa de Lisolstein, żona wielkiego koniuszego, kobieta nieco podżyła, ale pełna rozumu; druga hrabina de Boufflers, o której mężu dopiero wspomniałem. Ta była młoda, pełna wdzięków i dowcipu, w jej obejściu się z ludźmi było coś czarującego. W ciągu długiego mojego żywota nie zdarzyło mi się spotkać spojrzenia więcej wrażliwego, sam król mnie jej przedstawił. Kiedy do mnie przemówiła swoim srebrzystym głosem, zostałem jakby w zachwyceniu, tak, że w moich odpowiedziach, na jej zapytania, słowa się plątały. Ona zauważyła moje pomieszenie, ale to mi u niej nie zaszkodziło. Każde słowo, wychodzące z jej ust, każdy rzut jej prześlicznych oczu, każde jej poruszenie było zaprawione niewypowiedzianym wdziękiem. Król nie mógł się obejść bez jej towarzystwa, była ona nieodstępną jego przyjaciółką.

Było w obyczajach Zachodniej Europy, zwłaszcza we Francji, którą wszędzie usiłowano naśladować, że każdy król, książę krwi królewskiej i mąż, wysoki położeniem towarzyskiem, musiał koniecznie mieć przyjaciółkę. Król Stanisław, lubo pan pobożny i obyczajów nieskażonych, zastosował się do tego rozpowszechnionego zwyczaju. Przekonany jestem, że jego stosunki z panią de Boufflers w obliczu Boga były niewinne, ale ludzie inaczej myśleli i ona im się wydawała być tem, czem wówczas była margrabina de Pompadour, we Francji. Jakkolwiek bądź, przyjaźń królewska nie przyniosła szkody hrabinie; nie mała ona z niej korzystała dla wzbogacenia się, a nawet i na sławie nie musiała szwankować, kiedy wkrótce potem owdowiawszy, że wtedy i król ją odumarł, weszła w powtórne małżeństwo z księciem Luxemburskim, panem możnym, z wielkiej krwi Montmorancych. W lat kilkadziesiąt potem, w czasie wielkich zamieszek we Francji, widziałem w Warszawie jej syna, kawalera de Boufflers, męża wielce światłego, który już był sobie zjednał niepospolitą chwałę swojemi poetycznemi tworem.

Odtąd, aż do mojego odjazdu, ciągle obiadowałem w pałacu i tam przepędzałem moje wieczory. Hrabina była na mnie łaskawa, a król, który przez jej oczy widział, niemniej mnie zaszczycał swoją poufałością. Nawet czyniono mi propozycję,

żebym wszedł w służbę królewską, ale to nie mogło mieć skutku, gdyż honor mnie przywiązał do służby cesarzowej, a mój ojciec chrzestny i dobroczyńca, nigdyby na to nie pozwolił.

Bawiłem przez dwa miesiące w Lunewilu, czekając na dni ciepłe, by rozpocząć moją kurację w Bareżu; a te kilka niedziel nigdy nie wyjdą z mojej pamięci. Nigdzie przyjemniej czas mi nie schodził jak w Lunewilu. Na dworze królewskim poznałem świetne figury, z których składało się towarzystwo króla, jako: hrabia de Tressan, ksiądz Załuski, Vassimon, hrabia Choiseul, Savary i inni, którzy żywą i uczoną rozmową zabawiali króla. Przysłuchiwałem się i ja tym rozmowom. Resztę czasu mojego obracałem na nietyle światłe, jak niemniej przyjemne obcowanie z oficerami pułku Medoc i z różnemi domami lunewilskiem, do których mi wyjednali przystęp.

Król był wesołym i miłym w pożyciu; rządny bez sknerstwa, umiał być razem i oszczędnym i wspaniałym. Nie było dworu, któryby przewyższał lunewilski w wykwinności i gościnności; ale król wierał w rachunki swoich intendentów. Pewnie że grosz marnie nie poszedł, tak dalece, że uzbierał znaczne sumy, które zapisał swojej jedynaczce, królowej francuskiej, jej dzieciom, swoim dworzanom i sługom, każdemu z nich stosownie do jego zasług, bo o żadnym nie zapomniał. Cały dzień palił fajkę, której użycie jeszcze nie było tak rozpowszechnione jak później i hrabina de Boufflers od niej nie mogła go odzwyczaić. Rzadko kiedy jeździł konno, lubo swojego czasu był jeźdźcem zawołanym, a to dla otyłości, która mu zaczynała ciężać. Raz na dzień tylko jadał, ale obficie, i stół był u niego wyborny. Był poufałym ze sługami i nie było przykładu, żeby na którego z nich się zniecierpliwiał. Lubił żartować, a kiedy kto mu się dowcipnie odciął, nie tracił przez to u niego łaski, owszem w niej wzrastał. Po nabożnem mszy świętej wysłuchaniu z dworem swoim, który w tem stosował się do jego przykładu, cały ranek obracał na czytaniu książek i zajęcie się interesami państwa i tak pracował aż do trzeciej po południu. O tej godzinie, piechotą, jeżeli była pogoda, kolasa, jeżeli słońce, aż do piątej, w której obiadował, oddychał wolnem powietrzem; resztę dnia poświęcał zabawom. Co dzień w bilard, grę świeżo wymyśloną, grał godzinę wieczorem, zwykle z margrabią de



STANISŁAW LESZCZYŃSKI

Beaumont. Obaj byli mistrzami w tej grze; partja szła o dwa luidory, ale że ich siła była równa, więc po miesięcznym rachunku niewielka okazywała się różnica. Życie jego było nastrojone jak zegarek, dzień jeden był podobny drugiemu, bez najmniejszej odmiany. O wpół do dziesiątej co wieczór, dworzanin dzienny przynosił mu filiżankę galarety z pigw, i odbierał z rąk króla ostatnią jego w tym dniu fajkę, a za dworzaninem przychodził kapelan królewski, jezuita litewski, ojciec Korsak. Król odkładał napół wypróżnioną filiżankę, skłonił się towarzystwu, zawsze pocałował w rękę piękną hrabinę i z księdzem odchodził do swojej sypialnej komnaty, a za niemi dworzanin na służbie będący. Tam z kapłanem odmawiał wieczorne modlitwy, a o godzinie pół do jedenastej kładł się w łóżko, żeby nazajutrz o szóstej zrana być na nogach.

Tu muszę wspomnieć o jednym z najdziwniejszych i najosobliwszych igrzysk natury, któremu miałem czas przypatrzeć się w Lunewilu; chcę mówić o Bebe, karle nadwornym króla. Kto go nie widział, z trudnością uwierzy, by w ludzkim plemienu tak drobna istota mogła się wyrodzić. Miał dwadzieścia dwa cali całego wzrostu, a tak proporcjonalnych członków, że kunsztmistrze nie mogli dość go podziwiać. Drobna jego twarzyczka była wcale piękną; on też wiedział o tem i z największą wykwintnością się ubierał, w czem król mu dogadzał. Nie było rodzaju narodowego ubioru, żeby go Bebe nie posiadał. Po kilka razy na dzień się przebierał: raz za Hiszpana, raz za Turka, znowu pokazywał się kontuszowym Polakiem lub Węgrzynem w dolmanie. To wszystko bawiło króla i dworzan.

A chłopiec był złośliwy. Często przy obiedzie biegał na stole pomiędzy półmiskami, i pozwalał sobie nad domowemi i gośćmi uszczypliwych uwag, które królowi komunikował w języku polskim, po większej części biesiadnikom nieznanym, i tem więcej króla śmieszył. Zwłaszcza jego uwagi nad wdziękami kobiet, które siedziały za stołem, były osobliwszego rodzaju. Bebe był wielkiem ladaco i plotką, a zaufany w łaskę króla, nawet niejednego z dworzan złajał ostatniemi słowami, bo był gniewliwy, a nawet zawzięty i nieubłagany w nienawiści. Zazdrosny o łaskę króla, żadnego współzawodu znieść nie umiał; z tego powodu hrabiny de Boufflers cierpieć nie mógł. Razu

jednego w mojej przytomności takie jej powiedział głupstwo, że król rozgniewany rozkazał dać mu pięć różg, czem pigmejczyka tak obraził, że zamknął się w swoim pałacyku, który stał przy jednej ścianie bawialnego salonu i dwie doby tam siedział, bez przyjęcia żadnego pokarmu, głuchy na wzywający głos króla. Dopiero król, lękając się o jego zdrowie, obietnicą, że mu sprawi trzy nowe ubrania do jego wyboru, ubłagał go, że wyszedł przecie i znowu na stole po dawnemu zaczął go bawić.

Król był założył w Lunewilu szkołę rycerską, którą wielce się zajmował, nie szczędząc żadnych wydatków na sprowadzenie i utrzymanie najbieglejszych nauczycieli dla tej pięknej młodzieży. W tej szkole było kilku rodaków, których widywałem na pokojach królewskich, jako: pan Mycielski, którego ojciec spokrewnionym był z królem; pan Jabłonowski, jak ja Sandomierzanin; dwaj bracia Rudzińscy; pan Slizień, krajczyk litewski; pan Tyszkiewicz, który później był kasztelanem żmudzkiem i jeszcze kilku innych.

W czasie mojego pobytu na dworze króla, przybył nakoniec do Lunewilu pan Poniatowski, stolnik litewski, ale sam jeden, gdyż pan Rzewuski prosto pojechał do Paryża, spiesząc do doktora Quenel, żeby utwierdzić swoją kurację. Nie widziałem go więc, aż w kilkanaście lat później, kiedy już był marszałkiem nadwornym koronnym. W ciągu tych pamiątek będę o nim mówił. Pan Poniatowski cztery dni zabawił w Lunewilu, gdzie był przyjęty od króla, tak, jakby syn od ojca; dano mu apartament w pałacu. Mówiono u dworu, że choć w krótkim czasie, umiał on skłonić ku sobie serce hrabiny. Ale czy to wszystko prawda co ludzie mówią?

Pan stolnik uprzejmie mnie powitał, kiedy z uszanowaniem przybliżyłem się do niego; tyle był na mnie łaskaw, że ofiarował mi miejsce w swojej karecie i stół z mieszkaniem w Paryżu, byłem z nim pojechał. Podziękowałem mu za ten dowód jego łaski, ale go przyjąć nie mogłem, przedewszystkiem myśląc o ratowaniu mojego zdrowia, ile, że pora do rozpoczęcia kuracji wodnej już się zbliżała, a Paryż nadto wieleby czasu mi zabrał.

Po odjeździe stolnika, mieliśmy innego, znakomitszego gościa: Delfin przyjechał do Lunewilu, by nawiedzić Najjaśniejszego dziada. Można łatwo wystawić sobie radość króla z przybycia jedynego wnuka i jakie było tegoż wnuka przyjęcie. Mieszkańcy Lunewilu, na znak uszczęśliwienia z przybycia do ich murów przyszłego swojego pana, rześisto oświetlili miasto. Spalono przepyszny fajerwerk, po którym pojawiły się herby ojczysty i macierzysty Delfina w kształcie ognistych wytrysków. Omal że nie wszystka szlachta lotaryńska zjechała do Lunewilu, dla powitania dostojnego królewicza. Uczty i bale trzy dni trwały i to za dyspensą prymasa lotaryńskiego, gdyż to było w czasie wielkiego postu.

Delfin był wzorem wszystkich cnót chrześcijańskich, a jeżeli Bóg go zabrał w połowicy dni jego, nie dopuszczając mu panowania nad narodem, to chyba dlatego, że naród nie był godnym takiego króla. Dwór wersalski i wyższe towarzystwo Paryża nie lubiły Delfina, czego przykład dawał jego własny ojciec, król panujący. Jakże księżę pobożny i surowych obyczajów mógł się podobać zgrai bezbożnej i rozpasanej? Obwiniano go o bigoterję, bo tem nazwiskiem niektórzy obdarzają samą religję, a niedowiarstwo uchodziło już wtenczas za wygórowaną filozofję. Opinia odstraszała nawet panujących od pełnienia przepisów kościoła; już istniał teroryzm antichrześcijański, któremu dusze słabe ulegały wbrew wewnętrznemu przekonaniu. Mędrkowie owego wieku wzniecili byli w ludach obawę monarchów, którzy okazywali widoczną miłość dla religii, jak gdyby bojaźń Boga w panującym, nie była najoczywistszą rękojmią szczęścia poddanych. Delfin przez matkę był wnukiem jednego, a przez żonę zięciem drugiego króla polskiego; a nawet, acz wprowadzie z trudnością, mógł rozmawiać naszym językiem, bo miał niańkę Polkę i pierwsze wyrazy, które po wyjściu z niemowlęstwa wyszły z jego ust, były polskie. Kiedy był dzieckiem, królowa lubiła z nim mówić swoim rodowitym językiem, a że pierwsze wrażenia trwale się zachowują, więc te pierwsze nauki przynajmniej w części w nim pozostały. Kiedy mu byłem przedstawiony, przemówił do mnie łamaną polszczyzną, ale już tem samem uchwycił mnie za serce, a coś dopiero kiedy doświadczyłem na sobie jego wspaniałomyślności!

Rzecz była taka. Polacy u siebie kłócą się między sobą aż nadto często, ale gorliwie podtrzymują jeden drugiego, kiedy są między obcemi. Delfin znał pana Jankowskiego, bo król Stanisław często go posyłał do Wersalu z listami do królowej córki i Delfina wnuka; miał więc łatwy przystęp do tego ostatniego. Otóż, jak się później o tem dowiedziałem, kiedy go Delfin zapytał co ja za jeden, on mu powiedział, że jestem zacnym polskim szlachcicem, ale zmuszony ubóstwem, musiałem szukać losu w obcej służbie; że dosłużyłem się stopnia majora, ale otrzymawszy kilka ran, które zaszkodziły mojemu zdrowiu, jadę do Bareżu dla jego poratowania z bardzo małemi środkami, które na to otrzymałem od cesarzowej, terazniejszej mojej pani. Po tej rozmowie Delfin kazał mnie przywołać do siebie i powiedział:

— Jesteś Polakiem, jak mój dziad i moja matka, a więc nie jesteśmy dla siebie obcemi. Wiem, że się udajesz do wód z powodu szlachetnych ran, jakie poniosłeś; wiem także, że ze zbytnią oszczędnością cię wyprawili, pozwól, by zięć twojego króla przyczynił się do wrócenia mu zdrowia.

I to mówiąc wsunął w dłoń moją dwa ładunki. Ucałowałem jego dobroczynną rękę, a kiedy wróciwszy do siebie, obliczyłem co było zawartego w tych ładunkach, znalazłem sto luidorów. Nigdy w życiu mojem nie byłem tak bogaty. Nazajutrz zrana poszedłem wedle mojego zwyczaju słuchać mszy świętej w kościele OO. Jezuitów, a po mszy udałem się do ojca rektora, by mu wręczyć dziesięć luidorów dla ubogich; gdyż stosując się do prawa Boskiego, odkąd żyję o własnym chlebie, mam w zwyczaju kościołom i ubogim opłacać dziesięcinę z każdego mojego przychodu.

Zaczynaliśmy już Wielki Tydzień, gdyż w tym roku Wielkanoc była wczesną; a że Delfin spieszył na święta do Wersalu, pożegnał więc króla. Byłem świadkiem ich rozstania się; w ich pożegnaniu było coś rozdzierającego serce, bo wyraźnie mieli jakby przecucie, że już się na tym świecie po raz ostatni widzą. Kiedy król błogosławił wnuka, oba rzewnie płakali, i nie było wśród nas, licznych tego czułego ustępu świadków, ani jednego, któryby na to patrzył suchem okiem. Niestety! przecucia dziada i wnuka się ziściły. Wkrótce po powrocie swoim

do Wersalu, Delfin zapadł na zdrowiu i po kilku dniach niemocy przeniósł się do lepszego świata. Różnie mówili o tej śmierci; zawsze na świecie są ludzie gotowi dopuścić się wszystkiego złego. To pewna, że we Francji nie było pocziwego człowieka, któryby łzami nie uczcił pamięci tego czcigodnego królewicza; co się zaś tyczy dworu, jakem słyszał, jego śmierć niewielkie na nim sprawiła wrażenie. Jakże dwór tak rozpasany miał żałować spadkobiercę tronu, który go obrażał przykładem najrzadszych cnót, a w którym wszyscy pobożni Francuzi upatrywali drugiego świętego Ludwika?

Już król był mi oświadczył żądanie, bym został na świętach w Lunewilu. Nadeszła Wielkanoc, którą król obchodził wedle polskich obyczajów. Po nabożeństwie, jak zwykle, kazał zaprosić na święcone wszystkich tych, którzy byli w kościele. Można sobie wyobrazić, jaki tłum wtoczył się do pałacu; była to mieszanina wszystkich stanów w równości religijnej, jedynej, jaka może istnieć na tym padole płaczu. Król i panowie dworu roznosili wszystkim pokrajane jaja i u jednego stołu pożywali święcone jadła, ciesząc się wspólnie rocznicą Zmartwychwstania wcielonego Boga i Odkupiciela rodu ludzkiego. Był to obrzęd wprowadzony do Lotaryngji przez króla Polaka, obrzęd miły narodowi, bo przypominający najbiedniejszemu prostaczkowi jego braterstwo, nie tylko z władcami doczesnymi narodów, ale z samym Bogiem, gdyż Ten, w łonie Przenajświętszej Dziewicy zjednoczył Swoje Bóstwo z naszą naturą i rzeczywistym został człowiekiem, za co niech Mu będzie cześć i chwała na wieki wieków.

Święcone było przepyszne; wszystkie sale pałacu i jego sień były zastawione stołami, przy których ogromna masa narodu się nakarmiła. Król, jakkolwiek umiarkowany w wydatkach, w dniu tym niczego nie szczędził; to tylko zasmucało nieco naród, że nie okazywał zwykłej wesołości. Odjazd Delfina ciążył mu na sercu i my wszyscy to zauważyli.

Po świętach, to jest we środę, miałem u króla pożegnalne posłuchanie. Jego dobroć nigdy mi nie wyjdzie z pamięci. Nie tylko że mi oświadczył życzenie wszelkich pomyślności w moim zawodzie, w wyrazach najwrażliwszych dla mojego serca, ale dał mi na pamiątkę złotą tabakierkę ze swoim wizerunkiem, tak

do niego podobnym, że patrząc na ten konterfekt, zdawałoby się, że w nim jest życie.

Dziwne było przeznaczenie tej tabakierki. Oka w głowie nie pilnowałbym z taką troskliwością, z jaką pilnowałem przez lat kilkadziesiąt tego drogiego skarbu, a jednak dobrowolnie z nim się rozstałem. Wnuk króla Stanisława, Ludwik XVIII, dziś szczęśliwie panujący w swojej ojczyźnie, będąc w tułactwie z powodu wielkiego rokoszu francuskiego, osiadł był przez czas niejaki w Warszawie, gdzie i ja mieszkalem, będąc wtedy poddanym króla pruskiego. Nie omieszkałbym złożyć hołdu uszanowania synowi i wnukowi moich dobroczyńców. Prawy król Francji łaskawie mnie przyjął, a że mógł mówić ze mną o swoim dziadzie, którego pamięć w sercu zachowywał, więc mnie upoważnił do częstego nawiedzania jego najjaśniejszej osoby, tak, że co drugi dzień miałem zaszczyt być dopuszczonym do niej, a nawet kilka razy siedziałem za jego stołem. Otóż razu jednego, gdy mu pokazałem moją tabakierkę, tak zachwycony został podobieństwem wizerunku, że aż wykrzyknął. Rzekłem więc:

— Najjaśniejszy Panie! za największe szczęście poczytałbym sobie, jeżeli Wasza Królewska Mość raczysz tę tabakierę przyjąć odemnie.

Król mi na to powiedział:

— W teraźniejszym mojem położeniu, takiego upominku przyjąć nie mogę, gdyż nie jestem w możności wywiązać się stosownem obdarowaniem.

— Taką wiarę — odpowiedziałem — pokładam w prawości monarchicznej, że ani wątpię o przyszłej pomyślności Waszej Królewskiej Mości; a jak Najjaśniejszy Pan usiądziesz na nowo na tronie przodków swoich, jak to kiedyś uczynił nasz Łokietek, wtedy przyjmę znak jego łaskawej pamięci o mnie. Z krwi Waszej Królewskiej Mości otrzymałem ten dar, najwłaściwiej, żeby do niej powrócił; zwłaszcza, że nie mam potomków, którym przekazałbym go na zachowanie.

Król zmiękczony moją prośbą, przyjął tabakierkę i odtąd ciągle ją nosił przy sobie, bo zażywał tabakę; ale kiedy zrządzeniem Opatrzności powrócił do używania swoich praw, w kilka miesięcy po powrocie, przypomniał sobie poniekąd dług u mnie zaciągniiony. Napisał więc do mnie list pełen wyrazów dla mnie

zaszczytnych, a przy nim dołączył złotą tabakierkę z swoim własnym wizerunkiem, prześlicznie malowanym, a otoczonym kosztownymi brylantami. To wszystko było mi wręczone w Warszawie przez hrabiego de Noailles, jego posła przy dworze Cesarско-Królewsko-rosyjskim.

Namawiano mnie, bym jechał do Paryża, mając takie zadatki łaskawego przyjęcia od króla; ale gdzie mnie staremu na tak daleką podróż się puścić. Gdybym był cokolwiek młodszym, anibym się wahał; chociaż się i to wyda dziwnem, że lubo całą Francję przejechałem, bo z Strassburga do Bareż, stamtąd do Genewy, a nigdy w Paryżu nie byłem.

VII.

Sroda po-wielkanocna była ostatnim dniem mojego dwumiesięcznego pobytu w Lunevilu. W dniu tym, dworzanie, rodacy moi, dali wielki obiad, *in gratiam* naszego rozstania się. Obiad był *Pod Złotym Sępem*; nakryto na trzydzieści osób, bo oficerowie, moi znajomi z pułku Medoc, byli zaproszeni, oraz i wielu dworzan. Suto było i w jadłach i w napojach; musiałem przewyciężyć wstręt do trunków i uraczyć się jedyny raz w życiu, ale to dało się we znaki mojemu zdrowiu, bo całą noc przechorowałem i w ciągu mojej podróży byłem cierpiący, tak, że zmuszony zostałem całą dobę zatrzymać się po drodze w Nevers. Tameczny doktor dał mi jakieś krople, które mię od dolegliwości wyzwoliły.

Jechałem dylizansem, sposób podróżowania wcale niemiły, zwłaszcza choremu; ale zatrzymawszy się w Nevers, wydarzyła mi się szczęśliwa okoliczność. Gospodarz austerji, do której zjechałem, gaduła i ciekawy jak wszyscy jego fachu, dowiedziawszy się odemnie, iż dążę do Bareżu i że dylizans mi obrzydł tak dalece, że milejby mi było piechotą podróżować, niżeli siedzieć w takim ścisku i być na woli konduktora, skwapliwie wykrzyknął:

— A to najlepiej! Do mnie zajechał wczoraj jeden pan zagraniczny, w własnym wygodnym pojeździe, udaje się do wód tych samych co i pan, jak to zapisać raczył w księdze podróżnych. Powiedział mi, że radby mieć towarzysza podróży, któryby poniósł w połowie jej wszystkie wydatki. Jeżeli pan ży-

czysz sobie wygodniej podróżować przy cokolwiek większym koszcie, oświadczę chęć pańską tamtemu panu, a interes będzie załatwiony.

Byłem przy pieniądzach, więc kilkadziesiąt franków nadatku nie mogło mnie przestraszać, chętnie na wszystko przyzwoliłem. Gospodarz spiesźnie poszedł do swojego gościa i jeszcze spieszniej powrócił. Interes był załatwiony.

Poznałem się przy śniadaniu z moim przyszłym towarzyszem podróży. Wyraźnie Bóg mną się opiekował, bo tą nową moją znajomością był hrabia Hohental, siostrzeniec hrabiego Brühla, który okryty faworem króla Augusta, władał Polską i Saksonją, a on sam był generał-adjutantem królewskim, chociaż nie miał jeszcze lat czterdziestu. To wszystko mi opowiedział, ja mu też nawzajem się opowiedziałem. Nie mogliśmy uważać siebie za obcych, byliśmy poddanymi tegoż samego pana, byłem jak on ozdobiony krzyżem saskim. W ciągu podróży wygodnej, bośmy nigdy nocą nie jechali, tak zaprzyjaźniliśmy się z sobą, że hrabia wymógł na mnie, iż w czasie wodnej kuracji mieliśmy żyć i mieszkać razem *tabula franca*.

Powszechnie nie ma nic gorszego dla szlachcica małego majątku, jak bratać się z wielkimi panami i wciskać do ich zażyłości; tem zaszkodzi sobie na szacunku u swoich, a na przyjaźni możniejszych się zawiedzie. Bądź sobie chudy pacholku sługą pańskim, jeżeli jego chleba potrzebujesz, ale broń ciebie Boże być pańskim przyjacielem. Jeżeli masz sobie zabezpieczoną siaką taką niepodległość, szanuj panów, ale od nich stój zdaleka. Stosunki z możnemi narażą cię nawet na wydatki, bo zmuszonym zostaniesz cokolwiek odstąpić od trybu życia właściwego mierności. Na jednego pocziwego szlachcica, który się pańską przyjaźnią szczycił, a tem siebie wzbogacił, dwudziestu możnaby policzyć takich, których ta przyjaźń doprowadziła do nędzy, nawet w czasach, kiedy panowie myśleli i działali po pańsku, a cóż dopiero teraz?

Ubogi przyjaciel bogacza, będzie uchodzić zawsze w obliczu społeczeństwa za napiętnowanego jakąś podłością, bo cóż oprócz pieniędzy od niego dostać może; a czy je dostanie? Inna była rzecz, kiedy panowie dzierżyli w ręku svojem siłę publiczną i piastowali wysokie urzędy; a jednak i wtedy nawet była, choć w małej ilości, szlachta, która poprzestając na swojej złotej

mierności, nie rada była zbliżeniem się do panów, narażać na utratę swojej niepodległości.

Teraz i panowie i szlachta znikają, że wkrótce pozostaną tylko bogacze i ubodzy, a między nimi tacy, którym los nie pozwala zbytku, ale mają czem zaspokoić swoje rzeczywiste a nie urojone potrzeby. Jeżeli który z takich ubiega się o przyjaźń bogacza, godnym jest politowania, bo można iść w zakład, że przyszłość mieć będzie smutną, i że pójdzie w poniewierkę.

Jeżeli w tem prawie rozsądku, ostrzegającym człowieka ograniczonych dostatków, by nie szukał przyjaźni u ludzi, którym środki pozwalają puścić wodze wszelkim wymysłom zbytku, może być jakieś wyłączenie, to oczywiście dla Niemców, bo umiarkowanie jest cechą obyczajów niemieckich. Bogacz u nich nie zacierza uboższego lekceważeniem wydatków, ani usiłuje zwrócić ku sobie szacunek powszechny okazałością życia. Tam bogaty, z tym co ma pomierny przychód, żyć może w ścisłej przyjaźni, bo jeden może nie wiedzieć o drugim, jaki jego stan majątkowy. Pierwszy drugiego do swojego obiadu nie zaprosi, ale w dzień świąteczny obok siebie mogą zasiąść poza jednym stołem, a każdy za swoje pieniądze naje się i napije. Mówię w dzień świąteczny, bo naród niemiecki we wszystkich stanach jest zanadto pracowity, by w dniu powszednim miał się oddać próżnowaniu. Służąc między Niemcami, przez co nieustanne z nimi miałem stosunki, nauczyłem się od nich oszczędności, umiarkowania i miłości do pracy.

Pod tym względem moje stosunki z hrabią Hohental były dla mnie niewypowiedzianie miłe. Dowiedziałem się, ale aż w kilka lat później, że był bardzo bogatym, poznawałem tylko, że musi się mieć dobrze, kiedy własnym pojazdem podróżował, ale cóż mogłem wiedzieć o ilości jego przychodów, kiedy mi o nich nigdy nie wspominał.

Prowadził ze mną najsumienniejszą w ścisłości rachunkowość, czy to za ekspans na konie pocztowe i tryngielly pocztyljonom, czy za stancją, którąśmy wspólnie zajmowali w Barež. On swoją, ja moją część wydawałem, a hrabia wszelkie wydatki zapisywał. Nikogo nie zaprosił ani na obiad, ani na wieczór, sprawunków jak najmniej zrobił, nie więcej odemnie tracił chudego Derwisza; ale odjeżdżając z Barež po kuracji wodnej, zo-

stawił trzy tysiące franków u miejscowego proboszcza na ubogich, wstydzących się żebractwa.

Zacny to był człowiek z każdego względu i Bogu dziękowałem, że mi dał takiego kompana, chociaż nie przewidywałem, że kiedyś będę miał dla niego powody wdzięczności. Poznałem jego serce, rozstając się z nim w Bareż, gdyż jechał do Paryża, gdzie całą zimę miał przepędzić. Otóż ten człowiek, który nierozważnie jednego szeląga nie rzucił i stołował się ze mną w jednej z tańszych restauracyj bareżskich, powiedział do mnie:

— Mój przyjacielu, bądź ze mną otwartym, jeżeli potrzebujesz pieniędzy, oto masz sto luidorów, które mi dziś są zbywające, a tobie może się przydadzą. Za szczęśliwego siebie mieć będę, jeżeli nie odrzucisz mojej przysługi.

Musiałem mu pokazać moje pieniądze, żeby go przekonać, że nie jestem potrzebny. Rozstaliśmy się z prawdziwym żalem; ale jak to się później pokaże, połączyliśmy się wprzód, niż tego mogli się spodziewać.

W czasie naszego pobytu w Bareż, nie było oprócz mnie żadnego Polaka, ale za to mnóstwo Hiszpanów, Anglików i Gaskończyków obojej płci. Spotykałem ich codzień przy źródle, albo na przechadzce i w sali publicznej, ale ani hrabia, ani ja, nie zabraliśmy z żadnym z nich poufałej znajomości. Po upływie niespełna miesiąca, zjawił się tam i Polak, który później wielkie sobie zrobił imię w naszym narodzie: był to pan Trembecki. Umarł on temu lat kilka w podeszłym wieku, bo był odemnie o kilka lat starszy. Słyszałem, że pod koniec życia oddał się był wielkim dziwactwom; co mnie bynajmniej nie zadziwiło, bo patrzyłem na dowody jego skłonności do wszelkich niezwykłości, wtedy, kiedy nie mogłem się domyślać, że obcuje z tym, który miał kiedyś być uznanym za pierwszego poetę polskiego.

Był z niego osobliwszy człowiek. Odważny i zuchwały, a do tego mistrz w fechtunku, niepomiarkowany w popędliwości, już był głośny we Francji z mnóstwa pojedynków swoich, nazywano go zabójcą margrabiów. W samej rzeczy wielu z nich pozabijał, za co osadzony był w Bastylji, z której go wypuszczono na wolność za wdaniem się królowej Marji Leszczyńskiej; ale ta rekolleksja bynajmniej nie odmieniła jego natury, gdyż po niej mnóstwo nowych awantur napłatał.

On tylko jeden tydzień bawił w Bareżu, po drodze do Hiszpanji. Miał z sobą piękną kobietę, żonę jednego z pierwszych bankierów paryskich, którą wykradł od męża. Jako sprawcy gwałtu, trzebaby mu było jak najspieszniej przeprowić się przez granicę, od której był tak blisko; jednak przez dziesiątek dni zatrzymał się w Bareżu, a to z powodu, że już pierwszego dnia przybycia swojego zaszedł do gry, gdzie mu szczęście posłużyło; nazajutrz to samo, tak, iż bajeczne, że tak powiem, sumy w ciągu niedługiego pobytu powygrywał. Złoto też jakby plewę rozrzucał.

Że mu się udało nie być ściganym, stąd pochodziło (co zapewne dziwić powinno), że tu dał się poznać pod prawdziwem swoim nazwiskiem. Ponieważ miał przydomek Prus, w Paryżu, gdzie kilka lat przesiedzia, kursował pod nazwiskiem *le Comte de Prusse*, tak, że mało kto wiedział, iż on nazywał się Trembecki, więc szukano go wszędzie indziej, nie tam, gdzie się znajdował.

Jakem wyczytał to polskie nazwisko w książce, w której goście u wód się zapisują, zaraz starałem się zabrać z nim znajomość. On też z wielką uprzejmością ten krok mój przyjął i przedstawił damie, z którą podróżował, jakoby swojej żonie; ale ja z pierwszego rzutu oka poznałem, że to była awanturnica. Była to kobieta rzadkiej piękności, ale przytem tak wielka grymaśnica, że nieustraszony Trembecki bał się jej jak ognia. O naturze jego stosunków z tą jego towarzyszką na pewno dowiedziałem się dopiero w kilka lat później, kiedy z rozrządzenia Opatrzności jużemy obadwa mieszkali pod jednym dachem w Warszawie.

Hrabia Hohental często mi wymawiał, że przestaję z takim rozpustnikiem, karciarzem i burdą, jakim był pan Trembecki i sam od niego stronił; ale trudno mi było w oddaleniu od swoich, nie zbliżyć się do rodaka niepospolitego rozumu, który obejściem swoim dawał mi dowód, że miał dla mnie szacunek.

Gdyby się był dłużej u wód zatrzymał, możeby się nakoniec doigrał, żeby go tam schwytano, bo mąż tej drugiej Heleny gorliwie go szukał; ale przy grze, bankier, który trzymał karty, a był awanturnikiem determinowanym, jak zwykle ci, co podobnem bawią się rzemiosłem, zrobił mu kwestję o jedną kartę, którą

był postawił, opatrzywszy ją kilku garściami złota. Stąd kłótnia; koniec końcem pan Trembecki, najgwałtowniejszy człowiek na świecie, a do tego śledziennik, uderzył go w głowę tak, iż ze stołkiem się przewrócił. Z tego nazajutrz wywiązał się pojedynek i pogrzeb, bo pan Trembecki ugodził go szpadą w samo serce, lubo ów szuler uchodził za wielkiego fechtmistrza i w to najwięcej ufał, że był mańkutem. Po tym wypadku, może trzydziestym podobnego rodzaju, pan Trembecki z dobrze obłożoną kieszenią, nie zapomniawszy zabrać z sobą swojej *belli*, uciekł do Hiszpanji; a jakim się o tem później dowiedział, jego mniemana żona wznieciwszy ku sobie zapal jakiegoś lorda w Madrycie, uciekła z nim do Anglii.

Pan Trembecki, z którym później jako z kolegą żyłem w najściślejszych stosunkach, ale wtedy już był znacznie utemperowanym, był osobliwszym człowiekiem. Urodzony w województwie krakowskiem w domu starożytnym, z rodziców bardzo bogatych, których w dziewiętnastym roku swojego żywota został jedynym spadkobiercą; nie dokończywszy zupełnie szkół, objął majątek i wkrótce go strwonił za granicą, gdzie około dziesięciu lat hulał, oddany najwyuzdańszej rozpuście. Nie było namiętności, którejby się oparł; a jednak przy takim rozpasaniu umiał wykształcić swój rozum, nie było bowiem nauki dla niego obcej, nie było języka europejskiego, którymby się nie tłumaczył z łatwością; nawet został wielkim łacinnikiem. Trudno pojąć, kiedy miał czas nauczyć się tego wszystkiego, co umiał, ale któż odgadnie drogi, po których genjusz postępuje? Strwoniwszy i ojcowiznę i matczyzną, zmuszony został pracować dla kawałka chleba. Czas niejaki utrzymywał się w Brukselli, dając lekcje fechtunku i języka włoskiego. Jak to często bywa z prawdziwemi genjuszami, odkryła się w nim zdolność pisarska, bez żadnych prób poprzednich. Miał przeszło lat czterdzieści, kiedy się pojawił odrazu jako najpierwszy poeta swojego kraju, a oświecona wówczas nasza publiczność przyznała mu to na jego wstępie. Został ulubieńcem króla Stanisława Augusta, pana miłującego z zapalem literaturę nadobną, którego zachwycał swojemi czarującemi wierszami. Najmożniejsi panowie polscy dobijali się o jego przyjaźń, żeby uchodzić za uczonych. On do najwyższego stopnia podniósł potęgę naszej mowy i ani w XVIII wieku,

ani w tym, co po nim nastąpił, nikt mu nie sprostął w toku i harmonji wiersza. Wieleż razy mnie samemu zdarzało się słyszeć: *Dzień siódmy września*, i *Gościa w Heilsbergu*, powtarzanych napamięć, z akcentem zagranicznym, przez nasze zfrancuziałe damy wielkiego świata! Bo to, co jest prawdziwie piękne, zawsze się Polkom podoba.

Po odjeździe hrabiego Hohental, zatrzymałem się jeszcze kilka tygodni w Bareżu, dopóki nie skończyłem kuracji wodnej, stosownie do przepisu lekarza, któremu się oddałem. Znacznie pokrzepiłem swoje zdrowie. Bóle, jakich doświadczałem w krzyżach, ustały, tylko przed każdą zmianą powietrza czuć mi się dawały, ale znośnie; tyle tylko, że odtąd na koniu długo siedzieć nie mogłem. Poznałem więc, że trzeba się pożegnać z żołnierskim chlebem, co tem więcej mnie martwiło, że wojna jeszcze trwała, lubo już zanosilo się na rychły pokój. Co się zaś tyczy kuli, która się usadowiła w kości, stało się z nią tak, jak mi to przepowiedział doktor Brambilla: nosiłem ją do pięćdziesiątego roku wieku mojego, czując często jak mi się zniża; aż nakoniec wyrznęła się w udzie, tak, że z łatwością pan Marchilewicz, chirurg biegły w swoim kunszcie, a mój przyjaciel, wydobyl z ciała tego nieproszonego gościa.

Taniość wówczas była wielka, kto się nie oddawał zbytkom, z łatwością mógł wyżyć z miernym funduszem. Kiedy w wigilję mojego wyjazdu uporządkowałem na czysto rachunki z moich wydatków od wyjazdu z Wiednia, pokazało się, że nie przenosiły sześćdziesięciu czerwonych złotych; a jednak od siedmiu miesięcy bawiłem we Francji. Miałem więc o czem powracać do Wiednia, gdyż dar cesarzowej jeszcze w połowie zostawał nietkniętym, nie licząc tego, co mi dał Delfin, z czego tylko dziesiątą część wydałem, a raczej oddałem na procent Panu Bogu, jak się o tem powiedziało; a jednak, stosownie do moich potrzeb, niczego sobie nie odmawiałem.

Miałem wielką chętkę poznać Paryż, ale tej chęci nie dogodziłem. Nie chciałem wracać na Lunevil, bo ten był w żałobie z powodu śmierci Delfina; więc za radą mojego lekarza odesłałem dyliżansem mój bagazik do Lyonu, a sam puściłem się piechotą do tego miasta przez Langwedocję. Pierwszego dnia uszedłem pół mili, drugiego trochę więcej, tak, że nakoniec dwie

mile na dzień z łatwością robiłem. Ta podróż wielce mi posłużyła. Za granicą, a zwłaszcza we Francji, taki rodzaj podróży bez trudności się odbywa; prawie co tysiąc kroków można napotkać gospodę, gdzie się znajduje wieczerza, pościel i najsmaczniejsze owoce. Przynajmniej doświadczyłem tego w Gaskonji i Langwedocji.

We Francji wiele osób odbywa piechotą choćby i dalekie podróże, dlatego nigdy nie byłem osamotniony, owszem zawsze miałem obok siebie towarzyszków. Wprawdzie tak często się zmieniali, że nie miałem czasu z nikim zabrać ściślejszej znajomości, ile, że chodziłem powoli i w każdym miasteczku się zatrzymywałem, mając dosyć czasu przed sobą; ale że Francuzi są towarzyscy i z niewypowiedzianą łatwością lgną do tych, których po raz pierwszy widzą, więc chodząc i zatrzymując się po gospodach, nie miałem czasu myśleć, a ciągle musiałem odpowiadać na zapytania, lub słuchać opowiadań coraz nowych towarzyszy podróży. Dopiero już blisko Lyonu złączyłem się z kapucynem, który mając w tem mieście obediencję, dążył do niego z Birturcji, gdzie dotąd mieszkał, i w ostatnich trzech dniach podróży nie odstąpił odemnie. Gdzie tylko się zatrzymaliśmy, czy na popasach, czy na noclegach, fundowałem mu wino. Nie miałem powodu żałować tego małego wydatku, raz, że kapucyn był przyjemnym w obcowaniu; powtóre, że w Lyonie oprowadzał mnie wszędzie, tak, że żadnego miasta lepiej nie poznałem, lubo tylko cztery dni w niem bawiłem.

Lyon był uważany we Francji jako drugie miasto po Paryżu. Nie wiem jaka teraz jego dola, ale w owym czasie był on grodem ludnym, zamożnym i nie zdarzyło mi się widzieć nigdzie więcej przemyślnych i pracowitszych mieszkańców. W dzień powszedni trudno było spotkać kogo na ulicy, każdy siedział bądź w swoim sklepie, bądź przy warsztacie i w tej pracowitości jedna płeć z drugą szła na wyścigi. Ale zato w dni świąteczne ogrody publiczne były przepełnione biesiadnikami, odzianymi nie tylko porządnie, ale nawet wykwintnie. Kapucyn oprowadzał mię po warsztatach, najwięcej było takich, gdzie się wyrabiały tkanki złota i jedwabiu. Jakież tam były bogactwa! Trzeba wiedzieć, że Polacy mieli wziętość w Lyonie, z powodu wielkiej ilości litych pasów, króre corocznie posyłane były do Polski.

Wprawdzie książę hetman Radziwiłł założył był fabrykę pasów w Słucku, która niemały miała odbyć, ale cóż to było dla potrzeb kraju, gdzie omal że nie każdy szlachcic miał przynajmniej jeden pas lity? Nietylko pasy i ornaty szły do Polski, ale nawet za materje jedwabne mnóstwo polskiego grosiwa przychodziło do Lyonu i wzbogacało jego mieszkańców. Zwiedziłem kościół archikatedralny, piękny gmach starożytnego budownictwa. Kanonicy katedralni mieli wielkie przywileje, każdy z nich nosił tytuł hrabiego lyońskiego i posiadał hojnie uposażoną prebendę; ale żeby dostąpić do ich grona, trzeba było złożyć trzydzieści dwa ojczystych i macierzystych herbów. Byli to więc wszyscy panicze z najświetniejszych rodzin Francji. Razu jednego wnuk króla Ludwika XIV, książę burgundzki, który umarł Delfinem, nie doczekawszy się korony, przejeżdżając przez Lyon, zapytał proboszcza katedralnego:

— Gdybym wstąpił do stanu duchownego, czy kapituła lyońska przyjąłaby mię za członka?

— Nie, Najjaśniejszy książę — odrzekł tenże.

— A to dlaczego? Wszakże jestem zacie urodzony?

— Prawda, mości książę, ale krew Medyceuszów skaziła genealogję panującej linii rodziny Burbonów.

Kanonicy lyońscy byli dumni z swojego urodzenia, żyli okazale, ale dawali przykład wielkich cnót i niemało dobrego świadczyli ubogim.

Z pomiędzy gmachów, które w Lyonie zwiedziłem, najwięcej mi się podobał kościół na górze, z której widok był na całe miasto. Ten kościół, założony przez dawnych Rzymian, w czasie kiedy rozciągali swoje panowanie nad całym wówczas znanym światem, nazywał się *Forum Veteris*, które to nazwisko Francuzi przekreśli na *Église de Notre-Dame de Fourviere*. Jest to gmach wspaniały, wewnątrz posępny, ale pobudzający do pobożności. Nigdzie nie doświadczyłem podobnego podniesienia ducha, jak w tym kościele.

Byliśmy już w październiku; pora roku najprzyjemniejsza w południowej Francji, gdyż jest epoką winobrania. Korzystałem z ostatka jesieni, żeby zwiedzić wielką Kartuzję w Delfinach i całą Prowancję, czasem dyliżansem, a najczęściej piechotą; ale lękając się podróży w porze chłodnej, postanowiłem zimować

w Awinjonie, mieście papieskiem, do którego przybyłem 20 listopada.

Awinjon nie był wielkiem miastem, ale położonem w najpiękniejszej okolicy; klimat jego jest tak łagodny, że w ciągu całej zimy ani jednego nie było dnia, w którymby ciepłomierz stał niżej ośmiu stopni. Niema miasta, gdzieby taniej żyć można było. Zgodziłem kwaterę i wikt za trzydzieści franków miesięcznie i miałem tę wygodę, jakiej potrzebowałem, to jest: zrana kawę z żółtkiem od jaja, gdyż śmietanka wchodziła tam do rzeczy zbytowych; o trzeciej popołudniu obiad, złożony z podławy i trzech potraw; na wieczrę trzy jajka na miękko gotowane i salaterkę sałaty; do tego izba niewielka, ale wygodnie umeblowana i pościel czysta; czegoż więcej potrzeba? Był to rodzaj konwiku, utrzymywany przez poczciwą wdowę, która miała własną kamienicę. Było nas ośmiu konwiktów: dwóch księży włoskich, ludzi światłych, którzy mieli posadę w Awinjonie; trzech młodych kawalerów z okolic Carpentrat, którzy chodzili do szkół; jeden oficer francuski, kryjący się w Awinjonie z powodu pojedynku ze swoim przełożonym i syn jakiegoś kupca holenderskiego, który dogorywał z choroby piersiowej. Osiadł on był w Awinjonie w nadziei, że łagodny klimat wróci mu zdrowie; ale zawiódł się nieborak, gdyż w drugim miesiącu mojego tam pobytu, umarł na rękę tych dwóch księży, o których dopiero wspomniałem i umarł katolikiem, gdyż nie było sposobu w tem papieskiem mieście znaleźć pastora jego wiary. Ja byłem ósmym.

W ciągu tej niby zimy, którą przepędziłem w Awinjonie, żyłem tylko z naturą i książkami, gdyż oprócz tych, co się ze mną stołowali, z nikim nie zabrałem znajomości. Dzień mój był tak rozporządzony: wstawałem o piątej zrana, o wpół do szóstej chodziłem do kościoła Dominikańskiego, by mszy świętej wysłuchać. Po mszy chodziłem po mieście do ósmej; o ósmej wracałem do domu na kawę, a po jej spożyciu, brałem się do czytania książek, których mi dostarczał księgarz, obok naszego domu mieszkający, za dwa franki na miesiąc. Czytałem do południa i przez to posiadałem gruntownie język francuski, pomimo mojego polskiego akcentu, którego pozbyć się nie mogłem. O południu wychodziłem znowu na przechadzkę, aż do obiadu; po

obiedzie znów czytałem, aż do szóstej. Dwa razy w tygodniu chodziłem na operę, która wcale dobrze z samych Włochów była złożoną; zawsze lubiłem muzykę, a więc śpiew tych Włochów mnie zachwycił. O dziewiątej wracałem do siebie, do jaj i sałaty; o dziesiątej byłem już w łóżku. Kiedy nie było opery, o siódmej wieczór już byłem w domu i tam bawiłem się w salonie naszej gospodyni z temi, z którymi obiadowałem. Robiłem czasem wycieczki w okolice; poznałem Valkiuzę, ową krynicę tak potężną, że już przy wyjściu swoim dźwiga statki, a którą unieśmiertelnił Petrarca. Nie umiając ani słowa po włosku, zacząłem rozmawiać z księżmi Włochami, ratując się łaciną; pod koniec zimy już z łatwością tłumaczyłem się w tej mowie, a nawet przy ich pomocy wprowadziłem się do czytania książek, obiecując sobie, że w Wiedniu zadziwię i Brambillę i Metastazego tym moim nabytkiem.

VIII.

Pierwszego maja, nie bez żalu opuściłem Awinjon i udałem się przez Szwajcarję do Insbrucku. Tam wdziałem na nowo mundur, który od kilku miesięcy spoczywał w mojej walizie. Insbruck był miastem wojennem, trzeba mi więc było meldować się władzom wojskowym. Generał Strasoldo był komenderującym w Tyrolu; człowiek stary, kiedyś żołnierz zawołany, ale który odbywszy swoje, miał sobie dany zarząd Tyrolu, jakby łaskawy chleb; a że był rodem z Trydentu, znajdował się więc między rodakami i wielce był od nich lubiany. Był to mąż wielkiej poczciwości i sprawiedliwości; a że posiadał zaufanie cesarzowej Marji Teresy, używał go dla dobra Tyrolczyków. Kiedym się jemu przedstawił, przyjął mnie łaskawie i nazajutrz kazał mi być u siebie na obiedzie. Na nim wiele mówił o generale Szybilskim, z którym żył w przyjaźni i powiedział mi:

— Już to samo, żeś pozyskał względy Szybilskiego, za wacpanem przemawia; zastaniesz go w Wiedniu, gdzie od dwóch tygodni bawi. On rokiem tylko odemnie młodszy, już i jemu czas odpocząć. Cóż z sobą dalej wacpan myślisz zrobić?

— A cóż? panie generale, choć wody pirenejskie i powietrze południowych stref wyleczyły niby moje zdrowie, uszkodzo-

ne od kilku ran, jednak w krzyżach noszę kulę, a na koniu siedzieć nie mogę; rad nie rad muszę podziękować cesarzowej za służbę. Jeżeli łaskawa, może mi da pensję, stosowną do mojego stopnia, żebym nie żył o żebraczym chlebie, a jeżeli i to mnie ominie, powrócę do mojej ojczyzny, może jaki protektor się znajdzie, który mi poda rękę. Jednakże w Wiedniu niczego nie przedsięwzięm bez zezwolenia i porady mojego generała.

— Ani wątpij waćpan, że pensję otrzymasz, bo to nawet jest wymówione w kapitulacji z pułkami zagranicznymi, które weszły w służbę cesarzowej, że oficerowie ranni pobierać będą do śmierci połowę żołdu, a ci, których rany przyprawiły o kalectwo, żołd całkowity.

Pierwszy raz dowiedziałem się o tym warunku naszej kapitulacji i to mnie pocieszyło, że przynajmniej będę miał o czym powrócić do swojej familji.

W czasie tego krótkiego mojego pobytu w Insbrucku miałem czas poznać głośnego w kraju cudotwórcę i proroka. Był to Gaster, człowiek mający około lat pięćdziesięciu, ubogi mieszczanin Insbrucku, a który pobożnością swoją wysłużył był sobie u Boga łaski nadzwyczajne. To pewna, że w mojej przytomności starego kupca, paralityka, modlitwą i dotknięciem ręki w jednej chwili uzdrowił, wiele też o nim ludzie powiadali. Lekarze tameczni nic nie mieli do czynienia, bo kto czuł się chorym, zaraz udawał się do Gastera. Brał on za swoją posługę czasem i znaczne kwoty, ale te zaraz rozdawał ubogim; a nie wiem, czy dwieście złotych na rok używał na swoją potrzebę. Modlitwy w kościołach lub na ustroniu, post i umartwienie siebie nieustanne — oto było jego życie. Niedowiarki, którzy się do niego zbliżali, żeby go wyszydzić, zostawali nawróceni jego widokiem. Jego sława, której nie szukał, tak się rozpowszechniła, że cesarzowa Marja Teresa kazała go sprowadzić do Wiednia, gdzie jednego małego arcyksięcia wyleczył z suchot, zwykłym jemu środkiem. Arcyksiężniczka Marja Antonina miała lat cztery, a było to ulubione dziecko cesarzowej, która zapytała Gastera, jakie będzie przeznaczenie małej arcyksiężniczki. Ten pomodliwszy się, westchnął głęboko i rzekł:

— Najjaśniejsza pani, są krzyże na wszelkie plecy.

Wtedy już o tem słyszałem, a po roku 1793 często sobie to przypominałem.

W krótkim jego pobycie w Wiedniu, wiele cudownych czynów jego świętość udowodniły. Jedną panienkę wielkiego domu, obłąkaną do najwyższego stopnia, a ogłoszoną przez wszystkich doktorów za niewyleczoną, wziął za głowę, wymówił jakąś modlitwę odpędzającą złe duchy, a panienka w kilka chwil i przytomność i rozum odzyskała. Mówiono, że widziano, jak z niej wyleciał diabeł w postaci nietoperza. Przy tem nie byłem, mówię jako o rzeczy słyszanej.

Cesarzowa chciała koniecznie zatrzymać go przy sobie, bo silną w nim pokładała wiarę i ufność. Ledwo się wyprosił, że go kazała odesłać do Insbrucku, do którego dojeżdżając, całe miasto wyszło naprzeciwko niego. Cesarzowa dała rozkaz gubernatorowi tyrolskiemu, żeby każde żądanie Gastera dopełnił, ale on się prośbami swojemi nie naprzykrzał. Właśnie powrócił był z Wiednia, kiedy go poznałem w Insbrucku; a poznałem go w domu generała Strasoldo, który go bardzo szacował i często zapraszał do siebie.

Po kilkodziowym pobycie w Insbrucku wyjechałem do Wiednia dyliżansem i stanąłem pod wieczór w gospodzie nazwanej *Maczakerhof*, a nazajutrz, jak w Insbrucku, meldowałem się władzom. W ciągu tych przedstawień mojej osoby, dowiedziałem się od adjutanta generała komenderującego, że generał Szybilski niebezpiecznie chory, znajduje się w tem mieście i mieszka *Pod Żółtym Wołem*; gospoda od wszystkich znana. Ledwo ułatwiłem się z temi wizytami obowiązku, zaraz kazałem się zawieźć *Pod Żółtego Wołu*, żeby zrobić nawiedziny z serca. Gdym kazał się oznajmić generałowi przez jego sługi, polecił, aby mnie natychmiast wprowadzić.

Zastałem go siedzącego w głębokiem krześle, ale w stanie zatrważającym. Był wychudłym do niepoznania, cery żółtej, a do tego miał astmę, która mu często mówić przeszkadzała. Stary wódz już od roku zapadł był na zdrowiu, tak, że feldmarszałek Laudon, chociaż mu był potrzebnym, nalegał na niego, by już wówczas udał się do Wiednia dla poratowania swego zdrowia; ale on uparł się i jeszcze ostatnią kampanję chciał odbyć. Wojując w jesieni i zimie, podczas niepogód zwykłych

w tej porze, stan jego zdrowia tak się pogorszył, że prawie bezsilnego przywieźli do stolicy. Kiedym go zobaczył, łza mi się pokręciła w oku, bo na jego obliczu widać było gasnące już życie, ale wszelką przytomność umysłu zachował.

Poznał mnie odrazu i wyciągnął ku mnie rękę, którą ucałowałem serdecznie.

— Bartku! — rzekł do mnie — Bogu dzięki, że przed śmiercią jeszcze ciebie mogę oglądać; gdybyś o kilka dni się spóźnił, tobys mnie już nie zastał.

— Co też pan generał mówi, da Bóg, będziesz zdrow. Ja przyprowadzę doktora Brambillę, a on wszystkiemu zaradzi.

— Daj pokój Bartku, on był u mnie z rozkazu Najjaśniejszej cesarzowej, która swojego sługi nie zapomniała, a ten niewielką mi czyni nadzieję, alboż nie czas umierać? Wolałbym, żeby mnie kula lub kartacz na tamten świat wyprawili, niż astma i żółtaczka; ale kiedy Bogu inaczej się podobało, święta wola Jego. O jedną łaskę ciebie proszę, przenieś się zaraz do mnie, żeby przynajmniej swój zamknął mi oczy.

To wszystko mówił z ciężkością, że aż mi serce się ścisnęło, i musiałem wyjść z pokoju, żeby go nie trapić moim widocznym frasunkiem.

Kazałem się przenieść do niego, a tymczasem pobiegłem do doktora Brambilli, z którym po włosku rozmawiałem, co go nie mało ucieszyło i zadziwiło. Wyznałem mu mój zamiar podania się do dymisji, gdyż nie byłem w stanie znosić dalej ciężaru służby. Szanowny mój dobroczyńca przyrzekł mi sam, (gdyż o to nie śmiałybm go prosić), że będzie chodzić za moim interesem, ażeby przy dymisji zapewniono mi jaki kawał chleba. Oznajmił mi, że ksiądz Firmian od sześciu tygodni w Bogu spoczywa; lecz to mnie najwięcej zasmuciło, lubo do tego byłem przygotowany, gdy mi powiedział, iż żadnej niema nadziei, by zdrowie generała miało się poprawić i że za lada dzień skończy.

Od doktora jak najspieszniej wróciłem do generała i odtąd go pilnowałem. Zawsze łaskaw na mnie, sam dyktował list upraszający za mną do hrabiego Sekendor, prezydującego w departamencie wojny, z którym miał przyjaźń i drżącą ręką podpisał go. Pobiegłem do hrabiego, by mu wręczyć moje podanie się

do dymisji wraz z tym listem, skąd powróciwszy, ani na krok nie odstępiałem generała aż do jego śmierci.

Generał, że był oszczędnym, w ciągu długiej swojej służby uzbierał do dwudziestu tysięcy reńskich, któremi rozrządził w testamencie. Mnie zapisał cztery tysiące reńskich, które należały mu się od skarbu; sześć tysięcy zapisał gminie, w której się urodził, w okolicach Przeworska, resztę na kościoły, ubogich i kosztą pogrzebu. Jedyńemu słudze, którego utrzymywał, zapisał wszystkie swoje sprzęty, wyjąwszy broni, która z woli jego dostała się księciu Lubomirskiemu, niegdyś jego panu; a że między sprzętami było i trochę srebra, oraz pierścionki brylantowy, który dostał od cesarzowej, więc sługa jego odtąd już nie potrzebował służyć.

Jeszcze się męczył generał przez czternaście dni, w ciągu których o niczem już nie myślał, tylko o swoim zbawieniu. Codzień się spowiadał i oleje święte z największą przyjął przytomnością, a w niespełna dwie godziny po ich przyjęciu, prawie bez konania, na mojem ręku Bogu ducha oddał. Zatrudniłem się jego pogrzebem, jakkolwiek serce moje było przepełnione gorączką, a nawet to zajęcie się, ostatnia posługa dla mojego ojca chrzestnego, wodza i dobroczyńcy, jakąś pociechę w mojem utrapieniu przyniosło. Pogrzeb był okazały, bo tłumy narodu prowadziły go na cmentarz, a nie było wojskowego w Wiedniu, któryby się wymówił od tej posługi znakomitemu towarzyszowi broni.

Mieszkanie generała było opłacone z góry na cały rok, do końca którego brakowało jeszcze około dwudziestu tygodni; więc i ja i pozostały po nim stary sługa mieliśmy z rozporządzenia egzekutora testamentu kąć na jakiś czas zapewniony. Z czem mi było dobrze, bo miałem ważne interesy do załatwienia, a wiadoma jest powolność, z jaką one idą w monarchji austriackiej; zająłem się więc niemi niezmordowanie. Po odbyciu wszelkich formalności, po podpisaniu zobowiązania, że nigdy nie będę służył przeciwko domowi austriackiemu, warunek, którego nigdy nie byłem w chęci złamać; po sześciomiesięcznych usiłowaniach, otrzymałem dymisję ze stopniem oberst-lejtnanta i pozwoleniem noszenia munduru, oraz dożywotnią pensję sześciuset reńskich na rok, którą ciągle odbierałem i dotąd odbieram. Co się tyczy odebrania czterech tysięcy reńskich od skarbu, należnych nie-

boszczykowi generałowi, a mnie zapisanych, wypłacono mi tę sumę dopiero pod koniec roku; i gdyby nie starania doktora Brambilli, który o to naprzykrzał się nawet cesarzowej, możebym musiał i kilka lat na wypłatę czekać.

Miałem więc zapewniony fundusz do życia, wprawdzie niewielki, ale wystarczający na moje umiarkowane potrzeby. Zaległości mojego żołdu otrzymałem w Wiedniu, bo lubo dano mi czem opędzić kosztu mojej podróży do wód, ani krajcara nie strącono mi z tego żołdu i tak mi go zaliczono, jakbym służbę w pułku pełnił; a że mi doliczono do niego porcję i rację, nagromadziło się tego przeszło ośmset reńskich, które mi się wielce przydały, bo i wydatki pobytu w Wiedniu i oporządzenie się w jaką taką garderobę cywilną i gościniec dla matki i rodzeństwa, oraz kosztu powrotu do Polski tem się załatwiły, bez wielkiego naruszenia kapitałiku, który mi się po moim ojcu chrzestnym dostał.

Podczas, gdy chodziłem około interesów, nie zaniedbałem moich wiedeńskich przyjaciół, nawiedzałem czasem Metastazego, a omal że nie co wieczór przychodziłem do Brambilli, któremu tyle winienem był wdzięczności. Poczciwy Brambilla tak się męczył za moimi interesami, jakby płatny sługa, a to wszystko przez wdzięczność za tego Ganimeda, którego mu dałem. Codzień mi go pokazywał, zawsze się nad nim unosząc. Zrazu go nie poznałem, tak pięknie kazał go oprawić. Nakoniec musiałem opuścić tych dobrych i łaskawych przyjaciół.

Trzeba wiedzieć, że mój kapitałik niezupełnie nietykalny doszedł ze mną do Polski, tysiąc złotych z niego użyłem. Chciałem mojej matce pokazać się w porządnym powozie, a powóz na resorach, dziś tak pospolity, wówczas u szlachty był rzadkością. Kazałem więc w Wiedniu na urząd zrobić kocz poczwórny, jasno-żółto lakierowany, znakomicie piękny i wygodny, kosztował on mię czterysta ośmdziesiąt reńskich; dziś takiego kocz za dwieście czerwonych złotych nie dostanie. W tym koczku więc pocztą powróciłem do kraju, mając z sobą kompana w służącym swoim. Poznałem go w Wiedniu, gdzie był skończył kurs akademicki. Był to syn możnego obywatela województwa wołyńskiego, kawaler, pomimo młodości swojej niepospolitego zdania, nazywał się Dunin. Płacił połowę wydatków pocztowych, jakem

tego zażądał. Kiedy wyczytawszy w *Intelligenz-Blatt*, że nadarzyła się okazja dostania się do Polski, przybył do mnie z zapytaniem, jakie są warunki? bez wahania się natychmiast moje żądanie przyjął za dobre i to samoby uczynił, choćbym od niego i więcej wymagał, bo miał uczucie szlachetne, a mieszek dobrze od ojca obwarowany. Jechaliśmy z sobą aż do Przemyśla, gdzie spodziewał się zastać ojca. Przez całą podróż miałem wielką przyjemność z towarzystwa tego zacnego młodzieńca.

Pojechaliśmy na Bern, Ołomuniec, Cieszyn do Bielska, na którym kończyły się posiadłości domu austriackiego od strony Polski, a zaraz mostkiem tylko oddzielona od niego Biała, pierwsze miasto polskie od strony Śląska. Te dwa miasta mogą być uważane za jedno miasto; Bielsk tem tylko się odznaczał od Białej, że miał rynek brukowany i wszystkie domy piętrowe z kamienia, widać nawet w nim było jakiś ruch przemysłu. Biała zaś była drewniana, jej mieszczanie sami żydzi, snujący się w podartych łapserdakach, a na rynku, że to było w późnej jesieni, takie błoto, iż więcej dwóch godzin siedzieliśmy ugrzęźnieni w samym rynku. Ale byłem na gruncie ojczystym, wszystko, aż do tych złych gościńców, aż do ugrzęźnienia, zdawało mi się przyjemnem. Pierwszy żyd w łapserdaku, który się do mnie przybliżył, ofiarując mi swoje liche towary, swoim niezmordowanym natręctwem sprawił na mnie nie uczucie niecierpliwości, ale jakieś błogie wrażenie, przypominając, że po kilkoletniem oddaleniu jestem znowu między swoimi.

W pierwszych dniach po moim powrocie, wszystko com widział, bez wyjątku było dla mnie miłe. Jako matka kilkorga dzieci najwięcej się przywiązuje do tego, które jest chorowite; tak zauważano, że uczucie miłości kraju jest najsilniejsze właśnie tam, gdzie jak najmniej obdarzone jest naturą. Francuz, Anglik, Niemiec, z łatwością zamieszkują ziemię od nich oddalona i chętnie opuszczają własną ojczyznę dla innych, częstokroć mniej powabnych; plemię słowiańskie przeciwnie jest tak przywiązane do gruntu ojczystego, że na każdym innym wędnieje. Ukształcony nawet mieszkaniem okolic Przemyśla, Czernichowa, Smoleńska, wśród zgłętku Londynu i zabaw świetnego Paryża, tęskni za swoim domkiem drewnianym, za dzwonnica ojczystą wioski, i przynajmniej myślą przenosi się na tę ziemię, która go na

świat wydała, a na której pragnie złożyć kości. Lapończyk, Grenlandczyk, urodzony w strefie, dla której natura zdawałaby się być macochą, kiedy go przemoc przenosi do krain najhojniej uposażonych, umiera z tęsknoty po swoich mchach i lodach.

Krwawą drogą, jak to u nas bywa zwyczajnie w jesieni, stanęliśmy w Przemyślu, gdzie już syna oczekiwał pan Dunin, wojski włodzimierski, obywatel poważny i światły, który mnie zobowiązał staropolską grzecznością, oświadczając mi swoją wdzięczność, że mu odwoziołem chłopca. Ale ta świeża znajomość zaraz przerwana została, gdyż wojski już nazajutrz mnie pożegnał i zabrał syna do stęsknionej po nim matki.

Co do mnie, kilka dni musiałem zabawić w Przemyślu z następnego powodu. W Przemyślu był zakład pułku, w którym miałem stopień majora. Tam nasz rezerwowy szwadron werbował żołnierzy i po jakimś takim ich wytresowaniu, odsyłał do pułku i często, bo nasz pułk ciągle się przerzedzał. Otóż rotmistrz, który zakładem dowodził, a był Węgrzynem, lubo nieźle mówił po polsku, poznał mnie, kiedy siedząc w powozie, wjeżdżałem do Przemyśla. Kolega z kolegą są sobie radzi i zaraz też mnie na pieczeń żołnierską zaprosił. Ale mnie czekała u niego niespodzianka, bo jak tylko moje uwolnienie ze służby ogłoszone zostało w pułku, zaraz odesłano do zakładu moje trzy konie i zalecono, by mi je oddano, oraz zaległość mojego żołdu, na co, przyznam się, nigdy nie rachowałem. Ze skrupulatnością, jaka była wprowadzona w wojsku cesarskim, rotmistrz porachował się ze mną, odtrącił należność za utrzymanie moich koni, gdyż jako abszytowanego oficera, rząd nie jest obowiązany swoim kosztem ich utrzymywać; dość, że mi się wykroiło około ośmiuset złotych. Byłem już blisko domu. Wyprosiłem u kolegi, że mi pozwolił dwóch żołnierzy, którzy zaprowadzili moje konie do Porzecza, a które dopiero po moim przyjeździe tam przybyły; sam zaś pożegnawszy się z kolegami, najętymi u żydów końmi puściłem się do naszej ojcowizny.

O pół mili od Porzecza kazałem woźnicy zatrzymać się w karczmie, gdzie przebrałem się w mundur, który cesarzowa pozwoliła mi nosić. Przyjałem już był sługę w Przemyślu, bo w Polsce nie ma sposobu obejść się bez niego. Każdy domyśli się z jakim biciem serca zbliżałem się do tej wsi, w której otrzymałem życie i spędziłem błogie lata mojego dzieciństwa.

Im bliżej byłem domu, tem więcej zdawało mi się, że większa przestrzeń oddziela mnie od niego. Nakoniec zajechałem przed ganek drewnianego domku, gdzie mieszkała najdroższa sercu memu istota.

Zastałem moją matkę, brata Walentego, jego żonę, której jeszcze nie znałem i siostrę Rzepecką, tę samą, której mąż był wprzód woźnym, a później dyspozytorem w majątku oo. jezuitów.

Na mój widok przez chwilę wszyscy byli jakby nieruchomi, ale matka najpierw mię poznała i z wykrzykiem radości wzięła mnie w swoje objęcia; potem brat i siostra z czułością obdarzali mnie swojemi uściskami. Oglądali mój mundur z pewną dumą, powtarzając: „Ktoby to był powiedział, że nasz Bartek powróci pułkownikiem i kawalerem orderu“ a wszyscy razem robili mi pytania, na które nie mogłem nadażyć odpowiadać, tak chyżo jedno drugie ścigało.

Matka nazaczyła mi stancję w bokówce koło bawialnego pokoju, tam służący poznosił moje rzeczy. Skoro tylko otworzono mój tłumok, zaraz wręczyłem najukochańszej matce sztukę aksamitu czarnego, którą dla niej w Lyonie kupiłem; siostrze Rzepeckiej dałem ogromną chustkę jedwabną, a tę przywiozłem dla niej z Wiednia; miałem jeszcze drugą taką dla siostry Mężynskiej. Te małe upominki wielce i siostrę i matkę uradowały, nietyle przez ich wartość, ile przez to, że służyły za dowód, iż mi nie tak źle musi się powodzić, kiedy własnym pojazdem, i jak naówczas uderzającym swoją okazałością, do matki wracam i nie z gołemi rękami.

W samej rzeczy, nie miałem prawa uskarżać się na mój los. Wprawdzie nosiłem kulę w kościach, ale wyjechałem z domu bez żadnego innego zasobu, prócz nadziei; powracałem zaś z dożywotnią pensją dwóch tysięcy czterystu złotych rocznie, z kilkunastu tysiącami gotówki w złocie, z garderobą porządną i z pojazdem na resorach: i, jak matka powtarzała, przez moją rangę i krzyż byłem w takim położeniu, że mogłem aspirować do ręki panny, choćby krocie mającej posagu. Miałem więc o czem czekać dalszej pomyślności, a choćbym się niczego lepszego nie doczekał, czegożby mi więcej potrzeba było nad to, co już miałem?

W nocy jeszcze wyprawiła matka posłańca do brata Jacka i do siostry Mężynskiej, oznajmując im moje przybycie. Naza jutrz cała moja rodzina zebrana była w naszym domu i zabawiła w nim kilka dni. Niestety! całą tę pocziwą rodzinę przeżyłem, ale pamięć jej życzliwości i przywiązania do mnie, aż do grobu towarzyszyć mi będzie.

Siostra Mężynska, piękna jak rozkwitła róża, liczyła się do bogatych obywaterek województwa sandomierskiego. Jackowi dobrze się powodziło, posiadał już dziedziczną wioskę, której dorobił się pocziwą pracą; był wziętym w obywatelstwie i był ojcem dwojga dzieci. Walenty ożenił się z ubogą panienką, która corocznie pomnażała jego potomstwo. Ten mieszkał przy matce i pomagał jej w gospodarstwie; tyle tylko, że żył, odziewał i karmił siebie, żonę i dzieci; a tak, lubo ubogi, za biedaka uchodzić nie mógł, bo miał kawał chleba, na którym mógł czekać jakiegotakiego spadku po naszej matce, którego wcale nie pragnął, bo był rzadkiej pocziwości synem. Dla jednej tylko Rzepeckiej los był twardym ojczy mem. Jej mąż jak najlepiej zarządzał folwarkiem oo. jezuitów. Daleki od bezsumiennej chęci wzbogacenia się ze szkodą swoich pryncypałów, poprzestawał na pensji i ordynarji, jakie mu oni przeznaczyli. Wiadomo, jakie jest liche uposażenie dyspozytora. Klepał biedę swoją nieborak, i gdyby pomoc matki i siostry nie wsparła niekiedy jego żony, możeby nie miała za co się ubrać, tak, jak przystoi szlachciance. Gdym jej ofiarował sto złotych, myślała, że skarby na nią spadły.

Kiedy w rodzinie panuje jedność, ta poniekąd zastępuje bogactwo, byle pomyślny wiatr zawiał na jednego jej członka, już ten nie zapomni o innych. A wówczas związki rodzinne były ścisłe, żeby brat možny nie podał ręki bratu pokrzywdzonemu losem, oczu nie śmiałyby podnieść między ludźmi; a to uczucie poniekąd rozciągało się do całkowitego stanu szlacheckiego. Szlachta uważała siebie za ciało złożone z członków. Szlachcic proletariusz szedł do szlachcica magnata, nazwany był od niego bratem i znajdował u niego opiekę. Gdyby magnat, samolub, zamknął przed nim serce i ścisnął dłoń, samby ucierpiał na tem, bo miłość szlachty była drogą do osiągnięcia pierwszych w kraju

zaszczytów. Przy szerokich dostatkach kto nie był popularnym, taki nie mógł mieć żadnego znaczenia w narodzie.

Konie moje nadeszły z Przemyśla. Nie były one mi już potrzebne, bo do jazdy wierzchem przestałem być sposobnym. Dwa konie lepsze ofiarowałem Jackowi, a trzeciego siostrze Rzepeckiej, żeby jej mąż miał na czym objeżdżać pole. Ale też Jacek zrobił mi wielką przysługę: moją sumkę piętnaście tysięcy ulokował u JW. Małachowskiego, już kasztelana sandomierskiego, a protektora naszego domu, odkąd nasz ojciec musiał odstąpić od księcia Lubomirskiego; a kasztelan z łaski swojej sam naznaczył dla mnie ósmy procent. Miałem rocznego przychodu trzy tysiące dwieście złotych i kilkaset złotych w gotowiznie, mogłem więc żyć spokojnie, bądź przy matce, bądź przy bracie regencie i oni tentowali mnie o to. Z początku byłem do tego skłonny, czując, że nie będę dla nich ciężarem i kilka niedziel przepędziłem na łonie tej wylanej dla mnie rodziny, która niemniej okazałaby mi czułości, gdybym nawet potrzebował jej wsparcia.

Los jakoś inaczej rozrządził. Sam regent dał się przekonać i o tem przekonał moją matkę, że sama przyzwoitość wymaga, bym podziękował królowi za znak, którym jego łaska mnie obdarzyła; tem więcej, że Warszawa, w której król stale mieszkał od najścia króla Fryderyka na jego dziedziczną Saksonję, nie była ani za morzami, ani za górami. Matka zezwoliła na mój odjazd, i dała mi na to swoje błogosławieństwo, w nadziei, którą ja sam podzielałem, że wkrótce do niej powrócę. Los inaczej rozrządził.

Nie bez łez rozstałem się z moją rodziną, która niemniej rzewnie płakała, nawet regent, pomimo swojej zimnej i rozważnej powierzchowności. A jednak to rozstanie się nasze nie miało przenosić zakresu kilku niedziel. Nosilem się po francusku, więc moja garderoba polska, którą mi Walenty w całości i świeżości oddał, była mi niepotrzebna. Jeden tylko pas wyłączyłem dla siebie, na pamiątkę stroju mojej pierwszej młodości, resztę oddałem pocziwemu Walentemu, tak, że gdyby nawet żył sto lat, nie miałby potrzeby łożyć wydatków na porządną ubiór.

Już pojazd był zatoczony. Jeszcze raz padłem do nóg mojej matce, uściśkałem braci i siostry i z zasmuconem sercem

wsiadłem w pojazd. Ani przewidywałem, że los rzuci mię na wyższe stanowisko świata; że zbliżę się do osób potężnych, które miały wpływ na przeznaczenie narodów; że ubogi szlachcic, absztyrowany oficer, będzie miał stosunki z ministrami, senatorami, a nawet mocarzami; a tem mniej mogłem się spodziewać, że mi dano będzie przeżyć tyle tronów i własną ojczyznę.

Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego

CZĘŚĆ II.

Byliśmy w pełnym styczniu. Sanna była wyborna, tak, że stałem w Porzeżu kolase moją na garach osadzić. Miałem senną najprzyjaźniejszą do podróży w kraju, gdzie brak dróg i zły stan w jennym utrudzał komunikację między je-
do Warszawy przez Radom i Grojec.

Jechałem najtępi kołmi, więc w nocy miałem spocząć; zresztą podróż nie była. trzeciego dnia pod wieczór stanąłem już w Warszawie, w austerji świeżo otworzonej przez jednego dymisjonowanego oficera saskiego, na Krakowskiem-Przedmieściu, naprzeciwko Radziwiłłowskiego pałacu. Ten Sas, zamieniwszy oręż rycerski na nóż kuchenny, dorobił się znacznego majątku, tak, że później otrzymał indygenat w Polsce i kusił dobra w województwie poznańskim, na których dotąd jego potomkowie, zacni obywatele, żyją. Ze mój gospodarz był oficerem saskim, a ja nosiłem na pierzachu wojskowy order saski, to samo już stawało między nami coś wspólnego; więc w ciągu mego pobytu w tej gospodzie, doświadczyłem z jego strony i uprzejmości i przysługi.

Choć jeszcze do nocy było daleko i nie czułem się bynajmniej zmęczonym, nie wyszedłem na taśnię i w tym pierwszym dniu pilnowałem mojej izby; gdyż stosownie do obyczajów naszych ówczesnych, postanowiłem sobie mój pobyt w Warszawie zacząć od Boga i nazajutrz zrana spowiadać się i przyjąć Ciało i Krew mego Zbawiciela. Nazajutrz, o ómej zrana, poszedłem do kościoła OO. Karmelitów Bosych, najbliższego mojego mieszkania, a cały wieczór do tego się przygotowywałem.

wadłem w pojazd. Ani przewidywałem, że los rzuci mnie na
wyższe stanowisko świata; że zbliżę się do osób potężnych, które
miały wpływ na przeznaczenie narodów; że ubogi szlachcic,
abszytowany oficer, będzie miał stosunki z ministrami, senatora-
mi, a nawet monarchami; że tem mniej mogłem się spodziewać, że
mi dano będzie przeżyć na tronie i w ojczyźnie.

Pamiętniki Bartłomieja Michalowskiego

CZĘŚĆ II

I.

Byliśmy w pełnym styczniu. Sanna była wyborna, tak, że musiałem w Porzeczu kolasę moją na garach osadzić. Miałem porę najprzyjaźniejszą do podróży w kraju, gdzie brak dróg w lecie, a zwłaszcza w jesieni, utrudzał komunikację między jednym a drugim miejscem. Puściłem się tedy jak najwygodniej do Warszawy przez Radom i Grójec.

Jechałem najętymi końmi, więc w nocy miałem spoczynek; zresztą podróż nie była długotrwałą, bo trzeciego dnia pod wieczór stanąłem już w Warszawie, w austerji świeżo otworzonej przez jednego dymisjonowanego oficera saskiego, na Krakowskiem-Przedmieściu, naprzeciwko Radziwiłłowskiego pałacu. Ten Sas, zamieniwszy oręż rycerski na nóż kuchenny, dorobił się znacznego majątku, tak, że później otrzymał indygenat w Polsce i kupił dobra w województwie poznańskim, na których dotąd jego potomkowie, zacni obywatele, żyją. Że mój gospodarz był oficerem saskim, a ja nosiłem na piersiach wojskowy order saski, to samo już stanowiło między nami coś wspólnego; więc w ciągu mego pobytu w tej gospodzie, doświadczyłem z jego strony i uprzejmości i przysługi.

Chociaż jeszcze do nocy było daleko i nie czułem się bynajmniej zmęczonym, nie wyszedłem na miasto i w tym pierwszym dniu pilnowałem mojej izby; gdyż stosownie do obyczajów naszych ówczesnych, postanowiłem sobie mój pobyt w Warszawie zacząć od Boga i nazajutrz zrana spowiadać się i przyjąć Ciało i Krew mego Zbawiciela. Nazajutrz, o ósmej zrana, poszedłem do kościoła OO. Karmelitów Bosych, najbliższego mojego mieszkania, a cały wieczór do tego się przygotowywałem.

Kiedy po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu powstałem i zabierałem się do wyjścia z kościoła, kobieta klęcząca i modląca się z widocznym podwyższeniem serca, zastanowiła moją uwagę; nie przez swoją urodę, bo nie miała ani wdzięków, ani młodości; nie przez swoją pobożność, bo ta była rozpowszechnioną w naszym narodzie, ale przez swój ubiór, przypominający mi obrazy dawnych kobiet, jakie widziałem w Rzeszy Niemieckiej i Lotaryngji. Miała na sobie mantylkę z aksamitu czarnego, podszytą białem futerkiem i takież kapturek na głowie. Rysy jej twarzy były szlachetne i zaraz mi się zdało, że to musiała być jakaś wysoka osoba. Nie omyliłem się, bo pokazało się później, że to była Marja Józefa, arcyksiężniczka austriacka, a królowa polska i księżna elektorowa saska.

Pani ta rzadkiej nawet naówczas pobożności miała zwyczaj co rano wychodzić z zamku na mszę Świętą piechotą, z jedną tylko damą dworu. Omal że nie codzień inny kościół nawiedzała, gdzie się modliła i uważała, jak się drudzy modlą. Jeżeli się kto odznaczał pobożnością, mógł być pewnym, że zwróci jej uwagę ku sobie. Tem zaszczerpiła ta święta pani nieobacznie hipokryzję, bo znaleźli się tacy, którzy szpiegowali, żeby ją uprzedzić w kościele. Tam brali na siebie postać zapalonych pobożników, załamywali sobie ręce, policzkowali się, krzyżem leżeli i różne dziwactwa fanatycznej pobożności wymyślali, a tym sposobem wnęcali się w jej szacunek; a że była wszechwładną u króla jej małżonka, umieli to obracać na swoją doczesną korzyść, wdzierając się przez to do urzędów i królewszczyzn. Jakem się później o tem przekonał i moja pobożność zrobiła na niej jakieś wrażenie; ile, że na przyjęcie Pana nad Pany, miałem na sobie mundur cesarski z krzyżem saskim, a Bóg świadkiem, że nietylko iż nie grałem komedji, ale nawet nie wiedziałem, że królowa na mnie patrzy.

Wyszedłem z kościoła żeby poznać miasto, zupełnie mi nieznane. Nie mogła uderzyć swoją okazałością Warszawa, która jeszcze daleką była od tego, czem później została. Obok pałaców magnatów, pałaców przepysznych, wznosiły się liche drewniane zabudowania; większa część ulic nie miała bruku. W nocy miasto nie było oświecone, tak, że jeszcze przed kilku laty, od wieczora nie można było chodzić po ulicach, bez naraże-

nia się na niebezpieczeństwo, tak wiele było hultai w mieście, a dozoru tak mało. Panowie, w których ręku był rząd, nie ruszali się tylko w karetach i to otoczonych uzbrojoną nadworną strażą, a o biednych pieszaków nie dbali. Dopiero Bieliński, mąż wielki, zostawszy marszałkiem wielkim koronnym, pierwszy utworzył porządek w mieście, uorganizował sprężystą policję i tyle powywieszał złodziei, że nakoniec znikli, tak, iż kiedy przybyłem do Warszawy, o północy można było chodzić po najciaśniejszych ulicach bez obawy. Ten wiekopomny mąż już nie żył, ale porządek, który wprowadził, przeżył go.

Jużem powiedział, że wyjechałem z domu, w zamiarze podziękowania królowi za zaszczyt od niego otrzymany; ale jakże przystąpić do niego? Nie miałem znajomych w Warszawie, którzyby mnie poparli. Chodząc po mieście, nad tem rozmyślałem. Cała nadzieja była w Bogu i ta mnie nie zawiodła. Przypomniałem sobie hrabiego Hohental, z którym razem mieszkałem w Bareżu, a na którego pamięć rachować mogłem i pomyślałem sobie: lubo zanosi się na pokój, jednak wojna trwa jeszcze, a Saksonja dotąd zajęta przez wojska króla pruskiego. Hrabia będąc generał-adjutantem króla, musi być w Warszawie i zapewne mieszka w zamku, pójdę więc do zamku, tam się jakoś dowiem o nim, a jeżeli jego samego znajdę, to ani wątpić, że mi poda rękę. I znowu obróciłem moje kroki ku zamkowi.

Tam na dziedzińcu spotkałem paza królewskiego, który widząc oficera ozdobionego, skłonił się z uszanowaniem. Ja nawzajem ukloniłem się szlachetnemu chłopięciu i rzekłem do niego:

— Czy waszeci znany hrabia Hohental, należący do orszaku królewskiego?

— Jakże, będąc paziem, nie miałbym znać generał-adjutantów Najjaśniejszego Pana?

— Czy waszec nie mógłbyś z łaski swojej powiedzieć mi, gdzie się znajduje?

— Tu o kilka kroków od tego miejsca. Onegdaj byłem na służbie, i byłem posłany do niego od króla Jegomości z rozkazem, żeby się stawił przed nim; i czy raz byłem do niego posłany przez królowę?

— Nie mógłbyś waszec zaprowadzić mnie do niego?

— Całem sercem.

— Jestem Trypolski, do usług pańskich, z województwa kijowskiego, gdzie mój ojciec jest sędzią ziemskim.

Skłoniłem się mu powtórnie.

Poszedłem za miłym paziem po schodach zamkowych. Na drugim piętrze zatrzymał się mój młody przewodnik przed drzwiami i tam pociągnął za sznurek od dzwonka. Wyszedł sługa i stanął na progu.

Po rysach twarzy poznałem, że Niemiec; przemówiłem więc do niego w jego ojczystym języku.

— Czy hrabia Hohental jest u siebie?

— Jest.

— Powiedzże mu, że jego niegdyś towarzysz podróży we Francji południowej chce mu służyć i prosi go, żeby raczył przyjąć osobiście jego uszanowanie.

Sługa odszedł, a tymczasem młody Trypolski skacząc po korytarzu, odbiegł mnie.

Niedługo czekałem. Hrabia w szlafroku wyszedł do przedpokoju naprzeciwko mnie i uściskaliśmy się serdecznie; potem wprowadził mnie do swojego gabinetu i kazał usiąść na kanapie przy sobie. Zadzwoił na sługę, żeby nam przyniósł śniadanie już gotowe, bo już stół był nakryty, a tylko drugi przybór zastawił. Skonsumowawszy kotlety i kapłona, taką zaprowadziliśmy rozmowę, którą hrabia rozpoczął temi słowy:

— Niechże wiem przynajmniej, komu mam być wdzięcznym. za to tak uprzejme obejście się i przysługę, którą mi raczysz czynić?

— Jak dawno przyjechałeś do Warszawy?

— Wczoraj wieczór.

— Czy długo myślisz tu zabawić?

— Nie wiem. To wszystko zależy od okoliczności.

— Jaktol! Czyż już nie służysz w wojsku cesarskiem?

— Od kilku miesięcy wziąłem dymisję z pensją i mundurem. Nie porzuciłem służby z jakiegoś widzimisie, ale jedynie dla kalectwa, które mi nie pozwala siedzieć na koniu.

— W jakimże celu przyjechałeś do Warszawy i co myślisz z sobą zrobić?

— Przyjechałem tu, żeby złożyć dzięki u stóp króla za ten zaszczyt, którym ozdobił mój mundur, ale nie wiem, jakby do niego dostąpić, bo oprócz hrabiego, ani jednego nie mam znajomego. Jestem tu obcy między swoimi.

— To mniejsza, bo kiedy zechcesz, otrzymasz posłuchanie królewskie. Ale potem?

— A cóż, panie hrabio, jeżeli mi się uda umieścić w służbie dworskiej króla, będę się miał za zupełnie szczęśliwego; ale przyznam się, że ku temu mam słabą nadzieję. Jeżeli nie, to opuszczę Warszawę i osiadę przy rodzinie, gdzie będę miał chleb i barszcz, oraz przytułek dla mnie dostateczny. Zresztą moja pensja zabezpieczy mi na wsi wszelkie wygody, jakie chudemu pachołkowi przystoją. Nakoniec żeby ani matce, ani bratu nie być najmniejszym nawet ciężarem, może spróbuję zaarendować sobie kawał ziemi i pracować około roli.

— Nie, mój przyjacielu, zostaw mi zajęcie się około twoich interesów, a da Bóg, że cię umieścim na królewskim dworze, bo tu deszcz i pogodę robi mój wuj, hrabia de Brühl, który nawet przerobił się na Polaka, bo utworzył sobie przodków Polaków i nazywa się teraz Brühl z Wojcieszyna, przez co ułatwił synom i świetne ożenienia, i wysokie dostojenstwa. Choć jestem Niemcem, mam łaskę u niego i jeszcze mnie się nie zapiera. Żart na stronę, jest to najlepszy człowiek w świecie i łaski królewskiej, której jest szafarzem, na niczyją szkodę nie użył; ale tak zazdrosny o te fawory, że niech Bóg broni pominąć go w staraniu się choćby o najmniejszą łaskę, tak dalece, że nawet nie odważy się przedstawić cię królowi, nie poradziwszy się jego. Jesteś w pełnym uniformie, pozwolisz więc i mnie się ubrać, i zaraz cię zawiozę do Brühlowskiego pałacu, a obaczysz, jak wszystko nam pójdzie gładko.

To rzekłszy, wyszedł do drugiego pokoju i tam zasiadł do ubioru, co wówczas było ważną rzeczą, samo fryzowanie więcej godziny trwało. Ja sam siedziałem w pokoju i rozmyślałem nad tem, co mi hrabia o mojem umieszczeniu powiedział. To przekształcenie hrabi niemieckiego na herbowego szlachcica polskiego, było dla mnie zagadką, która dopiero później została mi wyjaśnioną. Rzecz była taka. Hrabia Brühl władał był skłonnościami króla, a mając czterech synów, nie mógł jednak

nie otrzymać dla nich w Polsce, gdyż nie był polskim szlachcicem; a że sejmy nie dochodziły, nie było sposobu otrzymać indygenatu. Ale książęta Czartoryscy, wówczas jeszcze stronnicy domu saskiego, nim zostali jego nieprzyjaciółmi, tak dalece, że kusili się o detronizację króla, którego dobrodziejstw byli okryci, a żyjący w ścisłej przyjaźni z Brühlem, wyprowadzili go z kłopotu. Był szlachcic nazwiskiem Bruchl, właściciel małej wioski Wojcieszyna, na której jego przodkowie pisali się. Otóż z nim weszli w umowę, nabyli dla Brühla za kilkakroć sto tysięcy Wojcieszyn, a potem kondyktowym sposobem zapozwał owego pana Bruchla o sukcesję tej wsi, jako mający do niej prawo spadku, jakoby po starszym od tamtego przodka. Wszystko to było podrobione, ale się udało. Tym sposobem hrabia Brühl okazał się prawdziwym szlachcicem polskim, bo sprawę wygrał, i odtąd zaczął się pisać Bruchl z Wojcieszyna, a tak mógł wyrobić wysokie dostojęstwa dla synów, czego też i nie zaniedbał i pokoligać ich z najmożniejszemi domami w rzeczywistości.

Gdy hrabia się ubrał, kazał zająć karecie, i zaprosiwszy mnie do niej, udaliśmy się razem do Brühlowskiego pałacu. Tam poszliśmy na pokoje, gdzie minister przyjmował gości. Hrabia kazał mi się zatrzymać przez kilka chwil w pierwszym pokoju, i tam czekać dopóki mnie nie zawołają, a sam poszedł do wuja. W pokoju nie sam jeden zostałem, było tam wielu w kontuszach z golonemi głowami i w sukniach z włosami starannie zawijanemi i obsypanemi pudrem; ale to wszystko były figury, na które pierwszy raz w życiu patrzyłem.

Czekałem mniej więcej godzinę, ale tego nie żałowałem, bo doczekałem się dobrego. Nakoniec ukazał się hrabia Hohental i wziął mnie pod rękę, żeby zaprowadzić do ministra. Przechodziliśmy przez kilka sal, miał więc czas powiedzieć mi: „Bądź dobrej myśli, uprzedziłem o tobie jak najlepiej mojemu wujowi; a jeżeli król lub królowa nie powezmą do ciebie wstrętu, możesz być pewnym, że zostaniesz ich dworzanim, gdyż mój wuj da ci wszelką ku temu pomoc”.

Weszliśmy do gabinetu ministra, gdzieśmy go zastali samego. Hrabia Brühl był niewypowiedzianie grzecznym dla wszystkich bez wyjątku. Był to człowiek średniego wzrostu, chudy,

spojrzenia bystrego, zgrabny, bo talji tak pięknej, jakby była wytoczona, rysów mało znaczących. Kiedyśmy weszli, powstał, i stojąc przyjął moje przez siostrzana przedstawienie.

Pytał mię o kampanjach, jakie odbyłem, o moich podróżach, o królu Leszczyńskim, o księciu Kaunitz i jego Najjaśniejszej Pani; odpowiadałem jak umiałem. On dość obojętnie słuchał moich odpowiedzi i o czem innem zdawał się myśleć. A choć to był szlachcic polski, Bruchl z Wojcieszyna, jednak w języku niemieckim prowadziliśmy rozmowę. Jakkolwiek roztargniony, kiedy mu oświadczyłem chęć otrzymania posłuchania królewskiego, odpowiedział, że zawiadomi króla o tej mojej chęci i że hrabia Hohental powie, kiedy będzie mógł przedstawić mnie królowi, gdyż nie szambelan, ale generał-adjutant wojskowych mu przedstawia. Widać, że go już był uprzedził siostrzan, bo kiedy odchodziłem, hrabia Brühl napomknął coś o mojem umieszczeniu w służbie królewskiej i zapewnił mnie, że w tem na jego zalecenie mogę rachować. W samej rzeczy w kilka dni potem hrabia Hohental, u którego w tym dniu obiadowałem, powiedział mi, żebym we wszelkiej gotowości do niego się stawił nazajutrz o godzinie dziesiątej zrana, gdyż o tym czasie król idzie przez pokoje swoje do fary, a gdy powraca, wtedy jest pora do przedstawiania mu tych, których rozkazał przyjąć; a więc żebym czekał z nim w sali powrotu króla. Była to więc trzecia koronowana głowa, przed którą miałem stanąć, a jednak byłem jeszcze w kwiecie młodości.

Nazajutrz po dziesiątej stanąłem z hrabią w sali, czatując na przybycie króla. Było tam wielu zebranych orderowych panów, oczekujących króla. Wszystko to omal że nie do ziemi się skłoniło, kiedy się pokazał król, a obok niego królowa. Zaraz poznałem też samą damę, którą w mantylce i kapturku widziałem przed kilku dniami w kościele Karmelickim; i ona też musiała mię poznać, bo uważałem, że się we mnie wpatrywała, jakby w znajomą sobie osobę. Król zatrzymał się na środku sali, przemówił łaskawie do panów, którzy się do niego zbliżyli, a po kilku chwilach hrabia Hohental przedstawił mnie królowi i jego Najjaśniejszej małżonce.

Król i królowa mówili do mnie po niemiecku. Złożyłem królowi podziękowanie za krzyż, którym mię zaszczycił. Uczy-

nił mi kilka pytań o generale Szybilskim i o szczegółach jego śmierci. Miał on przysłowie: *ding, ding*. Był małomównym, i chociaż od tylu lat panował, widać było, że mu ciężko mówić z tym, do którego nie był przyzwyczajony. Królowa owszem, była na swoim miejscu w tych reprezentacjach i każdy odchodził od niej z uczuciem pewnej wdzięczności, bo każdemu umiała coś przyjemnego powiedzieć. I w tem mojem przedstawieniu tego doświadczyłem, bo mi powiedziała, że nie pierwszy raz mnie widzi, że się zbudowała w kościele karmelickim, patrząc, jak przykładnie się modłę, że winszuje mi, iż zbliżyłem się do tajemnic Pańskich i że będzie o mnie pamiętać.

Koniec końcem hrabia Hohenthal, zasilony poparciem potężnego wuja, tak dobrze mną pokierował, że nie minął miesiąc od mojego przybycia do Warszawy, a już byłem pułkownikiem wojsk polskich, wprowadzie bezpłatnym, jako tytularny, ale razem i szambelanem saskim, z pensją w zamku. Przytem na oporządzenie się w tym nowym zawodzie, z rozkazu królowej, hrabia Brühl kazał mi odliczyć jednoroczną pensję gratyfikacji. Była to pomoc do ekwipowania się, ale nie opędziła moich wydatków, bo nietylko że na zaopatrzenie się w porządną garderobę francuską te dwa tysiące poszły, ale i wszelka gotówka, jaką miałem i jeszcze dwa tysiące złotych długu musiałem zrobić. A choć mieszkanie i stół miałem darmo i pobierałem z różnych wpływów pięć tysięcy sześćset złotych rocznie, jednak tu się mazało, tu się pisało przez trzy lata z górą, a co rok przybywało długu, bo kto jest zmuszony przestawać z bogatszymi od siebie, żeby się i piędzią mierzył, zawsze musi być narażony na nieprzewidziane wydatki. Do tego przyszło, że kiedy czwartego roku mojej służby przy królewskim dworze otrzymałem z łaski króla *jus communicationem* na starostwo rozowskie w województwie kijowskim, które było w posiadaniu Niemierzyca, regenta koronnego, starca 70-letniego, miałem ośmnaście tysięcy długu, które mi wielce dokuczały; jednak nie chciałem podnieść sumki, jaką miałem u JW. Małachowskiego, który mnie swoją łaską zaszczycał. Czeakałem więc cierpliwie śmierci pana Niemierzyca, tem więcej, że nadzieja tego starostwa robiła mi kredyt między małemi kapitalistami.

Już królowa od przeszło roku nie żyła. Zajęcie dziedzicznego państwa przez króla pruskiego a z niem ulubionego Drezna, zadało jej cios, który nakoniec życia ją pozbawił. Patrzałem zbliska na jej cnoty i obfite łzy wylałem nad jej zgonem. Miałem szczęście jej się podobać, moje usługi wdzięcznie przyjmowała i to starostwo, które mi zapewniało w przyszłości sposób do życia, otrzymałem za jej wstawieniem się do ministra.

Król August III był panem bogobojnym, sprawiedliwym i dobroczynnym. Przestrzegał swojej godności oszańcowawszy się etykietą, do której niełatwo było Polaków przyzwyczaić. I tak, lubo wielu panów otaczających go bardzo szacował i doświadczył ich przywiązania do domu saskiego, żadnemu z nich, nawet hrabiemu Brühl, który był pełnowładnym jego ministrem, najmniejszej poufałości z sobą nie dozwolił; tak dalece, że u żadnego z swoich poddanych noga jego nie powstała. Daleki był w tem od ojca, Augusta II, który nawiedzał panów polskich i saskich i lubił bywać na ich balach, gdzie z damami zawiązywał intrygi, jakimi syn jego przez całe życie swoje się brzydził. Trzech błaznów nadwornych, jeden Polak, drugi Włoch a trzeci Francuz, którzy mu nakładali i podawali fajki, byli jedynymi, którym wolno było z nim być poufałemi; gdyż oni jedni umieli go bawić swoimi conceptami, aż do pobudzenia w nim śmiechu. Że był leniwy, nigdy się nie trudził interesami swoich państw, oprócz rozdawania urzędów i królewszczyzn; do niczego się nie mieszał, spuszczał się we wszystkim z początku na księcia Sułkowskiego, a gdy ten wpadł w niełaskę królowej, a tem samem i jego łaskę utracił, na hrabiego Brühla, który był pierwszego sekretarzem, a później jego miejsce zastąpił.

Będąc szambelanem królewskim, mogłem napatrzeć się na tryb jego życia, bo u niego dzień był podobny dniowi bez żadnej odmiany. Wstawał przed siódmą zrana i zaraz szedł do kaplicy, gdzie klęcząc słuchał mszy świętej; potem w swoim gabinecie zasiadał w głębokiem krześle poza wielkim stołem, na którym szambelan dzienny kładł nożyczki i kilka liber papieru, a hrabia Brühl przychodził z wielkim pugilaresem, z którego wyciągał papiery i stojąc, jeden po drugim odczytywał je królowi. Król wystrzygał z papieru różne figurki, niby słuchając sprawozdania swojego ministra i ani jednym słówkiem tego czytania nie przer-

wał; tylko kiedy hrabia wspomniał o jakiejś wakancji, dopiero się odzywał i tu miał swoje zdanie, bo często dawał urząd nie temu, którego zalecał pan Brühl i w tem był uparty. To trwało do jedenastej, jak ta wybiła na zegarze, król powstawał, odprawiał ministra i szedł przez pokoje do fary, by powtórna Mszę wysłuchać. Po Mszy wracał przez salę, gdzie przyjmował tych, których mu przedstawiał podkomorzy wielki koronny, lub generał-adjutant; ta prezentacja ledwo godzinę trwała. Wychodził zaraz potem na dół, gdzie na niego czekała kolasa zaprzężona, siadał do niej sam jeden w tyle, a na przodzie szambelan dzienny i jaki pan dworu, któremu już dnia poprzedniego zapowiedziano, że będzie miał zaszczyt asystować królowi w rannej przejażdżce, co było uważane jako wielki fawor. Pojazd otaczali: generał-adjutant, kapitan przybocznej straży królewskiej, kilku dworzan i dwóch paziów, wszyscy na koniach. Przejażdżka trwała godzin dwie; pojazd nigdzie się nie zatrzymywał, toczył się powoli i odwoził króla do zamku. O godzinie wpół do trzeciej, król z familją swoją siadał do stołu; żaden obcy nie był przypuszczony do zaszczytu obiadowania z królewską rodziną. Po obiedzie król szedł do swojego gabinetu i tam przynoszono mu dużą filiżankę czarnej kawy, którą powoli spożywał, kurząc fajki, podawane mu przez błaznów, bawiących go swemi conceptami; poczem szedł do królowej, a o piątej wracał do siebie. Wtedy na dziedziniec zamkowy zapędzano psy, a król z okna strzelał do nich; ta zabawa trwała do szóstej. Za jego panowania otworzył się był w Warszawie i w jej okolicy nowy rodzaj przemysłu: hodowanie psów, gdyż ich zaledwo można było natarczyć dla zabawy królewskiej, tak dalece, że z początku płacono za psa po trzy tyńfy sztuka, a już w ostatnim roku panowania Augusta III cena psa podniosła się do dziesięciu tyńfów. O godzinie siódmej wieczór były codziennie assamble w zamku, nazwane *le cercle*. Tam cała nasza magnaterja i posłowie zagraniczni się zbierali. W czasie tych assambliów była wieczerza. W jednym pokoju był zastawiony niewielki stół okrągły dla króla i jego rodziny; w drugim stół ogromny dla gości. Przed dziesiątą król i jego familja opuszczali salę, a goście się rozjeżdżali.

Książę Sułkowski, jako się powiedziało, był wszechwładnym w Polsce przez długi czas i niemałe przysługi uczynił królowi.

Wszakże to on ułożył małżeństwo Delfina francuskiego z najstarszą córką króla, co mu nie zaszkodziło, gdyż król Stanisław wraz z Delfinem jego wnukiem rzekli się *favore* księcia Sułkowskiego wszystkich dóbr, jakie posiadali w Wielkiej Polsce, a tym sposobem Leszno, Rydzyna i inne dobra, utworzyły wielkość domu Sułkowskich, dotąd przy miernym majątku zaledwo znanemu w narodzie.

Książę Sułkowski był mężem wysokiego światła i niepospolitych zdolności. On pierwszy dał przykład Polsce wzorowego gospodarstwa i znacznie pomnażał swój majątek; ale był wolnych obyczajów i zupełnie zfrancuział, a do tego dumny i popędliwy.

Królowa była płodną, co rok przybywał albo królewicz, albo królewna. Razu jednego książę powiedział królowi:

— Królowa jest tak płodna, że dalej z trudnością przyjdzie opatrzyć uposażenie tylu książąt i księżniczek. Ja radziłbym Waszej Królewskiej Mości zaniechać łoża małżeńskiego i wybrać sobie nadobną przyjaciółkę, jak to robią inni królowie.

Królowi tak pobożnemu i mówić o tem nie można było; jednak ta lekkomyślność Sułkowskiego nie straciła go ze szczytu łaski królewskiej, ale król jakoś się wymówił przed królową, z jaką radą Sułkowski wystąpił do niego, a odtąd królowa jakby zaprzysięgła mu nienawiść. Ile razy do niej się przybliżał, odwracała się i żadnej okoliczności nie opuściła, żeby mu szkodzić u króla. A że Sułkowski był popędliwy i razu jednego zniecierpliwiony, króla omal nie ofuknął; tak go tem obraził, że ten odezwał się do królowej:

— Gdybym mógł wynaleźć człowieka równie zdatnego jak Sułkowski, tobym z nim rozstał się na zawsze.

— Wszakże masz równie, a może więcej zdatnego Brühla, który często z Waszą Królewską Mością pracuje. Jeżeli otrzyma pełną ufność królewską, tem się i naród ucieszy, bo Polak chętniej widzi władzę w ręku obcego, niżeli u swojego.

Król odjął swoją ufność Sułkowskiemu i dał mu rozkaz, żeby się nigdy nie powazył pokazać w zamku. Nie było zabiegów, nie było sprężyn, którychby ten nie użył, żeby przebłagać króla, ale wszystko było daremne. Odtąd nawet imienia Sułkowskiego nie wolno było wspominać na pokojach królewskich, a Sułkowski

nie mając poco siedzieć w Warszawie, zakopał się na wsi, gdzie już nie myślał tylko o powiększeniu majątku. Jakoż dokupił na Śląsku znaczne dobra, które dotąd w jego domu zostają. Takie były początki szczęścia Brühla.

Hrabia Brühl nauczony przykładem Sułkowskiego, nigdy nie dopuścił, by jego sekretarz pracował z królem; ale miał jedyną córkę Antoninę, której rozum stał na równi z najświatlejszych mężów rozumem, a która skromnością i pobożnością skłoniła była ku sobie serce i zaufanie tak króla, jako i królowej. Hrabia Brühl kiedy osobiście nie mógł pracować z królem, na swoje miejsce posyłał hrabiankę Antoninę z pugilaresem, a ta jak najlepiej zastępowała go. Tym sposobem król się do niej przyzwyczaił i powziął dla niej szacunek może większy jeszcze, niż go miał dla jej ojca. Młoda panienka została przypuszczoną do wszystkich tajemnic stanu.

Owóż tedy, gdy po śmierci pana Bielińskiego zawakowała wyższa laska koronna, pan Brühl życzył sobie, by ta była oddana panu Wielopolskiemu margrabiemu pińczowskiemu, który już był marszałkiem nadwornym; ale król przypomniawszy sobie Mniszcha, syna najgorliwszego stronnika domu saskiego, który oddalony od dworu, gdzie mu szczupłość majątku nie pozwalała żyć z wystawnością stosowną do zacności jego domu, osiadł był w Gdańsku, bo tam miał swój pałacyk i utrzymywał się skromnie, żeby powoli oczyścić majątek zadłużony przez ojca w usługach króla i Rzeczypospolitej. Jakież więc było jego zadziwienie, kiedy będąc, jak mu się zdawało zapomnianym od wszystkich, otrzymał łaskę wielką marszałkowską i starostwo słonimskie, około stu tysięcy intraty czyniące, bo prędzej śmierci się spodziewał, niż najwyższego dostojenstwa w Polsce, ponieważ nie posiadał żadnego urzędu.

Pojechał jak najspieszniej do Warszawy, by złożyć podziękowanie królowi i wziąć się do obowiązku jemu powierzzonego. Jakoś odrazu wielce się podobał i królowi i królowej. Pan Mniszech był młody, dobrze wychowany, przystojny, miły w obcowaniu, pełen dowcipu, ale dumny i uparty, co mu później zaszkodziło i szkodliwe dla Rzeczypospolitej skutki wywarło, jak się o tem powie.

Jako marszałek wielki koronny, musiał wejść w ścisłe stosunki z hrabią de Brühl i wkrótce zawiązał z nim stateczną przyjaźń. Poznał się z hrabianką Antoniną, i często ją widywał u jej ojca i u królowej. Oboje młodzi, pokochali się; do czego królowa się przyczyniła i sama prosiła hrabiego o rękę Antoniny dla Mniszcha. Rzecz najłatwiej się ukartowała. Brühl rad był mieć córkę połączoną z jednym z najpierwszych domów rzeczypospolitej; Mniszech dobrze wiedział, ile przy takim teściu i takiej żonie podniesie się jeszcze w potęgę, a panna szalenie była w nim zakochana. Ślub wkrótce, bo w dni kilka po deklaracji nastąpił za indultem. W przytomności obojga królestwa, państwo młodzi otrzymali błogosławieństwo z rąk prymasa; a że pan Mniszech był pobożnym i dobrych obyczajów, jego pożycie z żoną było zawsze szczęśliwe i przykładne.

Często widywałem świeżo zameżną marszałkową koronną. Nie była to piękność uderzająca, ale nie mogła nie podobać się. Miała figurę zgrabną, usta, zęby i ręce prześliczne; wyraz rysów, a zwłaszcza oczu, pełen łagodności, cery nieco bladej, ale to było jej do twarzy; zresztą pełna rozumu, mówiąca po polsku jakby rodowita Polka, i lubiąca mówić tym językiem. Umiała do tego kilka innych języków, a nawet posiadała dobrze łaciński.

Zaledwo pan Mniszech został jej mężem, łaski króla na niego rzęsiście się sypnęły. Otrzymał starostwo ujejskie z generałostwem wielkopolskiem, a z tem jurysdykcję sądową nad całą prowincją, tak, że kilkadziesiąt urzędów miał do rozdania wedle swojej woli. Zaraz potem dostał bogate starostwo dyneburskie w Inflantach, nakoniec najbogatsze z pomiędzy wszystkich, białocerkiewskie. Dopomógł szwagrowi Brühlowi, że się ożenił z panną Potocką, wojewodzianką kijowską, a sam został głową partji domu saskiego, czyli jak ją nazywano, magnackiej.

Król był silny na tronie swoim, raz, że był w związkach krwi z tronami zachodniej Europy; powtóre, że zostawał w ścisłym przymierzu z imperatorem Elżbietą, która go osadziła na tronie polskim, po śmierci jego ojca, naprzekór Francji, która chciała mieć królem polskim Stanisława Leszczyńskiego. Wtedy to Francja pokłóciła Polskę z Rosją i Austrią, przyrzekając jej pomoc, która się skończyła na ośmiukroć stu tysiącach Francuzów

i niespełna tysiącu ludzi, którzy polegli co do jednego pod Gdańskiem, z walecznym ich dowódcą, margrabią de Plelo.

Wtedy, kiedy przyjęty zostałem w służbę królewską, król był teściem królów francuskich i hiszpańskich. Jeden z jego synów był już koadjutorem arcybiskupa elektora trewirskiego; drugi był żonaty z arcyksiężniczką, córką cesarzowej Marji Teresy; następca elektora saskiego był żonaty z księżniczką, która krwią połączoną była z małżonką wielkiego księcia Piotra, następcy tronu rosyjskiego. Takim więc było położenie króla naszego u postronnych, a w Polsce równie był silnym przez swoją partję, złożoną z tak nazwanych magnatów, którzy bogactwami i powagą ledwie że nie dziedzicznych dostojęństw i przywiązaniem szlachty, rej wodzili w narodzie.

Polska magnaterja nie opierała się na starożytności rodu, jak w plemionach germańskich i łacińskich, ale na szerokich intratach, wysokich urządach, które w rodzie swoim magnat mógł okazać i na stosunkach powinowactwa z możnemi rodami. Oprócz Ossolińskich, którzy sięgają rodem swoim do bajecznych dziejów Polski i Lubomirskich, którzy za Piastów już byli możnemi, oraz kniaziów ruskich i litewskich, którzy jednak nie wszyscy wchodzili do składu magnaterji — koronne familje magnackie nie przechodziły końca XVI wieku, chcąc dojść do rzeczywistego swojego pochodzenia. Nie mówi się tu o kłamanych legendach, jakie mnichy wymyślali dla przypochlebiania dumie, nawet świeżo wyniesionych możnowładców, jako to: o Abdańcach, o synu Druzusa, który jakoby miał założyć szczep krwi Cezara w szlachectwie polskiem, o Moskorzewskich Pilawitach, o Prusie, trzecim bracie Lecha i Rusa, protoplaście domu Jabłonowskich i tyłu innych, powtarzanych za stołem panów przez ich pieczeniarzy. Ale jeżeli zejdzien do rzeczywistych dowodów, pokaże się, że nazwisko Mniszchów pojawiło się dopiero za Zygmunta Augusta; Zamoyskich, za Henryka Walezjusza; Potockich, za Stefana Batorego; Małachowskich, za Zygmunta III; inne później jeszcze. Cóż to za dawność w porównaniu tych rodów litewskich, których świetność poprzedziła przyjęcie wiary chrześcijańskiej na Litwie, lub niektórych domów szlacheckich na Rusi, które autentycznemi dokumentami okazać mogą przodków, piastujących jeszcze pod wielkimi kniaziami Kijowa wysokie urzędy. A jednak pierwsi

a nie ostatni składali rzeczywistą arystokrację narodu, bo w narodach słowiańskich zasadza się ona nie na dawności rodu, ale na osobistych zasługach, popartych bogactwami.

Wszystkie więc te możnowładne domy były poświęcone królowi i jego familji. Jedni tylko Czartoryscy byli mu przeciwni, w czym okazali niewdzięczność, bo do wielkości ich domu najwięcej przyczynił się król August II. Książęta Czartoryscy pochodzą od Gedymina, przez co mają wspólnego z kilku innymi domami polskimi i rosyjskimi; ale od czasu unji Korony z Litwą nie dostępując do wysokich urzędów, najmniejszego nie mieli wpływu w kierunku rzeczy publicznych. Za Augusta II było trzech braci Czartoryskich, których miałem zaszczyt oglądać zbliżka. Ich ojciec, pierwszy w swoim rodzie przystąpił do senatorskiego krzesła i umarł kasztelanem wileńskim, a tem potomstwu swojemu otworzył drogę do zaszczytów. Zostawił córkę, która poszła za człowieka zupełnie nowego, pana Poniatowskiego, nie spodziewając się zapewne, że spłodzi syna, który usadowi się na Jagiełłów tronie i trzech synów: Michała, Florjana i Augusta, a na nich szczupłą ojcowiznę Klewań, w województwie wołyńskim. Wszyscy trzej przyjęli najstaranniejsze ukształcenie, polor zagraniczny i głęboką naukę. Michał pierwszy z nich, pozyskał szczególny szacunek Augusta II; otrzymał z jego szczodroty niemało królewszczyzn, a nakoniec pieczęć litewską. A że wielka jedność łączyła braci, on ich wyniósł: Florjanowi wyrobił intratne biskupstwo poznańskie, a Augustowi komandorję poznańską świętego Jana Jerozolimskiego. Był to piękny początek, ale im trzeba było stanąć narówni z potężnymi przez swoje bogactwa Radziwiłłami, Lubomirskimi, Potockimi. Tego dostąpili wkrótce osobliwszem szczęściem, własną przebiegłością, a raczej rozrządzeniem Opatrzności.

Żyła wówczas młoda wdowa, Denhofowa, hetmanowa polna litewska, ostatni potomek przemożnego domu Sieniawskich, a władczyni ogromnych dóbr w Koronie, Litwie, a zwłaszcza na Rusi. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pierwszy zaczął się jej zalecać; a lubo obyczaje napół zdziczałego litewskiego możnowładcy wcale nie były odpowiednie wykwintemu wychowaniu świetnej wdowy, wedle ówczesnych wyobrażeń, postąpienie hetmanowej polnej na wielką było tak

wielkim zaszczytem, że pani Denhofowa zdawała się skłaniać ku temu związkowi, by tem uiszczyć nadzieję, którą śmierć męża była jej odjęła. Ale doradcy króla przełożyli mu, że jeżeli na jednej jego głowie skupią się razem i Radziwiłłów i Sieniawskich dostatki, omal że nie połowa Rzeczypospolitej zostanie jego własnością, a w takim razie jakież będzie położenie króla względem poddanego, który się postawi w możności wystąpić przeciw niemu z wojskiem potężniejszym, niż wszystkie siły króla. To trafiło do przekonania króla. Lubo nie wątpił o przywiązaniu księcia hetmana do jego domu, a nawet nie taił przed sobą, że książę kanclerz, ojciec hetmana, ów ulubieniec Piotra Wielkiego, nie mało się przyczynił do jego przywrócenia na tron polski, dla przyczyn stanu, mimo siebie puszczając powody wdzięczności dla Radziwiłłowskiego domu, użył wszelkich sprężyn, żeby tego małżeństwa nie dopuścić. Że zaś wtedy właśnie zaczął bywać u pani Denhofowej książę kasztelan Czartoryski, który gładkością i rozumem oczy publiczności ku sobie zwracał, a szczupły tylko posiadał majątek, więc król powagą swoją dawszy popęd najzapobiegliwyszemu intrygom, przerwał wszczynające się stosunki księcia Radziwiłła z panią Denhofową, a zarazem popierał zaloty księcia Czartoryskiego, nie obawiając się żadnego niebezpieczeństwa dla swojego domu z tego skojarzenia się domu potężnego z domem jeszcze mało znaczącym w Rzeczypospolitej. Nie przewidywał, że to wyniesienie książąt Czartoryskich tak srodze da się uczuć jego synowi i stanie się główną przyczyną upadku domu saskiego w Polsce.

Książę Radziwiłł do żywego był tknięty niewdzięcznym postępkiem króla, a skutki jego gniewu możeby wzneciły zamieszanie w Rzeczypospolitej, gdyby inny związek nie był uspokoił księcia, albowiem poznał księżniczkę Urszulę, ostatnią z rodu Wiśniowieckich, nie tak ogromnego jak pani Denhofowa majątku, ale przecie wielu dóbr dziedziczkę. Wkrótce się z nią ożenił i nadto szczęścia znalazł w tem małżeństwie, aby zachować gniew na króla, iż mu nie dopuścił zostać mężem tamtej. Już tedy książę August był bliskim portu, ale jeszcze musiał przechodzić przez niemałe upokorzenia, nim do niego zawiąnął. Młody strażnikowicz koronny, Salezy Potocki, już starosta lwowski, a później wojewoda kijowski, władca ogromnej włości

humanńskiej i wielu innych dóbr, niewiele uboższy od księcia Radziwiłła, nie zważając na konkury księcia Czartoryskiego, stanął z nim do współzawodu o rękę młodej wdowy. Był to pan obyczajów staropolskich, otoczony zawsze licznym dworem z samej szlachty, wspaniały, popularny, lubiony w narodzie, ale niczem niepohamowanej wyniosłości. Nie był rywalem niebezpiecznym dla księcia Czartoryskiego, hetmanowa jak i on przyjęli byli wychowanie zagraniczne, rozmawiali z sobą w języku francuskim, a Salezy Potocki znał tylko polski i trochę przyuczył się łaciny. Chodził w kontuszu, głowę miał podgoloną, był obcym tym dowcipnym przymileniem, które zapełniają konwersację z damami sfrancuziałami, nie mógł więc podobać się możnej, jak nazywano, szarmantce. Poznał zaraz, że jest zatarty francuską suknią i wykształceniem swojego współzawodnika, ale postanowił bogactwami upokorzyć szczęśliwszego od siebie w miłości księcia Czartoryskiego. I tak, dwunastu poddanych z Humaniejszczyzny kazał ufryzować podług mody wersalskiej, której się tamten trzymał; sprawił im dworskie suknie, takiej barwy i takiego kroju, jak te, które składały garderobę księcia. Dowiadywał się przez szpiegów w jakiej sukni książę wystąpi i w takiejże samej sukni, w podobnej fryzurze, przy szpadach i w żabotach koronkowych, jego dwunastu Ukraińców się pokazywali, a on nimi otoczony i usłużony, starał się tam znajdować, gdzie spodziewał się zastać rywala, który wtedy powierzchownie niczem się nie odróżniał od jego chamów. Mało na tem: że tamten był księciem, a on siebie miał za prostego szlachcica, bo wówczas nikt ani pomyślał z koperty przyznawać się do hrabiostwa, do którego, choćby najautentyczniejszego, szlachta żadnej wagi nie przywiązywała, a nawet z niego drwiła; więc żeby i na tem stanowisku księcia upokorzyć, dał rozkaz swojemu rządcy w Humaniejszczyźnie, by wyszukał jakiego gołego księcia i jemu go przysłał, a ten zostanie hojnie wynagrodzonym. Wynaleziono takiego, który żył na czynszowym gruncie, a co do wychowania swojego, mało się różnił od zaciężnego chłopca. Przywieziono go do Warszawy. Pan Salezy kazał go obmyć, oprząć, sprawił mu francuską garderobę, nauczono go w niej chodzić; potem, jako księciu, wyrobił od elektora bawarskiego order Św. Huberta i mianował go marszałkiem swojego dworu. Biedne książę otrzy-

mało za to niezgorszy majątek, ale Bóg wie ile znieść musiało upokorzeń, bo ile razy który z krewnych lub stronników księcia Czartoryskiego przybywał do wojewody z atencją, ten zaraz porysował po księcia marszałka, i mówiąc do niego: „Wasza Książęca Mość”, nie oszczędzał cierpkich wyrazów na niego i jego mitrę.

To wszystko na nic się nie przydało, bo już serce hetmanowej skłaniało się ku jego rywalowi. Kiedy raz tak zachorowała, że jej krew puszczono, księżę August, który zjednął był sobie ochmistrzynię, a jej konfidentkę, jako czuły kochanek, będąc u niej, żeby co chwila mógł się dowiadywać o stanie hetmanowej, kazał też i sobie krew puścić, żeby się obie krwie zmieszały. Miała to być w tem jakaś sympatja. Gdy się o tem hetmanowa od swojej ochmistrzyni dowiedziała, zdecydowała się i została żoną księcia, który zaraz po swoim ożenieniu otrzymał od króla województwo ruskie.

Znałem później wojewodę kijowskiego, a nawet byłem u niego w Krystynopolu, gdzie mię łaskawie przyjął. Nie był to zły człowiek, ale zepsuty przez pochlebców i rozumu małego; a co się tyczy zbrodni, plamiących jego pamięć, te nie przez niego, ale przez jego sługi popełnione były. Bo też ci słudzy byli istni rozbójnicy, kiedy się im zdawało, że cześć ich pana wymaga zemsty. Nawet nigdy swojej synowej topić nie chciał, tylko osadzić w klasztorze, by ją zmusić do rozwodu z synem, który przeciw woli rodziców odważył się wziąć małżonkę; ale ludzie jego tak niebogę przestraszyli, że umarła z samego strachu; a oni, dla utajenia tego nieszczęścia, zanurzyli trupa w przyrębli rzeki, gdyż to wydarzyło się w styczniu.

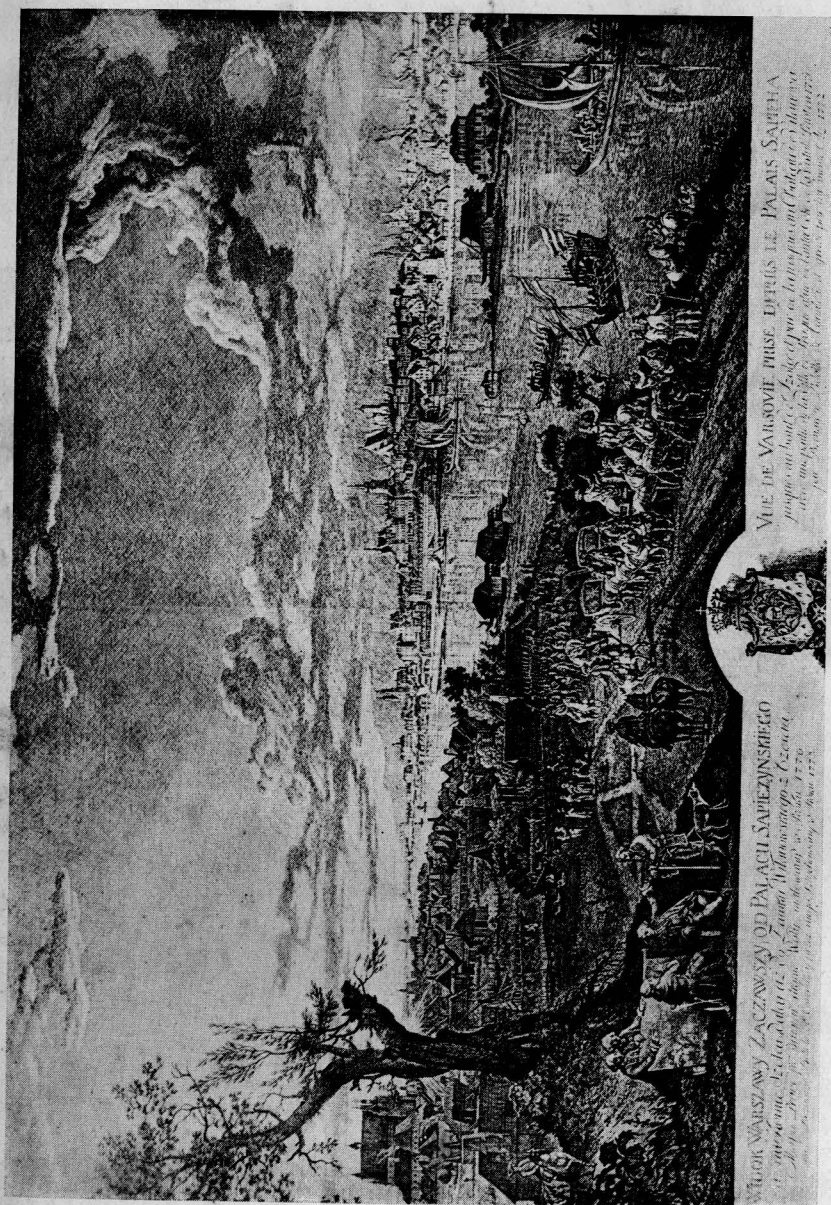
Był drugi jeszcze okropniejszy poniekąd wypadek, który najlepiej maluje tych strasznych służących. Pan wojewoda kijowski miał sprawę w Lublinie i na nią zjechał. Był na sesji, gdzie adwokat Gliniczewski stawał przeciw niemu. Gdy skończył induct, wojewoda pokręcając węsą odezwał się na cały głos:

— Zapytamy waćpana, z jakiej waszeć gliny, mości panie Glinkiewicz?

Wiadomo jak się szlachcic obraża, kiedy kto przekręca jego nazwisko; odpowiedział więc:

— Nie z mołdawskiej, ani z wołoskiej, ale z prawdziwej polskiej, mości panie Potoczyński!

musiało
księcia
raz po-
siążęca
o mitrę.
etmano-
rowała,
ł sobie
będąc
anowej,
ieszają.
nanowa
została
d króla
n u nie-
to zły
o; a co
z niego,
zy byli
na wy-
chciał,
synem,
kę; ale
go stra-
i trupa
t, który
oda ki-
a sesji,
y skoń-
ły głos:
ci panie
ęca jego
wdziwe;



WARSAWA W XVIII WIEKU

Wojewoda zbladł ze złości, ale umilkł. Po sesji, pan Glin-czewski czując, że go okropna zemsta nie ominie, zaraz wstąpił do seminarjum, tuszując sobie, że stan duchowny od niej go zasłoni. Został księdzem i otrzymał probostwo w Skurczu, w województwie wołyńskim. Otóż w kilka lat potem, kiedy powracał do siebie od chorego, u którego był z Panem Bogiem, został napadnięty przez sługi wojewody i ci połamali mu ręce i nogi, tak, że wkrótce umarł.

Krewni jego położyli mu na grobie kamień z napisem: *Tyrania me fecit testim*, a niżej było krótkie opisanie tego zdarzenia. Dopiero syn wojewody wszedł w układ z rodziną nieboszczyka księdza, wskutek czego kamień ten został przywieziony do Tulczyna i zatopiony w rzece, która go oblewa. Ta czynność zbrodniczej gorliwości sług wojewody, nastąpiła bez wpływu jego woli.

W czasie mojego pobytu w Krystynopolu, przypatrzyłem się trybowi życia wojewody. Jeden zwłaszcza jego zwyczaj nigdy nie wyjdzie z mojej pamięci i zawsze śmiech we mnie pobudza. Wojewoda po mszy zwykle załatwiał korespondencje i w przytomności dworzan, sług i gości zasiadał w krześle w ogromnym swoim gabinecie, tam jego sekretarz głośno czytał listy, a on dyktował na nie odpowiedzi. Ale w jaki sposób? Oto donośnym głosem zaczynał: „Mnie wielce miłościwy panie i kochany bracie"! Potem mruczał ciągle pod nosem: „piu! piu!" a wprawny sekretarz, który znał swoją rzecz, pisał. Jak skończył list, wojewoda kazał mu głośno tę odpowiedź odczytać i powiedział: „a tak!" poczem znowu na cały głos odzywał się: „Teraz dodaj waść, mnie wielce miłościwego pana i kochanego brata", a sam swoją ręką dodawał: „najniższy sługa" i podpis. Tak jeden po drugim kilka listów ekspedjował, w przekonaniu, iż rzeczywiście dyktuje i solwując tę osobliwszą sesję, nie omieszkiał uskarżać się, że wszystko sam musi robić i użalał się na ciężką pracę, jaką jest obarczony.

II.

Kiedy umieszczony zostałem na dworze królewskim, książęta Czartoryscy, już potężni przez ożenienie księcia Augusta z ostatnią z domu Sieniawskich, byli w jawnej wojnie z królem.

Wszakże król był tak mocnym w narodzie przez partję magnatów, która mu była oddana, że nieprzyjaciele jego niczegoby przeciw niemu nie dokazali, lubo szczerze myśleli o jego detronizacji; tyle tylko, że bruzdzili w narodzie, a nawet niewyrachowane przynosili mu szkody. I tak, partja królewska, rzeczywiście narodowa, usiłowała wprowadzić Polskę do sojuszu Rosji, Austrii i Francji, przeciwko królowi pruskiemu i wojska swoje do ich wojsk przyłączyć. Ale żadnego traktatu nie można było u nas zawiązać bez zezwolenia sejmu, a Czartoryscy przez swoich adherentów rwali sejmy, co im nie było trudno, gdyż dość im było mieć za sobą jednego posła, żeby sejm rozpędzić i znowu na dwa lata skazać naród na anarchję; tak dalece, że z szesnastu sejmów zwołanych od Augusta III, dwa tylko doszły: jeden koronacyjny, a drugi pacyfikacyjny. Jeden z sejmów był zerwany przez pewnego posła województwa bełzkiego, którego ze wszechmiar zacnego nazwiska nie wymieniam. Agent pruski zobowiązał go datkiem czterdziestu tysięcy, które mu odliczył dublonami saskimi; ale niewielką miał z nich pociechę, gdyż pokazało się, że te dublony były bite z fałszowanego złota.

Partję magnacką, trzymającą z królem, kierowali następni mężowie: Małachowski, kanclerz koronny, człowiek światły, cnotliwy, zręczny, prawdziwy mąż stanu, którego zdanie było wyrocznią dla całej partji; Branicki Jaxa, kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, który do wychowania nowożytnego łączył cnoty Rzymianina, kwitnących czasów jego Rzeczypospolitej; Wacław Rzewuski wojewoda krakowski, hetman polny koronny, mąż wysokiej nauki i nieskażonego sumienia; Potocki, wojewoda kijowski, o którym dopiero wspomniałem; młody Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, człowiek burzliwy, ale niczem niezachwiany w raz powziętem przekonaniu, a do tego bożyszczę Litwy; Mniszech, marszałek wielki koronny, który przez swojego teścia Brühla kierował umysłem króla i wielu innych możnych panów, ściśle z niemi związanych. Cóżby Czartoryscy mogli zrobić przeciwko tak mocnej parji; a jednak pewna okoliczność wielce im posłużyła do wstrząśnienia tej partji.

Rzecz była taka. Król konferował Mniszchowi starostwo białocerkiewskie. Kajetan Sołtyk, który umarł księciem biskupem krakowskim, a wówczas był biskupem kijowskim, mąż świa-

ły i cnotliwy, ale gwałtowny, był związany ścisłą przyjaźnią z Mniszchem. Ten porucił mu objęcie tego ogromnego starostwa, jako mieszkającemu w Kijowskiem; Sołtyk podjął się tej posługi dla przyjaciela. Intronizując się tedy do starostwa, objął w posiadanie, jako atencję starostwa, wieś Rokitno, która rzeczywiście była własnością Borkowskiego. Ten się opierał niesprawiedliwości i o to wszczęła się sprawa; ale Borkowski miarkując, że nie dojdzie do ładu z tak przemożnym przeciwnikiem, sprzedał Rokitno panu Karwickiemu, klientowi i domownikowi kanclerza Małachowskiego.

Ten Karwicki wsławił się już był w narodzie tęgością swoją, zastępując marszałka trybunału, bo Sulerzyckiemu deputatowi, za wzniecenie tumultu kazał łeb uciąć, przestrzegając swojej powagi. Po tem nabyciu zapozwał pana Mniszcha do asesorii, która była w ręku JW. Małachowskiego, jako kanclerza.

Juryści wyperswadowali panu Mniszchowi, żeby zaskarżył pozew po niego wydany do asesorii i ten zaniósł przed trybunał koronny, na wypadek, gdyby asesoria uznała tę sprawę uległą swojej jurysdykcji, ile że słaba nadzieja zwyciężyć pana Karwickiego w sądzie jego protektora. Nietrudno było przekonać pana Mniszcha, człowieka dumnego, zaufanego w łaskę króla, a nierozumiejącego interesu.

Na balu u księcia Lubomirskiego, strażnika wielkiego koronnego, a świeżo ożenionego z księżniczką Czartoryską, wojewodzianką ruską, spotkali się marszałek i kanclerz, którzy dotąd żyli z sobą w ścisłej przyjaźni. Tam pierwszy zapytał drugiego: czy myśli sądzić jego sprawę z Karwickim; ten odpowiedział, że nie inaczej, gdyż starościńskie sprawy do jego jurysdykcji należą. Pan Mniszech cierpko temu zaprzeczył. Z tego wszczęła się kłótnia między obydwoma panami i rozjechali się rozjadrzeni na siebie.

Nazajutrz sprawa pana Karwickiego przywołaną została do sądu kanclerza. Pan Karwicki zapisał komparycję, pan Mniszech odstąpił, a pierwszy na drugim otrzymał kondemnatę. Pan Mniszech do najwyższego stopnia uczuł się obrażonym. Pan Rzewuski hetman, żonaty z cioteczną siostrą pana Mniszcha, mąż wysokiej mądrości i wielce słodkiego obejścia się z ludźmi, usiłował ich pojednać. Przekonywał szwagra, że albo trzeba pra-

wa nasze spalić, albo przyznać słuszość kanclerzowi. Wszystko napróżno, o ile kanclerz okazywał się umiarkowanym, o tyle gniew, zawziętość i upór marszałka się wzmaczały. Z tak błahego powodu kilkunastoletnia przyjaźń dwóch szanownych, a nawet spokrewnionych z sobą mężów, zamieniła się w nieubłaganą nienawiść, która nie mało szkody przyniosła Rzeczypospolitej.

Pan Mniszech przez swoich jurystów, dla których kłótnia wielkich panów jest tem, czem epidemiczna słabość dla lekarzy, pozwał pana Karwickiego do trybunału o zniesienie kondemnaty. Nie było przykładu tak forsownego trybunału, zjechał nań marszałek i wielu panów jego partji, zjechali i przyjaciele kanclerza. Szło Mniszchowi o to, żeby trybunał sądził jego sprawę i forsa, jakiej użył przy pomocy przyjaciół, dokazał tego. Kazano wprowadzić sprawę; wtedy już Karwicki odstąpił, a Mniszech zapisał na nim kondemnację. Przez te kolizje między dwiema najwyższymi magistraturami, uzyskał Mniszech najnielegalniejszą kondemnację, ale też nie mało go kosztowało i jego przyjaciół, zobowiązanie deputatów, sam pan wojewoda kijowski kilka wsi w Humańszczyźnie prawem dożywotniem im nadał. A jakież były ofiary Mniszcha? Sprawa nie była warta sto tysięcy, a parę milionów kosztowała. Oto do czego doprowadzić może duma, z zupełnem niepojęciem interesów.

Król od zawarcia pokoju, który mu wrócił dziedziczną Saksonję, przestał być mieszkać w Polsce. Bawił w Dreźnie z swoim dworem, a ja, należąc do dworu, byłem świadkiem tych wypadków polskich, a to z tego powodu, że król mnie wysłał z ekspedycją do JW. Mniszcha, w którego pałacu ledwo że nie ciągle siedziałem, bo był łaskaw na mnie. Nawet znajdowałem się na tym nieszczęśliwym balu księcia strażnika, gdzie się zaczęła owa kłótnia; a trzeba wiedzieć, że o niczem innem domownicy marszałka wielkiego nie mówili, tylko o jego sprawie. To, co później opowiem o końcu tej sprawy, będę mówił jako o rzeczy słyszanej, bo śmierć omal że nie nagła mojej matki, zmusiła mnie opuścić Warszawę, by ułatwić z rodzeństwem dział spadku przez nią zostawionego.

Udałem się jaknajśpieszniej do Porzecza, gdzie zastałem zebrane całe moje rodzeństwo. Wszyscy byli przy jej śmierci, ja tylko byłem nieobecny i to wielce uczułem. Majątek po matce

pozostały składał się z wioski i czterdziestu tysięcy kapitału; ale za radą brata regenta i jego staraniem, ta wieś została sprzedana za sto tysięcy. Siostra Mężynska już oddawna była wyposażona i uczyniła abrenuncjację tak ojczystego, jako i macierzystego majątku. Regent wziął dwadzieścia tysięcy, a resztę należności swojej zostawił rodzeństwu; ja poszedłem za jego przykładem. Odliczono mi dwadzieścia tysięcy i oddano cukiernicę srebrną nieboszczki matki, bo zauważono, że pragnę mieć ten sprzęt, który od lat czterdziestu służył jej ciągle. Walenty i Rzepecka, jako obdarzeni potomstwem, wzięło każde z nich po pięćdziesiąt tysięcy i remanenta gospodarskie; mieli więc uczciwy chleb szlachecki. Rzepecka zaraz kupiła wioszczynę pod Rzeszowem za tę swoją sumę i z mężem powoli dorabiali się, a Bóg im błogosławił; Walenty z swoim kapitałem wziął małą posesję, ale mu to ręką nie poszło, jak o tem później powiem.

Zabrawszy z sobą moje dwadzieścia tysięcy, z sercem zboleiałem po tak dotkliwej stracie, wróciłem jaknajśpieszniej do Warszawy. Moja sumka przydała mi się, opłaciłem nią moje długi, które podniosły się do osiemnastu tysięcy. Miałem zaś nietykane u JW. Małachowskiego piętnaście tysięcy na procencie, oprócz pensji i nadziei intrat z starostwa rozowskiego; a mając żądze ograniczone, czułem się być jak najlepiej co do interesów majątkowych.

Nie bawiłem w Warszawie nad dni pięć. Cała publiczność zajęta była kłótnią kanclerza z marszałkiem, z której książęta Czartoryscy umieli korzystać, żeby go odciągnąć od partji królewskiej a wciągnąć do swojej. Kanclerz zobowiązał się odtąd ich polityce pomagać. Wskutek tej kłótni, obie strony wznieciły niemałe zamieszanie na sejmikach deputackich, bo każdej stronie szło o to, żeby mieć swoich deputatów na reasumpcji trybunału. Po wszystkich koronnych województwach i powiatach, sejmiki się rozdwoiły; zamiast naprzykład dwóch deputatów, wybrano czterech, bo każda partja wybierała swoich, a ci wzajemnie zaprzeczali sobie legalność wyboru. Ładu między nimi nie można było przewidzieć, na rugach, które nastąpić miały w Piotrkowie, gdzie trybunał miał się reasumować, tem bardziej, że obie strony gotowały się użyć prywatnej siły zbrojnej, na poparcie swoich deputatów. Wojna domowa była nieochybną,

a naród tak był przestraszony, że gdyby natenczas Polska miała króla energicznego, umiejącego korzystać z usposobień narodu, ten z największą łatwością mógłby zostać samowładnym panem, bo już zaczynało powtarzać, że ta wolność polska, z której się pyszniono, nie była czem innem, tylko anarchją, której głową byli możnowładcy, a ramieniem proletarjat szlachecki, przez nich karmiony i odziewany.

Książęta Czartoryscy przez swoich adherentów, po wielkiej części przynajmniej otynkowanych ogładą zagraniczną, a więc nienawidzących nietylko formy rządu, ale obyczajów i wszelkich bez wyjątku ustaw rzeczypospolitej, wmawiali obywatelom, że panująca w Polsce familja saska jest przyczyną wszelkiego złego w narodzie; że tylko Piast właściwie w Polsce może panować i że z nim dopiero zjawi się jutrzienka porządku, spokojności i pomyślności publicznej. Wziętość, jaką ci książęta umieli sobie pozyskać w ościennych dworach, już ich robiła potężnemi, a w samym narodzie skuteczną znaleźli podporę w prymasie.

Władysław Pomian Łubieński, prymas, wyniesiony na pierwsze księstwo i krzesło obojga narodów przez dom saski, stał się otwartym nieprzyjacielem tego domu. Nie był pierwszym prymasem swojego imienia, zachowywała się jeszcze w podaniach obywatelskich pamięć innego Łubieńskiego, także prymasa, który jedynie przez cnoty swoje otrzymał tę godność. Był to mąż pobożny, uczony, pasterz poświęcony swojej trzodzie, który dla niej jedynie wszystkie starania i myśli swoje łożył; daleki od wszelkich zabiegów politycznych, nie chciał być, tylko gorliwym biskupem i wiernym poddanym. Był on z tej małej liczby panów duchownych, którzy nie myśleli o wyniesieniu swoich rodzin, tak dalece, że żaden wysoki urząd nie odznaczył jego familję od innych rodzin szlacheckich. Jego pamięć jedynie posłużyła Władysławowi do otrzymania prymasostwa.

Władysław był kapłanem wzorowym pod względem czystości obyczajów i przykładnego życia. Był wspaniałym, światłym i dobroczynnym, ale dumnym i do zbytku pamiętającym urazy. Jak mówiono, niechęć jego do króla, a zwłaszcza do hrabiego Brühla stąd miała powstać, że mu odmówione zostało senatorskie krzesło dla jednego z jego krewnych. Pomimo tego, oddawna tłała nienawiść między nim a Mischem, marszałkiem

wielkim koronnym, który był wszechmocnym u króla. Zresztą, jak się zdaje, z przekonania uważał panowanie domu saskiego jako zgubne dla Polski; i to pewna, że złączywszy się z książętami Czartoryskimi, niemało się przyczynił do odsunięcia tego domu od tej królewskiej godności, którą przez lat przeszło sześćdziesiąt piastował.

Pojechałem do Drezna z listami do króla od marszałka koronnego, który wybierał się do Piotrkowa, gdzie już byli zebrani jego stronnicy, a to dla utrzymania swoich deputatów. Asystowałem mu w tej podróży, gdyż Piotrków był na mojej drodze. Dwór jego był tak liczny, że za nim szedł tabor, jak za dawnych wojen, więcej pięciuset koni ręcznych i powozowych miał z sobą. Ale i jego przeciwnicy czasu nie zaspali, bo kiedy przybyliśmy do Piotrkowa, zastaliśmy go napełnionym uzbrojonym rycerstwem. Stronnicy kanclerza i marszałka rozróżniali się kokardami, przypiętymi do czapek. Jedna część miasta była zajęta przez Małachowczyków, a druga przez stronników Mniszchowskich, często napadali jedni na drugich i zadawali sobie kalectwa i śmierć. Nie można było rozpocząć rugów, bo kolejno, to jedni, to drudzy rozpędzali deputatów z ratusza. Był to stan okropny, bo były dwa trybunały, a nie było sposobu rozpoznać, który z nich był prawdziwy; oczekiwano generalnej bitwy, gdyż zadanie nie mogło być rozstrzygnięte, tylko siłą. Z jednej i z drugiej strony za miastem były obozy. Zebrało się magnatów i szlachty jakby na elekcję. Co do mnie, nosiłem kokardę królewską, a nie chcąc być świadkiem bratobójczej wojny, ile, że spieszyłem do króla, opuściłem Piotrków w niespełna dwadzieścia cztery godzin po mojem przybyciu, dziękując Bogu, że mi się udało wymknąć z niego bez napaści.

Stałem we Wschowie po południu. Zajechałem do domostwa żydowskiego, bo potrzebowałem posiłku. Obok był drugi dom, gdzie popasał hrabia Flemming, podskarbi wielki litewski, który przejeżdżał przez Wschowę, a był na mnie łaskaw. Jego słudzy dowiedzieli się od mojego kto jestem, skąd i dokąd jadę; więc pan podskarbi przysłał do mnie, prosząc, żebym do niego przyszedł i że już czeka na mnie z obiadem.

Często on mnie widywał, mianowicie kiedy bywałem na służbie u króla, co się dość często zdarzało. Był to Niemczyk zgrab-

niutki, ukladny, żywego temperamentu, przymilający się i panom i szlachcie, a w gruncie najlepszy w świecie człowiek. Często w Warszawie rozmawiał ze mną, zwykle po niemiecku, bo łatwiej mu było tłumaczyć się tym językiem, niż polskim. Posiadał wielkie bogactwa, które, żyjąc po pańsku, umiał jednak pomnażać, jedynie przez rządność i gospodarstwo, jakie w dobrach swoich zaprowadził; a miał dobra nietylko w Polsce i Saksonji, ale i w Holandji, na których ostatnich miał prawo bić własną monetę. Żywość jego poruszeń nie przeszkadzała grzeczności, a jednak była tak wielką, że kiedy po asamblach wracał do swojego pałacu, idąc po schodach, rzucał za sobą jedno po drugim: perukę, suknię, szpadę, chustkę, tak, że w koszuli i w pluderkach tylko przychodził do swojego pokoju. Zięć jednego księcia Czartoryskiego, a teść drugiego, musiał należeć do ich partji, ale bardzo miękko, kiedy nie utracił względów króla, ani zerwał ścisłej przyjaźni, jaka go łączyła z Brühlem. Tyle był roztrzęsionym w prowadzeniu swoim, że nikomu się nie naraził. Namówili go, żeby jechał do Piotrkowa, jako krewny książąt Czartoryskich, pomagać swoją przytomnością kanclerzowi; ale jak zobaczył Niemiec że tam się biją, zaraz wyjechał, jakoby do cieplic zagranicznych dla ratowania zdrowia, w samej rzeczy cierpiał na pedogre. Wtedy właśnie zjechałem się z nim we Wschowie.

Jakem stanął przed podskarbis, że byłem w żałobie, od tego zaczął, iż zapytał po kim ją noszę.

— Po mojej matce, JW. Panie.

— *Ah Herr Jesus! ah Herr Jesus!* (takie było jego przysłowie). Słyszałem, że waćpan jedziesz do Drezna do króla jego mości, pana naszego miłościwego.

— Nie inaczej. Jechałem na Piotrków, gdzie zostawiłem JW. marszałka koronnego. Co też tam za zjazd, JW. Panie! Piotrków jest teraz ludniejszą od Warszawy.

— I ja przejeżdżałem przez Piotrków, i na to patrzyłem. *Ah Herr Jesus!* jakie to burdy! Do mojego pojazdu strzelano jak gdybym się komu przeciwiał. Jestem krewny Czartoryskich i przyjacielem kanclerza, ale żyję w przyjaźni z hrabią Brühlem i z panem marszałkiem. Ta kłótnia moich kolegów nie mała mi zdrowia kosztuje. Rozpletli w Warszawie, że jadę do Piotrkowa, ażeby przeciwko marszałkowi forsować, nawet graf Brühl dość

zimno mnie pożegnał. Jazbym się mieścił między nieprzyjaciółmi pana Mniszcha? a broń Boże! Ja spokojny człowiek, z żadnym sąsiadem terespolskim procesu nie miałem, o życzliwość każdego się staram. I waćpan jak będziesz na służbie u króla, powiedz jakie dobre słowo o mnie, bo Bóg wie, czy jego przeciwko mnie nie uprzedzili. Wszak ja dwukrotnie jestem jego poddanym! Ot, wiesz waćpan co? zjedźmy z sobą obiad, a potem siadaj ze mną do powozu, a ja z ukontentowaniem zawiozę go do Drezna. Zabierz swoje rzeczy do moich ekwipażów, a swój odeslij do Warszawy. Czy *gut*?

— Prawdziwie, że nie umiem podziękować za taką łaskę JW. Panu.

— *Ah Herr Jesus, ah Herr Jesus!* wdzięczność z mojej strony, że będę miał tak dogodnego towarzysza podróży.

Siedliśmy do stołu. On dał rozkaz swojemu podróżnemu marszałkowi, żeby się zajął mojem wybraniem. Przy obiedzie nasza rozmowa się przedłużała. Pan podskarbi umiał zobowiązywać swoją grzecznością, a do tego był tak miłym i światłym w rozmowie, że było kogo posłuchać.

Wstawszy od stołu, pobiegłem do mojej gospody, gdzie zastałem marszałka dworu podskarbiego. Jednak nie usłuchałem go w tem, bym miał odesłać mój ekwipaż. Kazałem służącemu jechać za nami, bo broń Boże jakiej pańskiej chimery, po co mi być na jego dyskreacji? Szlachcic choć ubogi, ile możliwości powinien przestrzegać jakiejś niepodległości w stosunkach swoich z panami i zawsze, jeżeli roztropny, na każdy wypadek zostawić sobie jakąś furtkę do ucieczki. Chciałem zostawić marszałkowi jakąś kwotę dla opłacenia poczty, ale ten jej nie przyjął, mówiąc, że jego pan miałby sobie za krzywdę, żeby ten, którego chce mieć towarzyszem podróży, jakikolwiek koszt ponosił. Prosił więc żebym był spokojnym o swój ekwipaż, który za jego staraniem, z ekwipażami JW. podskarbiego litewskiego szczęśliwie dojedzie do Drezna.

Tym sposobem odbyłem podróż w karecie, obok JW. podskarbiego, który z niemałą niespokojnością zbliżał się do Drezna, gdyż obawiał się złego przyjęcia u dworu. To czuć się dawało pocztmistrzom po drodze, bo że był charakteru niecierpliwego, a do tego zirytowany niespokojnością, więc na niejednej stacji na-

wrzeszczał i nawymyślał, że nie dość prędko był usłużonym, dostawało się i jego marszałkowi. Razu jednego i mnie ofuknął przy obiedzie, że będąc Polakiem, wodę tylko piję. Dowodził, że jeżeli nie przyzwyczaję się przynajmniej do dwóch kieliszków wina na dzień, to umrę z wodnej puchliny. Ale wstręt mój do tego trunku był tak wielki, że przy najlepszej chęci w żaden sposób nie mogłem się nakłonić do jego rady.

Nakonieć przybyliśmy do Drezna przed wieczorem. Pan podskarbi, rozstając się ze mną, podziękował mi, że mu asystowałem w jego podróży i na pamiątkę darował mi strzelbę Kucheneitera, którą dotąd zachowałem, a która dziś jest już rzadkością. Była to wspaniałość pańska, bo nie on mi powinien był dziękować, ale owszem do mojej wdzięczności miał prawo, gdy o jego koszcie, ze Wschowy, przy wszelkich wygodach, dostałem się do Drezna. Pan podskarbi zajechał do swojego pałacu, a ja do królewskiego zamku, gdzie jako szambelan dworu miałem moją kwatere.

Nazajutrz przedstawiłem się królowi, którego byłem i poddanym i sługą i wręczyłem mu listy, które mi JW. marszałek koronny powierzył. Król przyjął mię łaskawie. Musiałem mu opowiedzieć awantury piotrkowskie, to zdawało się go obchodzić, bo często powtarzał „*Ding, ding*”; a kiedy mu powiedziałem, że przybyłem z JW. podskarbis, któremu terazniejsze zamieszanie w Polsce tak dokuczyło, że wyniósł się do Saksonji, król lekko się rozśmiał, mówiąc: „*Ding, ding*, Flemming prawdziwy Sas, tak jak ja lubi spokojność”. Wkrótce mnie odprawił, dając zalecenie hofmeistrowi dworu, żeby jutro przeznaczył mnie na służbę przy Jego Królewskiej Mości.

Poznałem, że król nie jest uprzedzony przeciwko podskarbiemu i zaraz pośpieszyłem do tego ostatniego z tą wiadomością. Wielce się uradował tem mojem doniesieniem, uczynił mi tysiąc oświadczeń swojej wdzięczności i zaraz napisał do hofmeistra, żeby go umieścił na liście tych, którzy pragną nazajutrz złożyć hołd Jego Królewskiej Mości. Był w najlepszej myśli, kiedy go pożegnałem i odprowadzając mnie do drzwi swojego pokoju, powiedział w języku polskim: „Dziękuję za już, a proszę o jeszcze”. Czem mię upoważnił do częstego służenia mu w Dreźnie.

Nazajutrz będąc na służbie u króla, byłem świadkiem prezentacji podskarbiego, ten dał mi wielkie wyobrażenie o swoim dworskim takcie. Był dobrze przyjęty, król zrobił mu wiele zapytań, na które obszernie odpowiadał; a w tych odpowiedziach nic takiego nie było, coby się mogło królowi niepodobać, albo w Polsce kogokolwiek przeciwko niemu samemu narazić, ile że mówił przy świadkach. Do tej rozmowy umiał wmieszać kilka pochlebnych dla króla zwrotów, ale tak zręcznie, że nawet przenikliwszego monarchę, niż był August III, za serce by uchwycił. Poznałem, że pan podskarbi był doskonałym dworakiem.

Trzeba wiedzieć, że szambelan będący na służbie, na krok nie może się oddalić od króla, aby być zawsze na jego zawołanie i musi nocować obok królewskiego pokoju w pełnym ubiorze, żeby i tam być w gotowości na każdy wypadek. Przez ten cały dzień, w którym byłem na służbie, król był w najlepszym humorze. Jadł obiad z zwyczajnym apetytem, otoczony swem licznem potomstwem, oprócz królewicza Karola, niegdyś najmilszego jego sercu syna, na którego się gniewał, z powodu, iż ten pomimo woli ojca ożenił się był z panną Franciszką Krasińską, pochodzącą z starożytnego i wielce zasłużonego krajowi domu, ale którą raziała wyniosłość saskiego rodu, przywykłego kojarzyć dzieci z głowami koronowanemi. Król nawet, co mu się rzadko zdarzało, był żartobliwym i prześladował królowną Kunegundę, najmłodszą z jego dzieci, która jedna nie była zamężną, że ją wydał za Teodora I, króla korsykańskiego. Był to baron Neuhoff, sławny awanturnik, który w samej rzeczy ogłosił się królem Korsyki, a później żył w Frankfurcie, prawie o żebranych chlebie.

Tego samego wieczora były u króla assamble, na nich najmniej okazał się wesołym. W tem tylko wyszedł ze zwykłego trybu życia, że gdy zawsze wychodził do wczesu o trzy kwadransy na dziesiątą, w dniu tym o samej dziewiątej opuścił salę, a my, będący na służbie, wyszliśmy za nim.

Po odbytych pacierzach, król w naszej przytomności zaczął się rozbierać, ale zdawał się być pogrążonym w głębokiem zamyśleniu, tak, że kiedy już był zupełnie rozebrany, usiadł na krześle, wsparł głowę na rękę i nieruchomo około kwadransa siedział; poczem zerwał się z krzesła, przystąpił do łóżka, i padł jak długi na dywan. My przełknięci przyskoczyli do niego

i podnieśli, ale już nie miał żadnej przytomności. Przybiegli lekarze ratowali go jak mogli, tyle tylko, że na chwilę się ocucił i odezwał się: „*Ding, ding, ah mein Gott!*“ ale zaraz i konać zaczął. Spowiednik miał jeszcze czas namaścić go świętym olejem i dać mu powszechne rozgrzeszenie; zresztą król co tydzień zbliżał się do sakramentów. O godzinie wpół do trzeciej zrana już nie żył.

III.

Następcą króla na tron elektoralny był jego syn starszy August, książę żonaty i mający kilkoro drobnych dzieci, ale wątłego zdrowia. Miał nogi w kształcie jelenich, że niebardzo mógł się niemi posługiwać, a do tego tak apatyczny charakter, że nie był zdolnym czemkolwiek z usilnością się zajmować. Inni książęta domu saskiego, oprócz królewicza Karola, niewiele byli zdatniejszymi. Jeszcze za życia króla, rozsądniejsi jego stronnicy już między sobą powtarzali, że nie ma podobieństwa, ażeby jego syn na polskim tronie dał się osadzić. Wprawdzie nikt nie przewidywał, żeby ten tron dostał się polskiemu szlachcicowi. Zawsze oczy się zwracały ku dynastjom panującym, bo szlachcic wyniesiony ze stanu równości nad domy jemu zawistne, a potężne swoim położeniem, co najwięcej mógł być głową jakiejś partji, rola niegodna dla króla i przynosząca krzywdę jego świętemu powołaniu. Doświadczenie powinno było przekonać naród, że trzeba mu króla, któryby oprócz tronu elekcyjnego, posiadał jeszcze własne państwo, żeby miał gotową siłę, jakiej nie było możliwości utworzyć w narodzie, gdzie o najmniejszą rzecz trzeba było się targować z kilkuset głosami, z których każdy równie stanowczy, jak wszystkie inne w jedność razem połączone. Naród czuł to tak dalece, że od śmierci Kazimierza Wielkiego, w tak długim szeregu wybranych królów, dwóch tylko można okazać takich, którzy nie mieli własnych dziedzicznych dzierżaw poza obrębem naszego kraju. A pod panowaniem tych dwóch Rzeczpospolita poniosła niemałe szkody.

W rzeczy samej tylko dynastje panujące dają trwałą wartość polityczną narodom, a utworzenie dynastji nie jest łatwe do wykonania; na to trzeba wieków. I tu doświadczenie głośniej przemawia, niżeli wszelkie teorie o samodzielności ludów.

Właściwą więc było rzeczą dla narodu, w którym dynastia panująca nie dała się wyrobić, szukać jej poza krańcami własnej ojczyzny. Nic więc dziwnego, że magnaci polscy, którzy bez względu na ich zasługi osobiste, niezaprzeczenie przechowywali wielkie podania swojego narodu, czuli wstręt do powierzenia rządu tak nazwanemu Piastowi i zwracali oczy ku rodom oddawna panującym; tem więcej, że w czasie tej ciągłej anarchji, która rozdzierała Polskę przez ciąg trzydziestoletniego panowania Augusta III-go, jeżeli naród zachował się w całości, to jedynie przez stosunki krwi i przyjaźń króla z dynastjami panującymi w Europie.

Było w Dreźnie kilku naszych magnatów, a więcej jeszcze szlachty; ale między nimi ani jednego nie było takiego, któryby nie został przerażonym śmiercią króla i nie przewidywał wielkich nieszczęść dla kraju z tej śmierci i z niedołężności moralnej i fizycznej młodego elektora. Wszyscy jednak byli gotowi popierać jego kandydację do korony i w tej myśli jak najspieszniej powrócili do Polski.

Ja jeden pozostałem w Dreźnie. Nie byłem figurą tak ważną, żebym się miał mieszać do jakich czynności politycznych, a byłem jeszcze sługą domu saskiego, niemającym prawa opuścić dworu, dopóki nie zostanie uwolnionym z mojej służby. Zająłem się jedynie mojami osobistymi interesami i wzięłem się przy elektorze do tych samych obowiązków, jakie pełniłem przy świętej pamięci jego ojcu. Wszakże wkrótce prosiłem o uwolnienie ze służby, gdyż przy rozdzieleniu Saksonji z Polską, nie mogłem być razem i szambelanem saskim i pułkownikiem polskim. Elektor uprzejmie przyjął moje tłumaczenie, uwolnił mię ze służby i wspaniale ze mną postąpił, gdyż tytułem nagrody kazał mi odliczyć tysiąc czerwonych złotych, z najzaszczytniejszym świadectwem. Kiedy byłem u niego na pożegnaniu, oświadczył mi łaskawie, że z żalem uwalnia takiego sługę, jakim byłem, ale jeżeli Bóg go powoła na tron ojca, da mi dowód, że zachował w pamięci moje usługi.

Jednak nie zaraz udałem się do Polski, bo nie chciałem być świadkiem zamieszkań, jakie wkrótce na nią spaść miały. Bezkrólewie może być polem korzystnym dla magnata i otaczających go intrygantów, ale zawsze było zgubne dla ludzi mier-

nego mienia, a spokojnych i szczerze miłujących ojczyznę. Wiadomości, jakie do nas z Polski dochodziły, były zatrważające, wszystkie jurysdykcje sądowe ustały, sądy kapturowe zaczynały się składać. Tym sposobem szlachta zebrana w Piotrkowie, gotowa do wojny domowej, rozjechała się, gdyż w czasie bezkrólewia już trybunału niema. Najwyższa władza została w ręku Prymasa, związanego z książętami Czartoryskimi, a tem samem nieżyczliwego domowi saskiemu. Marszałek koronny będąc pod kondemnata, nie mógł sprawować swojego tak ważnego urzędu, podczas kiedy jego przeciwnik nie przestawał być czynnym kanclerzem. Partja przeciwna królewiczowi, acz liczebnie słaba, ale mająca za sobą siłę zagraniczną, a do tego przez prymasa i kanclerza trzymając w rękach rząd, jaki był, rozpędziła w Warszawie partję przeciwną, która pozostawała bez kierunku. Kaptury pozapełniały się samemi adherentami książąt Czartoryskich, na sejmiki zebranymi do wysłania posłów na sejm konwokacyjny. Siłą zbrojną zagraniczną nie dopuszczano tych, o których wiadano, że byli stronnikami partji magnatów, nie było więc nadziei dla domu saskiego wprzód jeszcze, nim sejm konwokacyjny, najnielegalniej zebrany, zawyrokował, że tylko Piast może być obranym i że żaden obcy nie może być przypuszczonym do kandydatury.

Bogu dziękuję, iż żadnego nie miałem udziału w tych zamieszkach. Byłem przy pieniądzach, postanowiłem więc udać się do Wiednia, gdzie nie mogłem uważać się za zupełnie obcego i tam zabawić dopóki się cokolwiek w Polsce nie uspokoi. Opuszczając Drezno, napisałem do brata regenta, że jadę do Wiednia, że nie wiem jak długo w nim się zatrzymam, ale żeby tam adresował swoje listy do mnie i donosił co się dzieje w kraju, tak z naszą familją, jako i ex publicus, zapowiadając mu moje wcześniej czy później przybycie do jego domu, gdzie mu się może i naprzykrzę, gdyż tam myślę czekać na to, co Bóg o mnie postanowi. I zabrawszy swoje manatki, których dosyć miałem, puściłem się przez Pragę czeską do Wiednia.

Tam bawiłem przeszło cztery miesiące i byłbym dłużej zabawił, bo bezkrólewie jeszcze się nie skończyło, a trzoda publiczna zawsze była bez pasterza; te zaś napady na wielkim gościńcu wcale nie były do smaku mnie żołnierzowi, przywykłe-

mu żyć w karbach posłuszeństwa dla władzy. Pomyślałem sobie, niech kto chce panuje w Polsce, byle w niej urządził się jakiś porządek, zabezpieczający spokojność każdemu, który żyjąc o własnym chlebie, do niczego mieszać się nie chce. Póki zaś to nie nastąpi, postanowiłem mieszkać w stolicy i siedzibie domu austriackiego, u którego miałem jakieś zasługi.

Poeta Metastazy już nie żył, ale mojego dobrodzieja Brambillę zastałem zawsze czerstwym, a na mnie łaskawym. Przynajmniej trzy razy na tydzień musiałem u niego obiadować. Przez resztę tygodnia nie swój, ale cudzy chleb jadałem, bo było dość naszych możliwych Polaków, mnie znajomych, którzy się byli schronili w Wiedniu przed zaburzeniami ojczyzny: książę Józef Radziwiłł, wojewoda miński, Plater kasztelan inflancki, Ossoliński, starosta chmielnicki, Potocki krajczy koronny i kilku innych, którym z kolei służyłem na obiadach i wieczorach. Trzeba wiedzieć, iż niekiedy obiadowałem u Franza, niegdyś mego felczera, który przy protekcji Brambilli postąpił już był na figurę, bo był dyrektorem szpitala, przez co miał sobie zabezpieczone: kwaterę, opał, światło i tysiąc reńskich rocznie, a do tego pojął żonę z jakimś posagiem. Mnie zawsze uważał za pierwszą sprężynę swojego szczęścia, był dla mnie wylany; a nawet, że wtedy żona powiła mu już drugiego synka, chciał koniecznie, żebym trzymał do chrztu. Nie miałem więc innego wydatku, jak tylko na opłacenie mieszkania, praczki i czasem fiakra, gdyż garderoba moja była tak obfita, że obciążać się nie miałem potrzeby. Miałem dość zasobów, ile że pobierałem moją pensję na gruncie, bez takich zachodów, jak dotąd, gdy dochodziła mnie w Warszawie.

Trzeciego tygodnia mojego pobytu w Wiedniu odebrałem odpowiedź brata regenta na list mój pisany z Drezna, która nie mało mnie zasmuciła. Wprawdzie wiadomości o familji były pocieszające, ale z krajem źle się działo. Opisał mi niektóre ustępy tej anarchji, w której wszyscy udział brali, jak naprzykład rozpedzenie sejmiku w Grudziądzu przez pana Poniatowskiego, generała w służbie cesarzowej Marji Teresy, którego znałem o tyle dobrym żołnierzem, o ile później pokazał się burzliwym obywatelem; rozpiśtał się o banicji księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego i zabraniiu jego obszernych dóbr na skarb

przez adherentów partji Czartoryskich i innych bezprawiach, na które szlachta poczyniła protestację po wszystkich aktach litewskich i wielu koronnych. Nakoniec donosił, że wszyscy pragną jak najrychlej otrzymać jakiegobądź króla, byle tylko to bezkrólewie się skończyło. Po takim liście więcej jeszcze utwierdziłem się w postanowieniu nieopuszczania Wiednia, gdzie mi się dobrze działo; tem więcej, że w Polsce, oprócz trochę sprzętów w Warszawie i piętnastu tysięcy u JW. Małachowskiego, nic więcej nie posiadałem. O to wszystko byłem spokojny, gdyż to było pod okiem regenta, który miał odemnie najobszerniejszą plenipotencję. Jednak wyjechałem ze spokojnego Wiednia do zakłóconej Polski, a to z następnego powodu.

W kilka tygodni po tym pierwszym liście, dostałem drugi od brata, w którym dał mi znać, że moja jak najrychlejsza przytomność w Polsce jest konieczną, gdyż otrzymał wiadomość, że blisko od roku pan Niemierzyc, starosta rozowski, nie żyje, i że już ktoś inny w niem burmistrzuje; że na mocy przywileju królewskiego mam objąć to starostwo w moje posiadanie, a więc trzeba mi się udać w Kijowskie, żeby z powodu mojej nieobecności nie przedłużono mi krzywdy, bo w czasie bezkrólewia nie ma bezprawia, którego by się nie można dopuścić. Dodał i to, że cała Ukraina będąc zajętą przez wojsko Najjaśniejszej Imperatorowej, nie mam się czego tam obawiać, bo to wojsko przestrzega bezpieczeństwa obywateli. Nie było co robić, trudno się wyrzec majątku, nie grzechem nabytego. Rad nie rad opuściłem Wiedeń i dzień i noc jechałem aż pod Rzeszów, do mojej siostry Rzepeckiej, której wioska leżała na wielkim szlaku pocztowym. Tam wypocząłem kilkanaście godzin.

Siostra, jak to mówią, żyła ubogo, ale chędogo. Biedę cierpiała podczas wiosny swojego życia, nie była przyzwyczajoną do zbytku, więc wiosieczka sownie dostarczała na wszystkie jej rzeczywiste potrzeby. Gospodarowała jako dyspozytorowa, zostawszy więc dziedziczką, trybu życia co do siebie w niczem nie odmieniła, tyle tylko, że trochę z okazalszą gościnnością przyjmowała gości. Była z niej kobieta pocziwa, bo przeszła przez szkołę nieszczęścia. Kiedym ją nawiedził, była szczęśliwą, bo niczego nie pragnęła, tylko polepszenia zdrowia swojego męża, którego w bardzo złym stanie zastałem, miał suchoty i dogory-

wał. Zresztą, miała troje dzieci: dwóch synów i córeczkę, która z wielką troskliwością się zajmowała. Z jej domu napisałem do brata regenta, że śpiesząc w Kijowskie, nie mogę zboczyć, by go uściskać; lecz za powrotem, da Bóg doczekać, zatrzymam się u niego. Czułe pożegnawszy siostrę i szwagra, puściłem się jaknajśpieszniej do Żytomierza, stolicy województwa kijowskiego.

Nigdzie po drodze nie zatrzymałem się. Pomimo zamieszek bezkrólewia, poczty były dobrze urządzone, na żadnej stacji nie zdarzyło mi się czekać na konie; ale nie mogłem się temu dziwić, gdyż wówczas obywatele zwykle własnymi końmi najdalsze podróże odbywali. Po drodze przybywszy do Berdyczowa po południu, postanowiłem w nim nocować, żeby nazajutrz zrana uczcić Najświętszą Pannę, której obraz w kościele OO. Karmelitów Bosych słynął cudami. Zajechawszy więc do gospody żydowskiej i naprędce się w niej roztasowawszy, poszedłem zwiedzić miasteczko, które pierwszy raz widziałem.

To jedyne miasto handlowe na Ukrainie niewiele się odróżniało od najlichszych miasteczek tamtych stron, tyle tylko, że w niem ilość żydów była większą, niż gdzieindziej. Nie było w niem nietylko żadnego gmachu, ale nawet kamiennego domu. Wzdłuż i wszerz przeszedłem Berdyczów, nic w nim nie ujrzałem, tylko drewniane, czasem napół walące się domy, i mnóstwo między nimi snujących się żydów, w swoich czarnych łapserdakach; ale uderzyła mnie niewypowiedzialna ilość kramów, nakształt szałasów, do których zwłaszcza żydówki niezmordowanie zapraszały przechodniów. Była jakaś sprzeczność między nędzną powierzchownością tych kramów, często drogami podpartych, a bogactwem towarów, jakich w nich można było dostać. Żydzi na Ukrainie odznaczali się nawet między żydami innych prowincyj swoją uprzejmością dla szlachty. Całkowity handel tej części Polski był wyłącznie w ich ręku, gdyż tylko żydzi, przez swoje usposobienie, byli w możności oddać się przemysłowi w części zapadłej państwa, narażonej na napady Krymu, Zaporoża i Hajdamaczyny; w której nie było policji czuwającej nad bezpieczeństwem mieszkańców i gdzie duma szlachecka każdego z nich mogła ukrzywdzić bezkarnie. Siła ich stowarzyszenia, na uczuciach religijnych oparta, wszystkim tym tru-

dnościom zaradziła. Te ubezpieczenia i kasy oszczędności, później w zachodniej Europie urządzone, w pełnej sile istniały między żydami ukraińskimi. Jeżeli który z nich był złupiony napadem, cały kahał ponosił jego szkodę; a jeżeli jej wynagrodzenie przechodziło jego zamożność, inne zamożniejsze kahały szły mu w pomoc i wszystko się ułatwiało mądrym wpływem rabinów. Co się zaś tyczy zuchwalstwa szlachty, żydzi umieli rozbrajać ich cierpliwością i pokorą. Szlachcic był gwałtowny, ale nie podły, nie było przykładu, żeby użył swej siły nad słabszym dla nikczemnego zysku, żeby się domagał jakiej ofiary. Żeby być od niego skrzywdzonym, trzeba było go obrazić, a od tego żyd był dalekim. Żydzi byli wówczas poczciwi, nie było przykładu, żeby który z nich był zamieszany w kryminalnej sprawie; dopiero od drugiej połowy Stanisława Augusta, kiedy cały kraj już był lepiej urządzony, stara moralność żydowska zaczęła upadać, i zagęściły się przykłady żydów, ukaranych za złodziejstwa, a nawet za współnictwo w rozbojach.

Ukraina była szczęśliwą, obfitowała we wszelkie płody. Żadna ziemia nie była tak hojnie uposażoną od natury. Wprawdzie pieniądź był rzadki, ale tam mniej był potrzebny, niż gdzieindziej, bo to, co stanowi rzeczywiste potrzeby człowieka, za bezcen się nabywało. Korzec owsa płacił się w karczmie pół złotego, korzec żyta na targu można było dostać za czterdzieści groszy; mnie samemu zdarzyło się kupić za jeden grosz piętnaście jaj świeżych. Wszystko było w tymże stosunku. Mówiono jeszcze po drodze, że wszystko podróżowało przez napływ wojska rosyjskiego, które zasłaniało tę prowincję od pożogów bezkrólewia, a potrzeby swoje opłacało elizabeckimi rublami.

Na targu berdyczowskim zastałem jeszcze wiele ludu ukraińskiego, chociaż słońce zniżało się już ku zachodowi. Snuło się chłopstwo obojga płci między napół próżnymi wozami, na których widzieć się dawały ostatki wełny, wosku, cebuli, warzyw i owoców, smoły i dziegciu, a nadewszystko ziarna wszelkiego rodzaju. Uderzony byłem nadobnością i dostatkiem tego narodu. Parobcy w czystych siermięgach, w pasach błyszczących szkarłatem, rysów twarzy regularnych i szlachetnych, z uśmiechem na ustach, wesołością swoją robili kontrast z melancholijnym wyrazem, cechującym oblicze wyznawców Mojżeszowych.

Mołodyce okryte koralami, w namitkach białych jak śnieg, w żupanach przypominających tuniki starodawnych Greczynek, mieszały się z dziewczkami, które mnie jeszcze więcej zachwyciły swoim ubiorem. Z ich starannie trefionych włosów mnóstwo bind różnobarwnych igrało z wiatrem; spódniczki kałamajkowe otulały ich zgrabną kibić, a na nich krótsze fartuchy, często z materji perskiej w kwiaty, wdzięcznie wabiły oko. Ponad bindami wznosiła się korona kwiatów, jeszcze niezupełnie powędłych, a żółte buciki uzupełniały ten malowniczy ubiór. Niektóre z tych niewiast były czarującej piękności; twarz szpetna w obojej płci była rzadkością, do tego ruch, życie, wesołość! Byłem zachwycony tym obrazem, który dotąd nie wygasł w mojej pamięci.

Powróciłem do mojej gospody, żeby wcześniej przygotować się do spowiedzi. Przyznam się, że pewien grzech ciążył mi na sumieniu i sprawił we mnie niespokojność, wyrzucałem sobie, że kiedy otrzymałem wiadomość o śmierci pana Niemierzyca, po którym miałem objąć starostwo, uczułem w sobie radość, która zdawała mi się być przeciwną miłości bliźniego. W takich wątpliwościach najwłaściwiej udać się do Boga, bo On tylko jeden oświecić może. Jakoż mój spowiednik uspokoił mnie, mówiąc, że grzech byłby ciężki, gdybym żyjącemu posiadaczowi starostwa życzył śmierci przez uczucie chciwości; ale że niema grzechu cieszyć się spadkiem majątku, zwłaszcza nie po rodzicach, ani nawet krewnym, ale po takim, z którym żadnych ścisłych stosunków nie miałem, a którego śmierci nigdy nie pragnąłem. Wolno bowiem każdemu radować się z swojego dobra, byleby ta radość była bez krzywdy bliźniego, a śmierć przyrodzona za krzywdę nie może być poczytana.

Nazajutrz z rana poszedłem do kościoła, ofiarowałem się Najświętszej Pannie i posiliłem się Przenajświętszym Sakramentem; potem złożyłem moje uszanowanie ojcu przeorowi, światłemu i świętobliwemu zakonnikowi, który mnie przyjął uprzejmie i zaprosił na śniadanie. Rozmowa z nim była dla mnie wcale przyjemną. Pokazało się z dyskursu, że mój brat Antoni był mu znanym kiedy był magistrem w szkole winnickiej. Rozmawialiśmy z sobą obszernie podczas gdy mnie oprowadzał po bibliotece, skarbcu, drukarni i innych ciekawościach klasztoru.

Dowiedziałem się od niego, że w Żytomierzu najpotężniejszą figurą był pan Wychowski, przedtem chorąży, a teraz sędzia kapturowy powiatu żytomierskiego; że jest pełnomocnym ufnością szlachty, że jest człowiekiem uczciwym, pobożnym i miłującym sprawiedliwość i że winienem koniecznie starać się o jego względy. Nie szczędził mi, względem mojego obejścia się w Żytomierzu rad, które niemało mi pomogły do rychłego załatwienia interesu, około którego chodzić miałem.

Po sutem śniadaniu, które mogłoby uchodzić za ranny obiad, poleciłem się błogosławieństwu i modlitwom ojca przeora, który był z zacnego domu Dubrawskich i opuściłem klasztor. Dopiero wtenczas, mając czas wolny, mogłem się przypatrzeć kościołowi i strukturze klasztoru. Ten był twierdzą, opasaną wysokim murem i bronioną działami; nawet oo. karmelici utrzymywali w nim własnym kosztem dwieście ludzi załogi. Mieli też przywilej mianowania komendanta, najczęściej tytularnego, który miał przyznaną sobie rangę majora w wojsku rzeczypośpolitej; tym tytularnym komendantem zawsze był jakiś obywatel województwa. Klasztor był obszerny, a kościół strukturą swoją, a zwłaszcza wewnętrzną ozdobnością, w każdym nawet zagranicznym mieście ściągnąłby na siebie uwagę przejeżdżających.

Klasztor był dobrze uposażony, miał dwie wsie położone blisko Berdyczowa; składy, które mu przynosiły znaczne przychody; sumy ulokowane na procencie, a nadewszystko zakrystję. Nie było obywatela, nie było mieszkańca, któryby nie uczynił jakiej ofiary na wotywę; żaden szlachcic jarmarkuby nie rozpoczął, nie poleciwszy się wprzód Najświętszej Pannie cudownej i nie wezwawszy Jej opieki przez Mszę świętą, odśpiewaną lub przynajmniej odmówioną przy Jej ołtarzu. Czem Częstochowa dla Polski, tem był Berdyczów dla Rusi.

Ale jeżeli pieniądze płynęły oo. karmelitom, użytek, na jaki oni je obracali, zasługiwał na uwielbienie. Zasługi tego zgromadzenia, bez największej niewdzięczności nigdy nie mogą być zarte w pamięci mieszkańców Rusi. Karmelici założyli pierwszy blich i pierwszą drukarnię w tych prowincjach; od nich wychodził pierwszy kalendarz, jedyny w kraju, który nie tylko oświecał o świętach uroczystych i kościelnych, ale nawet służył za

przewodnika w gospodarstwie. Był czas, kiedy jedyna papiernia na Rusi była ta, którą karmelici pierwsi założyli w swojej wsi; w drugiej otworzyli hamernię, która dostarczała wszystkim gorzelniom kotły, a wszystkim kuchniom łądło. Później, to jest po rozwiązaniu zgromadzenia Jezusowego, otworzyli szkoły publiczne dla wszystkich stanów i konwikt dla szlacheckiej młodzieży, z którego wychodzili znakomici urzędnicy. Zresztą, w szerokich rozmiarach okazywali staropolską gościnność: każdy obywatel przyjeżdżający do Berdyczowa, kiedy ich nawiedzał, mógł być pewnym, że ojcowie nie puszczą go od obiadu.

A cóż dopiero pociechy duchowne, z jakich tam można było korzystać! Wszelkie odpusty, jakie można było otrzymać w Lorecie, nadane były przez Stolicę Apostolską kościołowi karmelitów berdyczowskich. Dwa były konfesjonały, gdzie wierni wyspowiadawszy się, za dotknięciem łaski przyjmowali odpust zupełny. Cuda obrazu Bogarodzicy w całym kraju były słynne i udowodnione najautentyczniejszymi dowodami; zadawnione niemoce, kalectwa, wszystko znikało za potężną opieką Najświętszej Panny; były nawet wypadki dzieci umarłych, a wskrzeszonych przed wielkim ołtarzem. Wiem, że znajdują się tacy, którzy nie pojmując tego, co przechodzi pojęcie ich niedołężnego i błahego rozumu, na to opowiadanie wzruszą ramionami, nie omieszkawszy z szyderstwem temu przeczyć; tacy są tylko politowania godni.

Po południu puściłem się przez Kodzice do Żytomierza. Nad Kamionką, pod samym Żytomierzem, musiałem nocować w moim pojeździe, bo karczemka była tak licha i tak przepelniona, że nie było podobieństwa do niej zajechać. Zatrzymałem się z powodu, iż promem przeprawiał się pułk rosyjski, który śpiesznym marszem szedł do Połonnego. Służbie publicznej wygodę prywatne ustąpić winny. Nocowałem w pojeździe, gdyż w Stanisławce, gdzie był prom, pod samym Żytomierzem, nie było karczmy zajezdnej.

Przybyłem więc do Żytomierza o świcie. Licha to była miejscina, jak zwyczajnie większa część naszych miast w owym czasie. W tej stolicy województwa kijowskiego z niemałą trudnością znalazłem kącik w domostwie żydowskim przy ulicy Cudnowskiej. Wprawdzie, jak mi mówił mój gospodarz, o czym się

i sam przekonałem, trudność o mieszkania pochodziła z konsystencji pułku piechotnego rosyjskiego, który cały stał w Żytomierzu i tam czekał rozkazu, by iść dalej ku Warszawie. Był to pułk grenadierów, złożony z samych olbrzymów. Dowódcą tego pułku był pan Branczynin, człowiek jeszcze młody, ale który już kilka wypraw wojennych z zaszczytem odbył, a z którym później zabrałem ścisłą znajomość. Był to człowiek szlachetny, przyjaciel Polaków, ile że się zalecał do panny Jakubowskiej, podczaszanki kijowskiej, zacnej i urodziwej dziewczycy, z którą się później ożenił.

Uporządkowawszy się jak mogłem w swoim kącie, udałem się naprzód do pana Dziegciowskiego, znakomitego jurysty, z którym mój brat regent, lubo go nie znał osobiście, był w korespondencji i umocował go do prowadzenia mojego interesu. Przedstawiłem się mu i po ceremonjalnym przedwstępie zaczął mnie oświecać o stanie mojego interesu.

Rzecz była taka. Gdy pan Niemierzyc już blisko od roku zszedł z tego świata, zaraz po jego śmierci, wedle brzmienia przywileju królewskiego, starostwo rozowskie powinno było mi być oddane, tymczasem siostrzeniec nieboszczyka *via facti* je zajął i nikogo do jego posiadania nie dopuszczał. A że nie było w kraju żadnej władzy policyjnej, więc pan Dziegciowski zapowiedział mi bez ogródki, że chyba siłą mogę przyjść do mojej niezaprzeczonej należności. Struchlałem jak mi zaśpiewał taką antyfonę i rzekłem:

— A więc nie mam po co tu siedzieć i trzeba mi się z mojem starostwem pożegnać bo z czemże będę wojował przeciwko tu osiadłemu inwazorowi?

— Staraj się waćpan dobrodziej zawiązać stosunki z jakimi możnemi tutejszemi obywatelami, — odpowiedział jurysta — a może się znajdzie między niemi taki, który mu użyczy pomocy do wypędzenia najeźdźnika z jego nieprawej własności; wtedy dopiero nałożymy na niego kalkulację *de asse et grano*, nie licząc lukrów, luitów, grzywien i wieży. Obaczysz waćpan dobrodziej, jaki zaraz uformuje się kapitał, który się zda do gospodarstwa. Bo kapitał przy ziemi, to mi dopiero gospodarstwo!

— Kłaniam uniżenie! Ale jak tu mnie, przybyszowi z obcych stron wykurzyć obywatela, który już musi mieć gotowe stosunki z możnemi, kiedy się odważył burmistrzować w mojem starostwie? Nie ma dla mnie podobieństwa siłą go wyrugować. Skądże ja jej dostanę? Kto się dla mnie narazi na kłótnię z swoim współpowietnikiem? Wolę działać z cierpliwością, tem więcej, że do niej jestem zmuszony. Będę się starał poznać z tutejszemi urzędnikami, zaczynając od sędziego kapturowego, azaliż nie uzyskam z ich strony perswazji do pana Pieńkowskiego, żeby zaniechał mojej krzywdy, gdyż jego postępek ze mną o zemstę woła do Boga.

— To się panu na niewiele przyda mieć po sobie urzędników, chociażby i sądowych, lubo sama polityka szlachecka wymaga, byś waćpan dobrodziej szukał z niemi znajomości, bo chociażbyś miał ich dekreta po sobie, cóż z tego, kiedy nie w ich mocy własnym dekretem zabezpieczyć egzekucję. A na co lepszego dekretu, jak przywilej królewski? A przecież ten nie zastanowił pana Pieńkowskiego, dlatego, że mamy bezkrólewie, *alias convulsio legum*. Jest to czas chapaniny, istna pszeniczka dla gwałtowników. Jeszcze żeby, jak to my chcieli, W. Trypolski, podstoli kijowski, człowiek nietylko prawy, ale i energiczny, został był sędzią kapturowym, toby nie uszło bezkarnie lekceważenie przywileju królewskiego i zagrabienie chleba rzezypospolitej, ale cóż, partja naszej przeciwna rozpędziła nasz sejmik, bo miała silne wojsko za sobą i zebrał się drugi, na którym tak dobrze jakby nie było przyjaciół domu saskiego. Ten narzucił nam pana Wychowskiego, człowieka słabego, któremu pierwsza lepsza baba w kaszę napluje. Dano mu najważniejszy urząd jedynie dlatego, że się wychował na chlebie klewańskim. Jest to człowiek grzeczny, uczciwy, zaprosi waćpana na obiad jeden i drugi i dziesiąty, ale żeby od niego wyciągnąć coś stanowczego dla interesu, o tem ani myśleć. Da panu list do pana Pieńkowskiego, który waćpanu tyle pomoże, ile umarłemu kadzidło i na tem koniec.

— A kiedy tak, to trzeba mi będzie wrócić do mojego rodzinnego województwa i tam czekać końca bezkrólewia.

— Waćpan nie bierz rzeczy tak gorąco. Kto umie czekać, ten się i doczeka. Nowa znajomość czasem szkodzi, ale często

i pomaga, staraj się waćpan zapoznać z naszymi urzędnikami, zaczynając od wielmożnego Wychowskiego. Ja sam będę miał zaszczyt pana z nim poznać, bo uważam się być pańskim sługą. Jak się waćpan ze wszystkimi zapoznasz, może się znajdzie jakaś pocziwa dusza, która mu swojej pomocy nie odmówi. Póki kto na nogach, rąk opuszczać nie powinien. Albo toż jak najmniej spodziewane rzeczy się nie zdarzają?

Poszedłem z panem Dziegciowskim do pana sędziego, ale z bardzo słabą nadzieją; lecz nim wyszedłem, w jego kancelarii napisałem list do pana Pieńkowskiego, w którym w sposób najdelikatniejszy czyniłem mu uwagi o niewłaściwości jego postępków ze mną, upraszając, by raczył być dla mnie sprawiedliwszym, gdyż niczego goręcej nie pragnę, jak poznać się z tak znakomitym obywatelem i mam nadzieję, iż zczasem pozyskać zdołam jego przyjaźń i szacunek. Ten list przez umyślnego posłańca wyprawił pan Dziegciowski do Rozowa, gdyż w nim pan Dziegciowski założył swoje mieszkanie w obawie, żeby go stamtąd nie rugowano. Nazajutrz powrócił posłaniec z odpowiedzią, nie pana Pieńkowskiego, ale jego rządcy, w której między innymi były te słowa: „Mój pan niczego nie czyni, tylko to, co ma prawo czynić; że o ile nie będę mu dokuczać, o tyle nie pogardzi moją przyjaźnią; że żadnych morałów od nikogo nie przyjmuje, a że używa cudzej ręki, to dlatego, że nie ma zwyczaju swojej używać, by odpowiadać na każde nierozsądne pismo”. Z tej odpowiedzi można miarkować, z jakim przeciwnikiem miałem do czynienia.

Przybyłem z moim przewodnikiem do wielmożnego sędziego i byłem przyjęty z uprzejmością. Pan Wychowski był człowiekiem w wieku, łagodnego obęjścia się z ludźmi i pełen staropolskiej gościnności. Wkrótce po naszym poznaniu oświadczył mi, że dziś daje obiad dla pułkownika Branczyny, na który już sprosił wielu obywateli będących w Żytomierzu, że ośmiela się także i mnie nań prosić i że tym sposobem poznam się z nimi. Było to o samem południu, obiad miał być o trzeciej, miałem więc trzy godziny czasu. Pożegnałem pana sędziego i poszedłem do siebie.

Stałem na wezwanie o samej trzeciej i byłem między pierwszymi, którzy przybyli do sędziego; ale wkrótce zebrali się

wszyscy zaproszeni i sam pułkownik. Wszyscy bez wyjątku byli w polskim ubiorze; pułkownik tylko i kilku oficerów z jego pułku pokazali się w mundurach wojskowych i ja, który miałem na sobie mundur cesarski. Gospodarz przedstawił mnie swoim gościom, a mianowicie pułkownikowi. Przyznam się, że z pierwszego rzutu oka słabą powziąłem nadzieję o pomocy obywateli tamiecznych. Czemże albowiem mogłem trafić do ich serca? Różniłem się od nich ubiorem, zawiązki przyjaźni tworzyły się przy kielichu, a ja miałem i mam dotąd nieprzewyciężony wstręt do wszelkiego trunku. Nawet ten krzyż saski, który nosilem, przeciwko mnie przemawiał w partji elektorowi przeciwnej, bo ona już akces zrobiła do konfederacji pod laską księcia generała ziem podolskich zawiązanej, a która za najpierwszy punkt swoich czynności postanowiła, że tylko rodowity Piast może być kandydatem do korony.

Jednak przy pomocy sędziego zabierałem znajomość z urzędnikami i obywatelami. Przedstawił mię panu Ilińskiemu, jednej z ważniejszych figur, gdyż był starostą grodowym żytomierskim. Był to mąż zacny, spowinowacony z królewskim domem Sobieskich, bo miał za żonę Wesslównę, synownicę królewiczowej Sobieskiej. Byli z nim dwaj jego synowie, kawalerowie popularni, obyczajów zupełnie staropolskich. Starszy po śmierci ojca otrzymał także starostwo żytomierskie, młodszego w trzydzieści lat później widziałem starostą czudynowskim, zawsze miłym, zawsze popularnym, zawsze tęgim do kielicha. Między temi obywatelami było najwięcej takich, którzy w duchu sprzyjali elektorowi królewiczowi, a tylko musieli śpiewać zaimprowizowaną im piosnkę. Z niemałym mojem zadziwieniem znalazłem u nich współczucie dla mnie, naganę postępuku pana Pieńkowskiego i zdrowe rady do kierunku mojego z nim interesu. Najlepszą co do tego radę otrzymałem od starszego starościca żytomierskiego, jak się o tem powie.

Pomimo mojej skromności, gospodarz nie postępował ze mną jakby z pospolitym gościem. W samej rzeczy byłem starostą, pułkownikiem wojsk rzeczypospolitej, podpułkownikiem pensjonowanym cesarzowej rzymskiej, szambelanem elektora saskiego i kawalerem jego orderu, w czasie, kiedy ordery były rzadkością. Te wszystkie zaszczyty zwracały na mnie jakąś uwagę i za stołem siedziałem obok pułkownika Branczynina.

Pułkownik, równie jak ja, czynnie służył podczas wojny siedmioletniej. Chociaż w innych chorągwiach, służyliśmy jednak jednej sprawie, to samo już na wstępie tworzyło między nami stosunki. Rozmawialiśmy z sobą o rozmaitych wypadkach tej wojny. Pułkownik był człowiekiem światłym i wykwiennie wychowanym, rozmowę naszą prowadziliśmy w języku francuskim, którym pułkownik tłumaczył się jak gdyby był rodowitym Francuzem, niemniej dobrze znał język niemiecki. Jako między wojskowemi, już przy obiedzie zaprzyjaźniliśmy się z sobą, ale tak, że nawet zwierzył mi się z miłości, jaką czuł dla panny Jakubowskiej i zamiaru pojęcia jej za małżonkę, do czego umiał skłonić i pannę i jej rodziców i tylko czekał na pozwolenie cesarzowej, by zostać jej mężem. Powiedział także, że żyje w ścisłych stosunkach ze starościami Ilińskimi, że obadwa mają być u niego nazajutrz na obiedzie i że bez żadnych ceremonij mnie także na ten obiad zaprasza, uważając mnie za kolegę i towarzysza broni. Przyjąłem zaproszenie i szczerze mu podziękowałem za ten dowód jego łaskawej dla mnie uprzejmości. Byłem bardzo zadowolony, że gospodarz podał mi sposobność poznania się z tak miłym i światłym Rosjaninem.

Obiad, jakkolwiek długotrwały, przecież się skończył i zaraz kolejny kielich krążyć zaczął. Nie będąc sposobnym do podobnej zabawy, wysunąłem się zgrabnie z tego pobojuwiska. Nazajutrz dowiedziałem się, że już około północy kilku biesiadników bez przytomności zaniesiono do ich mieszkań i że młodszy staroście żytomierski ogłoszony został za męża najwytrzymalszego w zapasach kielichowych. Dziękowałem Bogu, że mi się udał odwrót od tak niebezpiecznej zabawy.

Kiedym powracał do siebie zastąpił mi na ulicy jakiś pijany szlachcic, który mnie przywitał temi słowy:

— Co to za mundur, co waszeć masz na sobie?

— Jest to mundur cesarza Rzeszy Niemieckiej — odpowiedziałem i chciałem pójść swoją drogą, ale szlachcic nie odzepił się odemnie i rzekł:

— Jakto? Waść Polak, a Niemcom służysz! Chwała Bogu my się już pozbyli Niemców i będziemy mieli Piasta. A ja mam za kpa każdego Polaka, który się na Niemca przekształcił.

I dobył szabli. Na moje szczęście chwiał on się na nogach z łatwością więc od niego uciekłem; tyle tylko, że w niebogłósy miotał na mnie obelżywe słowa. Nazajutrz na obiedzie u pułkownika wszystkich rozśmieszyłem, opowiadając to moje wydarzenie.

Nazajutrz z rana wyszedłem z mojej izby, żeby złożyć uszanowanie tym zacnym obywatelom, którym dnia wczorajszego byłem przedstawiony przez sędziego. Ale że po przepiciu musieli jeszcze wczasować, poszedłem więc przechadzać się po malowniczych pobrzeżach Teterowa i Kamionki. Byłem zachwycony ich widokiem, w Szwajcarii nie widziałem piękniejszego krajobrazu; tem bardziej, że swoje zawsze się więcej podoba, niż cudze. Nie omieszkalem wysłuchać mszy świętej w kościele jezuitów na Cudnowskiej ulicy. Chociaż to był dzień powszedni, kościół był napół napełniony, a jednak był to jeden z największych kościołów zgromadzenia Jezusowego w Polsce. Szlachta i prostaczkowie województwa kijowskiego nawet w wieku niereligijnym odznaczała się pobożnością. Przekonałem się później, że w powszechności obywatele tego województwa byli ludźmi światłemi, poczciwemi i najprzykładniejszego życia; a sędziowie, zwłaszcza ziemscy, mężami, którzy sprawiedliwością przypominali sędziów ludu Bożego. Szlachta nie powierzała sądowniczych urzędów tylko obywatelom zacnej krwi, sumienności i światła doświadczonych i majątków znacznych, służących za rękojmię ich bezinteresowności.

Obiadałem u pułkownika, ale wprzód obszedłem dostojnych obywateli, a mianowicie pana starostę, który mnie nie przyjął, gdyż był chorym po wczorajszej hulance; ale u jego synów zatrzymałem się i miałem szczęście im się podobać, tak, że mnie nie puścili i z nimi razem musiałem pójść do pułkownika, z którym tego dnia zupełnie się zaprzyjaźniłem. Przez te kilkanaście dni pobytu mego w Żytomierzu, większą połowę każdego dnia spędzałem w jego towarzystwie. Że zaś opuściłem na jakiś czas Żytomierz, by się udać do Kijowa w państwie rosyjskiem, to z następnej przyczyny.

Nie miałem żadnego skutecznego środka dla odebrania mojej własności. Całą nadzieję pokładałem w tem, że bezkrólewie musi się kiedyś skończyć i jakiś porządek wcześniej czy póź-

niej nastąpi. Ani jedna z mojej strony propozycja nie została przyjęta od pana Pieńkowskiego, chociaż dla kupienia pokoju robiłem ofiary. Były do niego rozmaitych obywateli perswazje, bo wszyscy przyznawali mi słuszność; ale mój przeciwnik, na mocy aksjomatu *beatus qui tenet*, na wszelkie perswazje był głuchym. Myślę, że jego upór wzmacniał się tem, iż mu się zdawało, że nie tak prędko nastąpić może elekcja, bo lubo partja saska nie mogła obiecywać sobie zwycięstwa, wszakże była dość silną, żeby odwlekać elekcję. I na to jak widać rachował, pobierając dochody z starostwa, z którem żal mu było się rozstać.

Nie umiałem dać sobie rady. Tak zostałem zniechęcony niemożnością otrzymania sprawiedliwości, iż zabierałem się opuścić Ruś i czekać, czy w Warszawie, czy u mojego brata, dopóki Bóg nam nie przeznaczy pana, gdy jednego razu powiedział mi starszy starościc żytomierski:

— Wiesz W. pułkowniku, jak uważam nie doczekasz się końca z Pieńkowskim, a choć pozyskałeś życzliwość wszystkich, zginięsz jak zając Fedra między samemi przyjaciółmi. Ale jeżeli posłuchasz mojej rady, to za kilka dni możesz trafić do swojeg0 starostwa.

— Ale i owszem, posłucham pańskiej rady i zawczasu za nią dziękuję, bo nie może być jak tylko dobrą. Czyż to mnie niedość trapi, że opuszczam Żytomierz golszy, niż kiedy do niego przybyłem. Daj mi pan radę, a Bóg ci to odpłaci.

— Posłuchaj mnie, a obaczysz, że wszystko pójdzie jak z kłębka. Książę Repnin stoi w Kijowie, skąd daje rozkazy wszystkim wojskom imperatorowej, konsystującym w Małopolsce i na Rusi, a że konfederacja obojga narodów zawiązała się pod opieką imperatorowej, więc ta konfederacja poruciła księciu straż bezpieczeństwa osób i majątków obywateli. Dyrektorem kancelarji księcia jest rodzony wuj pułkownika Branczynina, który jest najszczerzym jego przyjacielem. On panu nie odmówi listu instancjonalnego do wuja, żeby raczył interes przyspieszyć, gdyż ten sam przez się jest tak czysty, że o nim ani wątpić można. Jak pan pokażesz przywilej królewski księciu, ten bez wahania da rozkaz swoim komendom, żeby gwałciciela wyrugowali, a pana do swojej własności wprowadzili, bo to jest interes uczynkowy, który nie sądu, ale egzekucji wymaga. Cała

rzecz idzie o to, żeby się to prędko zrobiło. Jak mówi przysłowie *qui cito dat, bis dat*, każdy dzień zwłoki tamtemu zysk, a panu szkodę przyniesie a tu właśnie dyrektor kancelarii zapobieży wszelkiej przewłoce.

Uściskałem starościca za tak zbawienną radę i zaraz z nim poszedłem do pułkownika Branczynina, któremu z nieśmiałością przełożyłem moją prośbę. Jakem mu opowiedział mój interes, aż podskoczył z zadziwienia i zawołał:

— Jakaż to wasza wolność, gdy jeden drugiemu to robi, co mu się podoba, gdy każdy dla siebie stanowi prawa. Jakże możecie żyć w takim bezrządzie?

— Nasze prawa bardzo dobre, — odpowiedziałem — ale ludzie zaczynają się psować. Nasze prawa były doskonałe dla naszych ojców, bo to byli ludzie wielkiej poczciwości. I dziś wypadki podobnych bezprawów są rzadkie, bo oprócz nielicznych wyjątków, naszych obywateli trzyma na wodzy więcej sumienie, niż prawo.

Pułkownik przestał potrącać o tę materję, tak drażliwą dla Polaka. Wziął się do pisania listu, po napisaniu wręczył mi go, robiąc wszelką nadzieję pomyślności.

Tegoż samego dnia wyruszyłem ku Kijowu i w ciągu podróży przejechałem Rozów; mówię przejechałem, bo ani chwili w nim zastanowić się nie życzyłem sobie, obawiając się napaści na własnym gruncie. W czasie podróży nieraz wyrzucałem sobie, że udaję się do obcych, błagając pomocy przeciwko swojemu, ale cóż miałem robić? Człowiek potrzebuje sprawiedliwości tak jak pożywienia, a kiedy jej znaleźć nie może między swoimi, zmuszony jest szukać jej choćby u obcych. Ta opieka Rosji wielu rozlaniom krwi ludzkiej zapobiegła w czasie bezkrólewia, i w tem postąpiła sobie nie bez prawa. Była ona związana sojuszem z Polską, a jedyne władze, które przedstawiały rzeczpospolitą w czasie bezkrólewia, były: prymas i generalna konfederacja. Obie te władze uprosiły Rosję, aby raczyła opiekować się rzecząpospolitą i kazała żołnierzom swoim przestrzegać bezpieczeństwo obywateli. Dobrze się namysliwszy, przekonałem się, że z mojego postępku najmniejsza skaza paść nie mogła na moje sumienie.

Drugiego dnia stanąłem w Kijowie, owej kolebce chrześcijaństwa słowiańskiego. W samej rzeczy, święty Włodzimierz wszystkich monarchów słowiańskich poprzedził w przyjęciu chrztu świętego. Jest nawet u narodów ruskich podanie, niezupełnie bezzasadne, że już święty Jędrzej Apostoł przybył w okolice Kijowa i tam, zaszczepiwszy pierwiastki wiary Chrystusa, śmierć męczeńską poniósł. Kijów wcale nie był podobnym do miast europejskich, cechy orientalne były na nim napiętnowane. Domy jedne od drugich oddzialały się ogrodami, często obszernymi; nawet zupełne przerwy pokazywały się w samym mieście. Wszystkie domy prywatne, a nawet pałac monarszy, były drewniane; cerkwie jedynie były murowane, a niektóre z nich, jak na przykład katedralna świętej Zofji, pomnik sztuki średniowiecznej, były uderzającej piękności. Zresztą dla wielkiej ilości cerkwi nie bez słuszności nazywano Kijów ruskim Rzymem.

Kijów dzielił się na trzy miasta zupełnie odrębne, tak, że nawet pola je przedzielały, a temi były: Stary Kijów, Peczersk, siedlisko władz krajowych i Padoł, miasto jedynie handlowe, gdzie wyroby europejskie z wyrobami azjatyckimi współzawodniczyły z sobą o przynęcenie przechodniów. Stanąłem w Peczersku u kupca ruskiego, brodatego mieszczanina, człowieka poczciwego i wcale nie zdziercy. W jego zajezdnym domu znalazłem wszelką wygodę bez zbytecznych na nią wydatków.

IV.

Przyjechałem do Kijowa w sobotę pod wieczór. Nazajutrz, że była niedziela, doświadczyłem niemałej przykrości, gdyż nie mając kościoła własnego wyznania, nie mogłem mszy świętej wysłuchać. Pomodliwszy się w domu, wyszedłem na miasto i udałem się do Ławry Peczerskiej, tam przypatrzyłem się całej okazałości obrzędów wschodniego kościoła. Muzyka zawsze sprawia na mnie nadzwyczajne wrażenie, byłem więc zachwycony śpiewem gregoriańskim, wykonanym przez doskonałych piewców w czasie liturgji, której asytowała masa ludu, zatopionego w pobożności i słuchającego w milczeniu świętych tajemnic. Po odbytej liturgji jeden czerniec oprowadzał nabożnych

i ciekawych po katakumbach, w których spoczywały ciała świętych wschodniego kościoła. Było tam kilku świętych, uznanych za takich i od kościoła rzymskiego, jako to: śś. Gleb i Borys, św. Włodzimierz, św. Barbara, których z podniesionem sercem uczyłem. Nachodziwszy się po tych obszernych katakumbach, za powrotem do kościoła pokazano mi skarbiec kościelny. Jakież tam znalazłem bogactwa, jakież niezliczone mnóstwo pereł, brylantów i drogich kamieni! Zaledwo skarbiec Najświętszej Panny Częstochowskiej mógłby się porównać ze skarbcem Ławry Peczerskiej. Niestety! skarbiec Jasnej Góry, jako i wszystkie inne kościoła katolickiego, własność świętych zebrana dla ich czci przez ofiary wiernych, od ich wyznawców złupione zostały w imię bądź patriotyzmu, bądź ekonomji politycznej; skarby zaś świętych kościoła wschodniego, nietylko że uszkodzone nie zostały, ale od tego czasu jeszcze się pomnożyły i ciągle pomnażają. Kościoły tego narodu, bajeczne, że tak powiem, posiadają bogactwa, a jednak w najkrytyczniejszych dla Rosji okolicznościach nikomu przez myśl nie przeszło sięgać świętokradzką dłońią po klejnoty, srebro i złoto, poświęcone Bogu, Jego Niepokalanej Rodzicy i świętym, którzy w Ich chwale królują. I są ludzie, którzy podziwiają szczęście i sławę ciągle wzrastające tego ludu, więcej jeszcze potężnego pobożnością, niż męstwem i wytrwałością.

Po skończonem nabożeństwie i zwiedzeniu skarbcza, ponieważ było już blisko południa, udałem się do carskiego pałacu, w którym mieszkał książę Repnin i była jego kancelarja, żeby przedstawić się panu Sołomce dyrektorowi kancelarji i wręczyć mu list od siostrzana. Miałem na sobie mundur cesarski i krzyż elektorski. Wprowadzono mnie do przedpokoju, gdzie zastałem dość interesantów obojej płci. Niedługo czekałem, jeden kancelista poszedł zameldować mnie dyrektorowi, a ten zaraz kazał mnie do siebie wprowadzić.

Pan Sołomka był to Małorosjanin pracowity, grzeczny, swiatły i mistrz do pojęcia i wystawienia interesu; przytem był uczciwym człowiekiem i posiadał ufność księcia. Przyjął mnie nietylko z grzecznością, ale nawet z pewnem uszanowaniem, jakie zawsze odbiera w państwie rosyjskiem każdy mający wyższy stopień w jakiejbądź służbie; a kiedy mu wręczyłem list do niego

adresowany, list, jak się pokazało na czterech stronicach zapisany, prosił mnie o pozwolenie przeczytania go w mojej przytomności. On czytał pocichu, a ja siedząc naprzeciwko, wpatrywałem się w niego i zauważyłem, że ołówkiem czynił na nim znaki. Po przeczytaniu, zapytał mnie o szczegóły mojego interesu. Interes był krótki, złożyłem mu przywilej królewski na starostwo rozowskie, sepulturę pana Niemierzycy, po którym miałem *jus communicativum*, zabezpieczone tym przywilejem i w nim wyrażone, oraz list rządcy pana Pienkowskiego, z którego można było widzieć upór i zuchwałość jego pana.

Gdy pan Sołomka obejrzał te papiery, a znał język polski, lubo go nie miał w używaniu i rozmawiał ze mną po niemiecku, oburzył się na tak zuchwały postępek mojego przeciwnika i zapewnił mnie, że znajdzie wszelką sprawiedliwość i że siła zbrojna imperatorowej, jako opiekująca się rzecząpospolitą, wprowadzi mnie do mojej własności. List pułkownika Branczynina tyle mi pomógł, że jego wuj przywołał jakiegoś kancelistę i w mojej przytomności dyktował mu prośbę, jaką miałem podać księciu Repninowi; tyle tylko, że ją podpisałem i to literami ruskimi, gdyż lubo nie umiałem języka rosyjskiego, byłem obeznany z jego alfabetem i pisałem nim z łatwością. W szkole jezuickiej sandomierskiej był kapłan, niegdyś unita, który owdowiawszy opuścił swoją parochję i uczynił profesję w Towarzystwie Jezusowem; kiedy chodziłem do szkół był on profesorem gramatyki polskiej, a że mnie polubił, bawiąc się ze mną, wyuczył mię czytać i pisać po cerkiewnemu. Pokazuje się, że napozór najmniej potrzebna nauka nikomu nie zaszkodzi, a czasem stać się może użyteczną.

Kiedy nie mogłem mu dosyć podziękować za jego łaskawą protekcję, odpowiedział mi:

— Pana pułkownika interes tak jest czysty, że gdybym był osobistym jego nieprzyjacielem z obowiązku i sumienia nie mógłbym się za nim nie oświadczyć, a cóż dopiero, kiedy chodzi o ścisłego przyjaciela mojego siostrzana. Pewnie za rodzonym bratem takby gorliwie nie napisał, jak za panem. Ale co mnie najwięcej pociesza, że choć od dzieciństwa oddał się rzemiosłu rycerskiemu, przecież umie pojąć i interesa cywilne, zupełnie obce temu zawodowi, interes pański tak dokładnie opisał, że



KATARZYNA II

ja sam nie potrafiłbym nic więcej dodać. Ale oto ważna okoliczność. Mamy kwadrans na pierwszą, muszę pośpieszyć do księcia z dokładem, co zabawi do wpół do drugiej; o samej drugiej książę przyjmuje i prośby i tych, którzy pragną być jemu przedstawionymi. Niechże pułkownik nie zapomni, jak jesteś, tak stawić się o drugiej i podać mu tę prośbę. Ja go zawczasu uprzedzę o pańskim przybyciu, chęci być jemu przedstawionym i interesie, który go tu zapędził. Książę zwłaszcza dla cudzoziemców jest tak grzecznym, że nie będziesz żałował, żeś się do niego zbliżył.

Pożegnałem się z uprzejmym dyrektorem, który w tak korzystną wziął mnie opiekę i poszedłem do ogrodu przy pałacu będącego, który był obrócony na publiczny, dla przyjemności mieszkańców i podróżnych. W tym ogrodzie widziałem w oranżerii największe pomarańczowe drzewa, jakie mi się widzieć zdarzyło, przewyższały wzrostem te, które się znajdują w cieplarniach schönbrunskich. Strażnik ogrodowy powiedział mi, że te kijowskie pomarańczowe drzewa jeszcze przez ojca Piotra Wielkiego szczepione były. Nie wiem czy to prawda, nie byłoby w tem nic dziwnego. Ale wszystko to znikало przed przepysznym krajobrazem, który się rozciągał przed moimi oczyma. Ogród był na wzgórzu, po prawej stronie płynął szeroki Dniepr, a za nim leśne i stepowe pustynie wschodniej Ukrainy, ciągnące się opodal i znikające w błękitie niebieskiego firmamentu. U nóg moich Padoł z swoją oryentalną fizjonomją; ku lewej stronie Peczersk, więcej europejski, a między niemi, jakby w ramach, Stary Kijów z swojemi złocistemi cerkwiemi, nad któremi wznosiła się metropolitalna cerkiew Świętej Zofji, ów olbrzymi utwór kunsztu bizantyjskiego. Patrząc na to, byłem w zachwyceniu, tak dalece, że liczne zgromadzenie narodu, przechadzającego się po ogrodzie, już nie było zdolne zwrócić mojej uwagi.

Jednak trzeba było to wszystko opuścić, bo już się zbliżała pora naznaczona do mojego przedstawienia księciu. Udałem się więc do pałacu, gdzie warta oddała cześć mojemu mundurowi, i przez sień obszerną wszedłem do sali, w której już było niemało zebranych oczekujących przybycia księcia. Skorom wszedł, jeden z jego adjutantów zaraz się do mnie przybliżył i zapytał:

— Czy pan chcesz być przedstawionym księciu?

— Nie inaczej — odpowiedziałem.

— Z przeproszeniem pańskim, — rzekł adjutant — widzę po jego mundurze, że jesteś oficerem cesarsko-niemieckim, i dlatego odezwałem się do pana w jego języku.

— Tak jest, dosłużyłem się w wojsku cesarza stopnia podpułkownika, ale nie jestem jego poddanym. Urodziłem się szlachcicem polskim i jestem pułkownikiem wojsk Rzeczypospolitej, ale ten mundur wysłużony z pensją, noszę jako drogą dla mnie pamiątkę. Udam się do księcia, waszego naczelnego dowódcy, szukając jego opieki w moim prywatnym interesie i jeżeli łaska racz pan ułatwić dla mnie u niego posłuchanie.

— Całem sercem. Pozwolisz pan, żebym go zapoznał z generałem dyżurnym, który tu się znajduje, a któremu jest poruczone przedstawianie księciu wojskowych.

To rzekłszy, poprowadził mnie do generała Wityngoffa, Infantczyka, męża pełnego honoru i wysokiego ukształcenia, który najgrzeczniej mnie przyjął, rozmawiał ze mną swoim rodowitym językiem i oświadczył, że jak tylko książę przybędzie będę mu najpierwej przedstawionym, gdyż jako cudzoziemcowi w gościnnej Rosji to mi się należy. Już się więc od niego nie oddaliłem i w miłej z nim rozmowie czekałem na przybycie księcia.

Nakoniec doczekałem się. Wszedł książę i z tą kortezją prawdziwego magnata wszystkim się uklonił. Był to człowiek precudnej urody, wyraz jego twarzy pełen szlachetności, do której mieszało się nieco dumy; głowę nosił wysoko, jak zwykle ci, którzy przyzwyczajeni są rozkazywać; wzrok jego był przenikliwy i nakazywał uszanowanie, ale obok tego było w nim coś takiego, co przywiązywało i ośmielało.

Te uwagi szybko przebiegły w mojej głowie, gdyż zaraz generał Wityngoff przyprowadził mnie do niego i po imieniu, nazwisku i stopniu przedstawił. Książę z łagodnym uśmiechem przemówił do mnie po francusku temi słowy:

— Jak sądzę po krzyżu, który zdobi jego piersi, musiałeś waćpan odbywać wojenne wyprawy w służbie cesarzowej?

— Nie inaczej. Służyłem podczas siedmioletniej wojny i nigdybym nie opuścił służby cesarzowej, żeby nie rany, które otrzymałem pod Hohenfriedberg, a z których jedna uczyniła mnie niesposobnym do konia. Cesarzowa przez wzgląd na moje

uszkodzone zdrowie w jej służbie, łaskawie uwolniła mnie z pensją i pozwoleniem noszenia jej munduru.

— A więc jesteśmy kolegami, bo i ja odbyłem wojnę siedmioletnią. Jakież były waćpana zatrudnienia odkąd uwolnionym zostałeś ze służby cesarskiej?

— Udałem się do swojej familji osiadłej w Sandomierskiem, ale niedługo u niej gościłem. Pojechałem do Warszawy, żeby podziękować świętej pamięci królowi, mojemu panu, za ten krzyż, którym w czasie wojny mnie zaszczylił. Król pokazał się tyle na mnie łaskawym, że mnie umieścił podwójnie w służbie swojej; jako król polski, mianował mnie pułkownikiem, wprawdzie tytularnym, bo bez obowiązków i bez pensji; a jako elektor saski, dał mi korzystniejszą posadę swojego szambelana. Ale po jego śmierci przestałem być Sasem, złożyłem moją szambelanję w ręce elektora-następcy i wróciłem do mojej ojczyzny.

— Do którejże waćpan należysz partji, czy saskiej, czy piastowskiej?

— Wasza Książęca Mość ze mnie żartuje. U nas w Polsce chcąc należeć do jakiej partji, trzeba być magnatem lub sługą magnackim. Pierwszym Pan Bóg mnie stworzył, a drugim być nie chciałem i nie chcę; a nawet wszedłem w służbę zagraniczną, żeby nie być zmuszonym do tego. Mam obowiązki wdzięczności dla domu saskiego, gdyż król nieboszczyk obdarzył mnie starostwem, do którego wprawdzie trafić nie mogę, więc dobrze życzę temu domowi; ale na tych życzeniach koniec, bo cóż człowiek ubogi, a do tego kaleka, może mu do nich przydać. Proszę tylko Boga, ażeby u nas żadnych partyj nie było, żeby nam dał jakiegokolwiek pana, żeby to utrapione bezkrólewie już się skończyło.

— Rozsądnie mówisz, mości pułkowniku. Dla jego pocieszenia, powiem mu, że te dwie partje muszą się zjednoczyć, gdyż przed godziną otrzymałem sztafetę, która mi przyniosła wiadomość, że elektor umarł i że zostawił po sobie nieletnie dzieci; a więc kandydatura domu saskiego sama z siebie upadła, bo już cię król elekcyjny nie może być małoletnim. Lada dzień będziecie mieli króla Piasta, krew krwi i kość kości waszych. Ale czemu przypisać zaszczyt przybycia jego do Kijowa?

— Oto interes, który mię zmusza tulić się pod opiekuńcze skrzydła Waszej Księżęcej Mości. Ta prośba oświeci ją o nim.

I skłoniwszy się pokornie, wręczyłem mu prośbę. Księżę ją przyjął i rzuciwszy na nią okiem, rzekł:

— A! wiem o co waćpanu idzie, dopiero co mój Sołomka oświecił mnie o jego interesie. Wszystko będzie załatwione temi dniami. Interes waćpana jest najsprawiedliwszy i nie mogę mu odmówić pomocy. Cieszę się, że to mi dało sposobność poznania się z waćpanem. Proszę go być jutro u mnie na obiedzie, tam z sobą obszerniej pomówimy.

Skłoniłem się księciu na znak dziękczynienia i odszedłem z sercem uszczęśliwionem nadzieją.

Podczas gdy księżę ze mną rozmawiał, pan Sołomka stał za nim; a kiedy księżę odszedł, by drugim dać posłuchanie, on szepnął mi: „Bez ceremonji zapraszam waćpana do siebie na ukraiński barszcz o samej czwartej“. I nie czekając odpowiedzi, znowu przybliżył się do księcia. Ja wysunąłem się z sali i wróciłem do siebie. Miałem do pisania parę listów: jeden do brata regenta, drugi do pana Dziegciowskiego, w którym miałem mu oznajmić szczęśliwy obrót, jaki przybierał mój interes. Naza-jutrz z rana poczta odchodziła do Polski, a już wieczorem przyjmowano listy.

Po napisaniu, że już była pora obiadowa, włożyłem w kieszeń zapieczętowane listy i poszedłem do pana Sołomki. Że zaś byłem w mundurze, bom go nie zrzucił, skoro pan Sołomka ujrzał mnie wchodzącego do jego pokoju, odezwał się:

— A to na co? Wszakże ja pułkownika prosiłem, żeby do mnie łaskawie przybył bez żadnych ceremonij.

— Chciałem panu dowieść choć tą małą oznaką mojego uszanowania — odrzekłem. — Mówię małą, bo tak jestem przywykły do noszenia munduru, że on mi nie więcej ciąży od własnej skóry.

— Pan pułkownik jesteś przyjacielem mojego siostrzana, który mi jest synem, bo człowiek służbą zajęty nie miał czasu pomyśleć o ożenieniu, proszę pana, aby jakaś częśćka tej jego przyjaźni dla siostrzana spadła i na wuja. Siostrzeniec dobrze sobie radzi, zabiera się do stanu małżeńskiego z piękną Polką. Ogniecie do mnie o niej pisze w tym liście, coś mi go pan wrę-

czył. Nie prosi o moje błogosławieństwo, bo już je dawniej otrzymał, ale błaga o przyspieszenie pozwolenia monarchini na tę odmianę stanu. Chłopiec w gorącej wodzie kąpany, zwyczajnie jak zakochany. A czy panu znajoma moja przyszła siostrzenica?

— Widywałem ją w Żytomierzu, gdzie miałem zaszczyt służenia kilka razy jej rodzicom. Są to ludzie zacni, jak to u nas mówią, dobrej krwi, wzięci w obywatelstwie. A panna, to pączek róży. Zaręczam, że pan nie powstydzisz się swojej siostrzenicy.

— Chłopiec ma dobry smak, ale bo też wasze Polki prześliczne. Ale, ale, mogę panu powinszować, książę mi powiedział, żeś mu się bardzo podobał, dodając: „Jutro przy obiedzie nagadam się z nim dowoli”. A co do swojego interesu, uważaj go pan za załatwiony. Jutro pismo będzie gotowe, ja sam je panu wręczę, a pan oddasz w Żytomierzu dobremu swojemu przyjacielowi, pułkownikowi Branczyninowi. W niem będzie mu poleconem wesprzeć pana siłą zbrojną, na wypadek, gdyby Pieńkowski nie chciał ustąpić z pańskiej własności. Zaofiarujecie mu kapitulację, a gdy jej nie przyjmie, będzie szturm.

Gdyśmy tak z sobą rozmawiali, dano znać, że obiad już na stole. Siedziało nas trzech za stołem: gospodarz, plac-major twierdzy kijowskiej, przyjaciel gospodarza, i ja. Obiad był właśnie taki, jaki szlachcicowi się podoba: barszcz zabielały, pierogi z serem, indyk z podlewą i inne podobne potrawy, gdyż kuchnia małorosyjska mało się różni od tej, jaka jest w zwyczaju naszej szlachty, zwłaszcza osiadłej w województwach ruskich. Co jednak niemało zadziwiło szanownego gospodarza, to mój wstręt nieprzewyciężony do wszelkich napojów rozpalających. Z początku nakłaniał mnie przynajmniej do wypróżnienia jednego kieliszka; wszakże przyjął moje tłumaczenie i przestał mnie naglić do tego, co było szkodliwem dla mojego zdrowia. Tu pierwszy raz poznałem się z pewnym rodzajem piwa, tylko w Rosji używanym, pod nazwiskiem *kisłoszczy*. Jest to napój chłodzący, smaczny, wcale nieodurzający, a który tak mi się podobał, że przy obiedzie całą butelkę, przy mnie stojącą, wypróżniłem.

Nazajutrz miałem zaszczyt siedzieć za stołem księcia Repnina, który grzecznością, rozumem i przepychem swojego życia wypiętnował niezatarte na mnie wrażenie. Później nawiedzałem jego dom w Warszawie, kiedy został ambasadorem imperatorowej przy królu i Rzeczypospolitej, gdzie i obowiązki poselstwa i miłość dla pewnej damy przez lat kilka go zatrzymały. Lubo z wysokiej krwi w swoim narodzie, omal że nie każdy stopień wojskowy zdobył orężem. Był to żołnierz śmiały, wódz biegły i chociaż nie miał lat trzydziestu był już generał-porucznikiem i naczelnym dowódcą wojsk rosyjskich, konsystujących w Małej Polsce i Ukrainie rosyjskiej. Równie biegły w dyplomacji, jak w sztuce wojennej, miał sobie powierzona wysoką misję polityczną w Polsce. Był to typ magnata nie tego lub owego narodu, ale wszystkich narodów. Było w nim coś z dworaka wersalskiego, coś z bojara rosyjskiego, nawet coś orientalnego, a te wszystkie żywioły wdzięcznie się zjednoczyły w jego osobie. Zdaje się, że Trembecki miał jego w pamięci, kiedy mówiąc o dworakach imperatorowej Katarzyny, w czasie jej spotkania się z królem Stanisławem Augustem, opisał ich w tych dwóch wierszach:

Dorodni, oświeceni i pełni zaszczytów,

Łączą grzeczność wersalską z walecznością Scytów.

Przy stole siedziało około trzydziestu osób. Miedzy niemi matadory wojskowe i cywilne, a jednak książę mną, jako cudzoziemcem, zdawał się być najwięcej zajęty, jak gdyby przestrzegał do zbytku prawideł gościnności, tak silnie rozwiniętych w plemionach słowiańskich. Stół był przepyszny, kuchnia czysto francuska, usługa w ubiorze także francuskim; wszelkie naczynia, aż do talerzów, ze srebra. Chór śpiewaków, który się kiedy-niekiedy odzywał, błazen nadworny, obok niego bazarz, słowem dwór jak w zamkach naszych magnatów. Książę posadził mnie naprzeciw siebie, żeby mógł łatwiej ze mną rozmawiać. W ciągu obiadu między innemi odezwał się do mnie w tych słowach:

— Czy znasz waćpan pana Poniatowskiego, stolnika litewskiego?

— Mam ten zaszczyt, mości książe. Kilka dni byłem jego nieodstępnym towarzyszem w Strassburgu, a później widziałem się z nim w Lunevilu na dworze króla Stanisława.

— Cóż waćpan o nim trzymasz?

— Jest to pan wysokiego światła, pełen poloru i kształcenia i wielce łagodnego przystępu.

— Cieszy mnie, że waćpan oddajesz mu sprawiedliwość. Poznaliśmy się z sobą, kiedy był ambasadorem waszej Rzeczypospolitej przy naszym dworze i tam zawiązaliśmy z sobą najściślejszą przyjaźń. On w Petersburgu wszystkimi umiał się podobać. Winszowałbym waszemu narodowi, żeby został nad nim panującym. Czy myślisz waćpan, że to stać się może?

— Wszystko to jest w ręku Najjaśniejszej Imperatorowej gdyż, zwłaszcza po śmierci elektora saskiego, nie pojmuję, żeby u nas ktokolwiek jej potężnej woli się sprzeciwił.

— Nie, Nie! Najjaśniejszej Imperatorowej, mojej pani, idzie tylko oto, żeby nie obcy książe, ale wasz Piast nad wami panował; ale ta rzecz już jest załatwiona wyrokiem konfederacji generalnej. Zresztą nie myśli narzucać wam króla, pragnie owszem, żeby wasza elekcja odbyła się jak najswobodniej. Zapytuję tylko waćpana o jego zdanie gdyby na przykład pan Poniatowski podał się na kandydata do korony, czy mógłby pozyskać dla siebie jednomyślność głosów?

— Co do mnie, mości książe, wcalebym nie był od tego, ile że tuszę sobie, iż w nim miałbym dla siebie łaskawego pana; ale przyznaję się, że tu nie śmiem puścić wodze nadziei i że nie przewiduję, iżby przez wolne głosy pan stolnik mógł pochlebiać sobie, że otrzyma koronę.

— A to dlaczego?

— Jak Waszej Księżęcej Mości wiadomo, siła narodu, jaka jest, zostaje w ręku magnatów. Niektórzy z nich całkowite województwa mają na zawołanie. Wszyscy ustąpić mogą panującemu zagranicą księciu, bo już mu przyznają wyższość nad sobą; ale wątpię, żeby jeden magnat chciał być posłusznym drugiemu magnatowi, z którym dopiero był równym, a jakżeby zezwolił uznać za swego pana takiego, od którego czuje się być wyższym? Nikt osobistych przymiotów nie może odmówić panu stolnikowi, ale on ani szerokimi bogactwami, ani świetnością krwi, ani ilością

obowiązanych mu klientów, nie może przeważać wyniosłości pierwszych ludzi w narodzie, którzy nie mogą go inaczej uważać, tylko jako człowieka nowego, bo chociaż Czartoryska go rodzi, jakkolwiek ten ród książęcy jest starożytny, wszakże nie tak dawno dał się poznać narodowi. Rozum księcia kanclerza i szczęśliwe ożenienie się jego brata, dom ten za dni naszych wyniosły i postawiły go narówni z domami innych magnatów. W mojej przytomności, za życia nieboszczyka króla, młody książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, przymówił księciu wojewodzie ruskiemu, że nie z ojcowizny, ale z fartuszkowego majątku żyje. Ten ustąpił i umilkł, bo zauważył, że szlachta temu przytomna była rada, iż został upokorzonym. Jakżeby panu stolnikowi nad nimi panować?

— Kto wie — odrzekł książę, i odwróciwszy głowę, dał znak piewcom, żeby się dali słyszeć; jak gdyby chciał przerwać rozmowę, która, jak widać było, zaczynała przybierać tok jemu niemiły.

Obiad skończył się około ósmej. Wedle obyczaju rosyjskiego, po każdej potrawie inne wino podawano, a wszystkie najkosztowniejsze. Ja jeden wodę tylko piłem. Po obiedzie wróciłem do mojego mieszkania i już tego dnia go nie opuściłem, tyle tylko, że powracając, wstąpiłem po drodze na pocztę dla oddania listów. U siebie zacząłem rozbierać wrażenia, jakie dzień ten na mnie sprawił. Mój gospodarz przerwał to moje zadumanie, zapraszając mnie na *czaj* (po naszymu herbata). Ten napój wydał mi się być cierpkim i niesmacznym, a jednak we dwadzieścia kilka lat później tak do niego przywykłem, iż teraz jest jednym z niezbędnych potrzeb mojego życia.

Jeszcze przez tydzień bawiłem w Kijowie. Codziennie służyłem księciu Repninowi, który mnie ciągle zaszczycał swoją łaską. Bywałem i w innych domach gościnnych Małorosjan, jako to: u JW. Skoropackiego, gubernatora cywilnego kijowskiego, potomka rodu historycznego w dziejach Ukrainy; u pana Mazarakiego, generalnego dyrektora komór; u pana Kukiela, wicegubernatora, żonatego z Polką, od której, jako od rodaczki, najwięcej doznałem uprzejmości; u panów Kapnisty i Iwanienka, majątnych obywateli małorosyjskich osiadłych w Kijowie, któ-

rych pamięć zachowuję z uczuciem wdzięczności za ich łaskawe przyjęcie; i u innych, których nazwiska zapomniałem.

Nakoniec jednego poranku wpadł do mnie pan Sołomka z papierami w ręku, i rzekł:

— Jeżeli z radością przynoszę waćpanu to, co mu naruszoną spokojność powróci, z drugiej strony, do tej radości przymieszał się i smutek, gdyż wiem, że jak najspieszniej nas opuścisz i na to jestem wyrozumiały; ale bądź pewnym, że zostawisz w Kijowie prawdziwych przyjaciół. Oto na jego ręce posyłam rozkaz generałowi Sulimowi, komenderującemu w Żytomierzu, ażeby waćpanu dał wszelką pomoc wojskową do wprowadzenia go w swoje starostwo; a oto jest mój list, który proszę oddać mojemu siostrzanowi a waćpana przyjacielowi, pułkownikowi Branczyninowi. Dziękuję mu w nim za przyjemność, jaką mi podał poznając się z panem.

Nie mogłem znaleźć słowa dla wyrażenia mojej wdzięczności, tylko uściśkałem go serdecznie.

Zatrzymałem się jeszcze przez dwa dni dla pożegnania się z temi mężami, którzy mnie obcego, niemającego z nimi żadnych stosunków, przyjęli jak swojego, ugaszczali i o ile było w ich możliwości, pomagali w każdym kroku. Kiedy przyszedłem do księcia Repnina, by go pożegnać i podziękować mu za jego dobrodziejstwa, on mnie przyjął w swoim gabinecie i rozmawiał ze mną około godziny. Między innemi powiedział:

— Waćpana interes już załatwiony, a więc nie będziesz miał potrzeby bawić w Żytomierzu, ani w swoim starostwie. Czas elekcji się zbliża, ja radzę waćpanu być jej przytomnym; bo ktobydź zostanie waszym królem, zawsze nie zaszkodzi poddanemu być w liczbie pierwszych, którzy mu złożą hołd poddaństwa.

Poczem dodał:

— Waćpan powiedziałeś mi, że wątpisz, by pan Poniatowski mógł panować w Polsce, z powodu, iż wasi magnaci nie skłonią się do posłuszeństwa temu, na którego przywykli patrzeć jako na niższego od siebie i w dostatkach, i w zachości; znam Polskę i dlatego waćpana nie dzielam. Jako Polak chętniej ulegnie obcemu niż swojemu, tak wasz magnat prędzej się zgodzi być poddanym ubogiego szlachcica, niż równego sobie ma-

gnata. Wszak to, com waćpanu powiedział i teraz powtarzam, że Najjaśniejsza Imperatorowa, moja pani, wielką swobodę wam zostawi w obradach waszych. Byłoby jej życzeniem, byście obrali pana Poniatowskiego, gdyż ten jest jej więcej znany od innych i pozyskał jej szacunek, jak wszystkich tych, co go znają osobiście; ale jej wojsko, stojące w Warszawie dla przestrzegania publicznego bezpieczeństwa, ani się pokaże na Woli. Pragnie, byście najspokojniej i najlegalniej wykonali waszą rzecz. Zresztą, ponieważ już odsunęliście wszystkich obcych książąt od kandydatury, a Piast ma nad wami panować, więc jeżeli Poniatowskiego nie wybieriecie, to korona nie ominie wojewody ruskiego lub jego syna, generała ziem podolskich, gdyż inni magnaci mogący aspirować do tronu, nie myślą znajdować się na elekcji. Nam wszystko jedno, ale jako wam życzliwy, radzę wam obrać Poniatowskiego, który nawet łatwiej dla siebie zjedna przyzwolenie panów, niż jego krewni, o których dopiero wspomniałem. Że zaś każdy głos szlachecki ma swoją powagę na elekcji, spodziewam się, że i waćpan chętniej się odezwiesz za tym, z którym już masz jakieś stosunki, niż za takimi, których nie znasz, albo li tylko znasz z widzenia.

Na to odpowiedziałem, nisko się ukłoniwszy:

— Jestem nadto małą figurą, bym mógł mieć wpływ na obradach rzeczypospolitej; jako zaś właściciel mojego głosu, wyznaję, że gdyby żył jeszcze elektor-królewicz i był kandydatem, nadto czuję wdzięczności dla jego domu, bym miał się oświadczyć przeciwko niemu. A ma być kto inny, oczywiście wolę się odezwać za JW. stolnikiem, który mnie zaszczycił swoją łaską, niż za którym z jego krewnych. Biorę nawet Boga na świadka, że pomiędzy wszystkimi mnie znajomymi Piastami nie widziałem żadnego, któryby z wszechmiar mógł sprostać JW. stolnikowi w mojem przekonaniu. Nie miałem zamiaru być na elekcji, ale ponieważ Wasza Książęca Mość radzisz mi jechać do Warszawy, ani się waham spełnić to jego życzenie. Jak tylko ułatwię się z moim interesem, który jedynie za łaską Waszej Książęcej Mości doprowadziłem do pomyślnego dla mnie końca, nie tracąc czasu pojadę dla złożenia mojego uszanowania JW. stolnikowi i czekania jego rozkazów.

To rzekłszy, pożegnałem dostojnego księcia, i tego samego dnia, z papierami wręczonemi mi przez pana Sołomkę, pocztą na całą noc puściłem się do Żytomierza.

Przybyłem do tego miasta o szóstej z rana i zaraz udałem się do pana Dziegciowskiego, który już był na nogach. Pokazałem mu to, z czem przyjechałem. On przeczytał mój papier i odezwał się:

— A toś sobie waćpan dobrodziej poradził! Teraz już moja rzecz, a pan możesz spać spokojnie; za kilka dni będziesz już nie tytularnym, ale rzeczywistym starostą razowskim. Tak ścisnę pana Pieńkowskiego, że aż zapiszczy. Obaczymy, czy zechce wojować przeciw wojskom imperatorowej.

W samej rzeczy wyjechał z urzędnikiem dla objęcia mojego starostwa i przyprowadzenia do posłuszeństwa włościan starościńskich. Szlachcic z początku sztorcem stanął, ale jak zobaczył komendę rosyjską, jak najśpieszniej ustąpił; a pan Dziegciowski nie tylko moje starostwo, ale przyległą do niego wieś dziedziczną pana Pieńkowskiego objął jako atynencję starostwa. Dopiero się skrzył pan Pieńkowski i przyleciał do Żytomierza szukać ze mną zgody. Jużto nie był ów szlachcic zuchwały, który nie uznał mnie godnym otrzymania odpowiedzi na list, który do niego napisałem, ale pokorniutki. W samej rzeczy był wyzuty z własnego majątku i Bóg wie kiedyby do niego trafił, bo biada temu, który u nas poszukuje swojej własności, kiedy ona jest w cudzych rękach. Ale ja bliźniego krzywdy nie pragnąłem, a tylko poszukiwałem swojego własnego mienia; nawet zajęcie jego wioski było przeciwne mojej woli, była to sztuka pana Dziegciowskiego, złość za złość. Jakoż za pośrednictwem JW. Trypolskiego, podkomorzego kijowskiego, z wszechmiar najcnotliwszego męża, zupełna zgoda między nami nastąpiła. Oddałem panu Pieńkowskiemu jego wieś, a on mi za kalkulację z przychodów starościńskich, jakie pobierał blisko roku, zapłacił gotówką cztery tysiące tynfów. Na tem poprzestałem na instancję JW. podkomorzego, lubo bez grzechu mógłbym upomnieć się o drugie tyle. Ta zgoda nie podobala się panu Dziegciowskiemu, ale nie mógł się jej sprzeciwić. Dałem mu dwa tysiące tynfów, jako wynagrodzenie za jego starania i rozstaliśmy się jak najlepiej.

Nie na tem się skończyły powody mojej wdzięczności dla JW. Trypolskiego. Oświadczyłem mu, że moje położenie nie dozwala mi gospodarować na Rusi, że śpieszę do Warszawy, a więc życzyłbym sobie zadzierżawić moje starostwo jakiemu pocziwemu szlachcicowi, o którym byłbym pewny, że mnie procesować nie będzie, aby darmo pobierać moje przychody. Do tego pan podkomorzy mi pomógł, podstawił mi jednego swojego krewnego, bardzo uczciwego człowieka, który potrzebował dzierżawy. U niego spisaliśmy z sobą kontrakt, pióro trzymał pan Dziegciowski. Posesora opisał jak węża, tak że z mojej strony mógłby być rozpoczęty proces, a z jego w żaden sposób. Tenuta miała być corocznie z góry opłacona, więc zaraz odliczył mi roczną tenutę ośmset czerwonych złotych dukatami hollenderskiemi. Wtedy dał mi jeszcze poręczawicznego piękną makatę, która mi podziśdzień służy.

V.

Bez trudności wyjechałem z Żytomierza. Miałem ośmset czerwonych złotych w trzosie, kilkadziesiąt tyńfów w sakwie na wydatki w podróży, a w skrzyneczce podróźnej sto rubli elizabeckich i kilkaset tyńfów. Przy małych moich potrzebach, czułem się być rzeczywiście bogatym. Że nie pojechałem w sandomierskie do swoich, to dlatego, raz że przyrzekłem księciu Repninowi udać się jak najśpieszniej do Warszawy; powtóre, że za powrotem do Żytomierza zastałem list od mojego brata regenta, w którym mi donosił, że za kilka dni z bratem naszym Walentym wyjeżdża do Warszawy, aby być przytomnym elekcji, i na niej użyć swojego szlacheckiego prawa. Już i z Żytomierza niemało szlachty wyruszyło w tymże samym celu.

Pojechałem więc do Warszawy, nie omieszkawszy oświadczyć mojej wdzięczności panom starościcom żytomierskim za ich radę tak dla mnie zbawienną, która ustaliła mój los, że od-tąd nie będę miał potrzeby nikomu się kłaniać. Pożegnałem i pułkownika Branczynina, którego szczerze pokochałem, wprzód- dy jeszcze, nim został moim dobroczyńcą. Chciał on mnie gwałtem zatrzymać, bym był świadkiem jego wesela; ledwo dał się przekonać, że gdybym się pokazał w moim odjeździe z Żytomie- rza, naraziłbym się przez to na słuszny gniew księcia Repnina.

Szóstego dnia po moim wyjeździe stanąłem w Warszawie i zajechałem do dworku pana Robaczyńskiego, niegdyś pokojowego nieboszczyka króla, a mojego dobrego przyjaciela. Warszawa tak była napełniona gośćmi przybyłymi na elekcję, że bardzo byłem rad temu, iż choć na Pradze przynajmniej się umieszczę. Mój mocny Boże! jakież to tłumy szlachty wpół lub zupełnie pijanej snuły się po ulicach! Co też to za bajeczne sumy musieli otrzymać winiarze! Między jednym a drugim szlachcicem bywały na ulicy zajścia pojedyncze, czasem pokiereszowali się szablą; ale przynajmniej nie było tych burzliwych napaści w kilku na jednego, ani najścia na domy, bo w mieście stał generał Romanus w dwanaście tysięcy wojska i wszystkich wstrzymywał od puszczania wodzów przyrodzonej nam zuchwałości. Niejeden czuł się upokorzonym, że mocarstwo obce wojskiem swoim utrzymywało w naszej stolicy jakiś porządek; ale żeby nie ono, w anarchji, do jakiej już przywykliśmy, nie było dnia w którymby ta stolica nie mogła stać się pastwą płomieni, przy wzajemnej rzezi jej mieszkańców, w imieniu wolności i niepodległości narodowej.

Pan Saldern, poseł rosyjski, zaprowadził był swoją policję w mieście, gdyż ta, która zostawała w ręku marszałka wielkiego, od czasu bezkrólewia zupełnie się rozprzegła. Kiedy kto potrzebował o kim się dowiedzieć, nie wiedział do kogo się udać dla powzięcia wiadomości. Faktorzy żydzi byli jedyną policją przyjezdnych, ale jakkolwiek byli biegli w tem rzemiośle, zjazd w Warszawie był tak wielki, że aż trzem faktorom dałem polecenie, iżby się dowiedzieli, gdzie zajechali moi bracia, jednak napróżno, bo po trzech dniach żadnej o nich wiadomości mi nie przynieśli, chociaż za to mieli obiecaną sowitą nagrodę. Dopiero dowiedziałem się, że poselstwo rosyjskie zniósłszy się z komendą wojskową, taki porządek ustanowiło, że każdy właściciel domu, w przeciągu dwudziestu czterech godzin, każdego przybywającego do jego domu musiał meldować do placu pod najsroższą odpowiedzialnością. Były wypadki, że właściciele domów za nieakuratność swoją cieleśnie karano, czem na nich taki postrach rzucono, że potem najskrupulatniej dopełniali to, co im rozkazano. O takim porządku w Polsce nie miano wyobrażenia, i to bardzo wielu zdawało się być przeciwne wolności obywatel-

skiej, która z żadnym porządkiem zgodzić się nie daje, przynajmniej wedle wyobrażeń, jakie u nas w owym czasie o wolności miano.

Skoro się o tem dowiedziałem, udałem się do poselstwa, gdzie miałem znajomych i na mnie łaskawych, a oni mi obiecali odszukać braci, jeżeli się w Warszawie znajdują. W samej rzeczy, nazajutrz oznajmili mi, że bracia od czterech dni przyjechali do Warszawy i że najeli mieszkanie w chałupie drwała nad Wisłą niżej Solca. Udałem się więc na Solec i niemało natupałem, nimem trafił do ich chaty. Jednak wynalazłem ich mieszkanie i byłem szczęśliwy, że ich obydwóch w domu zastałem; a nie tylko ich, ale jeszcze i moich szwagrów, którzy z braćmi przyjechali na elekcję. Regent i pisarz ziemski Mężyński namówili nawet kilku przyjaciół, żeby zjechali razem z nimi. Cztery chaty rybackie, oprócz tej, którą sami zajęli, najęte zostały przez tych przyjaciół, tak, że mój brat mógł rachować na przeszło dwadzieścia głosów pewnych. Lubo wszyscy tak byli ściśnieni w swoich lichych mieszkaniach, że w izbie ledwo można się było ruszać, regent namówił mnie, żebym z Pragi do nich się przeniósł, co tegoż samego dnia skutecznem.

Po braterskich przywitaniach i zwykłych pytaniach i odpowiedziach o rodzinie, rozmowa zaraz skierowała się do rzeczy publicznych. Regent, chociaż przybył z prowincji, gdzie był zamieszkały i niespełna od tygodnia bawił w Warszawie, swoim jurystowskim taktem o wszystkim już się wywiedział, ile że będąc klientem domu Małachowskich, który niemało wpływał na elekcję, był przypuszczony do wszystkich obrad stronników tego domu. A jeżeli sam był jemu poświęcony, to nie tylko z powinności, ale i z przekonania, bo gdy i śmierć elektora-królewicza i wola dworów ościennych, sprzymierzonych z Polską monarchią, uczyniła nadzieję domu saskiego niepodobną do skutecznienia, a tylko Piast mógł być obrany królem, już tem samem jedność była zapewniona dla partji przeciwnej nieboszczykowi królowi, a któryby ją rozrywał, pokazałby się niegodziwym obywatelem, szukającym nie powszechnej, ale osobistej korzyści z anarchji, zwykle towarzyszącej bezkrólewiom. Jedność ta tem łatwiej się utrzymywała, że na czele partji nazwanej Czar-toryskich stanęło dwóch mężów wysokiego światła i doświadczo-

nej zręczności w kierowaniu obradami publicznymi, a temi byli: książę prymas Łubieński i kanclerz Małachowski; potem, że naczelnicy dopiero tak potężnej partji saskiej czyli magnackiej, jakoto: Radziwiłłowie, Potoccy, Mnischowie, obaj hetmani i inni, rozproszyli się po swoich dobrach i żaden z nich, ani nawet z ich klientów, nie chciał być przytomnym elekcji.

Los narodu zostawał więc w ręku partji prowadzonej przez prymasa i kanclerza. Dom Czartoryskich, dusza tej partji, nadto był pewny swojego powodzenia, żeby nie przybrać pozornej obojętności na to wszystko, co dążyło do jego korzyści. Jeszcze o Poniatowskim nie było wmianki. Książę Lubomirski, podstoli koronny, lubo już był podany na kandydata, nikt tej kandydatury nie brał na serjo. Wszyscy byli pewni, że korona nie ominie generała ziem podolskich, ile że imperatorowa rosyjska, życzliwa jego ojcu, sama się przekonała, że jego syn będąc młody, tem samem obawa nowego bezkrólewia więcej będzie oddalona. Kiedy odezwałem się przed braćmi i ich przyjaciółmi: „Ażebyśmy obrali królem pana stolnika Poniatowskiego, cóżby to było złego?” — wszyscy wzruszyli ramionami, jakbym radził coś niepodobnego.

Wojewoda ruski i syn jego, generał ziem podolskich, tak dalece byli pewni, że żaden współzawodnik dla nich niebezpieczny zjawić się nie może, iż zupełnie zaniedbali pana Benoit sprawującego interesa króla pruskiego w Warszawie, a nawet z obojętnością przyjęli jego przymilania się do nich. Był to błąd, który srodze opłacili, gdyż obrażony dyplomata, na którym się nie poznali, był mężem nadzwyczajnej przebiegłości, wielce szacowany od Fryderyka Wielkiego, mistrza w nauce przenikania zdolności ludzi i doskonale wtajemniczonego we wszelkie intrygi dworskie i polityczne. Ten pobudzony zemstą, postanowił upokorzyć dom Czartoryskich i zdołał odepchnąć nawę ich nadziei w tej właśnie chwili, kiedy zawijała do portu.

Wyprawił kurjera do Fryderyka Wielkiego z listem, w którym go ostrzegł, że może wielką przysługę uczynić imperatorowej, gdyż jak mu wiadomo, ta potężna monarchini życzyłaby sobie, aby pan Poniatowski, stolnik litewski, królowi osobiście znany, który nawet miał szczęście mu się podobać, był obrany królem polskim; ale, że gdy postanowiła nie użyć ku temu siły

i sama zagwarantowała wolność elekcji, przekonała się, że niepodobieństwem jest dla niego jednomyślność sobie zyskać, a więc z tego jedynie powodu zwróciła swoje życzenia do jego brata ciotecznego. Wszakże od króla zawisło, żeby szlachta obrała Poniatowskiego, jeżeli idąc za jego radą, zostawi mu wolne pole do działania. Odtąd król we wszystkim, co dotyczyło elekcji, dał mu się powodować. Zobaczmy wkrótce, jakim sposobem pan Benoit uskutecznił to, co zdawało się być niepodobnem do wykonania.

Co do mnie, kilkakrotnie nawiedziłem pana stolnika i zawsze, jako dawny znajomy, łaskawie byłem przez niego przyjęty. O rzeczach publicznych ani zaczępiłem w jego przytomności, raz, że byłem zbyt małą figurą, bym brał inicjatywę w tak poważnych materjach; powtóre, że pan stolnik zdawał się być jedynie zajętym powodzeniem swojego brata i nie tylko że niczem nie okazał zamiaru emulowania z tym, z którym ściśle był złączony krwią i przyjaźnią, ale nawet był powszechnie uważany za jego gorliwego i czynnego stronnika. Bywałem u niego, jak zwyczajnie szlachcic oddający atencję panu i rozmawialiśmy z sobą tylko o Francji, o dworze lunewilskim, o literaturze włoskiej. Tymczasem pan Benoit knuł dla niego intrygę, o której nikt, ani sam stolnik, wiedzieć nie mógł.

W sam dzień rozpoczęcia elekcji a Woli, w szopie, książę prymas dawał wielki obiad, na który sprosił ciało dyplomatyczne i wszystkich tych, którzy w rzeczypospolitej odznaczali się wysokimi urzędami lub wielkiem zachowaniem u szlachty. Jako dygnitarz był tam i pan Poniatowski. Wszyscy byli już zebrani; oczekiwano tylko pana Benoit, który się opóźniał. Wielu zdawało się być zniecierpliwionemi, niektórzy dobywali z kieszeni zegarki, sam gospodarz okazywał się zakłopotanym tą przewłoką; jednak nie można było się do stołu i tem znieważać posłannika wielkiego monarchy. Wtem wchodzi pan Benoit z paczką w rękę, skłonił się przed księciem prymasem, przepraszając go, że z powodu kurjera, który mu przywiózł ekspedycję od jego króla, musiał się opóźnić. Wtem spostrzegł pana Poniatowskiego, który w bliskości prymasa rozmawiał z generałem ziem podolskich, mającym być wkrótce ogłoszonym kandydatem; do pana stolnika obrócił się więc z temi słowy:

— Oto jest order Orła Czarnego, który panu mój król posyła jako zakład życzliwości. Pozwól pan, bym go włożył na niego i powinszował mu nie tylko tego zaszczytu, ale i przyjaźni Najjaśniejszego króla pruskiego, który niczego więcej nie pragnie, jak wkrótce nazwać go swoim bratem.

Potem obracając się do księcia prymasa, rzekł:

— Upraszam Waszą Księżęcą Mość w imieniu mojego monarchy, byś raczył pana stolnika ogłosić kandydatem do korony.

A pan Kajserling, ambasador imperatorowej, który, jak widać, o wszystkim zawczasu wiedział, dodał:

— I ja w imieniu mojej Najjaśniejszej monarchini łączę moję adhezję do słów JW. posła pruskiego.

Księżę prymas i wielu z przytomnych okazali zadziwienie i pomieszanie. Było to jakby uderzeniem teatralnem, bo nikt do tego nie był przygotowany.

Księżę prymas, przyszedłszy do siebie, słabym głosem się odezwał:

— Miałem ogłosić kandydatem księcia generała ziem podolskich, teraz mam głosić jego brata ciotecznego i stronnika. Pozwólcie panowie, abym dał czas braciom porozumieć się z sobą.

Na to księżę generał śpiesznie odpowiedział:

— Mości księżę prymasie! niepotrzeba czasu, ja chętnie odstępuję od kandydatury dla mojego brata i dołączam głos mój i głosy moich przyjaciół do głosów jemu życzliwych. Poczytuję się za szczęśliwego, że wkrótce nazwę swoim panem mojego krewnego i przyjaciela, tem więcej, że jestem przekonany, iż ojczyzna lepszego i światlejszego króla mieć nie może.

Ten krok księcia generała niemało wszystkich zadziwił. Nie wiadano czemu to można było przypisać, bo gdyby się był uparł przy swojej kandydaturze, niezawodnie byłby się utrzymał, gdyż pan Poniatowski nie odważyłby się z nim emulować, a pan Benoit byłby wyszedł ze wstydem.

Wielceby się omylił ten, ktoby w ustępstwie księcia generała chciał widzieć jakiś cel polityczny lub wyrachowany. Nie było w niem nic innego, oprócz romansowego kawalerstwa. Pan stolnik był jego szczęśliwym rywalem u jednej damy, która go samego wielce obchodziła, księżę więc stosując się do obyczajów

francuskich, których był wielkim miłośnikiem, nie chciał pokazać się zazdrosnym, opierając się szczęściu rywala, gdyż jak wiadomo, wedle kodeksu tych obyczajów, dowód zazdrości okrywa śmiesznością tego, który się jej dopuszcza. Tak tedy dla miłości własnej, dla oklasków sfrancuziałych salonów warszawskich, odrzekł się dobrowolnie tego, co było celem jego życia. Gdyby mu zostawiono przynajmniej kilka godzin do namyslenia, zapewne inaczejby był postąpił ale napadnięto na niego znienacka, a pan Benoit umiał poznać jego lekkomyślny charakter. Wszyscy jego stronnicy z konieczności przeszli na stronę pana Poniatowskiego i książę sam z niemi; a szlachta bez kierunku poszła z największą łatwością za jego przykładem. Takim sposobem tejże samej doby książę generał ziem podolskich pozostał w stanie równości, a pan Poniatowski został ogłoszony królem.

Na polu nazwanem Wola, na którem odbywała się elekcja, w dniu tym stałem z moimi braćmi między Sandomierzanami. Widziałem na twarzach wszystkich zadziwienie, kiedy zamiast tego, któremu byli przygotowani dać swoje głosy, kto inny został ogłoszony kandydatem. Bez trudności temu ostatniemu złożyli swoje sufragia, bo że od dwóch tygodni zgórą bawili w Warszawie, każdy tęsknił za swoim domem. Już szlachcie, a przynajmniej jej większości, nie było w głowie kto ma zostać naszym królem, ale żeby pierwszy lepszy nim został, a jej wolno było wrócić do swoich gospodarstw. Jest to cecha naszego narodowego charakteru, że co tylko potrwa ponad pewien zakres czasu, musi nas znudzić koniecznie. Całkowita nasza historia świadczy, że wszystko u nas dobrze się zaczynało, a najgorzej kończyło właśnie dlatego, że nic nam długo podobać się nie może. Jesteśmy jedynym na świecie narodem, który pogardza swoją przeszłością, tem się odkrywa całkowite znaczenie słowa załadki naszego przeznaczenia.

Otrzymaliśmy więc króla. Szlachta znudzona, zaczęła się zaraz po jego ogłoszeniu rozjeżdżać, a moi bracia i szwagrowie byli z pierwszych, którzy opuścili Warszawę i mnie namawiali, bym to samo uczynił. *Conditionaliter* obiecałem im do nich przyjechać i z niemi mieszkać, to jest, jeżeli nie będę powołanym do jakich obowiązków, co wszystko być mogło, gdyż miałem jakieś zasługi i byłem znany królowi, a to najwięcej mogło za

mną przemawiać. Mój mundur cesarski i krzyż saski dawały mi przynajmniej napół podobieństwo do cudzoziemca, był to stan najwięcej pomyślny do powodzenia w Polsce.

Nakoniec wypróżniła się Warszawa ze szlachty przybyłej z prowincji, z czego był podwójny zysk, raz, że król z powiernikami swojemi mógł swobodnie się zająć uporządkowaniem miasta, a nawet państwa, bez obawy tych, którzy siedząc w Warszawie, mogliby mu bruzdzić; powtórę, że przecie odtąd łatwiej było dostać wygodne pomieszkanie. Zresztą, żeby król był i dziedzicznym monarchą, nie mógłby być mocniejszym w narodzie, jak nim był w pierwszych latach swojego panowania. Wszyscy jego przeciwnicy zrobili adhezję jego wyborowi. Magnaci jeden po drugim przyjeżdżali przynajmniej na kilka dni do Warszawy, żeby mu złożyć czołobitność. Jeden tylko książę Karol Radziwiłł, wojewoda wileński, tułał się za granicą, skazany na utratę majątku i banicję przez partję, która rządziła Polską podczas bezkrólewia, a do której król, będąc w stanie równości, należał.

Król nie zdjął banicji z księcia Radziwiłła, co mógł łatwo uczynić. Była w tem z jego strony wielka omyłka, niechęci osobiste winny zawsze ustąpić widokom politycznym. Prześladowca Radziwiłła nie mógł być popularnym na Litwie, a Litwa składała większą połowę narodu, gdyż ruskie województwa zwykle z nią trzymały. Król, jak i wielu innych światłych mężów, nie umiał się poznać na Radziwille, miał go za ciemnego i gwałtownego barbarzyńcę i nieubłaganego w raz powziętej nienawiści, a nie poznawał pod powłoką szorstkości i dziwactwa, wielkich przymiotów i głębokiego rozsądku tego naczelnika partji. Pogardał jego rozumem, a obawiał się jego gwałtowności. Dziwić się trzeba, że monarcha tak światły, nie zastanowił się nad tem, że mąż posiadający ciągle tak kolosalną popularność w narodzie niestałym, nie mógł być człowiekiem bez wielkich cnót i wielkiej zręczności. Gdyby był król pojednał się z nim wtedy, kiedy był jeszcze mocnym na swoim tronie, a tem uprzedził jego wydzwignienie przez inne ręce, byłby w nim miał przyjaciela i wiernego doradcę, któryby mu przyniósł serca wszystkich Litwinów, a przez to ugruntował jego świetne położenie w Polsce. Na sejmie koronacyjnym, w instrukcjach danych posłom wszy-

stkich województw litewskich i większej części ruskich, był domniemany artykuł o zdjęciu banicji z księcia wojewody. Król lekceważył ten dowód życzliwości tak znacznej części narodu dla tego, którego uważał za swego osobistego nieprzyjaciela i oparł się woli narodu, którą w tem powinien był uprzedzić. Odtąd potęgą króla zaczęła się skłaniać ku zachodowi, a uciszzone nienawiści, nawet w jego własnej familji, zaczęły się głośniejszemu odzywać.

Drugi błąd króla, który mu niemało zaszkodził u szlachty, była jego skłonność dla cudzoziemców. Bez wątpienia cała ta, że tak powiem, nowa Polska, która napełniała dwór i stolicę, ci przyszli reformatorowie narodu, sami wynarodowieni ogłąda francuską, którzy wraz z staroświeckim ubiorem zrzucili z siebie i wiarę i obyczaje staropolskie, widząc w królu ideał swych własnych wyobrażeń, byli szczerze do niego przywiązani. Ale nie przydawali mu rzeczywistej siły, bo ta siła była w szlachcie zamieszkałej na prowincji, a ta ze zgrozą patrzyła na stolicę i na tych, którzy otaczając króla, w niej przewodniczyli. Jakżeż się mogła pogodzić z temi, których rozmowa była ciągle zaprawiana szyderstwem, miotaniem przeciwko obyczajom, podaniom i religji, jednym słowem na to wszystko, co polskość stanowiło.

Król rzeczywiście światły, a nie otynkowany tylko, jak oni, odblaskiem światła zagranicznego, więcej umiarkowania okazywał w tym wstręcie, jaki czuł wewnątrz, przeciwko tej prawdziwej polskości, którą jego doradcy ochrzcili pogardliwie imieniem *sarmatyzmu*. Trzeba mu nawet oddać sprawiedliwość, że nigdy nie wyzuł się zupełnie z uczuć religijnych; że wypełniał jej przepisy przykładowo, i to na osobności, jakby się tego wstydził. Często całkowite godziny trawił na modlitwie, sam niejednokrotnie podszedł do króla, klęczącego przed znakiem naszego Zbawiciela i łzami zalanego. Chociaż z łatwością tłumaczył się w siedmiu językach, umiał się poznać na bogactwach mowy rodowitej. Miłował literaturę Zygmuntofską, zachęcał do poprawy polskiej pisowni, wyszukiwał poetów narodowych i hojnie ich obdarzał, zachwycał się nad wierszami Trembeckiego i prozą Naruszewicza, ale z tem wszystkiem szlachta, zwłaszcza województw opodal od Warszawy położonych, nie mogła go uważać za swojego. W tem był mniej szczęśliwy, niż jego dwaj po-

przednicy Sasi, choć byli Niemcami, i pierwszy z nich zupełnie nie mówił po polsku, a drugi z trudnością tłumaczył się tym językiem. Skądże to pochodziło?

Oto stąd, że chociaż nie ulega wątpliwości, iż król był najrozumniejszym i najgodniejszym panowania z pomiędzy wszystkich, którzy usiłowali przekształcić Polskę w coś podobnego do Francji, zawsze pozostawał członkiem partji niemiłej masie szlacheckiej, która istotnie składała naród. Obaj Sasi koronowali się w ubiorze polskim, a jeżeli wprowadzili z sobą cudzoziemców, ci, ze znakomitych rodów w ich państwie, nie przychodzili do Polski, by ją nakłonić do swoich obyczajów, ale owszem sami się stosowali do obyczajów narodowych. Brühl i Flemming, przypuszczeni do magnaterji naszej, od tego zaczęli, iż związkami krwi połączyli ród swój z rodami zasłużonemi rzeczypospolitej, dwory ich zupełnie nakształt polskich były urządzone. Na dworze Augusta III, oprócz wojskowych, lekarzy, artystów i liberji królewskiej, same kontusze widzieć się dawały; co się zaś tyczy magnatów, wyjąwszy indygenowanych panów, książąt Czartoryskich i dwóch braci Mniszchów, na pokojach króla nie można było się spotkać ani z suknią, ani z fryzurą francuską. Szlachcic przybyły z prowincji do Warszawy, kiedy się znajdował na tych pokojach, nie przestawał widzieć siebie między swojemi, a tym sposobem dwór był popularnym w narodzie.

Stanisław August przeciwnie, znarowiony wychowaniem obcem, przytem potomek domu, którego szlachectwo było wątpliwe, gdyż nawet rodzonego dziada pokazać nie mógł, bo jak wiadomo, jego ojciec, acz wielki mąż, był jedynym jego przodkiem, nietylko że nie mógł mieć przywiązania do podań narodowych, ale nawet nie był zdolnym pokryć nienawiści, jaką czuł przeciwko tym wyniosłym przedstawicielom wielkich podań narodowych, których przytomność zdawała się oskarżać niskość jego własnego pochodzenia.

Od tego więc zaczął, że nie w Krakowie, jak jego poprzednicy, ale w Warszawie przyjął namaszczenie królewskie, pierwszy szwank zadawszy podaniom jemu niemiłym i to nie w starodawnym ubiorze polskim, do którego się stosowali elekcji, nawet monarchowie zagraniczni, ale w jakimś stroju niby hiszpańskim,

a rzeczywiście teatralnym, który wywoływał śmiech ludzi rozsądnych i na wstępie obraził namiętną szlachtę i niemniej namiętnych panów jej przewodniczących. Dalej otoczył się zagranicznymi przychodniami, nie z szlachetnej krwi, ale awanturnikami wszelkiego rodzaju z Francji i Włoch, jawnie okazując, że ich towarzystwo przenosi nad zacne towarzystwo Polaków. Wtedyto pojawili się owi Tomatysy, Kazanowie, Kamillowie, Boskampy, Piatolowie, Salinasy, którzy, jako cudzoziemcy, widzieli naród jedynie w dworze, a że głupia młodzież dworska do nich lgnęła i usiłowała ich naśladować, lekceważyli kontuszową szlachtę i tem wzniecali w niej niechęć przeciwko królowi. Były jeszcze i inne wady króla, rzeczywiście pocziwego, które nie mało się przyczyniły do jego niefortunnej doli, o których w ciągu tych pamiętników wspomnę. Powiem tu tylko, że całe jego panowanie było nieprzerwaną wojną przeciwko starożytnym domom polskim.

Co do mnie, byłem z liczby pierwszych, którzy nowoobranemu królowi złożyli hołd poddaństwa i zostałem łaskawie przyjęty. O żadne miejsce nie chciałem się ubiegać i przyjmować na siebie nikczemną rolę solicitora. Pojmuję, że uczciwy człowiek może nawet natrętnie upominać się o swoje prawa, jako to o danie mu wysłużonej pensji, o nieodmówienie stopnia, który mu się należy, ale wyżebranie tego, co jest faworem, a do czego sumienie nie można rościć sobie prawa, nie może być sprawą, tylko ludzi mających wiele podłości w duszy. Zwykle nasza szlachta podobnem rzemiosłem się brzydziła. Kołatałemci wprawdzie i ja w Wiedniu, ale to nie obciąża ani mojego chrześcijańskiego sumienia, ani honoru szlacheckiego, bo wykołatałem dla siebie kawał chleba nie łaskawego, ale zasłużonego. Szedłem po moją własność, a nawet w niej pokrzywdzony zostałem, gdyż tysiąc złotych, a nie sześćset, po prawdzie mi się należało. Co się zaś tyczy mojego starostwa, wyznaję, iż na niego nie zasłużyłem, był to fawor monarchy, ale przynajmniej tego faworu nie wyżebrałem, ani nawet o nim nie pomyślałem. Była to dla mnie niespodzianka szczodroty królewskiej, dlaczegoż miałbym ją odrzucić? Jednem słowem, nigdy darem dobrego serca nie pogardziłem, boby to było zuchwalstwem; tyle tylko, że przez całe życie nikogo o żadną łaskę nie prosiłem.

Gdybym nawet zazierał w skarbnicę królewską, cóżbym z niej wyniósł dla siebie? Jak wrony na ścierwo, tak z całej Europy zachodniej rzucili się awanturnicy na to, czem król mógł bezwzględnie rozrządzać, by wszystko rozszarpać między sobą, gdzieżbym się przez nich przecisnął? Oni mieli ucho króla i zczudzoziemczających panów, posiadających jego zaufanie.

Zresztą moje położenie pozwalało mi nie dbać o niczyją łaskę, nawet królewską. Miałem około dwudziestu pięciu tysięcy intraty, kilkaset czerwonych złotych zamkniętych w szkatułce od nagłej potrzeby i mobilia kawalerskie wcale gustowne, przez kilka lat uzbierane, które były złożone u dobrej mojej przyjaciółki, pani Łazarewiczowej, w jej składzie na Długiej ulicy. Uważałem się za bogatego i byłem nim rzeczywiście, bo każdy, czyje przychody przewyższają jego wydatki, może się nazwać bogatym. Miałem więc o czem czekać, dopóki Bóg nie ześle na mnie godzinę szczęśliwą, nie dla powiększenia moich przychodów, bo tego nie potrzebowałem, tem więcej, że płatne posady były u naszej szlachty w pogardzie, ale jakiś urząd, któryby mnie pomieścił między możniejszemi. Ta chęć wyniesienia się trwała we mnie zgórą dwa lata, nim mi z głowy wywietrzała. Każdy szlachcic polski przynajmniej czas jakiś musiał koniecznie palić się do senatorji lub dygnitarstwa, jak każdy pan do pieczęci, buławy, a nawet korony. Ta przechodnia słabość, z której się szczerze spowiadam, zasługuje na przebaczenie, raz, że nie pozwoliłem sobie ani jednego kroku dla otrzymania tego, czego pragnąłem; powtóre, że od pierwszej młodości to wojując, to podróżując, to dworakując, nie czułem w sobie ani zdolności, ani ochoty do rolniczej pracy i do życia wiejskiego. Pod tym względem, że wstydem wyznaję, iż byłem wynarodowionym. Lubiłem wioskę w lecie, gaik cienisty, niwę urozmaiconą zbożem różnego rodzaju, kwiecistą łąkę, nawet poryk bydła, wszystko to mnie zachwycało, ale samo wyobrażenie zimy na wsi, przestraszało mnie. Gospodarstwo stanowi głęboką naukę praktyczną, do której potrzeba być usposobionym, a ja właśnie nigdy się do niej nie sposobilem. Żyjąc na mojej ziemi, a nie umiając około niej chodzić, musiałbym spuszczać się na innych, a tak byłbym próżniakiem wiejskim, istotą więcej nierównie upośledzoną niż próżniak miejski. Nasza zaś szlachta taki wstręt miała do życia miej-

skiego, że kto obierał sobie siedlisko w mieście, nie będąc do niego, iż tak powiem, przykuty obowiązkiem jakiegoś urzędowania, taki utracił u niej wszelki szacunek i był powszechnie pogardzanym.

Pragnąłem mieć jakikolwiek urząd bezpłatny, żeby się nie wstydzić przed moim bratem regentem, iż nie z powinności, tylko z własnej ochoty osiadłem w mieście, jak Żyd lub Niemiec; ale, powtarzam, nikogo o przyczynienie się za mną u króla nie prosiłem. Nająłem sobie za pięćset złotych rocznie porządne kawalerskie mieszkanie na Podwalu i umeblowałem je jak się należy, bo miałem sprzętów poddostatkiem. Pozwoliłem sobie trzymać parę koni do pociągu, a miałem kocz wiedeński, który nieład wyglądał. Z rana chodziłem piechotą, a po obiedzie i na obiad, na który zawsze do kogoś byłem zaproszony, jechałem koczem; kiedy zaś była niepogoda nie wychodziłem z mieszkania, bo wtedy czułem wielki ból w kościach. Było to *fructum belli*.

VI.

Między domami uczęszczanymi przezemnie w Warszawie był dom krajczyny koronnej, którą miałem zaszczyt znać w Wiedniu, kiedy z mężem swoim skryła się w nim przed zamieszczeniem bezkrólewia. Było to w pierwszym roku jej zamężcia. Jeżeli jej piękność wtedy była czarującą, to kiedyś ją ujrzał w Warszawie w dwa lata później, pokazała mi się w dwójnasób piękniejszą. Miała włosy jasne, oczy czarne niewypowiedzianej piękności, a co dziwniejsza, rzęsy i brwi kruczej barwy. Nigdy u żadnej niewiasty nie zdarzyło mi się widzieć podobnie zachwycającego spojrzenia. Była to pani rzadkiej dobroci, gniewać się nie umiała i chociaż wykwitnego zagranicznego wychowania, miała wszystkie zwyczaje pani polskiej. W przyjęciu gości żadnej nie czyniła różnicy między magnatem a prostym szlachcicem, sama mianując się szlachcianką, lubo była z świetnego rodu Ossolińskich. Kto się do niej przybliżył, musiał ją kochać, kobiety nawet przebaczały jej, że nad nie wszystkie była piękniejszą. Przyjęła mnie jako dawnego znajomego, kiedy jej pierwszy raz służyłem w Warszawie i upoważniła mnie do częstego w jej domu bywania, w czym byłem jej posłusznym, ile że będąc starostą i pułkownikiem, nie upokarzałem jej mojem towarzystwem.

Król wtenczas kochał się w niej zapamiętale i często u niej bywał. Żli ludzie różnie mówili o ich związku, co do mnie, nadto byłem wielkim przyjacielem pani krajczyny, bym miał coś złego w niej upatrywać, a tem więcej w tem, co do mnie nie należało. Razu jednego, kiedy byłem u niej wraz z kilku gośćmi, król przybył niespodzianie. Wszyscy zerwali się z swoich miejsc, a ja kryć się zacząłem pod ścianą, żeby opuścić pokój, kiedy pani krajczyna odezwała się:

— A! to niegrzecznie uciekać, mości starosto! Wszakże Najjaśniejszy Pan nie na to przyszedł do mnie, żeby rozpędzać kompanję, która mnie zaszczyca swoją przytomnością.

Musiałem więc wraz z innemi pozostać, a król dał nam znak, byśmy zajęli nasze miejsca. Rozmowa toczyła się w języku francuskim; król był w niej celujący, trudno było mieć więcej dowcipu i grzeczności, ale zauważyłem, że już przybrał coś teatralnego. Znałem go miłszym, bo naturalniejszym, w Strassburgu i Lunevilu, jedną: aż nadto mógł się podobać kobietom.

Jakkolwiek towarzystwo, w którym się znajdowałem, było dla mnie przyjemnem, byłem jednak pierwszym, który je opuścił. Jeszcze raz potem spotkałem się z królem u pani krajczyny, a wtedy raczył ze mną mówić. Trzeba wiedzieć, że odkąd został królem, raz tylko byłem w zamku dla złożenia mu hołdu poddaństwa, a że nie otrzymałem od niego najmniejszego słowa zachęty do bywania w zamku, odtąd noga moja nie powstała na pokojach. Harda dusza, jak to mówią, w ubogiem ciele. Napróżno pan Trembecki i pan Łuba, obaj świeżo przybyli z zagranicy po długim tam pobycie, których król zaraz mianował szambelanami, by ich przywiązać do swojej osoby, jako dobrze im znajomemu wyrzucali mi, że nie bywam na pokojach królewskich; ja im zawsze jedno odpowiadałem, że ani chęci, ani potrzeby nie mam narzucać się królowi; że jestem jego wiernym poddanym, że jeżeli mnie zapotrzebuje, zawsze znajdzie mnie gotowym do jego usług. Ale, że kiedy, jako mojemu panu, złożyłem mu hołd winnego poddaństwa, a niczem nie dał mi poznać, żeby moja przytomność była mu przyjemną, postanowiłem nie bywać u dworu, póki mieszkać będę w Warszawie i żyć z równemi sobie, jako szlachcic niepodległy, porzostający na swoim chlebie.

Bywałem zawsze u pani krajczyny, gdzie towarzystwo zwykle składało się z stronników królewskich; ale bywałem i w innych i powtarzałem moje nawiedziny wszędzie, gdzie mi okazywano cokolwiek życzliwości; a gdzie tylko przyjęto mnie ozięble, tam już nigdy nie wracałem.

Między innemi, do jakich uczęszczałem, był dom księcia biskupa krakowskiego Kajetana Sołtyka, męża niepospolitej nauki, rzadkich cnót i wielkiej wiary. Na polu elekcyjnym okazał się on przeciwnym królowi, ten więc uważał go jako osobistego nieprzyjaciela. Jeszcze za panowania Augusta III były między nimi jakieś nieporozumienia, które później ciągle się wzmaczały. Król zawsze nazywał go bigotem i człowiekiem ciasnego pojęcia; o czym książę biskup był uwiadomiony i to ułagodzić go względem króla nie mogło. Rozsądniejsi stronnicy króla usiłowali ich pojednać. Toby się dało łatwo zrobić z kim innym, gdyż o to jedynie chodziło, kto pierwszy krok uczyni, ale książę biskup był nadto dumnym, żeby się do tego dał namówić. Ksiądz Okęcki, który miał wielkie zachowanie u króla, a będąc kanonikiem krakowskim, miał swobodny przystęp do księcia biskupa i posiadał jego zaufanie, podjął się nakłonić swojego biskupa do tego pierwszego kroku, czemby zrobił niemałą przysługę dla Rzeczypospolitej; ale to mu się nie udało. Żeby był przemówił w imieniu religji, możeby i przekonał pobożnego męża; ale odezwał się z tem, że samo położenie króla wymaga jakiegoś upokorzenia ze strony wysokiego wprawdzie i rodem i dostojenstwem senatora, ale zawsze jego poddanego. Na to wyniosły biskup odpowiedział:

— Ja do niższości z królem się nie przyznaję. Co do urodzenia, wiedzą w Polsce czem są Sołtykowie, a czem Poniatowscy. Co się zaś tyczy godności, jestem tak panującym w Siewierzu, jak król w Warszawie.

W samej rzeczy biskupi krakowscy byli udzielnymi książętami na Siewierzu. Ta dumna odpowiedź doszła do króla i rozjątrzyła go do najwyższego stopnia przeciw księciu biskupowi, tak dalece, że odtąd nie było prześladowania, jakiegoby się przeciw jego osobie nie dopuścił.

Kto tylko był nieżyczliwym królowi, mógł być pewnym, że przez księcia biskupa będzie przyjęty z otwartemi rękami. Prze-

konałem się później, że jeżeli doświadczyłem jego łaskawej grzeczności, tak, iż kazał mi uważać swój dom jako mój własny, to jedynie dlatego, że mnie nigdy nie widziano na pokojach królewskich, gdyż jak tylko zostałem szambelanem królewskim, tak oziębło mnie przyjął, że zaprzestałem bywać w jego domu.

Wprawdzie, kiedym się jeszcze zaszczycał jego łaską, w gronie samych malkontentów, którzy jego pokoje napełniali, gdzie w rozmowie suchej nitki na królu nie zostawiono, zawsze miałem się na ostrożności. Z jednej strony bowiem zawsze uważałem jako ciężki grzech powstawanie mową, a nawet myślą, na swojego monarchę, chociażby też jakaś krzywda od niego się doświadczyła; powtóre, że na co mnie, szlachcicowi, narażać się było ludziom potężnym, pasterzom ludów i jak to mówią, zdrową głowę kłaść pod Ewangelię, przez jakąś świerzbiczkę języka, która nawet białogłowom nieprzystoi, a cóż dopiero mężom dojrzałym.

Te językowe obelgi, miotane na pomazańca Bożego, tak mi nakoniec dokuczyły, że zacząłem sobie wyrzucać, iż ich choć w milczeniu słucham; i byłbym już wtenczas odrzekł się nazawsze uczęszczania do tego dostojnego domu, gdyby mnie do niego pewien powab nie przyciągał. Pan Rzewuski, chorąży litewski, pod którym służyłem w pułku generała Szybilskiego w czasie siedmioletniej wojny, był tam domownikiem.

Związki koleżeństwa wojskowego, uwieńczone wspólnością niebezpieczeństw i sławy, są tak ścisłe, jak związki krwi. Jakże mógłbym nie szukać mojego dawnego majora, którego stół, a czasem nawet pościel podzielałem? który był dla mnie bratem, przyjacielem, protektorem? który rad był wszystkim podzielić się ze mną? Był to dzielny żołnierz, uznany za takiego w całym wojsku cesarskim. Za wstawieniem się feldmarszałka Laudona otrzymał order Marji Teresy, co już samo dowodziło, że był walecznym i zdolnym oficerem. Był to mąż tak słodki w obcowaniu, że kto go znał zbliska, nie mógł go nie kochać. Oficerowie i żołnierze pułku Szybilskiego płakali, kiedy ich opuszczał, będąc przeniesiony do sztabu feldmarszałka, który osobiwszy miał dla niego szacunek. Był on otwartym nieprzyjacielem króla, ale jako mąż szlachetny, na dwóch stołkach nie siedział. Żonaty z rodzoną siostrą księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, mógł czuć więcej niż kto inny krzywdę swojego

szwaagra, skazanego na banicję i wyzutego z urzędów i dóbr przez konfederację nielegalnie zawiązaną. Ale jeżeli się oświadczył wręcz przeciw królowi, postąpił jak człowiek uczciwy. Nigdy go nie chciał uznać za swojego pana, złożył chorążostwo litewskie i starostwo chełmskie, przestał się uważać za obywatela polskiego i poddał się pod protekcję poselstwa austriackiego, jako generał-major wojsk cesarskich, gdyż miał ten stopień. Nigdy nie był u króla, nawet na ulicy unikał jego spotkania. Mając prywatne interesy w stolicy, w ciągu swojego w niej pobytu, u nikogo, nawet krewnego nie bywał, tylko u posła cesarskiego i księcia biskupa krakowskiego. A kiedy w tych dwóch domach spotkawszy jakiego pana z nim skolięconego, ten mu czynił wymówki, że do niego nie zajrzy, on tysiącem ukłonów się uniewinniał, obiecując poprawę, ale raz przyjętego trybu życia nie odmienił. Tak dalece chciał się pokazać obcym temu wszystkiemu, co się w Polsce działo, że nigdzie się inaczej nie pokazywał w Warszawie, tylko w ubiorze cesarskim i nie rozmawiał tylko po niemiecku z swoją służbą, z samych prawie Niemców złożoną.

Kochałem go jak rodzonego brata. On często bywał u mnie, a nie było dnia, żebym z rana nie przepędził u niego jakiej godziny. Jeżeli bywał u księcia biskupa, to dlatego, żeby go spotkać, gdyż zwykle na wieczór tam przychodził. Chętniebym jemu jednemu odpuścił głośne odgrążanie się na króla przez wyrozumiałość na gniew, jaki w nim pobudzić mogły krzywdy od niego poniesione; ale on jeden u księcia biskupa z niczem podobnem się nie odezwał. Głębokie uczucie znosi się w milczeniu. Kto na kogo poza oczyma miota obelgi, ten nigdy strasznym dla niego nie pokaże się nieprzyjacielem. Nikt nie doświadczy najmniejszego niebezpieczeństwa ze strony oszczercy, obmówcy i wielomówcy; ale wielceby mnie niepokoił nieprzyjaciel, któryby mojego imienia nigdy nie wspomniał, a słysząc je wychodzące z czyich ust, odszedłby w milczeniu na stronę. Pan chorąży był z takich ludzi. Nadto miał żalu do króla, żeby o nim dobrze lub źle wspomniał i nigdy słuchać nie chciał żadnej o nim rozprawy.

Otóż ten zacny pan, kiedy jako tako ułatwiwszy swoje interesy w stolicy, po raz ostatni widział się ze mną, na pożegnaniu mieliśmy z sobą dość długą rozmowę, słowa jego

zawsze zachowam w pamięci. Gdy wtedy odkrył przedemną swój zamiar przeniesienia się na zawsze pod panowanie austriackie, gdzie ma zasługi, a ja mu wspomniałem, że własna ojczyzna potrzebuje jego usług, on mi na to odrzekł:

—Mój kochany kolego, kiedy własny dom się pali, a nie ma podobieństwa wyratować go, najrozsądniej przenieść się do innego mieszkania. Obaczysz, co się u nas dzieć będzie. Narody stoją albo rozumem, albo przesadami. Całe młode nasze pokolenie depce przesady, a rozumu się nie nauczy. Wszystko w Polsce zbliża się do końca. Zresztą, choćbym i ofiarował swoje usługi Rzeczypospolitej, ci, którzy u jej steru stoją, niezawodnie odrzuciliby moje ofiary. A więc nie dziw się, że moje penaty zabieram z sobą do Wiednia.

Ja sam marzyć zacząłem, aby pójść za jego przykładem. Pomyślałem sobie: jestem wolny jak leśny ptaszek, mam majątek aż nadto wystarczający na moje potrzeby, nie mam ani żony, ani dzieci, moja rodzina żyje o swoim chlebie, poco mi siedzieć w Warszawie, gdzie, jako na obowiązane go domowi saskiemu, krzywo na mnie patrzą? Czyżby nie lepiej osiąść w Wiedniu, jako pensjonowany sztabs-oficer cesarski, mający w przydatku i własne dochody, i tam żyć z kilku przyjaciółmi, jakich pewnie mieć nie będę w Polsce? Myśląc o tem przez dni kilka, postanowiłem nakoniec tę myśl zamienić w czyn. W owym czasie paszportów nie znano; kto miał o czem, ten śmiało kazał zaprząć do pojazdu, siadał z swoim tłumokiem i puszczał się choćby na kraj świata, nigdzie go nie pytano skąd on, dokąd jedzie i w jakim zamiarze. Panu Bogu służyłem, jadłem swój chleb i miałem pieniądze nad moje potrzeby przewidziane i nieprzewidziane, bo nawet pan Tepper, jedyny wówczas bankier w Warszawie, przywiózł mi z kontraktów lwowskich drugą tenetę mojego starostwa, którą mu najakuratniej wypłacił pan Jasiński, mój dzierżawca. Za kilka dni miałem opuścić nazawsze Warszawę, a wkrótce potem i Polskę.

Chciałem najprzód jechać po drodze do familji i u niej trochę się zatrzymać, raz, przez afekt, jaki do niej czułem; po wtóre, że miałem wielką potrzebę widzenia się z bratem regentem. Miałem starostwo i sumki po ludziach, przenosząc się pod obce panowanie, wypadało mi pomyśleć i o przeniesieniu moich

funduszów, a tego skutecznie nie mogłem bez mojego brata, który niczego nie umiał mi odmówić. Chciałem upatrzeć wprzód pewną i dobrą lokację na moje fundusze, ażeby potem regent je zrealizował i odesłał mi je za pośrednictwem Teppera, sprzedawczy nawet moje starostwo po expiracji kontraktu z dzierżawcą. Tak byłem przygotowany do wyjazdu, że już zacząłem robić pożegnalne wizyty domom, w których bywałem, gdyż tylko trzy dni jeszcze miałem bawić w Warszawie.

Nie mogłem ominąć pani krajczyny, która mnie zawsze łaskawie przyjmowała, a u której częściej, niż u innych, bywałem. Do niej więc pojechałem zaraz po południu, by ją pożegnać. Kazała mnie przyjąć. Zastałem u niej świeżo przybyłego z Wiednia brata królewskiego, księcia Jędrzeja Poniatowskiego, feldmarszał-lejtnanta wojsk cesarskich. Po przywitaniu się z panią krajczyną, przybliżyłem się do księcia, którego od razu poznałem, bo służyłem pod nim w jednej z kampanij siedmioletniej wojny. Przypomniałem mu, że miałem zaszczyt być u niego na ordynansie w Pardubitz, kiedy feldmarszałek Laudon robił przegląd jego dywizji, do której wchodził i pułk ułanów Szybilskiego, w którym byłem rotmistrzem. Księżę mnie poznał i z wielką uprzejmością ze mną rozmawiał, a nawet powiedział do pani krajczyny:

— Rekomenduję pani tego oficera. Kto służył w tak bohaterskim pułku, jakim był pułk Szybilskiego, ten wszędzie ma prawo do dobrego przyjęcia.

— Nie inaczej — odpowiedziała pani krajczyna — i poczytuję to sobie za zaszczyt, że pan starosta czasem mnie nawiedza, choć nie tak często, jakbym sobie życzyła.

Skłoniłem się na te uprzejme wyrazy i dodałem:

— To moje bywanie u pani będzie zawsze dla mnie najmielszą pamiątką mojego pobytu w Warszawie, którą pojutrze opuszczam.

— Jakto! Pan starosta nas rzucasz? A czy na długo?

— Na zawsze.

— A! to być nie może! Skądże taka rozpacz?

— Nie jest to rozpacz, ale proste następstwo rozsądku. W Austrii mam jakieś prawa do łaski tych, pod którymi służyłem; w Polsce zaś żadną zasługą pochlubić się nie mogę. W War-

szawie jestem obcym między swojemi, a w Wiedniu będę swoim między obcemi.

— Mój starosto, tem co mówisz, robisz nam wszystkim krzywdę, bo nie możesz się uzalać na złe przyjęcie u kogokolwiek.

— Ale to tylko z łaski i dobroci serca, bo nie mam prawa o to się dopominać. Nie pozostaje mi jak tylko pożegnać panią, podziękować za uprzejmość, jakiej zawsze doświadczałem dla siebie w jej domu i prosić ją o zachowanie swojego sługi w łaskawej pamięci. Kiedy pani zawitasz do Wiednia, proszę zaraz posłać po mnie, będę jej tam służył jak pacholek, a jako stały mieszkaniec Wiednia, mogę być jej użytecznym.

— Nie tracę nadziei, że się to jeszcze odmieni i że pana starostę zachowamy w Warszawie. Kiedyż pan myślisz odjeżdżać?

— Pojutrze z rana. Proszę nawet panią, jeżeli masz jaki rozkaz do Wiednia, żebyś mi go poleciała, a ja spełnię z gorliwością najwierniejszego sługi.

— Z wdzięcznością przyjmuję tę ofiarę, mój starosto, ale pojutrze z rana jechać w żaden sposób nie możesz. Czy zapomniałeś, że pojutrze wielki bal u dworu dla nowego ambasadora imperatorowej, który onegdaj przyjechał, a wczoraj z rana złożył listy wierzytelne Najjaśniejszemu Panu? Wszakże musisz być na tym balu.

— Nigdy nie bywam u dworu i tak dalece jestem mu obcy, że pierwszy raz słyszę i o przybyciu rosyjskiego ambasadora i o balu, który ma być dla niego. Nawet nie wiem kto jest ten ambasador.

— A! czy za górami siedziałeś, mój starosto, że nie wiesz, iż księżę Repnin tu przybył z posłannictwem od imperatorowej?

— Jakto?! Księżę Repnin został ambasadorem przy dworze tutejszym?

— Albo go znasz?

— Nietylko że mam zaszczyt być mu znanym, ale mam jeszcze powody szczególnej wdzięczności dla niego. Przed dwoma laty, w czasie bezkrólewia, szukałem jego opieki w Kijowie, której mi nie odmówił. Jeżeli nie tytularnym, a rzeczywistym jestem starostą, to jedynie jemu winienem. On mnie wprowadził do sta-

rostwa, do którego *via facti* mnie nie dopuszczono. Bardzo jestem pani wdzięczny, żeś mnie raczyła uwiadomić o jego przybyciu, bo całe życie wyrzucałbym sobie, że opuścił Warszawę, nie złożwszy hołdu wdzięczności mojemu dobroczyńcy.

— Więc nie bywasz u dworu? Czy nie jesteś czasem z liczby malkontentów? Toby ci wcale nie było do twarzy, mój starosto.

— Dlaboga! pani! czyż to mnie, szlachcicowi i inwalidowi przybierać jaką rolę polityczną, a tem bardziej malkontenta?! Nie bywam u dworu, bo mi nie każą na nim bywać, a ja nie jestem z takich, co wschodzą tam, gdzie ich nie posieli. Jeżeli są malkontenci, o czem nie wiem, niech się olbrzymi wadzą między sobą, bo ja, który uważam się za karła, o niczem takim i wiedzieć nie chcę. Myślę tylko, aby daleko od wszelkiego hałasu osiąść jak najprędzej w Wiedniu i tam niczem innem się nie zajmować, tylko swoim zbawieniem.

Pani krajczyna podała mi rękę, którą z uszanowaniem przybliżyłem do ust, niziutko się ukloniłem generałowi i odszedłem z pośpiechem. Udałem się do Chodkiewiczowskiego pałacu na Miodowej ulicy, bo dowiedziałem się w przedpokoju pani krajczyniej od jej kamerdynera, że tam zajęchała przed kilku dniami służba księcia Repnina, aby i jemu samemu przygotować mieszkanie. Poszedłem więc do księcia, ale czy był zajęty, czy go też w domu nie zastałem, nie mogłem się z nim widzieć, zapisałem się tylko w księdze między innemi, którzy go w tym dniu nawiedzili. Jeszcze obszedłem kilka domów, w których zwykle bywałem, a mianowicie księcia biskupa krakowskiego, który z pasterskiem błogosławieństwem dał mi na pamiątkę koronkę z krwawników, którą Ojciec Święty sam poświęcił i przydał do niej odpusty. Potem powróciłem do siebie, kazałem przynieść z pobliskiej traktjerni obiad, a trochę podjadłszy, wziąłem się szczerze z moim kamerdynerem Niemcem do pakunku, żeby być gotowym do wyjazdu na dzień pojutrzny.

Miałem w czem się pakować. Moja wiedeńska kolasa, bardzo mało używana, wyglądała jakby prosto od stelmacha, a była porządna i właśnie do dalekich podróży. Na niej była pakowna waliza, ztyłu kufer wielki zaśrubowany, pod kozłem drugiego kufera mniejszy, a w siedzeniu z przodu i z tyłu były jeszcze otwory do pakowania. Miałem aż nadto gdzie pomieścić bie-



TREMBECKI.

STANISŁAW TREMBECKI

liznę, garderobę, srebra, do jakich powoli przyszedłem, i inne pomniejsze sprzęty, oraz jakie takie precjoza, co wszystko mogło mi się przydać zagranicą. Umówiłem się już z panią Łazarewiczową, żeby moje meble miała na oku i kogoś do ich doglądania osadziła w mojem mieszkaniu, które było zapłacone do końca roku, a byliśmy dopiero w kwietniu. Zleciłem jej sprzedaż wszystkich bez wyjątku sprzętów i rupieci, jakich z sobą zabrać nie mogłem, spuszczając się w tem na jej uczciwość. Wyłączyłem tylko moją bilbjotekę, złożoną z blisko tysiąca tomów, zalecając, żeby ją zachowała, gdyż miałem zamiar ten księgozbiór sprowadzić do Wiednia, gdzie niełatwo o polskie książki.

Przez całe poobiedzie pakowałem się z moim wiernym Wilhelmem, który nie posiadał się z radości, że jedziemy do Wiednia, tak dalece, że to tylko nieco go martwiło, iż miałem się zatrzymać w sandomierskiem. Nawet się odezwał: „Jak pan wpadniesz między braci i siostry, to niewiadomo kiedy zobaczymy się z Wiedniem”. Miałem tyle rzeczy, że prawdziwie nie lada kto mógłby to wszystko umieścić w mojej kolasie.

Już słońce zaszło, nawet wieczór zaczynał przywdziewać ciemną barwę, a my nie ustawali w robocie. Jeszcześmy się nie byli upakowali, kiedy dzwonek mojej izby kilkakrotnie się odezwał. Mój Wilhelm wyszedł i otworzył drzwi od przedpokoju. Wszedł paż królewski, pan Azarycz, chłopiec piętnastoletni, dobrze mi znany, bo często go spotykałem u pana Trembeckiego, który go lubił, grywał z nim w szachy, do czego chłopiec miał osobliwszą zdolność, a nawet później pod jego imieniem ogłosił swego *Marnotrawnego Syna*, komedję Woltera dość płaską w oryginale, a pełną dowcipu w przekładzie naszego poety. Wielce mnie zadziwiło, kiedy ów paż wręczył mi list marszałka dworu króla, zapraszający mnie z jego rozkazu na bal, który miał być pojutrze w zamku.

Długo zastanawiałem się nad wynalezieniem przyczyny, skąd ja, zapomniany od króla, niepokazujący się nigdy na jego pokojach, omijający nawet jego spotkanie, raptem do niego zaproszony zostałem. Wpadłem na to, że w tem musiała być uczynność pani krajczyny, która chcąc mi dobrze zrobić, wprowadziła mnie tylko w kłopot, bo zadość czyniąc wezwaniu, trzeba było odroczyć swój odjazd przynajmniej na jedną dobę; a znowu

nie stanąć na wezwanie, byłaby wielka nieprzyzwoitość ze strony poddanego względem swojego pana. Jednak skłoniłem się ku temu ostatniemu. Pomyślałem sobie, wynoszę się z Polski na zawsze, będę poddanym domu austriackiego, a więc król Stanisław jest mi tak dobrze jak obcy; zresztą ani zauważy, czy jestem, czy nie, na balu, na którym seciny osób obojga płci znajdować się będą. Poco mi odwlekać wyjazd? To mnie do niczego nie doprowadzi.

Podczas gdy tak rozmyślałem, czy mam się stawić w zamku, czy nie: paż zapytał mnie, jaka moja rezolucja? Ja mu odpowiedziałem: „Mój panie Azaryczu, jutro rano wybieram się w podróż, więc pojutrze na balu być nie mogę, ale najlepiej, gdybyś to, co ci mówię, zatrzymał przy sobie. Nie jestem taką figurą, żeby aż uważano, czy jestem, lub nie. Wy się bawcie, a ja sobie jutro pojadę”. Pan Azarycz nic na to nie odpowiedział, tylko się uklonił i wyszedł.

Po jego odejściu wziąłem się nanowo do roboty z Wilhelmem. Już było po dziewiątej, kiedyśmy pozamykali kufry i już od kilku godzin świece się pały. Czułem się nieco zmęczonym powiedziałem więc Wilhelmowi: „Rozbierz mnie, ja w szlafroku posiedzę, lulkę tytoniu wypalę i bez ciebie położę się w łóżko. A ty, jak mnie rozbierzesz, idź do wczasu, bo jutro trzeba ci będzie wstać rano, by konie obstalować na poczcie na drogę do Radomia. Chciałbym jutro przed jedenastą wyjechać”.

Już się zabierałem do rozbierania, kiedy niespodziewanie wpadł do mnie pan Trembecki. Prosiłem go, żeby usiadł i nałożyłem mu lulkę tytoniu tureckiego, którego był wielkim lubownikiem. Po zwykłych grzecznych a czczych wyrazach, które są przedwstępem każdej rozmowy między ludźmi dobrze wychowanymi, a szacującymi siebie wzajemnie, pan Trembecki odezwał się:

— Słyszałem, że jesteś zaproszonym na bal do króla, mości starosto?

— A nie inaczej. Jest to zaszczyt niespodziewany i niezasłużony, ani też myślę z niego korzystać.

— Jakto? Ja waćpana nie rozumiem.

— Czy pan szambelan nie uważa, jaki nieporządek w izbie, w której prawdziwie ze wstydem przyjmuję tak znakomitego

gościa, przyczyna tego, że pakuję się, bo nazajutrz z rana opuszczam Warszawę. Zważ sam, panie szambelanie, moje położenie, mniej mnie za wymówionego, iż pojutrze nie mogę znajdować się na pokojach królewskich.

— Mości starosto! nie myśl waćpan, żeby marszałek dworu samowolnie umieścił go na liście zaproszonych. Wczoraj byłem na służbie u króla i na własne uszy słyszałem, jak król zalecił swojemu marszałkowi, by waćpana zaprosił, dodając, że chce z nim pomówić. W waćpana woli postąpić jak przystoi szlachetnie urodzonemu człowiekowi, albo pokazać się grubjaninem, lekceważącym pomazańca Boskiego i tym krokiem utracić prawo do szacunku ludzi uczciwych. Kiedy mi Azarycz przed chwilą powiedział, żeś mu kazał odkaz zanieść królowi, uszom moim wierzyć nie chciałem. Kazałem mu wstrzymać się z tą osobliwą odpowiedzią waćpana i zachować ją przy sobie, aż do mojego powrotu. Sam kiedyś poznasz, mój starosto, jaki ci daję dowód przyjaźni, zapobiegając temu, co by cię na całe życie shańbiło. Dajże mi słowo szlacheckie, że zaniechasz tego, z czym się nierozważnie odezwałeś, że odłożysz swój wyjazd i że będziesz służyć królowi stosownie do jego woli.

Znałem pana Trembeckiego. Był on nie tylko wiernym poddanym i sługą króla, ale w jego przywiązaniu do niego był jakiś zapal, jakaś egzaltacja, tem dziwniejsza, że była szczerą. Jak błędny rycerz romansu w swojej kochance, tak on w królu widział swój ideał i upatrywał w nim wszystkie doskonałości. Nie opuścił mnie więc, dopóki nie wyciągnął odemnie słowa szlacheckiego, że zadość uczynię jego woli.

W rzeczy samej powinność wymagała odemnie posłuszeństwa mojemu panu, bo jeszcze byłem jego poddanym. Dziwiłem się tylko, że taką wagę przywiązują do tego, czy tak mała figura, jak ja, będzie lub nie będzie na królewskim balu. Koniec końcem odłożyłem mój odjazd, nie przewidując, że przez to wszystko skończy się na niczem.

Minął ten dzień, jako i następny. Nadszedł wieczór, w którym trzeba było gotować się na pokoje zamkowe. Chciałem być w liczbie pierwszych, którzy się na nich pokażą. Kazałem się ufryzować wedle ostatniej mody wersalskiej, wziąłem na siebie

suknię galową i tak stanąłem na pokojach, rzesistem światłem oświeconych.

Zdziwiłem się, widząc, że pomimo mojej skwapliwości, już od wielu byłem wyprzedzony, gdyż nietylko dwór królewski, ale i niemało gości było zebranych, oczekujących przybycia króla, a między temi i ksiązę Repnin, poseł wielkiej monarchini. Zaraz przybliżyłem się do niego z pewną bojaźnią, czy mnie też pozna. Niepotrzebniem się zafrasowałem, bo ksiązę nietylko że mnie poznał, ale najłaskawiej przyjął. Na wstępie powiedział mi, że bardzo żałował, iż nie zastałem go w domu, kiedym go raczył nawiedzić i przeprosił mnie, że nie oddał wizyty, a to z powodu, iż dopiero przed godziną dowiedział się o mojem mieszkaniu, dodając, iż się spodziewa w dniu jutrzejszym dopełnić tej powinności. Co do mnie, ponawiając mu dzięki za łaskę, jakiej doznałem u niego w Kijowie, ośmieliłem się zapytać o pana Sołomkę. Na to ksiązę odrzekł, śmiejąc się:

— Waćpan zawojowałeś wówczas mojego Sołomkę, jest on nietylko jego przyjacielem, ale wielbicielem i często mi pana wspominał. Chciałem go wziąć z sobą do Warszawy, ale dyplomacja nie jest jego udziałem. Jest on teraz gubernatorem w Kursku.

Poufale rozmawiałem z księciem, kiedy król wszedł do sali, a za nim pan Rzewuski, marszałek nadworny, ten sam, który to kiedyś chorował w Strassburgu i pan Branicki, łowczy koronny: oba wtedy ulubieńcy króla, a niegdyś jego przyjaciele, kiedy jeszcze razem z niemi był w stanie równości.

Król najpierwej zbliżył się do księcia Repnina, który go powitał głębokim ukłonem, a widząc mnie przy nim, kilka słów łaskawych mi rzucił; poczem, uważając że król ma coś do mówienia z księciem, zaraz się oddaliłem i zacząłem kursować po sali, która coraz gęściej się napełniała. Przypatrywałem się matadorom płci męskiej i pięknościom żeńskiej. Zauważyłem, że gdy na prowincji w zgromadzeniu rzadko widzieć się dawała suknia francuska, to na dworskim balu zaledwie gdzieś jaki kontusz spostrzegać się dawał. Oprócz JW. Czaplica, łowczego litewskiego i JW. Małachowskiego wojewody sandomierskiego, którzy się trzymali dawnego stroju, same tylko fryzury i haftowane suknie snuły się po sali. Ale co do białej płci, jakież to były

piękności! Na jednej z kanap sali siedziały: księżna strażnikowa Lubomirska, księżna Radziwiłłowa, kasztelanowa wileńska, księżna Sułkowska, generałowa artylerji, księżna Sapieżyna, wojewodzina mściławska, później kanclerzyna litewska, druga księżna Sapieżyna wojewodzicowa smoleńska i księżna Czartoryska, generałowa ziem podolskich; wszystkich powaby tak były czarujące, że nie można było między nimi uczynić wyboru. Od jednej do drugiej oko pomimowolnie się błąkało. Ostatnia z nich, generałowa ziem podolskich, choć mniej regularna piękność, miała jakiś niewypowiedziany wdzięk w spojrzeniu i w poruszeniach, że stała narówni z tamtymi, a nawet więcej podobać się mogła.

Taki był stan wyższego towarzystwa warszawskiego, że dość było poufałej ze mną rozmowy księcia Repnina, by wszyscy ci, którzy to zauważyli, jeżeli znajomi, osobliwszą uprzejmość mi okazywali, a jeżeli nie, szukali pierwsi ze mną zabrać znajomość. Nie uszło mojej uwagi, że król rozmawiając z księciem, na mnie spozierał, jednak z tego żadnego wniosku dla siebie nie czytnie.

Odszedłem nakoniec od tej kanapy, na której tyle wdzięków razem się zgromadziło i zacząłem cyrkulować po sali. Spotrzałem panią krajczynę, siedzącą na innej kanapie. Przybliżyłem się do niej, jako zaszczycony jej łaską, by ją powitać. Ona powiedziała mi z uśmiechem:

— Gniewaj się teraz na mnie, mój starosto, żem przeszkodziła twojemu odjazdowi. Przyznaję się, że w tem moja sprawa, iż zostałeś zaproszony do króla. Chciałam cię zatrzymać, a wiesz dobrze, że co chce niewiasta, to chce i Bóg.

— Wielce pani dziękuję, żeś raczyła o mnie pamiętać. Do innej czułbym żal, ale pani wszystko wolno, tem więcej, że co się odwlecze, nie zawsze uciecze.

— Nie mów tego starosto. Kto wie, czy cię nie namówię, żebyś z nami pozostał.

— To być nie może. Jutro pod wieczór niezawodnie puszczam się w podróż. Czekam na rozkazy pani do Wiednia.

Nie dosłyszałem jej odpowiedzi, bo muzyka się odezwała, a król wziął panią krajczynę w taniec i otworzył z nią bal.

Naprzemian kadryle, anglezy, mazurki i walce huczały w sali. Tańczono jednego kadryla, o którym nigdy nie zapomnę. Składał się z czterech par: król z księżną wojewodnicową smoleńską, książę Repnin z księżną generałową ziem podolskich, hrabia Waldstein z księżną strażnikową, a pan Wielopolski z księżną Sułkowską w nim figurowali. Między tak doskonałymi tancerzami król się odznaczał zgrabnością; nawet jego nieprzyjacieli musiałby mu przyznać, że rozsiewał około siebie jakiś niewypowiedziany urok. Raz go widziawszy, nie można już było o nim zapomnieć. Rysy twarzy, figura, dźwięk głosu, poruszenia, wszystko w nim było odpowiednie. Kto żył w owych czasach, nie zaprzeczy, że Stanisław był najpiękniejszym monarchą w całej Europie, że nawet Ludwik XV nie sprostował mu w majestacie.

Napatrzywszy się na ten uroczy kadryl, zabierałem się opuścić zamek, kiedy na wychodzie zatrzymał mnie JW. Rzewuski, marszałek nadworny, czyli, jak go z francuska nazywano, *Grand-Maitre* i powiedział:

— Mości panie! król przezemnie posyła mu rozkaz, byś jutro przed południem stawił się w jego garderobie.

Skłoniłem się mu i odszedłem.

Nazajutrz, ponieważ była niepogoda, *fructus belli* nie mało mi dokuczył w krzyżach i goleniu; że jednak pora do audjencji królewskiej się zbliżała, radnierać musiałem się ubrać. Wziąłem na siebie już nie galową suknię, ale mundur pułkownika polskiego i kazałem zawieść się do zamku. Ledwo wygramolić się mogłem na wschody, tak mi strzykało w kościach. Przyszedłem do garderoby, gdzie zastałem mnóstwo frakowych dworzan i kontuszowej szlachty przybyłej z prowincji, między niemi było kilku moich znajomych, z którymi zamieniłem kilka słów. Nakoniec pan szambelan Trembecki pokazał się u drzwi, które prowadziły do pokoju obok garderoby, gdzie król się ubierał. Gdy mnie spostrzegł, zniknął natychmiast, ale wkrótce powrócił, zbliżył się do mnie, i powiedział: „Król jegomość rozkazał mi przyprowadzić waćpana do siebie”. To rzekłszy, wziął mnie pod rękę.

Wszedłem do pokoju, gdzie zastałem króla siedzącego w szlafroku, podczas gdy zawołany fryzjer z Paryża ubierał mu głowę. W tym pokoju stali: ksiądz Wargawski Paulin, spowied-

ni króla, szambelan Trembecki, Czapski, generał-adjutant królewski, dwóch szambelanów: Kamelli i Manuczy, gdyż król ani chwili nie mógł się obejść bez swoich zagranicznych przychodniów i Wilczyński, głuchoniemy, ale pełen dowcipu, bardzo lubiony od króla i całego jego dworu.

Król w tym dniu był wielomównym i wesołym. Potrącał o rozmaite materje, roztaczając urok swojego wymownego dowcipu, jak paw swój ogon. Wkrótce ja sam zostałem owładnięty tym urokiem, zwłaszcza, kiedy mówiąc o królu Stanisławie Leszczyńskim, przypomniiał mi naszą znajomość. Nakoniec zwracając mowę do mnie wyłącznie, powiedział:

— Mości starosto, masz wielką przyjaciółkę w osobie pani krajczyni. Ona przedemną oskarżyła waćpana, że nas chcesz opuścić, by przenieść się pod panowanie austriackiego domu, jakby ojczysta ziemia była mu niemiła.

— Najjaśniejszy Panie! miło mi żyć pod słodkiem berłem Waszej Królewskiej Mości, ale jestem tak dobrze jak kaleka. Zdrowie moje jest tak nadwątlone, że może mi wypadnie szukać ratunku w jakich cieplicach, a mieszkając w Wiedniu, będę więcej do nich zbliżonym. Gdyby nie to, chciałbym żyć i umierać między swojemi.

— Co do starania o swoim zdrowiu, możesz być waćpan spokojnym, mieszkając w Warszawie. Mam nadwornego lekarza świeżo sprowadzonego z Wersalu, którego sława jest europejska, jest to doktor Sio. Więcej roku pracowałem, nim go nakłoniłem do opuszczenia służby mojego brata, króla Ludwika XV. Bądź waćpan pewnym, że będzie miał o nim staranie i dopomoże mu a jeżeli osądzi, że będzie miał o nim staranie i dopomoże mu mi będzie ułatwić waćpanu środki dla dostania się do tych wód. Odkąd Bóg mnie powołał do rządów tego królestwa, staram się otaczać mężami znakomitemi i światłemi, a że w ich liczbie nie mogę waćpana nie umieścić, obmyśliłem przywiązać go do swojej osoby, konferując mu szambelanję *usque ad altiore ascensum*. Pan *Grand-Maitre* mojego dworu otrzymał już zalecenie, żeby waćpana zainformował o jego nowych obowiązkach, do niego więc waćpan się udasz, a on go dokładnie oświeci. Spodziewam się, że mieć będę w waćpanu zawsze wiernego sługę i przyjaciela, a w potrzebie światłą i zdrową radę.

Tym sposobem tak mnie król zażył, że wszystkie moje plany wywrócone zostały. Przykleknąłem przed moim panem i na znak dziękczynienia ucałowałem jego rękę. Ale stojąc więcej godziny na nogach i czując nieznośne bóle, które przytłumiać musiałem, tak byłem zmęczony, iż kiedy dał mi znak, żebym odszedł, więcej tem byłem wewnątrz uradowany, niż tą szambelanją, którą mnie obdarzył. Jak mogłem najspieszniej przeszedłem przez garderobę królewską i przedpokój, prowadzący do sieni zamkowej, gdzie zastałem oczekującego mnie Wilhelma. Oparty na jego ramieniu zszedłem ze schodów, wsiałem w pojazd i kazałem się zawieść do siebie na Podwale. Chociaż moje mieszkanie było blisko zamku położone, pewnie daleka podróż nietylaby mi się uczuć dała. Jakem się dostał do swojej komórki, ani pomyślałem kwapić się do marszałka nadwornego, łóżko mi było potrzebniejsze; w niem się więc ulokowałem i znalazłem jakąś ulgę na dokuczliwe boleści, które mnie trapiły. Odłożyłem na jutro moje stawienie się przed JW. Rzewuskim i tyle byłem szczęśliwy, że podczas kiedy Wilhelm rozpakowywał kufry, sen skleił moje powieki.

Kiedy się przebudziłem było już po siódmej wieczór. Zadzwońiłem, wszedł Wilhelm z listem i oznajmił mi, że w czasie mojego snu nawiedziło mnie kilku znajomych, których nie puścił, żeby mi snu nie przerywać. W samej rzeczy sen ten był mi potrzebnym, gdyż po przebudzeniu się, żadnego już bólu nie czułem; wszakże nie dowierzając zdrowiu, postanowiłem resztę dnia nie wychodzić z domu. Przespałem porę obiadową, kazałem więc sobie przynieść lekką wieszczkę i wziąłem się do czytania listu, który mi Wilhelm podał.

Był to bilecik w języku francuskim od pani krajczyny. Żartobliwa pani te kilka słów napisała: „A co, mój starosto, czy nieprawda, że co chce kobieta, to chce i Bóg? Byłeś u mnie z pożegnaniem, a teraz dowiaduję się, że osiadłeś w Warszawie. Spodziewam się, że po dawnemu będziesz u mnie bywał. Tymczasem wieszczę otrzymanego zaszczytu”. Przekonałem się tedy, że ta niefortunna dla mnie łaska królewska była jej sprawą. Odpisałem jej w sposób niemniej żartobliwy. Jak mi potem powiedziała, moja odpowiedź wielce ją rozśmieszyła.

Nazajutrz około jedenastej z rana udałem się do marszałka nadwornego, który mnie przyjął w szlafroku. Był to pan scudziemczały, gdyż większą część życia przepędził za granicą, przystępny, grzeczny, wspaniały, ale największy sybaryta. O niczem nie myślał, tylko o wydoskonaleniu swoich wygod. I tak, podczas kiedy fryzjer kończył ubranie jego głowy, w małej komórcie przytykającej do ubieralni, czterech hajduków wytrząsało puder z ogromnych łabędzi, umyślnie na to sporządzonych, tak, że gęsty tuman pudru napełniał komórkę, dopiero pan marszałek, z ufryzowaną i upomadowaną czupryną wchodził na pół minuty do komórki i już był upudrowany. Miał sześć kołder, które urządzone na sprężynach, za jego wolą oddalały się lub zbliżały do łóżka; jedna była cieplejszą od drugiej i w miarę potrzeby używał ich pociągnięciem ręki. Bez termometru ani chwili obejść się nie mógł. Nigdy, w pościeli nawet, nie rozstawał się z rękawiczkami, a jego kamerdyner zawsze miał ich kilka par w pogotowiu dla pana. Ubiór swój stosował do temperatury powietrza. Ile razy wychodził na przechadzkę, zawsze kilku służących szło za nim, niosąc parę surdutów i tyleż płaszców, a on jedno zrzucał, drugie przywdziewał, stosownie do chimery, jaka do niego zawinie. Był on istnym męczennikiem swojego sybarytyzmu i troskliwości o zdrowie. Nigdzie jeść nie mógł, tylko u siebie. Siedząc przy stole nawet u króla, który w osobie pana Tremo miał najpierwszego w Europie kuchmistrza, żadnej potrawy nie dotknął, a dlaczego? oto dlatego, iż mu się uroiło, że masło, które ma więcej jak dwadzieścia cztery godzin, jest gatunkiem trucizny. U niego co wieczór ze świeżej śmietany, jeszcze nieskwaśniałej, robiono masło na obiad i wieczerzę jutrzejszą. Od żadnego rzemieślnika sukni, obuwia lub jakiego sprzętu, od żadnego kupca rzeczy kupionej nie obrócił na swój użytek, dopóki nie kazał ich okurzyć, jak gdyby przybyły z zapowietrzonego miejsca. Lubił owoce, ale byle najmniejszą skazę dostrzegł w brzoskwini lub gruszcze, za nic jej do ust nie wziął. Że zaś dobrze płacił za wszystkie swoje urojenia, wszyscy też mu dogadzali. Nic nie można wyobrazić sobie śmieszniejszego nad to, co wyrabiał, nim odważył się usiąść na krześle, na wszystkie strony je obracał, azali nie znajdzie na niem jakiego robaka. Sam byłem świadkiem, jak jednego razu u księżny Sułkowskiej uciekł

z proszonego wieczoru, na którym się znajdował, dlatego, że pokazała się cma latająca w bliskości światła. Utrzymawał, że mogła wylecieć z jakiego szpitala i przynieść chorobę temu, na kim usiadzie. Wszyscy żartowali z jego dziwactw, ale go lubili i szacowali, bo był wart tego.

Przyjął mnie z wielką grzecznością i na wstępie zaprosił na obiad na dzień jutrzejszy. Potem oświecił mnie o moich obowiązkach, które tem łatwiej pojąłem, że już około roku pełniłem służbę szambelańską przy nieboszczyku królu, nic więc nie było dla mnie nowego, tylko to, co mi raczył powiedzieć o mojem postanowieniu. Dodał do tego powinszowanie łaski królewskiej, za co mu dziękowałem, tak, jak gdyby stanowiło moje szczęście.

W rzeczy samej nie byłem uszczęśliwiony faworem, który wszystkie moje plany do góry nogami przewrócił, bez wynagrodzenia tego ani materialnie, ani moralnie. Materialnie, bo urząd szambelana był bezpłatny, tyle tylko, że szambelan pełniący służbę miał mieszkanie w zamku. Tem się kilkaset złotych napozór oszczędziło, ale za to wydatki niemal że w dwójnasób czasem zwiększać się musiały. Co zaś do stołu u króla, w Warszawie, gdzie tyle było pańskich domów otwartych, trudnoby było szlachcicowi, bywającemu na wyższym świecie, a nieżonatemu, spożywać własną pieczeń. Moralnie, bo choć odtąd miałem mieć ten sam urząd, jaki już kiedyś piastowałem, rzeczywiście mogłem się uważać za zdegradowanego. Za nieboszczyka króla było nas szambelanów królewskich ośmiu, a elektoralnych czterech, wszystko szlachetnie urodzonych; tytularnych zaś szambelanów nie było. U króla panującego było szambelanów rzeczywistych przeszło dwudziestu, a między nimi wielu bez urodzenia, awanturników zagranicznych, może z pod szynków i korzennych sklepów, a tytularnych szambelanów było w Polsce kilkuset.

U nas najmniejszego urzędu powiatowego nie można było dostać takiemu, który nie miał jakiejkolwiek wziętości między szlachtą osiadłą, a lubo szafunek urzędów był w ręku króla, przecież poniekąd tu miał ręce związane, bo musiał się oglądać na tę szlachtę. Ale że w rozdawnictwie szambelanij był samowolnym, więc żadnej nie robił oszczędności w tem, co go rzeczywiście nic nie kosztowało. Kto nie miał nadziei otrzymać od szlachty urzędu, udawał się do króla po szambelanję i był pewny

jej otrzymania przez Ryxa kamerdynera króla, za kilkudukatowy upominek. Godność Stanisławowskiego szambelana w taką poniewierkę poszła między szlachtą, że aż powstało między nią ówczesne przysłowie: „*Wolę być k... kilka godzin, niż szambelanem całe życie*“. Przyszło do tego, że szambelani rzeczywiście, aby się odróżnić od tytularnych, przezwali się podkomorzemi nadwornymi i to weszło w zwyczaj.

Tak tedy bez żadnych z mojej strony zabiegów, a nawet wbrew mojej woli, musiałem na nowo wprzęgnąć się w dworską służbę i to pod warunkami mniej pomyślnymi, niż wprzód.

PAMIĘTNIKI MICHAŁOWSKIEGO

CZĘŚĆ III

PAMIĘTNIKI MICHAŁOWSKIEGO

CZĘŚĆ III.

PAMIĘTNIKI MICHAŁOWSKIEGO

CZĘŚĆ III.

I.

Od roku 1764 aż do roku 1790 pełniłem służbę szambelana przy królu Stanisławie Auguste, a że rzadko oddalałem się z Warszawy w przeciągu dwudziestu sześciu lat, miałem więc czas przypatrzyć się wszystkim wypadkom narodowego dramatu w tym okresie, który dotąd nie został sumiennie opisanym, a nawet wątpię, żeby nim być mógł kiedykolwiek. Jeżeli w roku 1790 opuściłem służbę królewską, to nie ze złej woli ku monarsze, ale że aż nadto przewidywałem nowe zamieszania w kraju, a czułem się za starym, żeby w nich brać udział, tem więcej, że z nich nic pomyślnego wróżyć nie mogłem ani dla Polski, ani dla siebie samego. Później z tego dokładniej się wytłumaczę, nie chcąc przeskakiwać epoki.

Od czasów Stefana Batorego żaden król polski nie był tak mocnym w narodzie, jak Stanisław August w pierwszych latach swojego panowania. Magnaci jemu przeciwni, zwyciężeni i rozproszeni, żyli w zamkach swoich na prowincji, ale już partji nie składali, a tem samem żadnej siły politycznej w ręku swoim nie mieli. Jeden po drugim jednali się z królem i żadnemu odtąd przez myśl nie przeszło opierać się jemu. Wtedy polityka państwa pod kierunkiem wujów królewskich, mężów wysokiego światła i niepospolitej zręczności, zewnątrz wielce była szacowaną od aljantów Polski; ona wewnątrz urządziła państwo i najlegalniej wzmacniała potęgę i powagę króla. Sejmy dochodziły i zaradzały potrzebom narodu, co dla nas było rzeczą nową, gdyż

za Augusta III dwanaście sejmów było zerwanych, a dwa tylko dojść mogły. Tu pozwolę sobie uczynić uwagę, że te sejmy nie musiały być zrywane wpływem partji konserwatorskiej, ale raczej postępowej, gdyż odkąd siły polityczne skupiły się w rękach tej ostatniej, nie było przykładu, żeby magnaci-konserwatorowie chwycili się tego gorszącego środka dla zmitrężenia władzy króla, jakkolwiek im niechętnego.

Rozpowszechniła się w Polsce opinja, że sąsiednie państwa utrzymywały w niej bezrząd i że nie dopuszczały nam urządzić się porządnie. Jest to błąd, który sprostowanym być powinien. Nierząd w ciele politycznem jednego, drugim państwom nie przynosi korzyści, ale rzeczywistą szkodę, choćby tylko złym przykładem, gdyż pod pewnym względem narody są solidarne. Jako właściciel domu miejskiego nie może obojętnie patrzeć na pożar domu sąsiedniego, bo uważa w nim niebezpieczeństwo dla swojego własnego, tak każdy rząd z niespokojnością widzi zaburzenie w ościennem państwie i radby mu zapobiec o ile to jest w jego możliwości. Ale wcale co innego, prawe rozwinięcie swojej przyrodzonej konstytucji, a co innego przewrócenie jej do góry nogami, by ją zastąpić jakąś teorją, która nie mając korzeni w nałogach danego narodu, rzuca go w odmet rewolucyjny, zagrożający spokojności sąsiedniej. Jest to rzecz pewna, że Polska pod opiekuńczym aljanssem z Rosją, dopóki w niej zgubne teorje francuskie nie przemogły, w ciągu panowania Stanisława Augusta jak najswobodniej doskonaliła siłę zbrojną, systemat wychowania publicznego, sprzęzystość jurydykcyj sądowych, repartycje podatków i wszystkie gałęzie przemysłu i administracji wewnętrznej.

Wszystkie te ulepszenia jednały królowi wielką popularność w narodzie, a te były skutkiem rad wujów królewskich, którzy niewiedomie rządzili krajem. Książęta: kanclerz litewski i brat jego, wojewoda ruski, zanadto mało szacowali to, co było polskiem wyłącznie, gdyż do zbytku byli zachwyceni tem wszystkim, co widzieli w zachodniej Europie. Uważali barbarzyństwem co tylko nie stosowało się do wzorów francuskich, jak gdyby ogłada była już cywilizacją i jakby każdy naród nie miał swojej właściwej cywilizacji; ale zaprzeczyć nie można, że oba byli mę-

żami stanu i że chwila, w której król zaczął się wyłamywać z pod ich wpływu, była chwilą zachodu dla jego szczęścia.

Za królów Sasów wszystkie siły polityczne, jakie były w tej anarchicznej wówczas Rzeczypospolitej, skupione były w rękach tak nazwanych magnatów. Dość przejrzyć kalendarzyki polityczne owej epoki, żeby się przekonać, iż spisy wojewodów, ministrów i dygnitarzów kilku tylko nazwiskami były zapełnione; rzadko kiedy jakie obce do nich się wcisnęły. Ale już za panowania Augusta III, pojawiły się w Koronie symptoma, że ta przewaga magnacka może być z czasem wstrząśnięta, bo co się tyczy Litwy, szlachta pod dziedzicznym przewodnictwem Radziwiłła nie okazywała niczem aż do końca, by ta przewaga miała być dla niej uciążliwą.

Magnaci u nas nie byli tem, czem są lordowie w Anglii, grandowie w Hiszpanji, magnaci węgierscy, dawni bojarowie rosyjscy i parowie we Francji, gdyż żadne prawo nie oddzielało ich od prostej szlachty. I owszem, mieliśmy mnóstwo praw zastrzegających równość szlachecką, którą nawet tytuły książęce i hrabiowskie, za granicą wyzebrane, nadważyć nie mogły. W przywileju Zygmunta Augusta, ogłoszonym w Lublinie, który ostateczną unję Korony z Litwą zatwierdził, a przyznającym godność książęcą niektórym rodom litewskim i ruskim, było wyraźnie zastrzeżone, że te tytuły bynajmniej szkodzić nie mają równości między szlachtą a niemi. Nawet konstytucja, zdaje mi się roku 1620, *sub poena infamiae* zabroniła starać się o tytuły zagraniczne. Czemże więc była magnateria polska? oto superfeccją w konstytucji państwa. Był to arbitralny wybór szlachty, która szerokimi bogactwami się odznaczała i zdołała *de facto* wyższe dostojeństwa narodowe uczynić dziedzicznymi w swoich rodach, a tem wywyżżyć się nad braci szlachtę, nie przestając wyznawać, że sami są szlachtą i przestrzegając słowy tę równość szlachecką, z której w duchu szydzili, obracając ją w swoje służebnictwo i klientelę.

Szlachta województw ruskich trzymała z litewską, bynajmniej nie uskarżając się na swoje położenie. Poprzestawała na władzy sądowniczej, którą wyłącznie zagarnęła była w swoje ręce i tem rozciągała pewien rodzaju dyktatury nad magnatami, mogąc każdego z nich wyzuć z majątku, bo ci żadnej nie stawili

przeszkody jej ulubionemu domatorstwu. Szlachta nie troszczyła się o wysokie dostojeństwa, które zmuszały do częstego bywania w Warszawie i oddalania się od gospodarstwa i ten ciężar służby publicznej chętnie magnatom zostawiała. W zawodzie bowiem służby cywilnej każdy musiał się o swoim chlebie utrzymywać, gdyż żadnego wsparcia od rządu nie pobierał, tym sposobem kto nie miał jakiego majątku, do najmniejszego udziału władzy nie mógł być przypuszczonym i był rzeczywiście na jakiś ilotyzm polityczny skazany.

To wszystko było dogodne dla szlachty litewskiej i ruskiej, osiadłej na szerokich latyfundjach, uprawianych przez mnóstwo poddanych, zależących od ich bezpośredniej woli. Dla niej urząd podkomorzego lub sędziego ziemskiego był kresem życia, bo piastującemu go zapewniał w powiecie wziętość i uszanowanie, jakich pewnie żaden senator ani dygnitarz w stolicy nie otrzymał. Szlachcic zamożny nie mógł pragnąć zaszczytów warszawskich, bo w Warszawie był poddanym, a w swoim powiecie miał wszystkie korzyści panującego.

Ale w Wielkiej i Małopolsce szlachta nie była zamożna, ani nie było tam takich panów, którym w dostatkach nawet udzieleni księżęta sprostać nie mogli. Dla opędzenia własnych potrzeb, musiała się trzymać rządu i jego zasilek dołączać do szczupłych swoich przychodów, żeby mieć czem te potrzeby zaspokoić. Komory celne, kancelarje asesoryj, trybunałów skarbowych, referendaryj, sądów marszałkowskich, gdzie wszelka posada była opłacaną, wypełnione były szlachtą, zwłaszcza mazowiecką i wielkopolską, zaczynającą się przyzwyczajać żyć na koszcie rządu, czem traciła szacunek szlachty litewskiej i ruskiej, która nazywała ją pogardliwie jurgielnikami. Tamci zaś więcej zbliżeni do stolicy i owiani wiatrem zachodnim, nie mogli poprzestać na zabiegach około siebie równych, by otrzymać w powiecie więcej kosztowne niż korzystne urzędy; ale kusić się zaczęli o osiągnięcie jakiegoś udziału we władzy politycznej, której siedlisko było w Warszawie.

Król nie zaniedbał korzystać z tego pochopu za radą wujów, chcących wzniesć władzę rządu na gruzach możnowładztwa; a pobudzony chęcią poniżenia magnatów, których nie cierpiał, równie jak i starożytnej szlachty, jemu niepodległej, bo do jej

składu rodem swoim należeć nie mógł, wyjednał od sejmów kilka praw rzeczywiście przyjaznych dla jego powagi.

I tak: kasztelanje drażkowe, których mnóstwo było w Koronie, zwłaszcza w Mazowszu i Wielkiej Polsce i które do składu senatu nie należały, a tem samem niewiele były szacowane w narodzie, porównał z kasztelanjami krzesłowemi, przez co zapewnił sobie większość w senacie, a nawet powiększył go utworzeniem nowego województwa i kilku kasztelanij w Koronie. W Litwie i na Rusi nie było kasztelanij drażkowych i daremne były usiłowania króla, aby tam powiększyć liczbę senatorskich krzesel, bo w tem oporu Litwinów i Rusinów nie można było przełamać. Jednak udało mu się utworzyć dwie nowe kasztelanje w województwie kijowskiem.

Powtóre: wyjednał od sejmu konstytucję niepozwalającą królowi konferować jednej osobie więcej nad trzy starostwa, ale to tylko na przyszłość, by nie naruszać praw dotychczasowych posiadaczy. Sam książę kanclerz posiadał ośmnaście starostw. Był to cios wymierzony przeciw magnatom, którzy chlebem rzeczypospolitej ratowali od zupełnego upadku swoje majątki, nadwreżone wydatkami na usługi publiczne i na utrzymywanie ubożej szlachty, garnącej się do ich dworów.

Dalej, otworzył mennicę, która od śmierci Jana III była zamkniętą i uporządkował systemat monetarny, zniszczony napływem fałszywej monety, która dotąd utrudniała wszelkie transakcje handlowe i wzbogacała tylko żydów, a niszczyła rolników. Oprócz tego wprowadził znaczne ulepszenia do skarbu publicznego uporządkowaniem cel, poczty, stemplowego papieru, opłat czopowego i szelążnego. Wszystko to się skuteczniało bez niczyjego oporu, bez hałasu, bez poruszania kwestyj socjalnych, bez obrażania sąsiednich mocarstw i czyniło króla popularnym nie tylko w młodym pokoleniu, ale nawet u szlachty, ślepo przywiązanej do dawnych ustaw. Chociaż magnaci byli mu potajemnie przeciwni, król mając szlachtę po sobie, nie miał powodu lękać się ich bezsilnej emulacji. Gdyby się okazał wspaniałomyślnym względem księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, którego jednego wyłączył z amnestji i zmusił tułać się zagranicą i nie poróżnił się z swojemi wujami, którym nie bez słuszności partja postępową przypisywała to wszystko, co robił

dla pomysłności państwa, byłby niezawodnie coraz bardziej powiększał swoją władzę w narodzie.

W kraju i zagranicą było powszechne przekonanie, że król zostawał w najściślejszej jedności z wujami, dla których miał tyle obowiązków wdzięczności, a których mądrość pozyskała zaufanie nie tylko znacznej części własnego narodu, ale nawet gabinetów zagranicznych. Jeżeli sternicy najpotężniejszych rządów czują potrzebę pozyskania ufności rządów ościennych, tak dalece, że ją nawet okupują często niemałymi ofiarami i na tem się zasadza duch dyplomacji, cóż dopiero potęgi drugorzędne, których sam byt opiera się na przyjaźni i życzliwości mocarstw sąsiednich, a potężnych? Namietności osobiste, zgubne w interesach prywatnych, przeniesione na stanowisko polityczne, są zabójczymi dla narodów, które im ulegają. Historia dziejów ludzkich przekonywa, i to bez żadnego wyłączenia, że wszyscy pochlebcy namietności ludowych, wszyscy ci, którzy ubiegali się, że tak powiem, o popularność uliczną, jeżeli zbiegiem okoliczności zbliżyli się do steru rządowego, nigdy nie okazali się mężami stanu i tylko szkodę przynieśli tym, których ufność podchwycili. Wszyscy wierzyli w jedność króla z wujami i na nią rachowali; ale my, więcej zbliżeni do pierwszego, dobrze widzieli, że ich opieka już ciążyła królowi i że ten rzuca się w odmet intryg, żeby się z pod niej wyłamać.

Król miał wielkie przymioty, ale przy nich próżność, omal że nie do szaleństwa posunięta. W osobie swojej widział powtórzenie Ludwika XIV. Uroiło mu się, że biedny szlachcic polski, przypadkiem wyniesiony na tron od dwóch wieków chwiejący się, może wygrać rolę spadkobiercy sześćdziesięciu królów, dzierzącego prawem Boga najpotężniejszą koronę ówczesnej Europy, a który jednak srodze bywał karany za swoją próżność — on go we wszystkim usiłował naśladować. Ludwik XIV wspierał i opłacał literatów, więc i on ich wyszukiwał; Ludwik zawsze miał urzędową faworytę, trzeba było i jemu mieć taką; Ludwik zamienił szlachtę niepodległą w dworaków, a więc jemu trzeba było utworzyć dwór okazały i przyciągnąć do niego potomków starych rodów; Ludwikowi ciążyła władza kardynała Mazarińskiego, a więc i jemu trzeba było wyłamać się z pod opieki swoich wujów. A zagraniczni jego zauszniczy temu wszystkiemu po-

łakiwali i jeżeli czynili porównania między Ludwikiem XIV a nim, to naturalnie były na jego korzyść.

Przytem Stanisław August wielce lubił pokątne intrygi, a że umiał zręcznie je zawiązywać, uważał się więc za głębokiego mę-
ża stanu. Żeby rządzić samemu przez się, potajemnie rozpoczął negocjację z cesarzową Marją Teresą, w celu otrzymania ręki jej córki; raz, żeby naśladować Ludwika XVI, którego żona była księżniczką z domu austriackiego; powtóre żeby tem skojarzeniem się z domem potężnym powiększyć swoją potęgę w Polsce, a wyzwolić się z roztropnej opieki swoich wujów i wpływów, jakie oni rozciągali w partji postępowej, której on sam chciał być jedynym wodzem.

Ta intryga, chociaż bardzo tajemnie prowadzona wszakże nie uszła baczenia dyplomacji rosyjskiej. Imperatorowa do żywego została obrażoną niewdzięcznością króla, który szukał innych aljansów, jak gdyby pogardzał tym, któremu był winien swoje wyniesienie; a chcąc mu pokazać, że z równą łatwością może go stracić z tronu, z jaką na nim go usadowiła, zaledwo pokazała, że związek obmyślany przez króla polskiego nie zgadza się z jej widokami, zaraz wszelkie układy rozpoczęte w tym celu zostały jak najspieszniej przez Marję Teresę zaniechane, która za nic w świecie nie chciała zwątlić swoich przyjacielskich stosunków z dworem petersburskim. Imperatorowa Katarzyna nie sprzeciwiała się partji przeciwnej królowi, dozwalając zawiązać się w Radomiu konfederacji pod jej powagą; a książe Karol Radziwiłł, ów wygnaniec tułający się po Włoszech, wyzuty z majątków i dostojeństw, został jednomyślnie ogłoszony marszałkiem tej konfederacji.

Dla poniżenia króla, nie można było uczynić lepszego wyboru. Książe Karol, właściciel ogromnych, omal że nie bajecznych dochodów, które wszystkie obracał na wsparcie szlachty pokrzywdzonej losem, gościnnie, odważny, wesoły, wspaniały, jeżeli przedstawiał w osobie swojej rozliczne wady swego narodu, niemniej wyrażał wszystkie bez wyjątku jego cnoty. Co tylko było zupełnie polskiego, czuło ku niemu niezwalczony pociąg, a cała Litwa go ubóstwiała; gdyż on był, że tak powiem, wcieleniem się Litwy w postać dotykálną jednego człowieka. Miał więc wszystkie przymioty potrzebne dla naczelnika partji i gdyby nawet na

nich mu zbywało, samo prześladowanie, jakiego doświadczał, jużby mu zjednało miłość szlachty; w naszym bowiem narodzie, każdy doznający prześladowania wzbudza ku sobie sympatję publiczną wprzód jeszcze, nim ona się przekona, że cierpi niewinnie. Skoro tylko książę Karol Radziwiłł został ogłoszony marszałkiem konfederacji radomskiej, przytem będąc zaszczycony orderem Ś-go Andrzeja z brylantami, niemały pozyskał szacunek u poddanych Imperatorowej.

Wszyscy magnaci przyłączyli się do konfederacji, widząc pomyślną chwilę do pomszczenia się nad królem, którego uważali za przywłaszczyciela wszystkich przywilejów. Tak dalece byli przeciw niemu rozjątrzeni, że nawet to wszystko, co dobrego uczynił dla kraju, uważali jako targnięcie się na swobody obywatelskie. Z pomiędzy wielu przykładów tej zapamiętałości, jeden przytoczę. Król wraz z sejmem ustanowił mundury wojewódzkie, które trzeba było mieć na sobie na pokojach królewskich i zgromadzeniach publicznych, jednym słowem, te mundury były odtąd jedyną suknią galową. Ta ustawa z radością przyjętą została od szlachty, bo była w duchu równości szlacheckiej, gdyż nie dopuszczała możnym zacierać uboższych okazałością kosztownych szat, których wartość przenosiła całkowity majątek niejednego osiadłego obywatela; wszyscy też stosowali się do tej ustawy. Otóż gdy w Radomiu książę Radziwiłł odezwał się przychylnie za tą jednostajnością ubioru wszystkich, Potocki, wojewoda kijowski, najdumniejszy możnowładca owego czasu, tak się tem oburzył, że gdyby wmieszanie się innych magnatów temu przytomnych nie zapobiegło kłótni, zacięta walka powstałaby między wojewodą kijowskim a wileńskim.

Książę Radziwiłł był burdą, gwałtownym, lubił się napijać, pogardzał naukami, ale z tem wszystkiem miał tyle wrodzonego dowcipu i trafności, a do tego tak wielką znajomość swojego narodu, że gdyby mu samemu wszystko powierzono, on byłby rzeczy doprowadził do pomyślnego końca. Ale magnaci polscy, którzy do niego się przyłączyli, jeżeli z jednej strony zwiększali jego siłę, z drugiej przenosząc na stanowisko polityczne wszystkie swoje osobiste oligarchiczne namiętności, zniweczali to, co Radziwiłł usiłował dobrego uczynić. Partja królewska ogłosiła go jako anarchistę, a jednak z jego listów pisanych do króla

i księcia Repnina można się przekonać, ile ubolewał nad nierządem, w jakim Rzeczpospolita zostawała, ile pragnął zaprowadzenia porządku na zasadach konstytucji przyrodzonej narodu i ile sprawiedliwości oddawał królowi za wszystko co uczynił, żeby ten porządek, *którego szlachta łaknie* (te są wyrazy w jego liście pisanym do swojego teścia, Wacława Rzewuskiego, wojewody krakowskiego i hetmana polnego koronnego), zaprowadzić i zabezpieczyć.

Król, który o wszystkim co się działo w Radomiu był uwiadomiony, mógł się zadziwić, że z pomiędzy wszystkich tam zebranych magnatów, właśnie ten, który najwięcej od niego był prześladowany, najmniej przeciw niemu okazywał zawziętości i że kiedy wszyscy dopominali się od gabinetu petersburskiego jego detronizacji, on jeden im się opierał.

Z tem wszystkim położenie króla było omal że nie rozpaczliwe, bo władze polityczne narodu skupiły się były w konfederacji, a ta złożoną była z jego nieubłaganych wrogów. Tu trzeba mu oddać sprawiedliwość, że jedynie zrzecnością swoją oswobodził się z sieci, w które sam się wplątał.

Jedna z tych dam, która przeszła przez jego przelotne miłości, ale do końca została związana z nim najgorliwszą i najstateczniejszą przyjaźnią, szczególnie mu do tego dopomagała. Wzbudziwszy w ambasadorze rosyjskim miłość do najwyższego zapału podniesioną, te jego uczucia, które sama podzielała, obróciła na korzyść króla. Książę Repnin zawsze był życzliwym królowi i wołał mieć z nim do czynienia, niżeli z dumnymi i namiętnymi wodzami konfederacji, tak dalece obcemi nietylko nauce, ale nawet obyczajom dyplomatycznym, że z nimi trudno było jakiegokolwiek układy doprowadzić do końca, tembardziej, że nie było między nimi jedności; a książę Radziwiłł, który swoim wrodzonym instynktem lepiej widział od nich, tak był zmęczony ich uporem, że zniechęciwszy sobie rzekome naczelnictwo, poniekąd ręce opuścił. Kochanka księcia Repnina zdołała zapobiegliwością swoją to dobre jego dla króla usposobienie podnieść do najgorliwszej przyjaźni.

Odtąd książę niczego nie zaniedbał, ażeby wytłumaczyć króla przed dworem petersburskim i dla wrócenia mu łaski Imperatorowej. Układy wiedeńskie zwalono na wujów królewskich,

a jego uniewinniono, jak gdyby to było bez wpływu jego woli; ale że imperatorowa sprzyjała konfederacji radomskiej, tę trzeba było pobudzić do jakiego kroku, któryby obraził monarchinię aż do utraty jej względów. Tu trzeba oddać sprawiedliwość królowi, że z wielką przezornością prowadził całą tę intrygę.

Od tego zaczął, iż przez agentów swoich, którzy umieli podejść ufnie do magnatów, skłonił ich, że przenieśli do Warszawy konfederację, zamienioną na sejm, przeciw woli księcia Radziwiłła, który chciał, żeby ten sejm odbył się w Grodnie. Ci agenci wmówili możnowładnym jego kolegom, że Radziwiłł chce ich przyciągnąć do Litwy, która całkiem jest na jego zawołanie, żeby ich zamienić jakoby w swoich dworaków, gdyż jego plan nie może być inny, jak tylko zamienić swoje marszałkowstwo na dyktaturę, co w Litwie najłatwiej skutecznie zdoła. Dumni magnaci, w obawie swojego poniżenia, głuchemi zostali na wszelkie przestrogi Radziwiłła; a że większość głosów stanowiła w konfederacji, sejm więc przeniósł się do Warszawy, a Radziwiłł wkrótce wyjechał do swojego Nieświeża, od lat kilku osieroconego przez jego niebytność i coraz mniej brał udział w czynnościach sejmu, który odtąd tak dobrze jak bez steru zostawał.

W tym sejmie było bez wątpienia wiele cnót prywatnych, ale zbyt mało przenikliwości i widoków politycznych. Jak zwykle w polskich obradach, ułudy imaginacji wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem, król więc umiał przewidzieć, że dość nadstawić łapkę, żeby do niej większość sejmowa wleciała. Taką łapką była sprawa dysydentów.

Podmówieni przez króla dysydenci urzędownie dopomnieli się od konfederacji, żeby ta dała im wszystkie przywileje, jakie miała w Rzeczypospolitej religja panująca. To żądanie było niesprawiedliwem, bo *liber exercitium* ich wyznania był im zabezpieczony; nawet byli przypuszczeni do wszystkich urzędów i ministerstw. Rządy winne są wszystkim bez wyjątku obywatelom bezpieczeństwo osobiste, użycie swobodne majątków spadkowych i nabytych, opiekę przeciwko obcej przemocy, ale nie urzędy, a tem bardziej dostojęństwa. Jako nie godzi się zmuszać prywatnego człowieka do przyjęcia służby, które mu są niedogodne, tak i rządy w tym względzie w niczem nie mogą mieć naruszoną swoją dobrą wolę. W naszych wyobrażeniach narzucanie się

rządowi, żeby od niego otrzymać jakie urzędowanie, było uważane za podłość, bo jużcić służba publiczna jest ciężarem, a nie procederem dającym sposób do życia. To żądanie już w złem świetle wystawiło dysydentów, ale oni byli tylko narzędziami króla, który potrzebował wzniecić zamieszanie w kraju, rachując na fanatyzm większości sejmu i na tem się nie omylił.

Gdyby ludzie roztropni kierowali sejmem, ten na żądanie dysydentów odpowiedziałby tylko dwa słowa: *non admissa*, czyli by się niekompetencją i na tem byłby koniec, gdyż od żadnej jurydykcji nie można wymagać tego, co przechodzi jej legalne atrybucje. Tylko sejm walny posiadał u nas pełność władzy prawodawczej, a konfederacja nie była ciałem prawodawczem, ale oporem legalnym przeciwko nadużyciom dotyczącym naród. Można przejrzeć *Volumina legum*, żeby się przekonać, iż aż do roku 1772 ani jednej w nich niema konstytucji, któraby była dziełem sejmu zawiązanego przez konfederację. Uchwały konfederacji były to tylko chwilowe rozporządzenia, które się nie wcisnęły, ani mogły się wcisnąć do zbioru stałych praw polskich, gdyż te nie większością głosów, ale jednomyślnością się tworzyły.

Zamiast chwycić się tego środka tak prawego, którymby i zamknęliby gęby dysydentom i uniknęli gniewu dworów petersburskiego i berlińskiego, przywódcy konfederacji zaczęli krzyczeć w niebogłosy i wprowadzili w obrady publiczne najniebezpieczniejsze rozprawy, podżegające uciszone oddawna namiętności religijne. Przekraczając zakres atrybucji konfederacji, usiłowali korzystać z swojego położenia, żeby wskrzesić dawny ucisk różnowierców, a tem dali im straszną broń przeciwko sobie samym. Wulkaniczne mowy sejmowe niektórych członków, a zwłaszcza najwymowniejszych z nich, Kajetana Sołtyka, księcia biskupa krakowskiego, i Seweryna Rzewuskiego, posła podolskiego, do najwyższego stopnia zapaliły fanatyzm szlachty po województwach.

Król dopiął swego celu. Panowie Grabowski i Golcz podnieśli konfederację słucko-toruńską dla ratowania swoich współwyznawców, którym już nie szło o senatorje i ministerstwa, ale o bezpieczeństwo życia i własności, zagrożonych w całej Polsce. Konfederacja ta udała się do imperatorowej i króla pruskiego, błagając ich wsparcia przeciw rozhukanej szlachcie katolickiej.

Ta wysoka protekcja nie mogła być im odmówioną i ambasadorowie Rosji i Prus podali noty do konfederacji sejmowej, żeby zaprzestała tych bezprawii.

W miarę dowodów przychylności, jakie poselstwa zagraniczne okazywały sprawie dysydentów i not ostrzegawczych, jakie zносиły sejmowi, wzmagala się zaciętość i chęć posunięcia zemsty do ostateczności; że zaś sejm uważał króla za główną sprężynę ich czynności, więc wznowił żądanie jego detronizacji i już niektóre głosy przemawiały za koniecznością odsądzenia od korony wiarołomnego i zheretycznego króla. Ponieważ głównymi naczelnikami sejmu byli: Sołtyk biskup krakowski, Załuski biskup kijowski, Rzewuski hetman polny koronny i jego syn, starosta doliński, król ich jednych tylko się obawiał i niczego nie zaniedbał, żeby umitygować ich nienawiść przeciw sobie. Ale tu wszystkie jego zabiegi były próżne, jak równie i przestrogi, jakich nie szczędził książę Repnin, który usiłował pośredniczyć między nimi a królem.

Były tajemnicze schadzki członków sejmu i obywateli przeciwnych królowi u biskupa krakowskiego i hetmana. Na jednej z nich uchwalono podniesienie krucjaty przeciw królowi, dysydentom i ich poplecznikom. Król o każdym ich przedsięwzięciu był uwiadomiony, bo miał na swoim jurgielcie G., dworzanina hetmańskiego, a wówczas posła podolskiego, który nabył wielkiej wziętości w sejmie przez zaufanie, jakim go hetman zaszczycał i przez fanatyzm, jakim tchnęły jego mowy. Ten donosił królowi o każdym ich kroku, za cò później otrzymał jako wynagrodzenie urząd wojskowy i intratną królewską czynsz na Rusi.

Przeznaczono dzień, w którym stary hetman na koniu z dobytą szablą, a biskupi z krzyżem, mieli powoływać naród do obrony zagrożonej zniszczeniem wiary, na to hasło miało być niby powstanie w Warszawie, któreby się prędko po całym kraju rozszerzyło.

Plan ten był dziecinny. Hetman i biskupi żadnej sympatii nie znaleźliby w Warszawie, która była przywiązana do króla i w ogólności nie była ani polską, ani katolicką. Jej mieszczaństwo żyło i zarabiało na ziemi polskiej, ale składało się z Niemców i Żydów, obojętnych na to wszystko, co przechodziło zakres ich osobistych korzyści. Wyjawszy Rosji, w której mieszcza-

są tejże samej krwi co szlachta i włościanie, w całej Słowiańszczyźnie ludność miejska, z przychodniów złożona, bardzo mało ma stosunków z miejscową narodowością. Trudno pojąć na jakich zasadach wodzowie partji szlacheckiej i katolickiej spodziewać się mogli, żeby mieszczenie, żydzi i protestanci mieli łba nadstawiać dla ich wyłącznej korzyści, kiedy zwycięstwo szkodę im tylko przynieśćby mogło.

Jednak ten plan największy postrach rzucił w serce króla. Pobiegł zaraz do tej damy, która mu ostateczną przyjaźń zachowała, a która ściślemi stosunkami wzajemnej miłości związana była z księciem Repninem. Tam z oznakami rozpaczyny powierzył jej mniemane niebezpieczeństwo swojego położenia, wystawiając przyszłą rzeź Ś-go Bartłomieja, której sami niezawodnie padną ofiarą. Ta dama, sama przestraszona, posłała księciu Repninowi bilet, w którym domagała się jego najrychlejszego przybycia. Księżę natychmiast usłuchał. Król, opowiedziawszy mu wszystko, ze łzami go błagał, żeby nie tracąc czasu, zabezpieczył miasto, ich osoby i załogę rosyjską od ogólnej rzezi, uwięziwszy hersztów tego okropnego spisku. Księżę nie mógł tego królowi odmówić bez ściągnięcia na siebie strasznej odpowiedzialności, na wypadek, gdyby ich zamiar był przyprowadzony do skutku; i tejże samej nocy biskupi krakowski i kijowski, hetman i starosta doliński wzięci zostali pod straż i zaraz wywiezieni do Kaługi.

Skoro wieść o tem gruchnęła po kraju, wszyscy jakby piorunem zostali przerażeni; że zaś bardzo mało było takich, którzy wiedzieli, że to była sprawa króla, szlachta ten zamach stanu przypisała jedynie księciu Repninowi. Wkrótce potem konfederacja radomska zamieniona w sejm, jak równie i konfederacja śluckska-toruńska rozwiązały się, a rząd, jaki wówczas mógł być w Polsce, skupił się w rękach króla, już pogodzonego z sąsiednimi państwami. Dyssydenci wrócili do *status quo*, nic nowego dla siebie nie wytargowawszy. Jurydykcyje sądowe wróciły do swych czynności, sejmiki deputackie odbyły się spokojnie i trybunały koronny i litewski właściwie się urządziły. Przeciwnicy króla opuścili Warszawę i porożjeżdżali się do dóbr swoich. Król zwołał nowy sejm, który w tych okolicznościach nie mógł być dla niego niebezpiecznym. Położenie króla było

najpomysłniejsze, tylko że z niego nie umiał korzystać, tak jakby mógł.

Zebrał się sejm w Warszawie i rozpoczął swoje czynności; wszyscy jego członkowie, bądź z przekonania, bądź z bojaźni trzymali z królem. Ponieważ we wszystkich instrukcjach sejmikowych było wyrażone, żeby posłowie starali się o uwolnienie senatorów i posła, więc oni tego nie zaniedbali, ile że sam król ich do tego zachęcał. Płakał przed niemi nad ich losem, urzędowe czynił o to zabiegi, a potajemnie prosił księcia Repnina, żeby jeszcze tego uwolnienia nie dopuszczał w Petersburgu, wystawiając mu niebezpieczeństwo, na jakie on i Rzeczpospolita byliby wystawieni, gdyby tak groźni nieprzyjaciele swoją popularnością, zwiększoną jeszcze w dwójnasób ich uwięzieniem, wrócili do Polski przed jej zupełnem uspokojeniem, gdyż tać przed sobą niepodobna, że po województwach zarzewie tli pod popiołem. Te uwagi króla nie mogły nie sprawić wrażenia na księciu, a więc wyzwolenie dostojnych więźniów od czasu do czasu było odraczane i kiedy publiczność było przekonana, że król niczego nie zaniedbywa, aby wyjednać ich powrót do kraju, on rzeczywiście potajemnie robił wszystko co mógł, żeby ich trzymać w oddale-niu od ojczyzny.

Ta chytrość króla oburzała mnie, gdyż w mojem położeniu mogłem się jej domysleć. Król urządził gabinet polityczny, wcale nie urzędowy, który jednak układał wszystkie noty dyploma-tyczne, bez wiedzy kanclerzów, będących tylko *ad honores* zwierzchnikami dyplomacji kraju i mnie raczył mianować członkiem tego gabinetu. Było nas sześciu pracujących pod okiem króla. Nasze urzędowanie nie było znane konstytucji rzeczy-pospolitej, ale było ważne, bo rzeczywiście składaliśmy ministe-rjum spraw zagranicznych. Każdy z członków tego gabinetu przy-sięgał, że nic nie wyjawia z jego czynności i pobierał rocznej ka-pitulacji sześć tysięcy złotych. Ten gabinet, który z początku był złożony z członków niewiele doświadczonych, później został pod-niesiony do stopnia wielkiej doskonałości, kiedy jego członkami byli: pan Antoni Dzieduszycki, pisarz polny koronny, pan Gro-dzicki, pan Deszert, pan Kisiński, pan Kicki, a duszą tej nowej dykasterji pan Tęgoborski, mąż najwyższego światła, nadzwyczajnej nauki i najrzadszej trafności sądu. Do tego składu,

któremu wszelką sprawiedliwość oddaję, nie miałem zaszczytu należeć, gdyż już uwolniłem się od służby w okolicznościach niedozwalających mi jej wypełniać bez narażenia sumienia.

Jakkolwiek król zaszczytał mnie swoją łaską, a nawet niejaką ufnością, jednak dla powyżej wymienionych powodów, służba w gabinecie tak mi ciążyła, że nakoniec postanowiłem ją opuścić zaniósłem więc królowi prośbę o dymisję.

Król, przeczytawszy ją, wymawiał mi z czułością, czy rzeczywiście, czy udaną, że go chcę rzucać w chwili, kiedy moje usługi są mu jak najpożyteczniejsze. Ja mu odpowiedziałem:

— Najjaśniejszy Paniel tak dalece nie chcę poprzestać być sługą Waszej Królewskiej Mości, że śmiem go upraszać, by raczył mi zachować urząd szambelana, jako sługi swej osoby; ale nie mogę dalej być członkiem jego gabinetu, jakkolwiek to miejsce jest dla mnie i zaszczytne i powabne, gdyż skład moich interesów zmusza mnie do opuszczenia Warszawy na czas, którego zakresu przewidzieć nie mogę. Nadto jestem związany niebezpieczeństwem utraty majątku, którym Bóg pobłogosławił usilności moje, kiedy aż zmuszony jestem zrzec się urzędu, który mi z łaski Waszej Królewskiej Mości pewny dochód przynosi. Gdy się ułatwię z swojemi interesami, powrócę do Warszawy a będzieli jego wola, jako wierny poddany skwapliwie wrócę w służebnictwo pana mojego miłościwego, by na nowo pożywać jego smaczny chleb.

Król nie mógł mi odmówić uwolnienia, ale bardzo zimno przyjął moje pożegnanie; a kiedy później wróciłem do Warszawy i przed nim się stawiłem przyjął mnie jak swojego szambelana i nadal chciał mnie mieć takim przy swojej osobie, ale odtąd nigdy wzmianki nie uczynił, by życzył sobie umieścić mnie w swoim gabinecie, czego też ja ze swej strony wcale nie pragnąłem.

Kiedy się uwolniłem od służby czynnej, miałem bezwątpienia do tego pobudki obywatelskie. Opinia szlachty prowincjonalnej była tak dalece rozjątrzoną przeciwko królowi, że położenie tych, którzy go otaczali, coraz stawało się drażliwszem. Mój brat regent, z którym ciąglą utrzymywałem korespondencję, napisał do mnie kilka listów dość cierpkich, w których mi wyrzucał, że trzymam się sprawy ohydzonej w narodzie, nie mogąc nawet wymówić się tem, iż to czynię z potrzeby, gdyż wszystkim

wiadomo, że mam dość majątku, bym mógł żyć o własnym chlebie, jak przystoi pocziwemu szlachcicowi; i że już zaczynają przebąkiwać, iż dla sześciu tysięcy na rok poświęcam moje sumienie. Nadto szanowałem opinię publiczną, bym miał się jej opierać i wolałem sobie ręce od wszystkiego obmyć.

Zresztą i moje osobiste interesy wymagały rychłego wyjazdu z Warszawy. Kontrakt dzierżawy mojego starostwa się kończył, obecność więc moja w kijowskiem była potrzebną, żeby jakoś rozporządzić się nadal z majątkiem, a nie puszczać go na wolę Bożą. Mój brat napisał mi wyraźnie, że wielce się mylę, jeżeli myślę, iż siedząc w Warszawie i mieszkając w zamku, on ciężar moich interesów utrzyma na swoich barkach. Nakoniec zatęskniłem za moją familją, której od lat kilku nie widziałem. Napisałem więc zaraz do brata, któremu tyle byłem winien wdzięczności, a którego szanowałem jak ojca, że stosując się do jego napomnień, uwolniłem się od służby królewskiej i nawet wyniosłem się z zamku; że moje sprzęty ulokowałem w klasztorze oo. jezuitów, a sam zająłem mieszkanie w austerji, które dziennie opłacałem i naznaczyłem mu dzień, w którym miałem stanąć u niego w Sandomierzu.

Chociaż to wszystko uczyniłem, czego żądał, jednak bałem się mu pokazać, żeby mnie czasem ozięble nie przyjął za to, że jeszcze nie dość prędko zadosyć uczyniłem jego woli, lubo sumienie w tym względzie nic mi nie wyrzucało. Chciałem więc dać mu dowód mojej o nim pamięci i ku temu przyjazna okoliczność się wydarzyła. Kilka urzędów rozdawnictwa królewskiego zawakowało w województwie sandomierskiem, jeden z nich umyśliłem otrzymać dla mojego brata, który jako *bene natus et possessionatus* miał wszelkie do tego prawo; że zaś król marnotrawny był w ciągłej potrzebie, urzędu takowego rodzaju łatwo było dostać, zaryzykowawszy jakąś kwotę pieniężną. Udałem się o to do pana Ryxa, kamerdynera królewskiego, u którego miałem zachowanie, ten mi wszystko załatwił za pięćdziesiąt czerwonych złotych. Gdybym się targował, możebym połowę tej kwoty oszczędził, ale chciałem pokazać się szczodrym i co pan Ryx zacenił, to natychmiast odliczyłem. Jakoż tego samego dnia wręczył mi przywilej na miecznikowstwo sandomierskie dla mojego brata i tę nominację ogłosił zaraz w *Monitorze* wraz z innemi.

Ułatwiłem się z mojami interesami w Warszawie, pościągawszy wszystkie sumki, jakie miałem po ludziach i największą z nich, którą mi wypłacił JW. Małachowski. Z tego zrobiła się okrągła suma ośmdziesiąt tysięcy, którą umieściłem na siódmy procent w banku Teppera, mojego dobrego przyjaciela. Tysiąc czerwonych złotych zachowałem przy sobie na każdy niespodziewany wypadek, gdyż w kraju narażonym na ciągle zaburzenia, wielką byłoby nieroztropnością nie mieć gotowego grosza na zawołanie. Tak więc mając szkatułę dobrze obładowaną, w porządnym koczku puściłem się pocztą do Sandomierza. Jadąc więcej niż dobę bez wypoczynku, stanąłem nazajutrz w Sandomierzu przed dworkiem mojego brata w dniu, w którym listownie zapowiedziałem mu moje przybycie.

Brat mnie przyjął na ganku swojego dworku. Nie był on sam jeden, gdyż cała rodzina zjechała do niego na moje przybycie. Zastałem wszystkich braci i siostry, oprócz księdza Antoniego, który mając obediencję w Winnicy w bractwaskim, nie mógł się z niej wydalać, później więc go nawiedziłem. Regent przyjął mnie prawdziwie po bratersku i zaraz kazał wnieść moje rzeczy do izby, którą mi przeznaczył. Ciągłe mu się dobrze powodziło, coraz więcej wzrastał w majątku i wziętości. Już był odkupił Porzecze, żeby ojcowiznę zachować w imieniu, zapłaciwszy czterdzieści tysięcy więcej, niż my wzięli za tę wieś, tyle mu szło o odzyskanie gniazda ojczystego. Siostra Mężynska zachowała i swoją piękność i swe dostatki. Wdowa Rzepecka, zawołana gospodyni, zawsze była zajęta gospodarstwem i wychowaniem swoich dziatki; a grosz do grosza pracą swoją zbierając, poprzestawała na swojej złotej mierności, nie zazdroszcząc nikomu szerokich bogactw. Jeden tylko Walenty nie mógł, a raczej nie umiał, polepszyć swojego losu. Na swojej posesji wszystko co miał stracił, nie żeby był niezdatny lub leniwy, ale że do zbytku łatwowierny. Pewien kupiec warszawski wszystko jego zboże corocznie zakupywał, a Walenty tyle mu ufał, że oddawał mu je za papierki przez niego podpisane i cieszył się nieborak, iż ma kapitał sto tysięcy przenoszący, dopóki ów kupiec nie zbankrutował. Biedny brat w jednej chwili wszystko co miał utracił, zaledwo regent mógł wydobyć dla niego dziesięć tysięcy. Nie mógł więc już myśleć o wzięciu wielkiej dzierżawy. Regent po-

wierzył mu zarząd świeżo nabytego Porzecza, żeby z żoną i trojgiem dzieci miał z czego żyć i był zadowolony jego pracą. Te wszystkie tak drogie mojemu sercu istoty zebrały się w Sandomierzu, żeby mnie uściskać.

Wręczyłem przywilej mojemu bratu. On przybrał na się postać obojętności, ale to była rzecz udana, bo można było poznać, iż w duchu wielce się tem radował. To się okazywało widocznie w sposobie, w jakim przyjmował od przyjaciół i kolegów powinszowania tego otrzymanego zaszczytu. Poczcziwy Jacek, jakkolwiek tą łaską króla zadziwiony, ani się domyślał, że ten dowód łaski otrzymałem za pięćdziesiąt czerwonych złotych.

Po kilku dniach oddanych wyłącznie uczuciom miłości braterskiej na łonie wspólnej rodziny, Jacek zaczął mówić ze mną o interesach:

— Bartku, — rzekł do mnie — nie uwierzysz ile mnie ucieszyłeś, donosząc, żeś zaprzestał być domownikiem królewskim, przez co utwierdziłeś w naszym województwie swoją sławę, nieco już naruszoną przez twoje położenie u króla; ale że masz teraz swobodę, powinienes jej użyć na swoje osobiste dobro. Posiadasz intratne starostwo, które zbyt tanio puściłeś w dzierżawę. Co za młodu zaniedbasz, to ci się na starość nie wróci, święty Jan się zbliża, a z nim i ekspiracja kontraktu. Powziąłem wiadomości o twojem starostwie, ludzie wiarogodni mówili mi, że Rozów w ręku dobrego gospodarza jest złotem jabłkiem. Nie radzę ci, bracie, odnawiać zadzierżawienia, odbierz na siebie starostwo i sam ciągnij z niego przychody.

— Ja mam chwycić się rzemiosła, którego przez całe życie nie znałem? Czy mój wiek potemu, żebym się czegoś nowego uczył?

— A któż ci każe samemu gospodarować? Zainstrumentuj Walentego na swego podstarostę, a obaczysz, ile on ci przysporzy dochodu. Radzę ci prawdziwie po bratersku weź go z sobą na Ruś, a jak go osadzisz w Rozowie, możesz się potem oddalić gdzie ci się podoba. Za powrotem pewnie w domu szkody nie zastaniesz.

— Nadto miłuję Walentego, żeby taki projekt nie był mi przyjemnym; ale czy ten, który sam nie umiał rządzić, może być przez swój zarząd dla drugiego pożytecznym? Wiem, że Wa-

lenty pocziwy i potrzebny, chciałbym mu z całego serca być pomocnym i nie omieszkać pokazać się dla niego uczynnym; ale czy mogę mu powierzyć cały mój majątek, bez obawy, żebyśmy obadwa wkrótce nie poszli z torbą?

— Możesz, bracie i śmiało możesz. Walenty jest to jeden z tych ludzi, jakich niemało znałem, którzy umieją radę dać drugim, ale sobie nigdy. Czy myślisz, że chcę go się pozbyć? broń Boże! Odstąpię go dla twojego dobra, bo łatwiej o rządcę na jedną wieś, niż na cały klucz, a daj Boże każdemu pocziwemu właścicielowi mieć takiego gospodarza, jak nasz brat. Ja mu oddałem Porzecze do wiernych rąk, ale on ma oko i na Złotorję, która leży za Wisłą. We wszystkim na niego się spuściłem, gdyż trudno opuścić akta dla siejby lub żniw i na ufności mojej bardzo dobrze wychodzę. Przecież wiesz, że nie jestem z tych ludzi, którzy szkodę srebrnego grosza prześlepią. Jak ty dworszczyzną, tak ja pracą i oszczędnością przyszedłem do majątku; a wiesz, że kto nie dba o szeląg, ten nie zachowa talara. Daję ci radę dla twojego dobra, gdyż o mojej życzliwości wątpić nie możesz. Weźmiesz-li Walentego, dobrze zrobisz; nie weźmiesz, dla mnie lepiej, bo go zachowam dla siebie.

Przyjąłem radę. Wezwaliśmy Walentego, który na ten układ przyzwolił, ciesząc się otwarciem, że ze mną pojedzie w kraj jemu nieznan, jakkolwiek mógł być smutnym, że na czas jakiś rozstanie się z żoną i trojgiem dzieci, szczątkiem nierównie liczniejszej rodziny. Jakoż w samej rzeczy, po objęciu w swój zarząd starostwa rozowskiego, zaraz żonę i dzieci sprowadził w kijowskie.

Pożegnałem brata i całe moje rodzeństwo i ze łzami się z niemi rozstałem; a wzięwszy z sobą brata Walentego, pojechałem z nim w kijowskie. Obróciłem drogę na Winnicę, żeby odwiedzić naszego brata, który był wicerektorem tamecznego kolegium jezuickiego. Trzy dni nie wypuszczał nas z klasztoru, w którym mieliśmy wszelkie wygody. Z Winnicy udaliśmy się do Żytomierza, gdzie zjechałem się z dzierżawcą mojego starostwa. Skręcił się szlachcic, kiedy mu oznajmiłem, że starostwo chcę trzymać na sobie. Próbował różnych środków. Dowodził mi, że jak sam będę gospodarować, trzeciej części nie będę miał tego, co mi daje; że stracił na posesji; że jeżeli ofiaruje mi

przedłużenie dzierżawy, to jedynie żeby się ratować, dopóki przyszłość nie wynagrodzi mu jego strat, użył nawet instancji W. Trypolskiego do mnie. Że zaś byłem niewzruszony w mojem przedsięwzięciu, skończył ze mną po bożemu. Z pretensjami żadnemi nie wystąpił, poprzestał na wyrazach kontraktu, w którym wszystko tak było przewidziane, że nie było furtki do pieśniactwa i ustąpił z posesji.

Odebrałem więc na siebie starostwo. Walenty zaraz poznał, że dzierżawca był gospodarzem praktycznym: pola były zasiane jak się należy, budowle dobrze utrzymane, a że już był czerwiec, nadzieja obfitego plonu była niezawodna. Wkrótce mogłem się przekonać o zdatności Walentego, który zaraz wziął się do pracy.

Walenty zrobił mi taką propozycję: „Dzierżawca, rzekł, płacił ci rocznie ośmnaście tysięcy, odliczysz mi dwa tysiące na forszusy gospodarskie, a ja obowiązuję się dawać ci co rok dwadzieścia pięć tysięcy; co zaś będzie przewyżki, będę się tem dzielił z tobą po połowie“. Na to wszystko chętnie przyzwoliłem. Osiedłem więc w Rozowie, skąd przez lat cztery ani wyruszyłem, chyba czasem na jakie kilka dni do Żytomierza, żeby nie zapomnieć obcowania z ludźmi, bo nie miałem bliskich sąsiadów. W jednej z tych wycieczek bawiłem w Żytomierzu przez dni piętnaście, a to z powodu sprawy, która się agitowała w grodzie. Ona bynajmniej mnie się nie tyczyła, ale wielce mnie zajęła.

Była to sprawa jednej starej kobiety, stanu mieszczańskiego, wyznania unickiego, obwinionej o czary i ścisłe stosunki z szatanem. Dowody przeciw niej wedle prawa były oczywiste. Czterech świadków pod przysięgą zeznało, iż ją widzieli, jak posmarowawszy sobie usta, uszy i oczy jakąś maścią, siadła na łożu i na niej zniknęła przez komin. Jeden szlachcic czynszowy przysięgł, że kiedy jej nie chciał puścić jednej nocy do swojej chałupy, do której kołatała o gościnne przyjęcie, a to z powodu, że wiedział, iż ją wszyscy mają za czarownicę, ta go przeklęła, obiecując mu zemstę. Nazajutrz też wszystkie jego owce, których miał dziesięć sztuk, powyżydchały w przeciągu jednego Zdrowaś Marja, niewiadomo z jakiej choroby. To zeznanie pod przysięgą potwierdziła żona tego szlachcica. Owa czarownica mieszkała w Deneszach, wsi należącej do dóbr Tro-

janowskich; otóż cała gromada wiejska zeznała, że często wydalala się ze wsi niewiadomo dokąd; że nigdy w sobotę nie nocowała w domu; że z nikim nie przestawała, tylko z jednym starym włościaninem, o którym powszechnie mówiono, że był wilkołakiem i charakternikiem, bo miał taką strzelbę, że żadna zwierzyna przed nią nie uszła; że ten włościanin zniknął ze wsi, jak tylko ta czarownica została zawieziona do grodu. Zeznali także, że ile razy kto się z nią pokłócił, zawsze wkrótce potem poniósł jakąś szkodę w swoim gospodarstwie. Dyspozytor deneszowski zeznał, że przed trzema laty, w dzień świętego Wojciecha, zapowiedział jej, żeby się wyniosła ze wsi, gdyż skargi, jakie na nią chłopci zanoszą, już mu kością w gardle stały. Ta wyniosła się tegoż samego dnia do sąsiedniej Tryhurji, wioski bazylianów; ale podczas kiedy w Tryhurji ciągle były deszcze, w Deneszach była taka posucha, że po dzień świętego Stanisława kropla wody nie spadła, tak, że przestraszony dyspozytor pobiegł do Tryhurji, z babą się pogodził i na nowo sprowadził ją do Deneszów; i że w sam dzień jej powrotu rześisty deszcz ożywił już zgasłą nadzieję rolników. Rzeczywistość tego faktu, wraz z innemi, stwierdził przysięgą.

Ale co dziwniejsza, własne zeznania tej baby to wszystko potwierdziły. Przyznała się, że ma ścisłe stosunki z szatanem; że co sobotę na łopacie przybywa na Łysą-górę na hulankę z czartami i innemi czarownicami, które ze wszech stron Polesia tam się zbierają; że jeden z czartów jest jej kochankiem; że sam starosta piekielny dał im ślub w dzień zaduszny; że się sądu grodzkiego nie obawia, gdyż jej będzie dobrze w piekle i inne podobne nagadała dziwolągi, które słysząc, aż włosy mi się jeżyły.

Po takich alegatach i probatach sąd skazał ją na spalenie żywcem i nie mógł tego nie uczynić. Zostawił jej dwa dni dla pojednania się z Bogiem, ażeby męka Chrystusowa dla niej nie przepadła. Wszystkie perswazje kapłana były nadaremne, na jego napomnienia odpowiadała samemi wszeteczeństwami. Chciałem być świadkiem wykonania na niej wyroku sądowego. Już stos był przygotowany, a kapłan jeszcze jej asystował, stojąc przy niej na stosie. Więcej godziny wszyscy oczekiwali jej nawrócenia. Kapłan jak mógł usiłował ją skruszyć, zacięta baba

plunęła mu w twarz. Ten nakoniec zeszedł ze stosu, który podpalono i baba z bluźnierstwem w ustach świat pożegnała.

Kiedy później na jednym czwartkowym obiedzie opowiadałem w przytomności króla to wydarzenie, którego byłem naocznym świadkiem, śmiech powszechny powstał między biesadnikami; a jednak ci, którzy się śmieli, przed chwilą na serjo rozprawiali o cudach Cagliostro i Mesmera. Dlaczegoż szydzą z tego, który wierzy w czary, a byle czary nazwał magnetyzmem, mają go za męża wysokiego zdania? Rzecz bardzo prosta, bo wyraz *magnetyzm* jest wymysłem mądrości ludzkiej, a wyraz *czary* jest poświęcony religiją. O wszystkim wolno rozumować, byle nie ze stanowiska religijnego. Jakkolwiekby, ten ustęp w mojem życiu pozostawił niezatarte wrażenie.

Wróciłem do Rozowa, gdzie miałem pociechę. Żniwa się zaczynały, urodzaj był obfitszy, niż kiedykolwiek. Podzielałem radość pocziwych włościan i na dożynki wyprawilem im ucztę, przez co ich przywiązałem do siebie do tego stopnia, że gromada napół pijana, a więc szczerza, wymogła na mnie obietnicę, że jej nigdy nikomu nie zadzierżawię.

Półki było lato, pobyt na wsi był dla mnie miłym, ale ze strachem patrzałem na zbliżającą się zimę. Przez całe życie, bądź na wojnie, bądź u dworu, bądź w podróżach, obracałem się w sferze, w której usposobić się nie mogłem do gospodarstwa. Walenty niem się zajmował i pobyt na wsi go uszczęśliwiał, zwłaszcza kiedy jego żona z dziećmi przybyła do Rozowa. Tak pracował w zawodzie, do jakiego oddawna był nawykły, że nie miał czasu się nudzić, ile że Ruś i jej mieszkańcy wielce mu się podobały. Jest jakiś pociąg w ziemiach ruskich, któremu Polak nigdy się nie oprze. Połowa szlachty ruskiej składa się z przychodniów Polaków, a niema przykładu, żeby Rusin osiadł na ziemi polskiej. Co do mnie, podobnego pociągu czuć nie mogłem, gospodarstwo było dla mnie bez powabu, a kula, którą nosiłem, nie dozwalała mi rozrywać się myśliwstwem. Próźniak miejski jakoś zabije swój czas, ale czyż może być coś smutniejszego nad położenie próźniaka zamieszkałego na wsi? Nie miałem z kim zamienić moich myśli, mój brat nadto był zajęty, żeby się ze mną mógł bawić. Przy obiedzie tak go korcił powrót do przerwane go krzątania się około gospodarstwa, gdyż było aż trzy folwarki

do doglądania, że siedział jak na szpilkach; a kiedy przyszedł na wieczerzę, to tak był zmęczony, że mu nie rozmowy, ale snu potrzeba było. Żona jego, pocziwa kobieta i najlepsza matka, wcale nie była do konwersacji.

Z drugiej strony żadnych umysłowych zakładów nie było w tej części Rusi. W Żytomierzu innej księgarni nie było, tylko pod kościołem katedralnym stół zastawiony książeczkami do nabożeństwa. Cóż tu mówić o księgarniach, kiedy w całym województwie kijowskim nie było ani jednej apteki i ani jednego lekarza. Węgrzy roznosili po domach szlacheckich tak nazwane *krempulsa*: ten od bólu głowy, tamten żołądka, inny od gorączki. Szlachcic od przypadku zaopatrywał niemi apteczkę domową. Te krople i baby, umiejące zamawiać choroby, oto była cała medycyna tych stron.

Ponieważ Kijów był blisko, a przejazd z kraju do kraju wówczas był łatwy i nikogo o paszport nie pytano, pojechałem więc tam jedynie dlatego, żeby zaopatrzyć się w książki i konfitury. I dobrzem sobie poradziłem, bo wróciłem z konfiturami, a za tysiąc złotych kupiłem książek francuskich i niemieckich, które mi na całą zimę wystarczyły. Nawet za małą kwotę dostała mi się w Kijowie *Panosza* Paprockiego, którą we trzydzieści kilka lat potem pożyczyłem księdzu biskupowi Albertrandiemu, u którego tak ugrzęzła, że jej nigdy wydobyć nie mogłem. Chociaż miałem rewera uczonego męża, który po jego śmierci złożyłem jako dowód, że była moją własnością, odpowiedziano mi jednak, że ta książka, wraz z całą biblioteką księdza Albertrandiego dostała się Towarzystwu Przyjaciół Nauk i na tem się skończyło.

Miałem szczęście widzieć w Kijowie mojego łaskawcę, JW. Sołomkę, który na kilka dni przyjechał do tego miasta dla interesów służby z Charkowa, gdzie był gubernatorem. Przyjął mnie jak zażyłego przyjaciela, mówiliśmy z sobą wiele o jego siostrzanie, o szczęśliwym jego pożyciu z żoną; dowiedziałem się, że z pułkiem, którym dowodził, stał w Grodnie. JW. Sołomka zawiózł mnie nazajutrz do generała Wojejkowa, pełniącego obowiązki namiestnika kijowskiego i przedstawił mnie jako swojego przyjaciela. JW. Wojejkow był mężem światłym i pełnym honoru, miał przyjaźń z wielu panami polskimi i przyjął mnie z wielką uprzejmością. W czasie sześciodniowego mojego pobytu

w Kijowie, gdzie się zatrzymałem jedynie dla JW. Sołomki, dwa razy byłem zaproszony na obiad do generała Wojejkowa i tyleż razy do marszałka szlachty gubernji kijowskiej, pana Skoropackiego, możnego Małorosjanina, który nosił nazwisko świetne w dziejach Ukrainy, gdyż w prostej linii pochodził od jednego z najsławniejszych w sztuce wojennej jej hetmanów.

II.

Powróciłem do Rozowa, gdzie mając książki, nie obawiałem się nudów. Około pięciu lat bawiłem na wsi, jakkolwiek mało byłem usposobiony do życia wiejskiego. Corocznie pod jesień na kilka dni wydałem się do Kijowa, jedynie dla wywieżenia stamtąd książek; parę razy w roku na kilka dni pokazywałem się w Żytomierzu, żeby nie uchodzić za odludka, a resztę czasu byłem jakby przykuty do ścian mojego domu.

Dlaczegoż obrałem takowy tryb życia, przeciwny moim nałogom? Z tego łatwo się wytłumaczy. Oto, że opuszczając gabinet królewski i Warszawę aż nadto przewidywałem, co może nastąpić. Szlachta obrażona na króla za krzywdę swoich senatorów i posła, podniosła przeciw niemu konfederację po województwach, pod przewodnictwem Krasieńskiego, podkomorzego rożańskiego w Koronie i Paca, starosty ziołowskiego w Litwie. Ta konfederacja zawiązała się w Barze. Ci dwaj mężowie, których wymieniałem, byli głową tej konfederacji, zaś pan Kazimierz Pułaski jej ramieniem; a ponieważ była wymierzona szczególnie przeciw dyssydentom, tem przybrała postać wojny religijnej. Piotrem-Pustelnikiem tej krucjaty był ksiądz Marek, karmelita, o którym ludzie powszechnie głosili, iż był prorokiem i cudotwórcą.

Nie mogłem w duchu nie sprzyjać tej konfederacji, na czele której stanęli mężowie dobrze uważani w narodzie, ale z drugiej strony, chociaż król nic osobliwszego dla mnie nie zrobił, miałem przynajmniej dla niego tyle obowiązków, że mi się nie godziło stanąć w szeregach jego otwartych nieprzyjaciół; tem więcej, że przestawszy być sposobnym do rycerskiego rzemiosła, żadnej istotnej korzyści nie przynosiłbym konfederacji. Zresztą zawsze

byłem i jestem przekonany, że opór zbrojny przeciw władzy, jakieby nie były jej nadużycia, zawsze więcej szkody niż korzyści przynosi narodowi. Jeżeli święty Paweł, któremu Bóg porучzył uporządkowanie społeczeństwa chrześcijańskiego, żyjąc pod panowaniem Nerona, przywłaszczyła jego ojczyzny, matkobójcy, wszetecznika i najohydniejszego tyrana, przecież zaślania jego władzę i twierdzi, że ona od Boga pochodzi — nie wiem, czy może poddany powstać przeciwko swojemu panu, bez zadania jakiegoś szwanku swojemu sumieniu, jeżeli jest katolikiem rzeczywistym, a nie rzekomym.

Sympatje nie są podwładne człowiekowi i za nie przed Bogiem odpowiadać nie będzie, ale ich objaw zewnętrzny może być ciężkim grzechem. Postanowiłem więc ani uczynkiem, ani nawet mową nie przekraczać najściślejszej neutralności, a do tego najlepsza sposobność żyć na wsi, pilnować roli i być jak najwięcej odosobnionym. Pomyślałem sobie: jakakolwiek władza być musi, więc będę jej posłusznym. Zażąda odemnie jakiej ofiary, czy pod nazwiskiem podatku, czy rekwizycji, ani zdołam, ani zechcę być jej nieposłusznym. Żadna władza nie zażąda obrazy Stwórcy i Odkupiciela, a reszta dla prawego chrześcijanina powinna być obojętną. Będę więc czekał końca, do niczego się nie mieszając, a jakakolwiek władza będzie zwycięska, rozbroję ją mojem posłuszeństwem. Mniejsza z tem, że to jest przeciwne prawom Solona, kiedy żyję pod prawem Ewangelji, która podobnego postępowania nie potępia.

Otrzymałem list od brata miecznika, z którego dowiedziałem się, iż został konsyljarzem konfederacji. W liście tym okazywał zapał, który mnie zadziwił, gdyż znałem go zawsze umiarkowanym. Zachęcał mnie do wzięcia czynnego udziału w obronie wiary i swobód szlacheckich. Odpisałem mu, że będąc napół kaleką i mając głowę nie do rady, pragnę żyć w zgodzie z całym światem, a tylko myślę o tem, żeby po mojej śmierci jego i Walentego dzieci miały czem łyzy sobie otrzeć. Ta odpowiedź wcale się bratu nie podobala i za to miałem kilkakrotne listowne wymówki.

W samej rzeczy moje interesa majątkowe szły jaknajpomysłniej. Odkąd Walenty zaczął się trudnić mojem gospodarstwem, pieniądze płynęły. Przychody, jakie pobierałem od dzier-

zawcy, pracą Walentego więcej niż w dwójnasób się podniosły, wydatków zaś mniej miałem niż w Warszawie. Były przyjazne ku temu okoliczności, bo gdy wojska rosyjskie, konsystujące w Polsce, wszystko gotowym groszem płaciły, cena produktów nadzwyczaj się podniosła. Wódka, żyto, krupy, słonina, były złotem w sztabach, a ziemia corocznie obficie rodziła. To powodzenie nie tylko mnie cieszyło, ale i Walentego, który mając udział w moich przychodach, powoli się wydźwigał i wracał do swojego dawnego bytu.

Konfederacja barska walczyła blisko nas, nawet pan Pułaski wytrzymał oblężenie w fortecy berdyczowskiej i wyszedł z niej przez kapitulację; ale do nas nie doszła, ani też Koliszczynna, która w województwie bractawskim tyle niewinnej krwi szlacheckiej rozlała. My żyliśmy w zupełnym bezpieczeństwie, gdyż blisko nas był Kijów, z którego wojska ciągle przechodziły przez Rozów; a ja generałów i oficerów rosyjskich przyjmowałem z zwykłą gościnnością. Między nimi wydarzyło mi się przyjąć u siebie sławnego później Suworowa, który u mnie przenocował; był on wtenczas brygadjerem. Żadnych dziwactw się nie dopuszczał, owszem dał mi się poznać jako człowiek wielce ukształcony, po niemiecku i francusku tłumaczył się jakby rodowitym językiem. W ciągu naszej rozmowy poznałem, że był uczony i wiele czytał. Odbił w wojsku rosyjskiem wojnę siedmioletnią, a kiedy mu powiedziałem, że i ja w czasie tej wojny służyłem w wojsku cesarskiem, zdawało mi się, że tem zyskałem u niego szacunek. Już o niczem ze mną nie mówił, tylko o rozmaitych ustępach tej wojny i pokazał się być wielkim wielbicielem Fryderyka Wielkiego. Po kilkogodzinnej z nim rozmowie przeczułem, że w nim kryje się bohater, który kiedyś wpłynie na losy narodów.

Konfederacja barska, której, wyjąwszy zagranicznych panów i dworaków królewskich w ogólności naród sprzyjał, była zbiorem epizodów świetnych, ostatniem zjawiskiem szczeropolskiem narodowej epopei mającej się ku końcowi. W bitwach, które toczyła bądź pomyślnie, bądź niefortunnie, było coś homerycznego, coś płynącego z natchnienia, a nie tak wyklepanego, jak to, co się później dało widzieć. Toż samo i o jej członkach powiedzieć można. Dopiero po jej upadku górę wzięli ludzie ulepieni z ja-

kiejś miękkiej gliny, na której każda rzecz obca ślad swój zostawiała. Ci pół-ludzie dopuszczeni zostali do steru tego, co nazywano cywilizacją, która w rzeczy samej nie jest czem innym, tylko jakimś otynkowaniem, sprawującym, że wszyscy stali się jedni do drugich podobni, że głupiec z łatwością może stanąć obok mądrego, a żak obok uczonego męża. Między temi pół-ludźmi cóż oryginalnego objawić się może? Typowe figury, częste w dawniejszem pokoleniu, stają się rzadszemi i nie daj Boże, żeby znikły zupełnie w tej generacji ludzkiej, która zawsze spostrzegać się daje przy schyłku pewnych epok historycznych.

Ci, którzy figurowali w konfederacji barskiej, byli ludźmi tak potężnemi, że gdyby tylko siła ludzka stanowiła o przeznaczeniu narodów, oni zdołaliby przechylić szalę na swoją stronę. Jednak niemało złego spadło na kraj przez ten ich opór, pierwszy bowiem podział kraju i przejście tyle ludu słowiańskiego pod władztwo niemieckie, były koniecznem następstwem konfederacji barskiej. Okoliczności, w których się ona zawiązała, były tak niefortunne, że nic dobrego nie mogła uskutecznić dla kraju. Później konfederacja targowicka, będąca wskrzeszeniem partji konserwatorskiej, upadłej z rozwiązaniem barskiej, była w szczęśliwszych okolicznościach i mogłaby oddalić epokę zupełnego upadku Polski, ale już nowe wychowanie, wprowadzone przez Stanisława Augusta, przynosiło swoje owoce. Całe pokolenie zbrzydziło sobie staropolskość i pragnęło koniecznej reformy. Konfederacja targowicka pomimo najlepszych chęci, biegłości politycznej niektórych jej wodzów, jakiej żaden mąż stanu partji przeciwnej nie sprostął i ufności, jaką umiała wzbudzić w ościennych gabinetach, musiała upaść, bo sympatje narodu nietylko że się za nią nie oświadczyły, ale owszem wściekły gniew wszędzie powstał przeciwko tym mężom spotwarzonym, którzy chwycili się byli jedynej drogi dla odwrócenia myśli sąsiednich mocarstw od dalszych podziałów. Nienawiść do zasad staropolskich tak była silna u tych, którzy wówczas kierowali opinią publiczną, że woleli widzieć zagładę polityczną narodu, niż patrzeć na jego życie w swojej dawnej formie. Ale tu pomimowolnie przeskakuję więcej niż lat dwadzieścia.

Konfederacja barska się rozwiązała. Oprócz JW. Paca, starosty ziołowskiego i JW. Rzewuskiego, chorążego litewskiego,

wszyscy się od niej zrecesowali, nawet pan Pułaski. Pac osiadł w Strassburgu, gdzie i umarł, a pan Rzewuski, z którym kiedyś służyłem w pułku Szybilskiego, przeszedł w służbę cesarską, gdzie został przyjęty w stopniu generał-majora. Więźniowie powrócili z Kaługi, a imperatorowa niczego nie zaniedbała, żeby wynagrodzić szlachetnych więźniów krzywdę, jaką doświadczyli, urzędami i starostwami, w dobra dziedziczne dla nich zamienionymi.

Wszystko się uspokoiło w Polsce, pojechałem więc do Warszawy. Po drodze nawiedziłem mojego brata miecznika, którego znalazłem schorzałym i zbiedzonym. Wojny domowe, jeżeli możnym szkodę przynoszą, tę łatwo umieją sobie wynagrodzić; wreszcie na obszernym majątku straty są mniej dotykające, ale zawsze się na szlachcicu w dorobku skrupi. Wieś, jaką mój brat miał za Wisłą, do szczętu była spalona, włościanie się porozchodzili i ledwo we trzy lata popowracali za staraniem brata, który wtedy dopiero mógł na nowo rozpocząć w niej gospodarstwo. Porzeczcie, chociaż nie do takiego stopnia, jednak także niemało ucierpiało. Brat przez lat kilka nie był w domu, a żona rady sobie dać nie mogła. Czeladka, tak dobrze jak bez zwierzchnika, w mętnej wodzie ryby łowiła, obora spustoszała, stadnina zniknęła, co kto zarwał, zwał na rachunek wojny; a co gorsza, zgryzoty brata bardzo mu zdrowie wątlify. W porę przybyłem na ratunek i byłem tyle szczęśliwym, że mogłem przynajmniej w części wywiązać się z tego, co byłem mu od dzieciństwa dłużny. Pożyczyłem mu pięćdziesiąt tysięcy na lat trzy bez procentu i tem wydzwignąłem tak rządnego człowieka. Sam przyznał, że bardzo rozumnie postąpiłem, iż nie idąc za jego radą, spokojnie siedziałem na wsi, do niczego się nie mieszając. Siostra Rzepecka była szczęśliwsza, bo choć jej okolice, to konfederaci, to stronnicy królewscy i kozacy plądrowali, jakby jakim cudem jej wioska nic nie ucierpiała. Mężynscy dość wielkie szkody ponieśli, ale że byli bogaci, te z łatwością się załatały.

Uspokoiwszy się względem losu mojej rodziny, pożegnałem brata i puściłem się do Warszawy. Zajechałem nie do zamku, gdyż wątpiłem, by mnie tam chciano przyjąć, ale do gospody. Że zaś skutek pięcioletniej wojny domy znacznie staniały w Warszawie, więc w kilka dni po mojem przybyciu nabyłem za

czterdzieści tysięcy kamieniczkę na Lesznie. To korzystne kupno narażała mi poczcziwa moja przyjaciółka, pani Łazarewiczowa, u której złożyłem był moje sprzęty, które mi w całości oddała. Kamienica była niewielka, ale miała dwa piętra, a na dole dwa sklepy; oprócz tego na małym dziedzińcu stajnię, wozownię, a nawet lodownię. Sklepy i drugie piętro wynająłem za tysiąc sześćset złotych rocznie, a sam zachowałem dla siebie całkowite pierwsze piętro, gdzie miałem sień, sześć pokoi i kuchenkę z spiżarnią. Tam zniosłem moje sprzęty, ulokowałem się wygodnie w swoim własnym domu i dotąd w nim mieszkam. Mogłem w nim także wygodnie ulokować czy brata, czy siostrę, gdyby mnie raczyli nawiedzić, jak to pokilkakrotnie się wydarzało.

Ulokowawszy się, ułatwiłem się także z panem Tepperem, któremu, pomimo tego kupna i pożyczki, jaką wygodziłem mojemu bratu, mogłem jeszcze na banku złożyć czterdzieści tysięcy a więc miałem okrągłe sto tysięcy u Teppera, prócz tego pięćdziesiąt tysięcy u brata, starostwo około trzydziestu tysięcy przynoszące i własną kamienicę. Przez pięć lat nie odbierałem z powodu wojny mojej pensji cesarskiej, ale pan Tepper wtedy mi ją spłacił, potrąciwszy sobie procentu dwadzieścia od sta i wziął odemnie na tę zaległość ustępstwo, co wszystko trwało około sześciu tygodni. Potem puściłem się w wyższy świat, żeby odnowić dawne stosunki z matadorami, kiedyś na mnie łaskawymi, a które od kilku lat były przerwane.

Udałem się do księcia Repnina, który mnie przyjął z szczególną łaską i powiedział mi: „Wiem z jaką gościnnością waćpan przyjmowałeś nasze komendy i winienem za to nietylko mu podziękować, ale się i odwdzińczyć. W każdym interesie, jaki waćpan mieć możesz, w każdym swoim żądaniu, możesz śmiało rachować na moją pomoc”. Skłoniłem mu się i odpowiedziałem, że to będzie nie pierwszy dowód jego łaski dla mnie, że nigdy z mojej wdzięcznej pamięci nie wyjdzie, że jemu winienem spokojne posiadanie mojego starostwa, do którego nigdybym nie trafił bez wysokiej jego protekcji, której szukałem w Kijowie. Książę na to:

— Miło mi jest okazać moją życzliwość tak godnemu i poczcziwemu mężowi, jakim waćpan jesteś. Proszę mnie zawsze uważać jako swojego przyjaciela.

Kiedy do mnie tak mówił, nie byliśmy sami; w jego gabinecie znajdowało się kilka możnych figur naszego narodu, a między niemi JW. Poniński kuchmistrz koronny, którego wtedy poznałem. Stał on wtedy na wysokim szczeblu znaczenia, wszyscy mówili, że jemu przewodnictwo wkrótce mającego się zebrać sejmu ma być oddane. Sława jego rozumu i zręczności była głośną w publiczności, a jeszcze więcej jego stosunki z dworami ościennemi, w których ręku los naszej ojczyzny zostawał. O tym mężu wkrótce obszerniej pomówię, *sine irae nec studio*, bo jeżeli jako obywatel mógłbym mieć mu coś do wyrzucenia, jako człowiek prywatny mam dla niego powody wdzięczności.

Nawiedziłem pana *Grand-Maitre* Rzewuskiego. Ten wówczas zdawał się być jednym z bliższych serca królewskiego, zwłaszcza odkąd z niego wygluzował JW. Br., łowczego koronnego. Poróżnienie tych dwóch ulubieńców króla było wówczas przedmiotem rozmów wyższego towarzystwa warszawskiego. Rzecz była taka. Kiedy król był jeszcze w stanie równości, najściślej-sza przyjaźń łączyła go z panami Rz. i Br. Temu ostatniemu winien był nawet ocalenie swojego życia, stąd jego przyjaźń dla niego jeszcze gorętsza, niż dla tamtego, gdyż do niej przymieszało się jeszcze uczucie wdzięczności. Kiedy Stanisław August został królem, w jednym z tych serdecznych wylań dla Br., nie tylko że chciał, aby mieszkał w zamku, ale nadto dał mu prawo asygnowania do swojej kasy ile mu się podoba, a kasjerowi rozkazał, żeby te asygnacje uważał jakby podpisane przez niego samego. Podobny przywilej dać człowiekowi tak marnotrawnemu, jakim był Br., było to samo, co puścić mysz w pudło. Tak pustoszył kasę, że się to na koniec sprzykrzyło królowi, który sam ciągle potrzebował pieniędzy. Pan Rz. wyciągnął króla z tego trudnego położenia. Poradził królowi, żeby kupił pałac dla Br. i jemu go darował, a tym sposobem uwolniwszy się od jego zamieszkania w zamku, może łatwo tak urządzić swoją kasę, żeby żadnego poddanego królewskiego nie opłacała kwitów. Król poszedł za tą radą, i Br. musiał wynieść się z zamku. Stąd powziął nieubłaganą nienawiść przeciw Rz., który niewiele dbał o nią i przeciw samemu królowi, któremu umiał dokuczyć.

Byłem także u pani krajczynej, zawsze pięknej, zawsze miłej, zawsze na mnie łaskawej, ale która przestała już władać

sercem króla. Wtedy jego kochanką *en titre* była księżna S., kanclerzyna litewska, kobieta z twarzą Madonny Rafaela, ale z sercem zepsutem, chciwa, zawzięta, gwałtowna i największa w świecie intrygantka. Pomimo wielu niewierności króla, przez lat kilka zdołała go utrzymać w swoich więzach. Miała z królem kilkoro dzieci, jednak musiała ustąpić nowej jego miłości dla starościny Opeskiej.

Król nie był stałym w swoich miłostkach, gdyż wzięwszy za wzór Ludwika XIV, zawsze musiał mieć jakąś damę wysokiego urodzenia za metresę *en titre*; tyle tylko, że je ciągle odmieniał i niewiele zajmował się losem owoców tych miłostek. Po staroście Opeskiej z kolei urzędowały: księżna S., wojewodzicowa smoleńska, księżna L., węgierka, córka feldmarszałka de H., precudownej urody blondynka, której ciemno-szafirowe oczy były nad wszelkie piękności; druga księżna L. z domu St., pani K. z domu Biel., pani W. starościna niechworowska, nie licząc innych, o których każdy ocierający się o dwór wiedział, ale do czego król się nie przyznawał, gdyż mając zawsze przed oczyma Ludwika XIV, nie widział w nich krwi dość zacnej, żeby aż otwarcie miały się przyznawać do nałożnictwa koronowanej głośno. Takimi były: dwie siostry Fon., pani Mer. i pani Og., obie mieszkanki warszawskie i kilka zagranicznych awanturnic.

Ale nakoniec znalazła się dama, która zatrzymała to motyle serce, może właśnie dlatego, że ona jedna była szczerze do niego przywiązana i w królu nie widziała tylko kochanka. Była to kobieta miła, ale wcale nie uderzającej piękności. Zresztą, gdy ta ich wzajemna miłość otrzymała później sankcję religijną, ta dama w innej zupełnie kategorii umieszczoną być powinna.

Przedstawiłem się nakoniec królowi, który mnie przyjął grzecznością dość oziębłą, jednakże mi powiedział, że zawsze mnie liczy między swoimi szambelanami i że rad mnie widzieć z kolei odbywającego przy nim służbę. Książę Kazimierz Poniatowski, podkomorzy wielki koronny, pan rzadkiej dobroci i wielkiej szczerości, już nazajutrz przeznaczył mnie do odbycia dziennej służby z dawnym moim znajomym, panem Trembeckim, który coraz głębiej wkorzeniał się w łaskę króla.

Kiedy nazajutrz stanąłem przed królem, zostałem przyjęty od niego łaskawiej niż wprzód, widać było, iż książę Repnin

musiał za mną przemówić, bo król mi winszował, że umiałem pozyskać jego życzliwość. Wedle zaprowadzonego zwyczaju, król o godzinie dziesiątej z rana szedł do gabinetu, w którym się ubierał, a który dotyczył pokoju obszerniejszego, nazwanego garderobą, gdzie codzień o tej porze było mnóstwo szlachty oczekującej wyjścia królewskiego, gdyż ten każdego dnia, skończywszy swoje ubranie około południa, przechodził przez garderobę do kościoła farnego.

Król zwykle słuchał jakiego czytania, podczas gdy mu ubierano głowę. Zwykłymi jego lektorami byli: do polskiego języka pan Oraczewski, do francuskiego pan Łuba, do włoskiego pan Kamelli, do niemieckiego pan Kortycelli, bo w samej rzeczy bardzo pięknie czytali. Zkolei czytano różne czasowe pisma, w tych językach pisane, a często pan Trembecki czytywał świeżo utworzone przez siebie wiersze, jako też i panowie: Mier, Szymanowski, Krasicki, już książę biskup warmiński, później ksiądz Naruszewicz i inni beletryści dworu. W ciągu tego czytania często dawał się słyszeć szmer z garderoby między szlachtą. Jeżeli tak się wznagał, że aż przeszkadzał królowi słuchać lektury, pan Kamelli wychodził do garderoby i trzymając chustkę w ręku, szedł do okna, przy którym wisiała klatka z kanarkami, kilka razy trzepnął chustką po klatce, mówiąc: „A cicho kanarki! przeszkadzacie królowi słuchać, co mu czytają”. Wtedy szlachta się uciszała, a Kamelli odchodził. Ta scena podczas ubierania się króla, przynajmniej kilka razy się odnawiała.

W dniu tym lektury nie było, gdyż przybył pan Poniński, a król, który go oczekiwał, zdawał się być wielce nim zajęty. Kazał mu się przybliżyć i pocichu z nim rozmawiał. My zaś oddaliśmy się i stanęli przy oknach, czekając końca tej poufnej rozmowy. Poczem pan Poniński pocałował rękę królewską, przystąpił do okna, żeby nas powitać i rzekł do mnie: „Mości starosto! pragnąłem z panem bliżej się poznać. Proszę pana, ponieważ jużśmy się poznali u księcia ambasadora Najjaśniejszej Imperatorowej, abys raczył bywać u mnie”. Ta jego grzeczność dla mnie niemałe wrażenie sprawiła na dworze.

Później bardzo dobrze poznałem pana Ponińskiego i nie taję się z tem, że winienem mu wdzięczność, może mniejszą niż tylu innych, którzy później zostali jego prześladowcami, tak da-

lece, iż go wyzuli z czci, a nawet z nazwiska. Nie podaję go za wzór cnot, był z niego prawdziwy syn XVIII-go wieku, wyznawca zasad filozofji encyklopedystów, która w naszym wyższem towarzystwie tyle przewróciła głów i tyle skrzywiła serc. Przekonany jestem, że większa część tych, którzy na nim czci i wiary nie zostawili, gdyby byli na jego miejscu, takby postąpili jak on. Nawet pojąć nie mogę, co może mu zarzucić ten, który otwarcie wyznaje, że religję uważa za zabobon, że każde uczucie, które się nie daje przez rozum wytłumaczyć, jest tylko przesądem wychowania i że kodeks moralności na tem się opiera, aby sobie dogadzać przy najmniejszej szkodzie bliźniego. Jakiegoż albowiem poświęcenia spodziewać się można od tych, którzy żadnych wyższych praw nie uznają, tylko własnego rozumu?

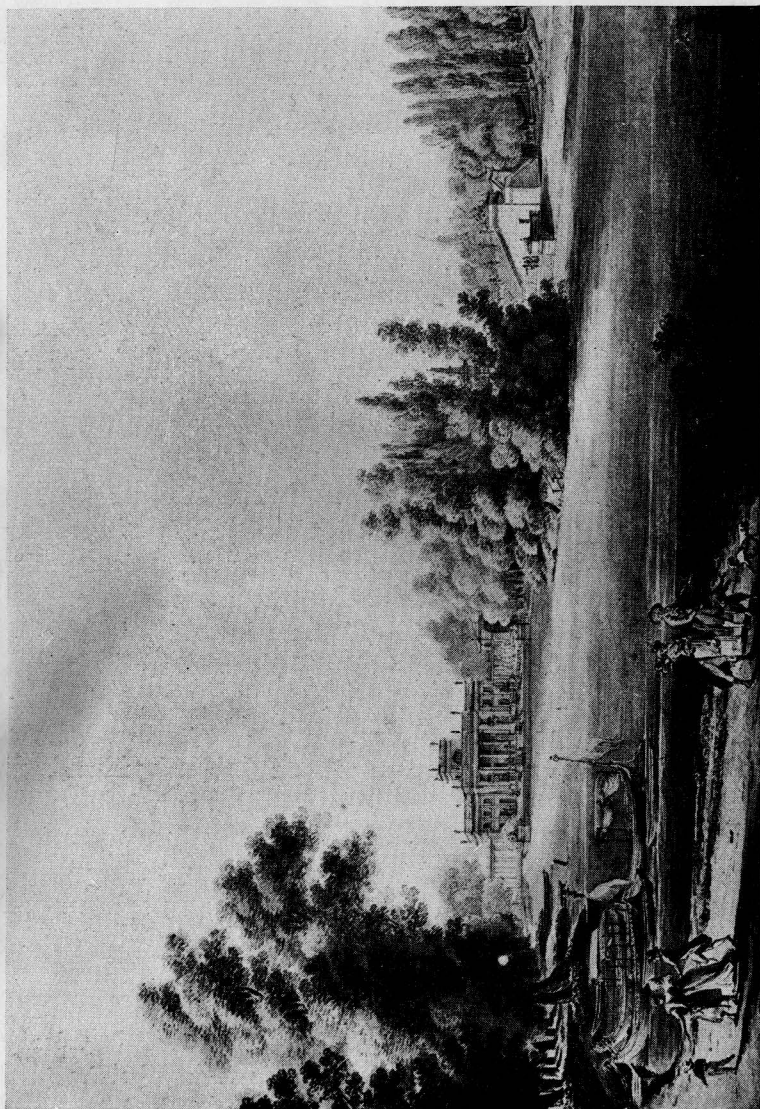
Przynajmniej łatwo udowodnić, że ci, którzy na niego później tak zawzięcie powstawali, nie trafili w sam punkt kwestji. Wyrzucali mu zgubę kraju dlatego, że się podjął marszałkostwa sejmu podziałowego. W te głębokie zadania polityczne nie wchodzę, bo nie jestem ani ministrem, ani dyplomatą, a tylko moim prostym rozsądkiem widzę, że się nie godzi utrzymywać, iż on zgubił kraj. Podział kraju był już faktem uzupełnionym, przeciw któremu sejm mógł protestować, ale nie mógł go nie dopuścić. Traktat sankcjonujący pierwszy podział był tylko formą dyplomatyczną, gdyby go sejm był odmówił, jego członkowie mogliby osobistą chwałę pozyskać, ale niewyrachowane szkody wyrządziliby krajowi, a może wywołali zagładę jego już w owym czasie, gdyż po zwyciężeniu konfederacji barskiej, zostaliśmy na łasce zwycięzców, bez żadnego środka nawet chwilowej obrony.

Zwyciężony, przez to samo, że zwyciężony, nie może mieć doli zwycięzcy; a jeżeli jego językiem przemawia, to okazuje tylko nieroztropność. Koniec wojny nieszczęśliwej zmusza zwyciężonego do niejakich ustępstw, bo jużćie lepiej stracić część, niż wszystko. Polska utraciła wtedy wiele województw, tak jak wprzód już niemało kraju odstąpiła traktatem Grzymułtowskiego; tak jak dom austriacki stracił Śląsk, a wprzód Alzację; jak Szwecja Inflanty, Ingrję i Estonję, jak Francja Kanadę. Co lat kilka lub kilkanaście, mapy polityczne Europy zmieniają się koniecznie, gdyż dopóki trwać będą wojny, dopóty będą jakieś zmiany w granicach państw. Każdemu narodowi można powie-

dzieć: „Chcesz zachować swoje granice, nie dawaj powodu do wojny; jeżeli zaś w nią się wplątasz, zwyciężaj, a jeżeli będziesz zwyciężony, rób ustępstwa, zapomnij o nich, a nie obwiniaj tych, którzy sankcjonowali straty, jakieś sam wywołał”.

Ale o czym w Polsce zapomniano, to o tem, że Rosja, która sama ciężar wojny z konfederacją znosiła, która do Białejrusi miała większe prawa, niż Austria do Czerwonej, a Prusy do Pomeranii i części Wielkopolski, długo się opierała podziałowi, Polski; że ten podział, a nawet myśl do niego, był sprawiony zajęciem Spisza przez wojska Marii Teresy, która *via facti* swój rząd w nim zaprowadziła; że księżę Henryk pruski pojechał do Petersburga, aby nakłonić imperatorową do tego podziału; że imperatorowa Katarzyna poniekąd zmuszoną została do niego; że jeżeli Gdańsk i Toruń zostały jeszcze przy Polsce, to jedynie przez nią i że z tego powodu nie ma było niechęci między dworem berlińskim a petersburskim. Są to fakta historyczne, a nie jest w mocy namiętności podawać w wątpliwość fakta więcej niż oczywiste.

Zapomniano także o rzeczywistych przysługach sejmu dla całego kraju. Nie przeszkodził on podziałowi, bo nie mógł mu przeszkodzić, ale co mógł to uczynił, albowiem zaprowadził porządek w kraju, urządził asesorsje i referendarje, utworzył policję, zapewnił egzekucję wyrokom sądowym, ścieśnił prawo *liberum veto* tylko do materji *status*, czem zapobiegł zrywaniom sejmów; dalej uporządkował skarb i fundusze na wychowanie publiczne, stworzył komisję ksiąg elementarnych, nawet urządził siłę zbrojną. Dość przejrzeć konstytucję 1773 roku, żeby się przekonać, ile ten sejm, w okolicznościach tak niefortunnych zwołany, położył zasług krajowi. Ta zaś konstytucja, nadająca więcej powagi królowi i sprężystości władzom wykonawczym, poddana została gwarancji imperatorowej, upatrując w tem, nie bez słuszności, rękojmię ich trwałości. Polska więc utraciła to, czego w żaden sposób ocalić nie mogła, ale za to wiele zyskała w swoim urządzeniu wewnętrznym. Przez te urządzenia i wzmocnienie siły rządowej, a zwłaszcza stosunków dyplomatycznych, jakie nam aljans z Rosją zapewniał, byliśmy mocniejsi w Europie, niż w czasie poprzedzającym pierwszy rozbiór. Partja nazwana rosyjską była u nas rzeczywiście partją konserwatorską;



PAŁACYK W ŁAZIENKACH

do niej wchodzili najwięcej zawołani nasi mężowie stanu. Magnaci i szlachta na prowincji osiadła jej sprzyjali, bo odkąd ona stanęła u steru spraw publicznych, odtąd oddychali spokojnie. Przeciwnikami jej byli awanturnicy, panicze, którzy przez małpiarstwo mieli w pogardzie to wszystko, co Francji nie naśladowało i cała ta golizna, której król przez nienawiść ku arystokratom, wrota swojego zamku otworzył.

Co do Ponińskiego, ten u tych ostatnich był popularnym dopóki miał coś do rozdawania; ani się znalazł taki, któryby mu zarzucił, że przyniósł jaką szkodę krajowi. Dopiero kiedy już wszystko utracił i nic ani własnego, ani publicznego mu nie zostało, oddano go pod sąd sejmowy, jako sprawcę pierwszego podziału, a ten sąd, jako nad bezbronnym, umiał się nad nim pastwić. Jużci jeżeli była wina, to przynajmniej nie jego jednego, a kogóż oprócz niego do sądu pociągnięto? Bardzo rzecz prosta, Poniński był goły, a więc nie miał przyjaciół; każdy chciał się pomścić za urazę, jaką mógł czuć do niego z powodu, iż będąc ministrem, nie uczynił zadość jakiemu jego żądaniu, albo nawet mszcząc się za korzystną łaskę, jaką kiedyś u niego wyżebrał, gdyż jest w naturze ludzi, zwłaszcza wyższego świata, nienawidzić tych, z których dobrodziejstw korzystali.

Lecz co można zarzucić Ponińskiemu, to że on zdemoralizował naród, bo w nim zaszczerpił ducha facjendarstwa i wszystkie jego następstwa. Było w naturze Polaka poprzestawać na swoim i tylko krwawą pracą polepszać swój byt. Ta mierność w żądzach tak wielką zaprowadziła rzetelność, że kupcy dawali na kredyt osobom, które po raz pierwszy widzieli, bez zapytania się o nazwisko. Bankierowie dawali potrzebującym sumy czasem znaczne, kontentując się krótkim zapisaniem należności z terminem jej zwrotu na świstku. Mając stosunki z starym Tepperem, sam widziałem u niego rewers pana Chołoniewskiego, starosty dubieńskiego, na cztery tysiące czerwonych złotych, napisany na wizytowym bilecie; i nie było przykładu, żeby dług nie był uiszczony w terminie, tak wielka wiara panowała w narodzie.

Dopiero pan Poniński, najnamiętniejszy facjendarz jaki się kiedy pojawił na świecie, przykładem swoim i potęgą, jaką miał w Polsce, jako marszałek sejmu konfederacyjnego, a później

podskarbi wielki koronny, wprowadził dążność do utworzenia znacznego majątku w jednej chwili i bez żadnej pracy. Kontrakty po pierwszym podziale przeniesione ze Lwowa do Dubna, odnowiły u nas widowisko tego, co przed kilkudziesięciu laty dało się widzieć w Paryżu podczas nieszczęśliwej pamięci systematu Lawa. Frymarczono dobrami jakby ruchomymi towarami; szlachcic mający dziesięć tysięcy, kupował dobra za dwakroć. Poniński dał temu popęd, sam kupując wszystko co było na zbyciu; i to co wczoraj kupił, nazajutrz z równą lekkością sprzedawał. Ogromna masa dóbr przeszła tym sposobem w jego ręce i niedługo w nich gościła, gdyż wszystkie były nabyte za cudze pieniądze. Te facjendy wielu z szlachty wzbogaciły, wielu też do ubóstwa przyprowadziły, bo łatwość dostania pieniędzy wprowadziła zbytki nawet między szlachtą, a cóż dopiero między panami. Poniński świeżo przez sejm wyniesiony do godności księcia był największym marnotrawnikiem, a inni panowie chcieli żyć na jego stopie, z czego nastąpiły bankructwa, o jakich przódzy nie słyszano.

Na czymże się opierał kredyt księcia Ponińskiego? Oto na tem, że zbiegiem okoliczności żaden monarcha takimi funduszami, takimi majątnościami nie mógł rozporządzać, jakie były w jego szafunku, gdyż nawet w owym czasie przenosiły wartość dwóchset milionów. Temi zaś okolicznościami były: wyrok sejmowy, który wszystkie starostwa niegrodowe zamienił z dożywotnich na emfiteutyczne; rozdawnictwo dóbr Towarzystwa Jezusowego, którego kasata nastąpiła w owej epoce i reces ordynacji ostrogskiej.

Kto chciał otrzymać starostwo emfiteutyczne, nawet jego dożywotni posiadacz, musiał się o to udać do księcia Ponińskiego. On był łatwym w interesie, a nawet lekkim; ale najczęściej otrzymanie takowego starostwa było następstwem jakiejś facjendy. Poniński od solicytora nabywał dobra dziedziczne za szacunek taki, który był sownie zrównoważony z ich wartością nadaniem jakiego starostwa. Toż samo działo się z dobrami pojezuickimi, bo komisja, która je rozdawała, była złożona z jego kreatur; takie zaś były nadużycia w tej komisji nazwanej urzędownie *rozdawniczą*, że ją w całym narodzie przezwano *rozdrabniczą*. Trudno sobie wyobrazić, jakie było łupiestwo w fun-

duszach, a zwłaszcza ruchomościach po-jezuickich. Omal że nie wszystkie srebra kościelne województw: wołyńskiego, kijowskiego i bractawskiego *via facti* dostały się JW. St... wojewodzie kijowskiemu i regimentarzowi partji ukraińskiej, ścisłemu przyjacielowi księcia Ponińskiego, a wszechwładnemu u króla. Te kielichy, patyny i ex-wota przerobił on na srebra stołowe, tak, że wszystko, nawet talerze, było ze srebra. Otóż razu jednego, podczas wielkiego obiadu jaki wydawał, na którym znajdowała się JW. kasztelanowa Kossakowska, pani najwyższych cnót, przytem wielce jowialna, ta podniosła talerz przed nią leżący i zaczęła się żegnać i modlić. Gdy ją zapytano: co to ma znaczyć? odpowiedziała: „Kiedys nasz Zbawiciel był na nim, nie przeprosiwszy Go, nie ośmielam się obrócić tego talerza na mój nikczemny użytek”.

Z taką lekkomyślnością postępowano z temi funduszami, że kto tylko chciał w nich rękę umoczyć, ten z największą łatwością coś zarwał. Wielu z marnotrawników przegrawszy w karty swoją ojcowiznę, wyprosił od księcia Ponińskiego dla siebie po-jezuicką. Książę nie lubił odmawiać i był uczynnym, zwłaszcza, że to go nic nie kosztowało, a nawet często mu zysk przynosiło. Dowód tego miałem na sobie. I tak, ponieważ wiedział, iż posiadam starostwo w Kijowskiem, a że chciał rozszerzyć się w województwach ruskich, gdzie już nabył wiele dóbr, a mianowicie ogromny majątek księcia Marcina Lubomirskiego więc zachciało mu się mieć i starostwo rozowskie. Trudno mi było opierać się woli tak możnego wówczas człowieka w narodzie; a że był absolutnym w swoim facjendarstwie, więc zmusił mnie przyjąć sto tysięcy za starostwo, przynoszące do trzydziestu tysięcy rocznego dochodu. Była w tem oczywista moja krzywda, ale mi ją sowicie wynagrodził nadaniem dwóch wsi porządných, należących do kolegów jezuitów miasta Piotrkowa, które dotąd posiadam, a gdzie sprowadziłem mojego brata Walentego z całą rodziną, bo życie na Rusi już mu się naprzykrzyło i zaczynał tęsknić za Polską. Do tego książę Poniński dodał mi kawalerstwo Maltańskie, którego ogłosił się wielkim przeorem w Polsce, wskutek recesu ordynacji ostrogskiej.

Ta ordynacja, zawierająca około tysiąca wsi i kilkadziesiąt miasteczek, była ufundowana przez jednego z książąt Ostrogskich

w taki sposób, iż miała zostawać w niepodzielnem posiadaniu jego potomków, tak w męskiej, jak i w żeńskiej linii, a po ich wygaśnięciu miała być oddaną zakonowi Maltańskiemu, któryby za to utrzymywał siłę zbrojną przy granicach Rzeczypospolitej. Po śmierci ostatniego Ostrońskiego ta ordynacja dostała się jego jedynaczce, księżnie Lubomirskiej; ale ta także jedyną córkę po sobie zostawiła, która poszła za księcia Sanguszkę, marszałka wielkiego litewskiego i z nim spłodziła jedynego syna, który po jej śmierci objął ordynację i był jedynym i ostatnim potomkiem tak po mieczu, jak i po kądzieli, założyciela ordynacji.

Ten książę ordynat był *mente captus* i sodomita. Swoim ulubieńcom i pochlebcom bezprawnie nadał kilkaset wsi, mówię bezprawnie, bo nie był właścicielem, ale ususfruktozem ordynacji. Niemniej bezprawnie darował ojcu swojemu włości zasławskie, sławuckie, szepetowieckie i białogrodzkie, należące do ordynacji, a w owym czasie mające wartości przeszło pięćdziesiąt milionów złotych.

Tak bezprzykładne marnotrawstwo wzbudziło łakomstwo innych panów polskich i postanowili z niego skorzystać. Zagrozili księciu ordynatowi, że go zapozwają z rejestru arjanizmu i tem tak przestraszyli słabego na umyśle, iż ten, żeby nie być żywcem spalonym, zawarł tak zwaną transakcję kolbuszowską, na mocy której rozdzielili pomiędzy nich ordynację, nie zastrzegając nawet dla siebie dożywocia, tak, iż zmarł w nędzy, bo naturalnie żaden z obdarzonych przez niego nie pamiętał o nim, gdyż już nikomu nie był potrzebnym.

Trudno wyobrazić sobie podobnego rozboju. Wielu szlachty skalało się tą transakcją, ktokolwiek miał jakiś wpływ, czy w rządzie, czy na sejmikach, ten urwał dla siebie jakiś mniejszy lub większy obłamek tej kolosalnej ordynacji. Pominąwszy, co już wspomniałem, o wzbogaceniu się domu Sanguszków, jeden Lubomirski wziął Dubno, Równo, Szarogród i Szydełków, drugi Cudnów, Lubar i Kolbuszów, trzeci Pikowszczyznę, czwarty Bar; dom Czartoryskich wziął Stary-Konstantynów i Mikołajew; kanclerz Małachowski sam Ostróg z przyległościami; marszałkowi Rzewuskiemu dostał się Nowy-Konstantynów. Trzeba oddać sprawiedliwość Potockim, że tylko ich dom nie umoczył rąk swoich w mętnej i brudnej wodzie.

Trzeba było wyroku sejmowego do uprawnienia tego bezprawa. Poniński podjął się skłonić skonfederowane stany na sejmie do uprawnienia tej zbrodniczej transakcji. Mówiono wówczas, że za tę usługę Poniński miał przyobiecane sobie dwa miliony, za które później kupił cudnowskie, barskie i lubarskie włości. Zresztą nie trudno było otrzymać to uprawnienie od sejmu konfederacyjnego, który nie jednomyślnością, ale większością głosów stanowił. Nakoniec ledwie że nie wszyscy panowie i wielu z szlachty było interesowanych, żeby transakcja kolbuszowska się utrzymała.

Pan Br., który miał za sobą mocną partję, a nic mu się nie dostało z tej ordynacji, z początku opierał się temu, ale gdy Poniński wyrobił mu prawo kaduka na Lubomlszczyznę, jakoby po wygaśnięciu domu Wyhowskich, który ani myślał wygasnąć, więc i on się na to zgodził. Jednak na tym sejmie odezwał się zakon Maltański, upominając się o swoje, komandor Sacramosa przyjechał z Malty z pełnomocnictwem traktowania z rzeczpospolitą, jako poseł od wielkiego mistrza.

Znałem go osobiście i umiałem pozyskać jego względy z powodu, iż byłem z małej liczby Polaków, którzy z łatwością tłumaczyli się w języku włoskim. Był to człowiek zręczny i często bywał używanym w interesach dyplomatycznych zakonu. Zaraz on poznał, że nie było sposobu zwalić transakcji kolbuszowskiej, w której obronie stały łakomstwo i samolubstwo pierwszych ludzi w naszym narodzie i mnóstwo szlachty tą transakcją wzbogaconych; szło mu więc tylko o to, żeby coś utargować. Dla dokonania tego uderzył w próżność księcia Ponińskiego. Zaproponował mu utworzenie nowego języka zakonnego w Polsce (prowincje uległe wielkiemu mistrzowi nazywały się językami), którego wielkie przeorstwo jemu ofiarował, z dyspensą jemu jednemu służącą od bezżeństwa i ślubów profesji zakonnej. Wielce się podobiała księciu Ponińskiemu ta nowa godność, a przy niej prawo rozdawania znakomitego orderu ludziom tak próżnym i tak chciwym błyskotek, jakimi są młodzi Polacy, chwycił się więc tego z namiętnym zapałem. Takim sposobem urządził się język polski z czternastu komandorjami i uposażeniem wielkiego przeoratu trzydziestotysięczną intratą rocznie. Poniński otrzymał od wielkiego mistrza patent na tę dostojność, a od Ojca Świętego wszel-

kie potrzebne dyspensy. To przydało nową powagę do tyłu innych, jakie już skupiły się na księciu. Cała poślaczana młodzież garnęła się do niego po krzyżyki; i wtedy, choć się o to nie starałem i ani grosza za to nie dałem, za wstawieniem się komandora Sacramosy, książę raczył mnie umieścić w gronie kawalerów, a nawet przysłał mi krzyżyk, który dotąd jest u mnie, kazał przyozdobić brylancikami w dowód swojej szczególnej łaski i życzliwości.

Żeby przekonać do jakiego stopnia żądza błyskotek była wówczas wygórowaną między szlachecką młodzieżą przytoczę jeden ciekawy fakt. Pewien książę panujący w Rzeszy Niemieckiej, ale na państwie mikroskopijnem, książę L..., będąc w Paryżu tyle narobił długów, że kupcy paryscy zabierali się osadzić go w więzieniu. Biedne książę zasłaniało się jak mogło, ale koniec końcem zostałoby w nim zamknięte, gdyby na jego szczęście stary Tepper nie przybył do Paryża. Książę zaraz do niego uderzył, prosząc żeby go ratował; że zaś Tepper był człowiekiem otwartym i łatwym w interesie więc księcia wykupił; ale znając Polskę, położył taki warunek, za pomocą którego swoją należność z procentem odebrał. Książę ustanowił order i nazwał go orderem Boskiej Opatrzności *in gratiam* ocalenia króla polskiego z rąk tak zwanych królobójców. Insignja tego orderu były: gwiazda złota, w środku jej oko w trójkacie i napis *vide cui fide*, a na ramionach szeroka wstęga morowa błękitna ze złotymi brzegami. Tepper przyjął na siebie urząd kanclerza tego orderu, z powierzchowności swojej przypominający cokolwiek order Orła Białego i jego rozdawnictwo, na które rachował, iż swoją należność odbierze. Nie pamiętam już z jakiego powodu postanowił fundator, że każdy hrabia Tarnowski jest *equitem natum* tego orderu.

Dobrze się wyrachował Tepper, gdyż na próżności polskich paniczów założywszy spekulację, ta zawieść go nie mogła. Kiedy mi Tepper ofiarował ten order, parskąłem śmiechem i powiedziałem mu: „Za stary ze mnie wróbel, żebym się dał złowić na owies”. On sam serdecznie ze mną się naśmiał z tych młodych paniczów, którzy dobijali się o ten order. Z początku cena jego była dwieście czerwonych złotych i czas niejaki się utrzymała, potem stopniowo zniżyła się aż do dwudziestu pięciu. Również

z początku trudno było spotkać w Warszawie panicza dobrze urodzonego bez gwiazdy Boskiej Opatrzności na piersiach, ale szlachta na prowincji zamieszkała nie podzielała podobnego szafu i żartowała sobie z tych, którzy z tą ozdobą pokazywali się między niemi.

Ten szaf ustał i w Warszawie, nie dlatego, żeby młodzież dworu i miasta stała się roztrośniejszą, ale że konkurencja z orderem S-go Stanisława, świeżo ustanowionym w Polsce, stała się dla orderu Boskiej Opatrzności zgubną. Biuro tego królewskiego orderu było u Ryxa, kamerdynera królewskiego. Kto kilka tysięcy zaryzykował, byle *possessionatus et bene natus*, mógł być pewnym, iż go otrzyma. Ryx podejmował się tych wyrobków, które niemało pieniędzy napchały do szkatuły królewskiej, gdyż szlachta nawet zapadłych prowincyj dobijała się o ten order i żeby go dostać, nie żałowała pieniędzy. Wszyscy szambelanowie, pełniący służbę przy królu, zostali mianowani kawalerami orderu S-go Stanisława, mnie jednego ten zaszczyt ominął. Przyznam się, że to mi było przykro, ale tylko przez krótki czas, bo jakoś to sobie wyperswadowałem. Nigdy o ten order się nie starałem, dlatego go i nie dostałem, gdyż kto o co się nie stara, to mu zawsze ktoś drugi starający się z przed nosa uchwyci.

Koniec orderu Boskiej Opatrzności był taki, że do tego stopnia wpadł w poniewierkę, iż pan Tepper, który z początku sprzedawał go po dwieście czerwonych złotych, później zniżał jego cenę, tak dalece, iż na koniec spadła na dwanaście; ale i to było zawiele, gdyż nikt nie chciał go nosić. I jak wprzód nie było zgromadzenia, rozumie się w stolicy, gdzieby połowa mężczyzn nie była złożoną z kawalerów orderu Boskiej Opatrzności, tak potem te wszystkie gwiazdy nagle zniknęły, że pan kanclerz tego orderu musiał zamknąć swoją jurydykcję. Już on mało o to dbał, bo wybrał z naddatkiem to, co mu zawinił wielki mistrz i fundator tego orderu. Ostatnim, który go nosił do końca, był niejaki Fijałkowski z województwa bractawskiego, wielki awanturnik i kartownik, którego widziałem w roku 1787 na pokojach królewskich z gwiazdą Boskiej Opatrzności i jeszcze drugą, niewiedomo jaką. Że zaś zawsze unikałem zbliżania się do podobnych ludzi, pomimo więc ciekawości, nie mogłem się

dowiedzieć, kto tę drugą gwiazdę rozda, a możeby on sam nie umiał się z tego wytłumaczyć.

Majątki cierpliwą pracą nabyte, tworzą w ludziach przymiot, gdyż praca jest matką cnót i one jedne przechodzą z pokolenia do pokolenia. Majątki ze zbytnią łatwością utworzone, demoralizują ludzi i same przez się nikną, gdyż nie mogą mieć Boskiego błogosławieństwa, które jedynie je utrwała. Dlatego właśnie kartownicy, ludzie powszechnie niemoralni, nawet tacy, którzy tylko na pewno grając, nic rzeczywiście nie ryzykują, zwykle w nędzy kończą swój żywot. Toż samo i ci, którzy się wzbogacają krzywdą bliźniego, bo choć im samym udaje się częstokroć umrzeć w majątku szerokim, a niepocziwie nabytym, jednak rzadko kiedy ten majątek dotrwa do trzeciego pokolenia ich krwi. Nie chcę zbyt wchodzić w szczegóły naszych dziejów domowych, ale to pewna, że nigdzie więcej jak u nas nie sprawdza się przysłowie, że *male parta idą do czarta*.

Rozwiązała się na koniec konfederacja, skończywszy swoje czynności. Posłowie się porozjeżdżali, a marszałek sejmu, otrzymawszy podskarbiostwo wielkie koronne, swobodnie oddał się facjendarstwu, które jako mu w krótkim czasie olbrzymi utworzyło majątek, tak też w krótszym jeszcze czasie wyróciło go do szczytu. W tym odmęcie nietylko że jego ojcowizna pochłonięta została, ale nawet zmuszonym został do sprzedania swoich urzędów. Później odsądzonym został od klejnotu szlacheckiego i od nazwiska swych przodków i przezwano się Tukur (z francuskiego *Tout court*). Pod tem przybranem nazwiskiem skończył nędzne swe życie w jakiejś żydowskiej karczmie w okolicach Rawy.

Jednak bezstronnie spoglądając na dzieje ojczyzny, trzeba przyznać, że sejm, który roku 1775 skończył swoje czynności pod łaską księcia Ponińskiego, chociaż sankcjonował pierwszy podział, czego nie mógł uczynić bez zupełnej zguby Polski, gdyż to już było faktem dopełnionym, jednak wiele dobrego zrobił dla kraju. Forma polityczna narodu, jaką wprowadził i poddał pod gwarancję imperatorowej rosyjskiej, nie była nowością rewolucyjną, ale rozwinięciem przyrodzonym dawnej konstytucji, i dlatego bez żadnej trudności przyszła do skutku. Śmiało można powiedzieć, że od śmierci Jana III-go pierwszy raz naród za-

czął oddychać w zupełnem bezpieczeństwie pod rządem rzeczywistym, a nie rzekomym. Już wyżej przytoczyłem zbawienne dla kraju ustawy tego sejmu, dodam jeszcze, iż miał tę zasługę, że zdołał wyrwać z rąk łupieżców fundusze jezuickie, a przynajmniej znaczne jeszcze szczątki tych obszernych majątności i niemi opatrzyć nietylko wiele szkół świeckich, ale nawet otworzyć drugą akademię w Wilnie, której przewodnictwem do stało się wielkiemu Poczebutowi; a nadewszystko, że obmyślił jakieś środki dla obrony kraju.

III.

Od czasu zwinięcia wojska przez konfederację tarnogrodzką, która się zawiązała za panowania Augusta II-go pod laską Ledóchowskiego, nie było siły zbrojnej w Polsce. Były milicje nadworne panów, ale wojsko rzeczypospolitej było idealne. Pułki piechotne tem tylko istniały, że ich szefowie i oficerowie pobierali żołdy, a jeżeli pułk składał się z półtorasta ludzi, to już było wiele, nawet nie wiem, czy takowy istniał. Kawalerja narodowa była zbiorem szlachty, która pod nazwą towarzyszków zapewniała chorągwie; a towarzysz tyle tylko był żołnierzem, że pobierał sto złotych na miesiąc, raz w rok przedstawiał się swojemu porucznikowi i był mu posłusznym, o ile mu się podobało. Oprócz jednej kompanji konsystującej w Warszawie, artylerji nie było żadnej, ale była szkoła artylerji, założona przez Brühla, która po utworzeniu korpusu kadetów przez Stanisława Augusta zwinięta została. Tu trzeba oddać sprawiedliwość królowi, że można było obmyśleć doskonalszego zakładu dla wychowania wojennego. Z niego wyszli oficerowie pełni honoru i nauki, którzy po zupełnym upadku kraju, przenieśli w życie obywatelskie lub do nowych chorągwi, pod które się zaciągnęli, te szlachetne uczucia, które czerpali w korpusie kadetów. Wielu z nich okazało się pożytecznymi imperatorom rosyjskim, swoim nowym panom, i dosłużyli się wysokich stopni wojskowych. Nie było przykładu, żeby uczeń korpusu kadetów splamił się jakim nikczemnym czynem, w jakimby wojsku nie służył. Ci uczniowie najpomyślniej użyci zostali do wyćwiczenia artylerji i in-

nych gałęzi wojska, którego liczba *effective* odłąd do dwudziestu tysięcy głów dochodziła. Było to jeszcze mało, ale już była jakaś armja, dobrze wyćwiczona, pełna karności, prowadzona przez dowódców honorowych i znających swoje rzemiosło, która jak-by czarodziejską sztuką z niczego powstała.

To wszystko uskutecznić się dało pod konstytucją zagwarantowaną przez imperatorową Katarzynę, w czem dowód oczywisty, że ta wiekopomna pani bynajmniej, jak ją o to niektórzy pisarze obwiniają, nie pragnęła przedłużenia anarchji w Polsce, lecz owszem uprzejmie patrzyła na jej usiłowania dla położenia końca bezrządowi. Zresztą komuż może być niewiadomo, że te wszystkie ulepszenia bez jej zezwolenia obejść się nie mogły. Cały naród wówczas umiał się poznać na tych zbawiennych czynnościach sejmu. Wszystkie konstytucje tego sejmu zyskały wielką popularność u szlachty, jedna tylko ustawa jej się nie podołała, a tą była Rada Nieustająca.

Sama w sobie Rada Nieustająca byłaby rzeczą pożyteczną, nawet w Polsce, gdyby do jej atrybucyj nie byli dołączyli mocy interpretowania praw, przez co na jej korzyść osłabionemi zostały władze prawodawcze, a jeszcze więcej sądownicze. W czasach najwyuzdańszej anarchji, jeżeli węzeł społeczński zupełnie się nie rozprzągł w rzeczypospolitej, to jedynie przez sądy ziemskie, wyłączną magistraturę, która zawsze miała za sobą opinię i ufność obywatelstwa; tak dalece, że sędzia ziemski był nazwany dyktatorem swojego województwa lub powiatu, a to dlatego, że nigdzie skład sądowy nie mógł być złożonym z ludzi tak godnych, jakimi byli członkowie sądów ziemskich w Polsce, bo samą ich organizacją musieli koniecznie jednoczyć w swoich osobach zacny ród, szerokie dostatki, wysokie światło i długotrwałą popularność, którą w Polsce tylko nieskażone sumienie zapewnić mogło.

Ich urzędy były dożywotnie i zależały od wyboru szlachty, zebranej na sejmikach, kierowanych przez starych i doświadczonych mężów, którym wszyscy ulegali, tak dalece, że sędziowie, podsędkowie i pisarze ziemscy, nie większością głosów, ale prawie jednomyślnością zostawali obierani. Na sejmikach poselskich i deputackich było otwarte pole do intryg, stronnictwa miały na nich nieograniczoną działalność, bo szlachta na pro-

wincji zamieszkała tak mało dbała o te urzędowania czasowe, odrywające ich od pobytu w gnieździe ojczystem, że w głosach swoich powodowała się przyjaźnią, obawą narażenia się na nienawiść magnatów i rozmaitemi względami. Stąd synom wielkich panów, za rekomendacją ich ojców, a nawet ich jawnym klientom, nie przeszkadzała cieszyć się poselstwem na sejmach. Więcej było rozważy w wyborze deputatów na trybunał, ale że ich urzędowania nie trwały roku, więc i tu nie było wielkiego oporu z jej strony forsownej woli magnatów.

Wcale co innego było z urzędem sędziego ziemskiego, nikt nie chciał puszczać na los swoje i majątku swego bezpieczeństwa, lekkomyślnie wynosząc nad siebie takiego, któremu musiał być posłusznym aż do końca jego żywota. Szlachta nigdy wyzuć się nie chciała z wyłącznego posiadania urzędów sądowych podkomorskich i ziemskich i tak była o to zazdrosną, że żadnego magnata do nich nie dopuszczała. Że zaś sędzia szlacheć mógł magnata wyzuć z majątku, więc przez to utrzymywała się równowaga między magnatem a szlachećcem. Odsunawszy pierwszego od sądownictwa, a czyniąc wybór między swojemi, z wielką zapobiegliwością szukała w kandydacie rękoi i znacznego majątku, żeby nie był narażonym na zaprzędałość; surowość obyczajów, żeby nie uległ innemu rodzajowi korupcji; charakteru tęgiego, żeby nikt nie mógł go przestraszyć; żywota chrześcijańskiego, żeby nie lekcewał swojej przysięgi; wreszcie nauki prawa, żeby go juryści nie podeszli. Jeszcze urząd sędziego nie wakował, a już opinia powszechna naznaczała tego, który go miał piastować.

Podkomorzowie i sędziowie ziemscy byli ludźmi najwięcej niezawisłemi w narodzie; więcej nawet od magnatów, gdyż ci, pomimo ich kolosalnych posiadłości, nawykli do zbytków, któremi podsycali swoją popularność, omal że nie ciągle byli w potrzebie i gdyby nie starostwa, które od królów otrzymywali, ich majątki oddawna byłyby runęły. Później, jakieśmy widzieli, skoro ten środek wywyższenia fortuny był im odjęty, jeden po drugim majątki magnackie pochłonięte zostały nierządem i zbytkiem.

Królowie polscy nie lubili podkomorzonych i członków sądów ziemskich, bo ich niepodległość w narodzie nie mogła im się

podobać, stąd nie było przykładu, żeby który z nich otrzymał jaką królewszczyznę. Oni też o to nie dbali, bo ich majątki, chociaż nie mogły się równać z majątkami magnatów, były jednak znaczne, a zbytków nie robili. Wprawdzie żyli oni z gościnną okazałością, ale zawsze po szlachecku, co już wyrażało umiarkowanie. W czasie kadencji trzymali domy otwarte, poili i karmili każdego proszonego i nieproszonego, który do nich przybywał; ale ani utrzymywali zgrai próżniaków, ani znali tej wykwinności, która dla panów stała się potrzebą. Zresztą, po odbyciu kadencji jechali do swoich dóbr, a nie spuszczając się na oficjalistów, własną pracą i staraniem wynagradzali sobie sownie kosztą w czasie kadencji poniesione. Bezrząd, stan normalny magnata, nie był tolerowany u szlachcica. Być dobrym gospodarzem i zapobiegliwym rolnikiem, było jednym z głównych warunków do otrzymania dożywotniego sądowego urzędu. Szlachcic na sejmiku nie dałby za nic kreski bezładnikowi.

Znałem osobiście wielu sędziów. Byli to mężowie wzorowi nie tylko pod względem pobożności i cnót chrześcijańskich, ale nawet światła, chociaż to światło nie okazywało się w formie zagranicznej, która zawróciła głowy wyższemu towarzystwu. Oni też posiadali nieograniczoną ufność w obywatelstwie i rzeczywiście wybierali posłów i deputatów, gdyż kto miał za sobą sąd ziemski, ten mógł się pochwalić, że cały powiat ma za sobą.

Pomyślność obywateli nie tyle się opiera na dobroci samych praw, ile na poczciwości tych, którzy jakiekolwiek prawa stosują. Sędziowie nasi nie przestrzegali litery prawa, ale zwykle kierowali się jursprudencją, która sama z siebie wyrobiła się z potrzeb miejscowych tych, którzy ich jurydykcji ulegali. Stąd w dwóch graniczących z sobą województwach, podległych temu samemu prawodawstwu, częstokroć to wspólne prawo inaczej w jednym, inaczej w drugim było stosowane, co może gorszyć teoretycznych prawników, ale każdy praktyczny sędzia na to się zgodzi, że tak być powinno. I wszędzie tak będzie, gdzie tylko bieg przyrodzony sądownictwa żadnym obcym mu żywiołem nie będzie uszkodzonym, bo prawo, rozumie się rzeczywiste, a nie rzekome, nie jest wymysłem indywidualnego światła, ale wyrobem potrzeb społeczności.

Ustanowienie więc magistratury tłumaczącej prawa było rzeczą nie tylko niepotrzebną, ale nawet szkodliwą, gdyż naruszało powagę sądów ziemskich, tak miłych narodowi, poddając je poniekąd pod kontrolę ludzi obcych żywiołowi sądowniczemu. Z drugiej zaś strony, interpretacja praw była targnieniem się na atrybucje sejmów, bo konstytucja krajowa sejmom wyłącznie przyznała moc władzy prawodawczej; a cóżby znaczyła magistratura pisząca prawa, skoro druga magistratura tłumaczyłaby prawa przez pierwszą głoszone? Nakoniec Rada Nieustająca, samą instytucją swoją wzniewała słusznie obawę, żeby przez nią nie zostały zniesione prawa obyczajowe województw i ziem, które na żadnej literze się nie opierały, a jednak niemniej od praw pisanych były mocne. To zaś zniesienie praw obyczajowych byłoby przeciwne statutowi Aleksandra, i wyrzuciłoby praktyczne prawodawstwo narodu.

Nie będąc prawnikiem, te uwagi nie daję za moje własne; to tylko powtarzam, co mi wówczas mówili mężowie zestarzali w powołaniu sądowniczym, nawet stronnicy króla, kiedy przed niemi okazywałem zdziwienie, że Rada Nieustająca tak jest niepopularną u szlachty. Zresztą trzeba oddać sprawiedliwość rozsądkowi naszego narodu, który na stanowisku prawnem zawsze się okazał nieomylnym, że tej magistraturze, zawsze złożonej z członków światłych i cnotliwych, nie dopuścił wykonać żadnego nadużycia.

W owym czasie król wielce był zajęty panią starością Opeską i kochał się w niej jak ośmnastoletni młodzieniec. Wieczory najczęściej u niej przepędzał, a pomimo tego co rano pisywał do niej listy, na które odpisywała nie z własnej głowy, bo ani zbyt wielkiego przyrodzonego dowcipu nie miała, ani też była karmiona nauką, gdyż oprócz francuskich romansów, nic nie czytała. Miała ona przy sobie Francuskę, panią Blanmenil, kobietę światłą, która jej listy układała, ona zaś tylko je przepisywała, czem u króla uchodziła za bardzo rozumną.

Poznałem się z panią starością i z początku często u niej bywałem, będąc zawsze dobrze przyjętym. Była z niej kobieta grzeczna, oczy miała błękitne, włosy obfite, ale może zanadto jasne, uśmiech uroczy, który często pojawiał się na jej koralowych ustach, pokazując przeszliczne ząbki, nos nieco zadługi.

Tak była świeżą, że nie potrzebowała używać różu. Jej ciało było jakby utoczone z alabastru, a najwięcej zniewoliła króla gładkością nóżki i rączki. Ten ostatni warunek był niezbędnym dla kobiety chcącej się jemu podobać; tak dalece, że kiedy pan Boskamp przywiózł mu młodą Greczynkę z Stambułu, która wiele o sobie miała rozgłosu, można nawet powiedzieć, że dla swojej nadzwyczajnej piękności mogłaby uchodzić za ósmy cud świata i nic podobnego w życiu mojem nie widziałem, to jednak król nią wzgardził dlatego tylko, że miała płaską nogę i rękę niezgrabną.

Starościna Opeska była miłą w obcowaniu, chociaż bez uderzającego dowcipu. Nie lubiła mówić po polsku, co jej można było wybaczyć, bo miała akcent litewski tak wyrazisty, że słysząc ją, trudno było wstrzymać się od śmiechu. Była o nią straszna wojna między panami Str. a Ciech., w której może blisko sto ludzi poległo, a to z powodu, że pan Ciech., zdziczały Litwin, chciał pomimo jej wstrętu mieć ją za żonę i usiłował porwać ją gwałtem. Omal że w Ucinach nie odnowił się dramat zamku ostrogskiego, kiedy książę Sanguszek porwał piękną Halszkę. Było najazdów bez liku, ale Str. zawsze się obronili. Nakoniec krewni panny wywieźli ją do Warszawy i oddali pod protekcję króla. Król zaraz ją pokochał, a kochanek z koronowaną głową trudno, by znalazł opór, jakoż dziewica mu się nie oparła. Że zaś trzeba było wydać ją za męża, bo była z szlacheckiego, a nawet świetnego rodu, znalazł się pod ręką awanturnik Włoch, jeden z tych, którzy byli w łaskach u króla, ale z zaciej krwi urodzony w swoim kraju i pełen rozumu, który podjął się grzech królewski wziąć na swój rachunek. Ożenił się *ad honores* z nadobną Litwinką, a król dał mu w posagu emfiteunję na starostwo opeskie, przynoszące do dwóchkroć sto tysięcy intraty i indulgenat. W kilka miesięcy po ślubie urodził się młody starościc.

Znałem pana starostę opeskiego, którego tytułowano hrabią. Nosił dwie gwiazdy: jedną Ś-go Stanisława, drugą jakąś zagraniczną. Był z niego człowiek czytany, wielce przyjemny w obcowaniu i wszystkim nadskakujący, a król bardzo go lubił. Pan starościc przy mnie się rodził i wyrósł, był podobniuteńki do króla nie tylko z twarzy, ale i z charakteru, takież pochop do

marnotrawstwa i rozpusty, takąż łagodność i uprzejmość. Był też powszechnie lubiony, tyle tylko, że nie miał jego rozumu i niczego uczyć się nie chciał. Król po swojej abdykacji wyrobił od imperatora Pawła, że mu starostwo opeskie zamienił w dobra dziedziczne, czem uczynił go panem. Później wziął żonę z możnego domu na Litwie.

Często bywałem u pani Opeskiej, a jeżeli potem moja noga w jej domu nie powstała, to z następnego powodu. Posiadałem piękny majątek po-jezuicki, miałem przeszło dwakroć sto tysięcy kapitału i własną kamienicę w Warszawie, uważałem się więc za majętnego; a że zawsze byłem rządnym, uchodziłem za bogatszego jeszcze, niż byłem nim rzeczywiście. Otóż uroiło się pani Blanmenil zostać moją żoną, ciągle się do mnie wdzięczyła i żeby mnie złowić miłością własną, usiłowała dać mi do zrozumienia, że jest we mnie zakochana.

Przebiegła Francuzica była nieszpeta i chociaż nie pierwszej młodości, mogła się jednak podobać. Nigdy męża nie miała, a że ją nazywano panią, a nie panną, to dlatego, że była kano-niczką w jakiejś kapitule francuskiej, której dystynktorjum na błękitnej wstążce zawsze na sobie nosiła. Ale choćbym nawet nie był postanowił żyć i umrzeć w bezżeństwie, jej zabiegi na nicby się nie przydały, bo czułem wstręt do niej. O tem pani Blanmenil aż nadto mogła się przekonać, gdyż przybrałem postać niedomyślającego się, czego chce odemnie. Ale ona nie dała za wygraną.

Ponieważ zupełnie o władnęła panią starością Opeską, wówczas wszechmocną u króla, więc przez nią usiłowała trafić do zamierzonego celu i ta zaczęła mnie swatać z swoją konfidentką. Że zaś wręcz powiedziałem, że z tego nic nie będzie, nasadziła na mnie króla i przez to postawiła mnie w kłopotliwym położeniu. Przyszło do tego, że król oświadczył mi wolę swoją, bym się żenił z tą, do której jakoby się zalecał, obiecując mi złote góry, jak tylko zostanę jej mężem, mianowicie łowiectwo nad-worne litewskie, które wtedy właśnie zawakowało i swój order.

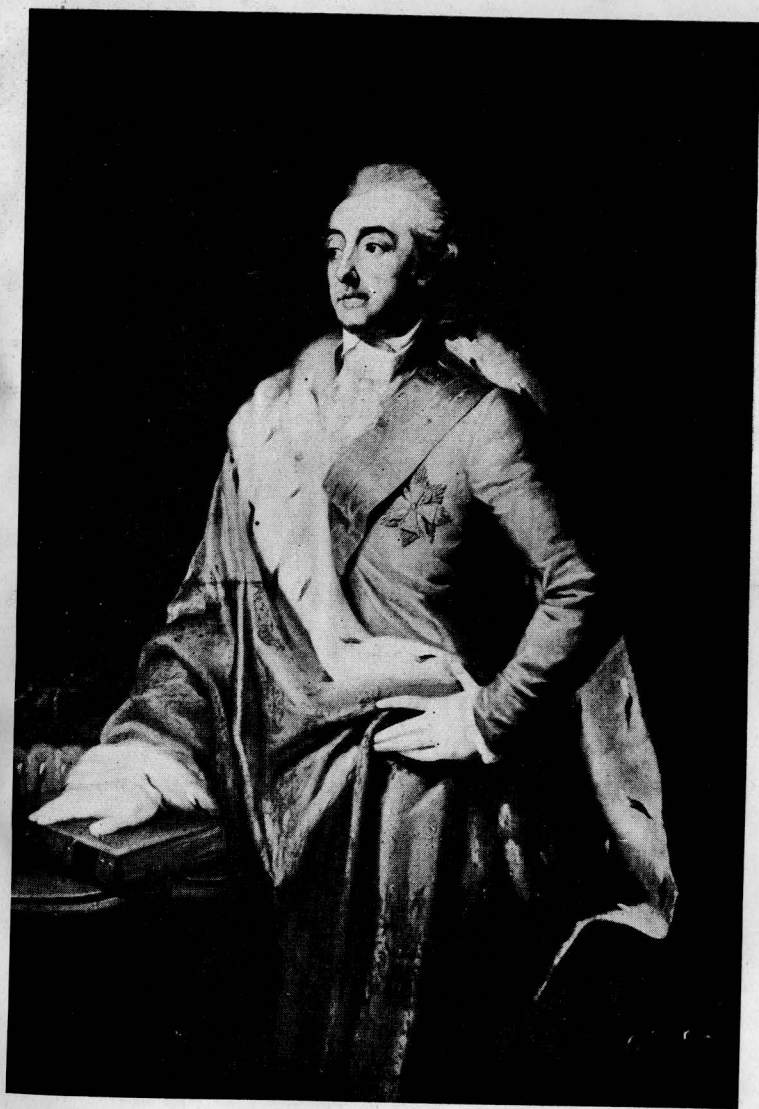
Odpowiedziałem królowi, że nigdy nie myślałem zalecać się pani Blanmenil na męża, ani nawet na amanta; że mam braci, których dzieci za swoje własne uważam i im zostawię to, co przy-lasce Pana Boga moją oszczędnością i szczęśliwemi okoliczno-

ściami udało mi się zebrać; że gdy od mojego postanowienia nie odstąpiłem dla żadnej panny z szlacheckiej krwi polskiej, to pewno nie dam nad nimi pierwszeństwa cudzoziemce, o której ani wiem, ani chcę wiedzieć skąd się wzięła; że nie jestem dość możnym, abym aspirował do dygnitarstw i gwiazd, które zmieniłyby tylko skromny tryb mojego życia i tem doprowadziłyby mnie do ubóstwa; nakoniec, że jeżeli ta moja ekskuza ma obrazić panią Blanmenil, iż aż narazi mnie na niechęć Jego Królewskiej Mości, pana mojego miłościwego, gotów jestem opuścić dwór, stolicę, a nawet Polskę i przenieść się do Galicji, by żyć pod rządem, któremu jestem zasłużony, jakkolwiek przykro mi będzie opuścić służbę tak dobrego, a przyrodzonego mojego pana.

Król mi na to rzekł łaskawie, że chciałby mnie widzieć połączonym z panią Blanmenil, która jest z zacnego rodu i tyle ma przymiotów, że nie może jak tylko uszczęśliwić tego, któremu odda swoją rękę, wszakże gdy wola moja nie zgadza się z jego radą, niech i tak będzie, a czy żonatego, czy bezżennego, zawsze moja służba jest i będzie mu miłą. Ucałowałem rękę królewską, dziękując mu za te łaskawe wyrazy, ale pomimo tych jedwabnych słówek, poznałem, że naraziłem się królowi.

Odtąd zaprzestałem bywać u pani starościny, ani korzystałem z jej zaproszeń; a gdy razu jednego wymawiała mi to na balu u króla, odpowiedziałem jej: „Miałbym sobie za zaszczyt i szczęście być prawie domownikiem pani, jak nim byłem wprzód, ale że pani zapewniła mnie o łaskawych dla mnie sentymentach pani Blanmenil, o których nie wolno mi wątpić, gdyż bez nich nie ofiarowałaby mi swojej ręki, której przyjąć nie mogę, więc i sumienie i delikatność zmuszają mnie do unikania jej przytomności, gdyż ta rozdrażniałaby tylko jej uczucie, a mojego postanowienia bynajmniej nie odmieniła”. Że zaś powiedziałem jej to tonem żartobliwym, po jej spojrzeniu na mnie poznałem, żem ją obraził do żywego. Odtąd nie tylko że zaprzestała mnie zapraszać, ale nawet nigdy moich ukłonów odklonem nie nagrodziła. Takim sposobem wywinąłem się z przykrego położenia.

Król nigdy mi nadto łaskawego oblicza nie okazał i na to byłem wyrozumiały. Miałem na sobie grzech, który mnie przegradzał od jego ufności, a tym grzechem była moja służba u nie-



ADAM KAZIMIERZ CZARTORYSKI
GENERAL ZIEM PODOLSKICH

boszczyka króla, tak sownie wynagrodzona starostwem. Były jeszcze inne powody jego obojętności dla mnie. On rad był mieć przy sobie ludzi zupełnie od niego zawisłych, bądź w nadziei otrzymania jakich łask, bądź przez wdzięczność za łaski już otrzymane, ja zaś byłem pod tym względem zupełnie niepodległym. Starostwo rozowskie, które za sto tysięcy odstąpiłem, było darem Augusta III-go; po-jezuickizna, która mi się dostała, nietylko że nie wpadła w moje ręce wskutek jego woli, ale nawet bez jego wiedzy. Jeżeli za nią mam być komu wdzięczny, to księciu Ponińskiemu, który tym sposobem ułatwił sobie nabycie mojego starostwa, a jeszcze więcej księciu Repninowi, gdyż żeby nie łaska, jaką tenże zawsze mi okazywał, książę Poniński ani by o mnie pomyślał. Toż samo i kawalerstwo maltańskie. Pensja cesarsko-austriacka i krzyżyk Ś-go Henryka, były łaskami obcych monarchów. Od mojego króla Stanisława Augusta najmniejszego urzędu ani złamanego szeląga nie otrzymałem i o nic nigdy się nie starałem, tak dalece, że kiedy wszystkim rzeczywistym szambelanom dał order Ś-go Stanisława, mnie jednego ominął. Mój kolega pan Trembecki przyszedł do mnie z radą, bym króla o niego prosił, zapewniając mnie nawet pod słowem honoru, że król tego tylko czeka i zaraz mi go wręczy. Ja mu odpowiedziałem: „Na co mi się przyda gwiazda? Mam krzyżyk jeden, który dowodzi, że byłem na wojnie; drugi, że jestem herbowym szlachcicem, gwiazda zaś Ś-go Stanisława będzie tylko dowodem, że się naprzykrzał królowi. Dotąd się bez niej obchodziłem więc i na przyszłość się bez niej obejdę”. Pan Trembecki trochę się skrzywił, a że widocznie przysłany był od króla, zaniósł więc moją odpowiedź, która mu się wcale nie podobała.

Inna jeszcze okoliczność pobudziła króla przeciwko mnie. Byłem jedynym pełniącym przy nim służbę szambelanem, który nie pobierał pensji, a wszystkim u dworu było wiadomo, że od króla Augusta III-go byłem płatnym. Moi koledzy pobierali po sześć, ośm i dziesięć tysięcy rocznie, a pan Trembecki miał przeznaczonych piętnaście, ja zaś nawet mieszkania nie miałem. Król spostrzegł się na koniec, że to moje wyłączenie było niesprawiedliwością i przysłał do mnie szambelana Kamellego z zapytaniem, czy pragnę mieć pensję?

— Pensji nie potrzebuję — odpowiedziałem — i chcę służyć królowi, ale jeść swój własny chleb, bo ten tylko jest dla mnie smaczny.

— Królowi nieprzystoi przyjmować usług szambelana bezpłatnego — rzekł pan Kamelli. — Odmawiając pensji, narażasz się waćpan na to, że król zażąda jego uwolnienia ze służby.

Na to parsknąłem mu śmiechem w żywe oczy, dodając:

— Dziękuję ci panie Kamelli za twoją przestrożę. Pensji nie przyjmę, jutro zaś podaję się do dymisji.

Ledwo mnie uprosił, żem obiecał wstrzymać się przez jeden tydzień. Powiadano mi, że kiedy Kamelli zdał królowi sprawę z swojego posłannictwa i wiernie opowiedział szczegóły swej ze mną rozmowy, ten się zasępił. Jednak kazał mi powiedzieć, że ceni moje zasługi i prosi, żebym się do dymisji nie podawał. Z początku myślałem, że tylko pragnął wziąć inicjatywę mojego uwolnienia i w tem ani miałem chęci mu się przeciwzić; ale zrobiło się inaczej, przestano mi mówić o pensji. Tak więc zostałem w służbie dworskiej, ale zawsze, jak tego pragnąłem, na swoim chlebie. Do niczego nie byłem potrzebny królowi, ani jego ufności nigdy dla siebie nie umiałem zaskarbić; a że mnie nie wypuścił z swojej służby, to jak mi się zdaje dlatego, iż chciał mieć choć jednego dworzanina nieboszczyka króla przy sobie. I w samej rzeczy miał mnie jednego, bo wszyscy inni rozproszyli się po szerokim świecie, niektórzy przenieśli się do Saksonji, drudzy do prowincyj odpadłych, inni znaleźli przytułek w kraju u naszych magnatów na prowincji mieszkających, a żaden nie chciał być w poczcie sług nowego pana. Jakkolwiek pani starościna Ope-ska szkodziła mi u króla, który i tak niewiele miał serca do mnie, tak się jednak obawiał, żebym mu za służbę nie podziękował, a wiedział, iż to u mnie nie trudno, że gdybym był intrygantem, mógłbym z tej obawy korzystać i otrzymać coś od króla; tylko że niczego nie pragnąłem i cieszyło mnie, że choćby na zawinięcie palca nic od króla nigdy nie dostałem. Nawet moje własne sześćdziesiąt czerwonych złotych za dwie sztuki mozaiki florenckiej, które mu odstąpiłem za tę cenę, przepadły u niego. Mozaiki zabrał, a ja moich pieniędzy nigdy nie widziałem i od dawna mu je darowałem, żeby nie ciążyły na jego duszy.

Starościna Opeska już niedługo cieszyła się swoim panowaniem. Jej miejsce zastąpiła pani Lullier, Francuska, pełna dowcipu, ale nieszczerłnej urody. Była to blondynka małego wzrostu, zgrabna, z noskiem zadartym, piersią śnieżną, twarzą czką nieco dziobatą, oczami pełnymi ognia, ale małemi, tylko rączkę i nóżkę miała prześliczne. Pan Br., łowczy koronny więcej roku napróżno dobijał się o jej wdzięki; toż samo książe podkomorzy, brat królewski. Słabszą była dla króla i niemało naruszyła jego szkatuły przez czas swego panowania, które blisko roku trwało. Z tą najmniejszego stosunku nie miałem i nie przypominam sobie, żebym kiedy z nią jaki wyraz zamienił, gdyż już pani Blanmenil tak mi się dała we znaki, że od każdej Francuski uciekałem jak od zapowietrzonej.

Ale i pani Blanmenil nie miała mnie czego żałować. W kilkanaście miesięcy po tem jej niepowodzeniu zakochał się w niej jeden bogaty Żmudzin, niejaki pan B., wcale gładki młodzieniec, który był porucznikiem w wojsku pruskiem, gdyż miał także wieś około Elbląga. Romans zawiązał się w domu pani starościny, równie jak i jego rozwiązanie się przez małżeństwo. Chociaż pan B. był młodszym od swojej żony, ta jednak tak go zawojowała, że był, jak to mówią, pod jej pantoflem. Zmusiła go opuścić służbę króla pruskiego i jechać z nią do Paryża, gdzie w kilka lat potem umarła; a jej mąż nadszastawszy dużo majątku, na jego szczątkach osiadł pod Elblągiem, bo jego wierzyciele zabrali mu dobra, które posiadał na Żmudzi.

Król mógł się aż nadto przekonać, że nie byłem dostępny ani datkom, ani błyskotkom i że niczem nie będąc związanym do jego dworu, nicby mnie przy nim nie zatrzymało, gdybym doświadczył z jego strony najmniejszego upokorzenia. Że zaś chciał mnie w swojej służbie zachować, użył więc jedynego ku temu środka: zaczął okazywać mi wielką uprzejmość i rzeczywiście tak mnie tem zobowiązał, iż szczerze począłem przywiązywać się do jego osoby. Ile razy przychodziłem do niego na służbę, zawsze mi powiedział coś pochlebnego. Często upoważniał mnie do dania mu rady, jak gdyby jakąś wagę do niej przywiązywał. Nakoniec, chociaż nie byłem ani poetą, ani literatem, zapraszał mnie czasem na czwartkowe obiady, a każdy, który

do nich był przypuszczony, już tem samem w Warszawie miał sławę uczonego.

Na tych czwartkowych obiadach, zaprowadzonych przez Stanisława Augusta, zwykle bywało dwanaście osób. Zawsze jak gdyby *ex officio* byli: ksiądz Naruszewicz, ksiądz Wyrwicz, ksiązę biskup Krasicki, ile razy znajdował się w Warszawie, pan szambelan Trembecki, ksiądz Albertrandi i JW. Chreptowicz podkanclerzy litewski, ci byli raz na zawsze zaproszeni. Pięć jeszcze miejsc wakujących zajęte były przez jakich mężów, bądź miejscowych, bądź przyjezdnych, których zkolei król zapraszał, uważając ich za godnych swojego towarzystwa. Czasem przy czyniano dwa, a nawet trzy miejsca, zwłaszcza podczas sejmów lub innych zjazdów obywatelskich. Ale gdy na tych czwartkowych obiadach rozmowę tylko w języku polskim prowadzono, więc cudzoziemców na nie nie zapraszano.

Do stołu siadano o godzinie trzeciej po południu, a wstawano czasem o szóstej, tak żywą i przyjemną bywała rozmowa. Ileż to, obok rzeczy wzniosłych i nauczających, słyszałem dowcipnych żartów, wychodzących z ust niemniej jowialnego jak uczonego księdza Naruszewicza, który był duszą tych obiadów. Na jednym z nich, na który i ja miałem zaszczyt być proszonym, znajdował się ksiądz Poczobut, ex-jezuita, najpierwszy może astronom ówczesnej Europy. Słyszałem jak dowodził, że niektóre gwiazdy tak są oddalone od ziemi, że ich światło, nim do nas dojdzie, by je zrobić widzialnymi, potrzebuje na to kilku tysięcy lat, a zatem być może, że widzimy na horyzoncie gwiazdy, które może już od dwudziestu wieków istnieć przestały, a znowu inne dopiero za kilkaset lat się pokażą. Ta rozmowa wielce zajmowała króla, który sam będąc uczoneym, różne czynił zapytania, chcąc się w tem objaśnić; a ksiądz Poczobut odpowiadał na nie tak jasno i tak dokładnie, że nawet ten, któryby żadnego wyobrażenia nie miał o astronomji, mógłby go zrozumieć.

Rozmowa o tym ciekawym przedmiocie tak się przedłużyła, że już siódma dochodziła, a my jeszcze siedzieli przy stole. Ksiądz Naruszewicz położył jej koniec następnym wnioskiem: „Jeżeli tak jest, a takowa gwiazda, tyle od nas oddalona, była zamieszkała i miała obserwatorjum astronomiczne, którego teleskopy były do tego stopnia wydoskonalone, żeby przez nie można

było widzieć nietylko naszą ziemię, ale nawet i to, co się na niej dzieje, więc dziś widzianoby przez nie, jak Grecy dobywają Troi". Król i wszyscy śmiać się zaczęli i powstawali rozweseleni. Na tem obiad się skończył.

Innego razu byłem świadkiem wielce zajmującej sprzeczki między panem Trembeckim a księdzem Wyrwiczem. Pierwszy utrzymywał, że co tylko stało się w historii, stać się musiało; drugi zaś dowodził, że takowe zdanie jest fatalizmem, a więc przeciwne dogmatowi chrześcijańskiemu. Pan Trembecki ten zarzut odpierał, mówiąc, że ścisłość założenia z jego wypadkami nie jest fatalizmem, ale dedukcją logiczną; że jeżeli założeniem historii jest stworzenie człowieka, oczywiście więc wszystkie tej historii wypadki muszą być koniecznymi ogniwami wielkiego łańcucha, a przeto takimi a nie innymi.

Przytaczam te dwa ustępy, do których wiele innych mógłbym dodać, jedynie jako dowody, jak wysokie materje traktowały się na tych obiadach i jak mądrym musiał być król, który podobnym rozmowom dawał popęd. Zresztą, stół był obfity i wyborny, bo chociaż król był wstrzemięźliwym w napoju, lubił jednak wykwintność w jedzeniu. Żaden monarcha nie miał podobnie genialnego kucharza, jakim był pan Tremo, kuchmistrz królewski.

Iluz to znakomitych rodaków na tych czwartkowych obiadach widywałem! Każdy bowiem przyjezdny, byle miał odgłos człowieka światłego, a przedstawił się królowi, mógł być pewnym, że przynajmniej raz zostanie zaproszonym, a jeżeli rzeczywiście był mężem światłym, zaszczyt ten kilkakrotnie go spotykał. Nie tylko sama nauka, ale i dowcip przyrodzony dawał do nich przystęp. Adam Wąsowicz, który w życiu swoim nie wiem czy jedną książkę przeczytał, bywał jednak często zapraszany dla niewypowiedzianego dowcipu, z jakim dykteryjki swoje improwizował; toż samo i Kajetan Miączyński. Trzeba było koniecznie być uczonym lub dowcipnym, żeby się podobać królowi. Byli też i tacy, którzy w swojej osobie łączyli te obiedwie zalety, jak na przykład Benedykt Hulewicz, pisarz ziemski włodzimierski, głęboki łacinnik w czasie, w którym każdy Polak umiał po łacinie; poeta szkoły zastarzałej wprawdzie, ale wierny tłumacz Owidjusza, znający zagraniczne języki, przytem tak dowcipny,

że każde słowo wychodzące z jego ust, wszystkich do głośnej wesołości pobudzało. Ksiądz Naruszewicz był jego ścisłym przyjacielem i król bardzo go lubił. Chciał go mianować metropolitą kościołów ruskich i to już było ukartowane. Wyjechał więc na Ukrainę, żeby wstąpić do seminarjum, ale po drodze spotkał się z jedną panną, zakochał się w niej i chociaż miernego majątku, przełożył jednak jej rękę nad jeden z najwyższych zaszczytów, uposażony kilkukroć sto tysiącami dochodu; czem tak się naraził królowi, iż zupełnie utracił jego łaskę.

Widywałem na pokojach króla i na czwartkowych obiadach JW. Antoniego Dzieduszyckiego, pisarza wielkiego litewskiego, członka gabinetu, do którego od mojego powrotu do Warszawy przestałem należeć. Ten pan był biegłym w językach Wschodu i król lubił z nim rozmawiać po turecku. Był to mąż wysokiego światła i rzadkiej dobroci serca. Miałem u niego wielką łaskę. Później opowiem, jak jedynie za jego przestrogą ocalałem mój majątek, z którym omal że się nie rozstałem na zawsze. Na tych czwartkowych obiadach widywałem także pana Kulickiego, budowniczego nadwornego i pułkownika artylerji koronnej, głębokiego matematyka i zawołanego architekta i JW. Ignacego P., później marszałka wielkiego litewskiego, który wtedy właśnie powrócił z Włoch, gdzie skończył swoje wychowanie. Był to młodzieniec, który rozumem i nauką zaczynał zwracać ku sobie oczy narodu, mąż cnotliwy, surowych obyczajów w wieku rozpasanym, szczerze miłujący swoją ojczyznę, ale miłość własną, dzieńczą w jego rodzie, posuwał do najwyższego stopnia, jakkolwiek zrazu ukrywał ją pod powłoką skromności. Byłem świadkiem, jak u księcia generała ziem podolskich, proroczą, że tak powiem, z tego powodu otrzymał naukę od JW. Chreptowicza podkanclerzego litewskiego, męża nierównie głębiej od niego uczonego.

Rzecz była taka. Pan Ignacy podczas obiadu przytoczył fakt historyczny na poparcie jakiegoś swojego założenia, pan Chreptowicz ze zwykłą sobie łagodnością zaprzeczył mu tego faktu. To tak oburzyło pana Ignacego, iż zaczął z zapalem sprzeczać się z mężem, wiekiem i urzędem od siebie starszym, a powszechnie szanowanym. Pan Chreptowicz umilkł, a młodzieniec przybrał postać triumfującego, że tak głośnego z nauki męża po-

konał; tyle tylko, że tamten zapytał go, na jakiej powadze swoje zdanie opiera, a pan Ignacy wymienił mu dwóch historyków. Po obiedzie, gdy całe towarzystwo zebrało się w salonie, pan Chreptowicz wysunął się nieznacznie do biblioteki księcia i wkrótce wrócił z dwiema książkami w rękę, były to dzieła właśnie tych pisarzy, których pan Ignacy wzywał świadectwa. Książkę odczytał głośno kawałki, które mu podkanclerzy nazначzył i pokazało się, że przytoczenia tamtego były błędne, a podkanclerzy miał zupełną słuszość. Wtedy pan Ignacy tak się uniósł, że jął się do zadawania fałszu tym dziejopisarzom, na których dopiero się opierał, czem tak księcia rozśmieszył, iż ten mu powiedział: „Panie Ignacy, przeproś pana podkanclerzego i odtąd na niego się nie porywaj!” Jakkolwiek wzruszenie zwyciężonego było wszystkim widoczne, jednak jako człowiek dobrze wychowany zrobił krok do antagonisty, jakoby przepraszający go, że wszedł z nim w dysputę.

Skończyło się na tem, że pan podkanclerzy powiedział mu te pamiętne słowa:

— Mości panie Ignacy! ludzie jak waćpan są wielce niebezpieczni w narodach wolnych, bo gdy zostaną powołanemi do udziału w rządzeniu krajem, nie znajdują zwykle władzy zdolnej utemperować wysoki ich zarozumiałości. Waćpan i zdolnościami osobistemi i zacnością swojego rodu przeznaczony jesteś do wysokich dostojęństw i będziesz wpływał na losy naszego narodu, jeżeli więc do stosunków politycznych przeniesiesz tę miłość własną, którą okazałeś w rozprawie naukowej, to możesz stać się sprawcą wielkich nieszczęść publicznych.

Między temi, których widywałem u króla, zapomnieć nie mogę pana Alberta Miera, wojewodzica pomorskiego. Był to kawaler gładki, wykwintego nowomodnego wychowania, pisywał lekkie wierszyki pełne wdzięku, tańczył zgrabnie, fechtował doskonale, wielce był zalotny z damami i miał do nich nadzwyczajne szczęście, słowem, był, jak to mówią, kawalerem honorowym, a do tego posiadał znaczny majątek. Z tem wszystkiem, chociaż pozyskał względy królewskie, nie mógł się jednak wynieść na dostojęństwa, gdyż król oglądając się na szlachtę, nie dawał wysokich urzędów ludziom niemającym choćby cokolwiek popularności. Poselstwo na sejm, deputacja na trybunał, czasem

urząd sądowy, był omal że nie koniecznym szczeblem do senataryj, ministeryj, nawet wyższych dygnitarstw, a te zależały od wyboru szlachty, której trzeba było się podobać. Pan Mier podał się później na członka komisji skarbu, ale ledwie kilka kresiek miał za sobą. Mężczyźni go niecierpieli dla jego porywczosci, lada sprzeczka robiła go prawie wściekłym. Podobnie gwałtownego człowieka w całym mojem życiu nie zdarzyło mi się spotkać. To też miał pojedynków bez liku, a kto nie był ochoczym do bójki, ten unikał z nim obcowania.

Wtedy pojedynki na pistolety i szpady były w modzie w stolicy, a staropolska szabla tylko na prowincji była w użyciu i rzadko kiedy na nią potykano się w Warszawie. Między innemi był głośny, bo kilka razy powtarzany pojedynek, między panem Rz., pisarzem pełnym koronnym, szefem pułku fizyljerów, a panem Koz., generałem i szefem pułku dragonów królowej Jadwigi, który konsystował w Cudownie w województwie kijowskiem, fizyljery zaś należeli do garnizonu warszawskiego. Pan Rz. był kawalerem bogatym, potomkiem możnego rodu w Polsce, skoli-gaconym krwią z najpierwszemi mężami w narodzie, to też wszystko wzniewało w nim zuchwałość do najwyższego stopnia posuniętą. Generał Koz., który w mniej świetnem położeniu się urodził i sam musiał sobie torować drogę do zaszczytów, bo nic gotowego nie znalazł, dalekim był od obrażania ludzi i owszem starał się wszystkim podobać. Był mężczyzną prześlicznej urody i temu był winien swój świetny zawód, bo najwięcej do tego przyczyniła się miłość, jaką umiał wzniecić w sercu wielu możnych dam, które go obdarzyły pieniędzmi i posuwały w zaszczyty. Że zaś był nadzwyczaj grzecznym, że jego wywyższenie nie zrobiło go dumnym, jak to zwykle bywa z przychodniami, więc szlachta nie zazdrościła mu jego powodzenia, ale owszem cieszyła się z niego.

Opinia dam dzieliła się między nim a Rz., przyznając im wyższość w piękności i gładkości nad wszystkiemi ich rówieśnikami. Składały one dwie partje salonowe, jedna swojego, druga swojego bohatera usiłowała podnieść. To współzawodnictwo z człowiekiem niższego urodzenia do żywego obrażało pana Rz., który oczywiście szukał z nim zaczepki, ale ostrożny Koz., nie chcąc się narazić kilku możnym familjom, starannie go unikał.

Tak ważyło się między niemi więcej roku. Jedna okoliczność okropne pioruny z tej chmury wywołała. Pan Tomatys przywiózł był z Włoch sławną śpiewaczkę, która wszystkim głowy pozawracała. Ponieważ zawsze lubiłem namiennie muzykę, przeto uczęszczałem na operę dla słuchania jej śpiewu, nawet kilka razy widziałem ją zbliska. Była z niej kobieta nieszpeta, ale tak dalece nie było o co się dobijać; w Warszawie seciny niewiast było piękniejszych. Prawda, że jej śpiew był zachwycający, a przytem była w modzie. Pan pisarz odkochał ją Tomatysowi, który rad-nie-rad połknął pigułkę, ale jej strawić nie mógł. Pan Koz. był wielkiem kobieciarzem, kiedy do jakiej kobiety powziął skłonność, już wszelka roztropność go odstępowała. Pani Todi (tak się nazywała śpiewaczka) podobala mu się, a więc nie zważając na żadne następstwa ze strony pana Rz. i bez tego już mu niechętnego, zaczął się jej zalecać i tak zniewolił, że zerwała z panem Rz. i swój afekt przeniosła na Koz. Ponieważ tamten nie był lubionym, wszyscy więc głosili zwycięstwo ostatniego, tak, że wkrótce o niczem tyle nie mówiono w Warszawie, jak o przezwierzeniu się kochanki Rz. dla szczęśliwego Koz.

Pan Rz. upokorzony wpadł w zapamiętałość i postanowił zemścić się publicznie nad Koz. W teatrze, kiedy ten siedział w łoży z panią Todi, napadł na niego z ludźmi i własną ręką kilkakrotnie kijem go uderzył. Nazajutrz Koz. posłał do niego, prosząc o satysfakcję. Rz. odpowiedział, że jego kij dał mu już satysfakcję, na jaką zasługuje. Zrozumiał co to znaczy skrzywdzony Koz. i że trzeba wprzód jemu odpłacić się inaczej. Nie mógł na niego napaść, gdyż tamten nie ruszył się z miejsca bez kilku swoich uzbrojonych huzarów, we wszystkich kieszeniach nosił nabite krucice, a wreszcie, ponieważ był komendantem warszawskiego garnizonu, nie było więc sposobu do niego dościsnąć.

Pan Koz. wyjechał do swojego pułku i podał się do dymisji, którą otrzymał z żalem swoich oficerów, bo ci byli bardzo do niego przywiązani. Ale jak on sam, tak i oni wszyscy byli przekonani, że munduru już mu się nie godziło nosić. Zniknął tak, że nikt nie wiedział, gdzie się obraca. On zaś krył się w Warszawie, gdzie jednego razu wzięwszy na siebie liberję lokajską, poszedł na redutę, wiedział bowiem, że na niej spotka Rz. i tam w sie-

niach ukrywszy się między lokajami, którzy uważali go za jednego ze swoich, doczekał się pana pisarza. Gdy ten poszedł w pierwszą parę z pewną księżną, z którą żył w stosunkach ścisłych niżeli samej przyjaźni, K. rzucił się na niego, i uderzył go kilkakrotnie kijem, mówiąc: „Oto masz za swoje!” Że zaś zrobił się zaraz natłok, nie dawszy mu się więc opamiętać, skrył się między liberją i zniknął. Jakkolwiek siepacze pana Rz. szukali go w mieście, jednak nie mogli go wytropić. Ukrywał się on w domu księżny de H. L., damy mającej wielkie zachowanie u króla, która pomimo licznych jego niewierności, była do niego stale przywiązana. Stamtąd, przebrany za żyda wyniósł się za rogatki i dostał się do jednej wioski, jaką posiadał w województwie kijowskiem i stąd złamany kij przysłał panu Rz. Z tego nastąpił pojedynek, najsławniejszy jaki kiedykolwiek był w Polsce. Trzy razy strzelali się z sobą, zadając sobie rany, z których żadna nie była śmiertelną. Nakoniec czwartego razu, za decyzją mężów honorowych polskich i francuskich, ułożono, że każdy z nich będzie miał parę pistoletów w rękach, że będą się strzelali w odległości czterech kroków jeden od drugiego, że to ma być pojedynek ostatni, choćby nawet obadwa żywi pozostali.

Oba dobrze strzelali, zwłaszcza Rz. Na nieszczęście K., że pistolety były ze sznelerami, nim wymierzył R., jego pistolet na wiatr wypalił, wziął się więc do drugiego, ale przytomny Rz. natychmiast do niego wystrzelił i trafił go w nogę, tak, że K. upadł. Nie mogąc powstać, krzyknął, by mu podano krzesło, gdyż siedzący chce skończyć pojedynek. Pan Rz., nie chcąc mieć żadnej korzyści nad przeciwnikiem i sobie kazał podać krzesło. Zbolały K. wziął go na cel, ale ten go uprzedził, zgruchotał mu rękę, tak, że wypadł mu pistolet i zaraz zemdłał. Po ocuceniu go, sekundanci ułożyli punkta, przez które te pojedynki skończyły się. Rąk sobie nie podali. K. lewą ręką podpisał, że jeżeli zdarzy mu się w jakim domu spotkać Rz., zaraz wyjdzie; ten zaś podpisał, że go nigdzie szukać nie będzie i że wzajemnie będą się unikać.

Na tem się skończyła ta zawzięta monomachja, w której było dwanaście wystrzałów. Rz. otrzymał ich dwa, K. pięć, a reszta było pudłów, choć oba dobrze strzelali i byli wielce odważni. Pan K. był od wszystkich lubionym. Po rozwiązaniu rzeczypo-

spolitej długi czas był wybierany od szlachty marszałkiem i został senatorem imperjum rosyjskiego, a jeszcze wprzód był otrzymał od króla bogate starostwo braclawskie, w którym i osiadł. Po ostatnim swoim pojedynku już się nie pokazał w Warszawie.

III.

Nadto wiele miałem powodów wdzięczności dla księcia Repnina, żebym u niego nie bywał, ile razy znajdował się w Warszawie. Był to pan wspaniały, wielkiej dobroci serca i wysokich zdolności wojennych i towarzyskich. Bardzo go lubiono w Warszawie, na mnie był ciągle łaskawym i gdybym chciał z jego łaski korzystać dla wyniesienia się, mógłbym przy takiej pomocy aspirować i do wyższych zaszczytów, bo król niczego by mu nie odmówił. Niejedna senatorja i dygnitarstwo dostały się takiemu, któryby ich nigdy nie otrzymał, gdyby nie jego wstawienie się do króla. Razu jednego powiedział mi:

— Dziwi mnie, że nawet orderu Ś-go Stanisława waćpan dotąd nie masz. Muszę przypomnieć królowi, że skrzywdzonym jesteś, będąc jedynym rzeczywistym szambelanem, który go nie ma.

— Najpokorniej upraszam Waszą Księżęcą Mość, byś tego nie czynił — odpowiedziałem. — Wolę być czem nie bądź odznaczonym, niż zmieszanym ze wszystkimi i najszczerzej się spowiadam, że gwiazdy nie pragnę, gdyż chwała Panu Bogu ani na pana, ani na pół-panka się nie pnę, poprzestając na mojem ubogiem szlachectwie.

W rzeczy samej na nicby mi się ona nie przydała, aniby powiększyła szacunek ludzki, bo już nietylko gwiazdy, ale nawet dygnitarstwa i kasztelanje można było dostać za pieniądze. Oprócz ministerstw i województw, omal że nie wszystko można było kupić. Wprawdzie wskutek pierwszego podziału, król utracił ekonomje: mohilewską, niepołomską, sanocką, samborską i część toruńską, zawsze jednak tyle mu pozostawało funduszków, iż gdyby chciał być cokolwiek rządniejszym, aż nadto wystarczałoby mu do królewskiego życia; ale że był marnotrawnikiem, ciągle więc był potrzebnym i niezawsze był delika-

tnym w wyborze środków dla dostania pieniędzy. I tak ponieważ urzędy posłów, deputatów i sędziów były w Polsce obieralnemi, więc królowi trzeba było mieć swoją partję w każdym województwie, na której utrzymanie trzeba było kosztu, że zaś nasza konstytucja była pod gwarancją Rosji, więc imperatorowa, jako interesowana, dla jej utrzymania nie odmawiała wydatków. W każdym województwie był obywatel, który stał na czele partji królewskiej i na to pobierał pieniądze od króla za kwitem przez siebie podpisanym, ale w taki sposób, że jeżeli naprzykład pobierał dwa tysiące czerwonych złotych, to brał tysiąc, a na dwa dawał kwit.

O to wszczęła się kłótnia między królem a JW. Tyzenhauzem, podskarbin wielkim litewskim. Książę Karol Radziwiłł dał być słowo honoru królowi, iż mu w niczem przeszkadzać nie będzie w wyborze posłów i deputatów, byleby król pozwolił mu wpływać na wybór sędziów ziemskich; a wiadomo dobrze jak święte było u tego księcia słowo honoru. Sejmiki więc całej Litwy były taksowane ośmdziesiąt tysięcy czerwonych złotych na rok, których szafarzem miał być pan podskarbi, wówczas ulubieniec królewski. Król więc był pewnym, że z jego strony żadnej trudności nie znajdzie i że w postępowaniu swoim nie będzie się różnił od innych, ale z panem Tyzenhauzem niełatwa była sprawa. Był z niego wielki minister, najmądrzej urządził ekonomję litewskie, zaprowadził w tej prowincji przemysł przedtem nieznanym i podwoił przychody królewskie; ale będąc wysokiego rodu i z siebie bogatym, był więc dumnym, a nawet zuchwiałym i wręcz odpowiedział królowi, że łąć nie umie, że wiele dostanie pieniędzy, na tyle da kwit, że z tych pieniędzy się wyrachuje i że w żadne szachrajstwa wdawać się nie chce. Król tem do żywego został obrażony i zaczął go prześladować. Na sejmie grodzieńskim roku 1784 między królem a podskarbin rozpoczęła się sprawa wielka, niesławę przynosząca pierwszemu, gdy drugi dał w niej dowody najwygórowańszej zuchwałości. Kiedy bowiem na jednej sesji sejmowej król w głosie swoim powiedział: „*Szukałem podpór dla mojego tronu, ale te jak trzciny łamały się pod ciężarem*“, pan Tyzenhauz biorąc to za przymówkę do siebie, która nią była rzeczywiście, przerwał głos królowi i rzekł:

— W tych słowach Waszej Królewskiej Mości jest widoczna do mnie przymówka, którą winienem odepchnąć. Sąd pokaże, czy byłem trzcina, czy drągiem żelaznym. Tymczasem upraszam Waszą Królewską Mość zaniechać to wszystko, co może obrażać moją jeszcze nienaruszoną sławę.

Na innej sesji, pan D., jeden z jego sędziów, gdy się odezwał do niego w tych wyrazach: „Mości panie Tyzenhauz...” ten mu natychmiast odpowiedział: „Wszakże jeszcze jestem podskarbiem wielkim litewskim, czemuż więc waszmość nazywasz mnie po nazwisku, a nie po urzędzie? Musisz pamiętać, że już byłem pisarzem wielkiem litewskim, kiedy waszeć buty sapieżyńskie wycierał, nim król jegomość z tego błota go wyciągnął”. Na to pan D. drżącym z czułości głosem powiedział: „*protesto*”, a JW. podskarbi dodał: „powiedz waćpan *nego*, jeżeli możesz”.

Ta zuchwałość podobała się wielu posłom. Koniec końcem król źle na tej sprawie wyszedł, tyle tylko, że pan Tyzenhauz sam złożył swoje podskarbiostwo, będąc z wszelkich zarzutów przez sąd sejmowy oczyszczony, a ten urząd otrzymał synowiec króla, książę Stanisław Poniatowski, dotąd żyjący w Rzymie.

Jeżeli król dla podsycenia marnotrawstwa zniżał się do podobnych kroków, cóż dopiero mogło być z urzędami będącemi w jego rozdawnictwie? Co do tych ostatnich Ryx był ich faktorem. Wtedy za dwieście dukatów można było otrzymać gwiazdę Ś-go Stanisława; pokażniejszemu za tysiąc sprzedawano przywilej na Orła Białego. Później znacznie spuszczano je z ceny. Ta opłata była niby sekretem, ale wszyscy o tem wiedzieli.

Co do mnie, poczytywałem sobie za ciężki grzech, gdybym czegokolwiek pragnął, bo ani mnie ani mojemu rodzeństwu na niczem nie zbywało. Miecznik jak najświetniej stał w swoich interesach, zwrócił mi pożyczoną sumę i ciągle pomnażał swój majątek. Dla jego syna kupiłem porucznikowstwo w pułku piechoty JW. Raczyńskiego. Był to dwudziestoletni młodzieniec, miał już dobry początek, ale na nieszczęście wkrótce potem zapadł na malignę i umarł. Młodszy zaś synowiec, faworyt ojca, chodził we Lwowie na prawo pod kierunkiem brata prałata. Walentemu niezgorzej się powodziło, gospodarował na mojej po-jezuitczyźnie, za co miał dobre uposażenie, gdyż oprócz wszelkich wygód, pobierał tysiąc pięćset złotych na rok, a tym

sposobem kapitaliki, jakie miał po ludziach, rosły. Miałci on wprawdzie troje dzieci, a kilkoro już mu umarło, ale to co pozostało, było drobiazgiem, jeden z nich miał lat ośm i tego moim kosztem utrzymywałem w konwikcie piotrkowskim. Brat Antoni po kasacie zakonu otrzymał zaraz probostwo kulikowskie w kordonie cesarskim i kanonję lwowską, miał więc do dwudziestu tysięcy przychodu. Siostra Rzepecka, że była wdową, wydzierżawiwszy wieś swoją, przeniosła się z dziećmi do brata prałata i zajęła się jego domem, a on jej synów wychowywał, jednego z nich umieścił w szkole Terezjanów w Wiedniu, dwóch młodszych oddał do szkół we Lwowie, tak, że tylko jedyną córkę miała przy sobie. Chociażby więc nie posiadała wsi dziedzicznej, to o los dzieci mogła być spokojną. Mężynska zawsze była bogatą; co zaś do mnie, oprócz wsi po-jezuickich, któremi zarządzał Walenty, miałem wcale nieszczupły kapitał, którego znaczna część była ulokowaną u Teppera, nie tego starego, wielkiego mojego przyjaciela, gdyż ten już nie żył, ale u Fergussona, który po nim odziedziczył bank i nazwisko.

Jakem już wyżej powiedział, pan Dieduszyci, pisarz wielki litewski i generalny dyrektor poczt rzeczypospolitej, wielce był na mnie łaskaw. Otóż razu jednego, otrzymawszy odemnie słowo honoru, że to co mi powie, nigdy przezemnie wyjawionem nie będzie, powiedział mi: „Młody Tepper wdaje się w zbytki i niebezpieczne roboty i wątpię, żeby długo placu dotrzymał. Słyszałem, że waćpan masz sumę u niego, radzę więc ją podnieść, póki jeszcze pora”. Podziękowałem szczerze za przestrożę i pośpiesznie udałem się do pana Teppera, prosząc o pieniądze, gdyż jakoby wielce były mi potrzebne. Jeszcze jego gwiazda nie zaszła, bez trudności więc odebrałem moją sumę i tę umieściłem u księcia Kazimierza Sapiehy, który zaledwo skończył swoje wychowanie, gdyż nie miał jeszcze lat dwudziestu, a już był generałem artylerji litewskiej. Znałem księcia od dzieciństwa, bo często bywałem w domu jego matki, u której miałem zachowanie. Od roku 1782 aż do śmierci księcia Kazimierza, ani kapitału nie odebrałem, ani procentu nie pobierałem. Miałem tę sumę za pół-przepadłą, bo w swej rzeczy książe na usługach publicznych tak był obdłużył swoją ojcowiznę, że po sprawiedliwem otaksowaniu jego dóbr, wierzyciele niżej połowy

wartości użyczonych kapitałów w ziemi musieli odebrać i ja do tego byłem przygotowany. Jednak zrobiło się inaczej, bo JW. Branicki, hetman wielki koronny, wypłacił i kapitały i procenta wszystkim wierzycielom swojego siostrzana, woląc ledwo nie w trójnasób przepłacić jego dobra, niż znieść, ażeby tyle pozostałych długów ciążyło na duszy i sławie syna jego siostry. Tu trzeba oddać winną sprawiedliwość jego małżonce, że nie tylko temu się nie sprzeciwiła, ale nawet mówić sobie nie dała o żadnym ustępstwie ze strony wierzycieli.

Nie miałem prawa narzekać na mój los, gdyż Opatrzność dała mi więcej, niż na to zasłużyłem. Miałem ziemię, sumy i własną kamienicę o dwóch piętrach. Na dole były sklepy, które wraz z połową drugiego piętra wynajmowałem, druga zaś połowa była próżna, bo ją zachowałem dla braci i siostr, żeby na wypadek przyjazdu kogo z nich do Warszawy nie mieli potrzeby szukać mieszkania, mając brata właścicielem domu. Pierwsze piętro zajmowałem całe dla siebie. Miałem pokój sypialny, gabinet dla pracy, bibliotekę, pokój dla przyjęcia gości, salkę jadalną, dwie komnaty dla sług, kuchenkę, a obok niej spiżarnię, sieni i wszelkie pomniejsze wygodki, czegoż więcej potrzeba? Utrzymywałem parę koni i własny pojazd, żywiłem pięć dusz służebnych, oprócz swojej, na wszystko nie tylko że wystarczało, ale zawsze coś się zostawało z przychodów, a jednak niczego sobie nie żałowałem. Pokoje moje były umeblowane jak się należy, a nawet kilka szacownych obrazów można było widzieć na ścianach. Ten raz przyjęty tryb życia dotąd zachowuję. Jeżeli nie pragnąłem zaszczytów, o które nie byłoby dla mnie trudno, to jedynie z wyrachowania, one do przyjemności w życiu niczego by nie przydały i tylko zazdrość ludzką wywołałyby, a ja nad wszystko ceniłem spokojność.

Jednak ta biedna gwiazda Ś-go Stanisława czas niejaki uporczywie do mnie kołatała. Księżna S., o której dopiero wspomniałem, kilka razy nagliła mnie, bym się o nią starał, a że to zawsze w żart obracałem, zrobiła mi przymówkę, że czasem więcej jest dumy w unikaniu urzędów, niż w staraniu się o nie. Nakoniec przyszło do tego, że mi powiedziała, iż o ten order sama się wstawi za mną do króla. Ale ja jej odpowiedziałem: „Nie czyn tego księżno, bo jeżeli król mi go da, ja go nie przyj-

mę, a nawet uwolnię się ze służby". Księżna zaprzestała mówić mi o tem, gdyż znała mój upór; że zaś była przywiązaną do króla, zachowując dla niego stateczną przyjaźń, która ich miłość przeżyła, nie chciała go więc narazić na zmartwienie. Od-tąd dano mi spokój.

Księżna S. nie była lubioną w drugorzędnem towarzystwie, a to dlatego, że lada kogo nie dopuszczała do swojego salonu. Stąd nienawiść tej masy ludzi, którzy wszędzie się wkręcają i domagają się szacunku, nie zasługując na niego. Paszkwilowano ją niemiłosiernie, ale wcale niesłusznie. Była z niej kobieta wolna, jak większa część dam owej epoki, ale dobroczynna, stateczna w przyjaźni i rzadka pani dla sług. Opisywano ją jako intrygantkę, mieszącą się do rządów państwa, a w istocie ona nawet w czasie największych dla niej zapałów króla, była obojętną temu wszystkiemu, co się tyczyło polityki kraju. Plotki salonowe tylko ją bawiły. Zresztą wszystkie jej uczucia skupiały się w magnetycznem przywiązaniu, jakie miała dla swojego jedynaka. Ten syn, ów Kazimierz, który później tak się wślawił jako marszałek sejmu, wielce mnie lubił i największą we mnie pokładał ufność. Często zapraszał się do mnie na barszcz i flaki, i nie tylko że nie pogardzał moim szlacheckim obiadem, ale nawet powtarzał, iż nikt tak smacznego stołu nie ma w Warszawie, jak Bartłomiej Michałowski. Ta jego dla mnie przyjaźń wyjednała mi łaskę jego matki, która, jak niemniej młody książe, przez długi czas była spotwarzana, jak wszyscy ci, którzy się w Polsce odznaczają wyższością nad innemi, urodzeniem, majątkiem, światłem i cnotami. Aż nakoniec naród się przekonał, że nigdy nie miał cnotliwszego od niego męża.

Jego wychowanie było chybione, nie pod względem nauki, której w obfitości posiadał, ale pod względem prowadzenia, matka bowiem rozpieściła go do najwyższego stopnia. Inny z podobnem wychowaniem byłby wyszedł na hultaja, on przez nie szwankował tylko na ciele, a nie na duszy, bo rozpieszczenie matki zdrowie mu odjęło. Kiedy jeszcze był dzieckiem, matka uroiła sobie, iż chcąc, aby się chowało, powinno mieć jak najwolniejszy żołądek i dlatego ciągle go zalewała lekarstwami, które jej lekarz szarlatan dostarczał. Po każdej operacji dawała dziecku jakiś upominek. Tak go osłabiła temi lekarstwami, że wy-

rosłszy i już piastując dostojenstwa, ciągle chorował na rozwolnienie i był istnym męczennikiem. Usiłował ratować się rozpalać napojami, aż nakoniec się rozpił i umarł w kwiecie młodości. Odbyłem z nim podróż za granicę. W tej podróży były dni, w których bez przesady przy każdej zmianie koni wychodził na osobność, chudy też był jak glista. Ale w tem schorzałem ciele kryła się dusza silnie zahartowana.

Z jakiegoż powodu podróżowaliśmy z sobą? Oto w całej Europie była moda u młodych paniczów stanu rycerskiego jeździć na rewję, które co jesień Fryderyk Wielki, król pruski, odbywał. Książę Kazimierz, już generał artylerji litewskiej, przedsięwziął także asystować tym popisom i prosił mnie, abym był towarzyszem jego podróży. W żadnym wypadku nie odmówiłbym mu tego, cóż dopiero kiedy sam byłem ciekaw oglądać tego wielkiego monarchę, przeciw któremu lat kilka walczyłem.

Pojechaliśmy więc do Neiss w Śląsku, gdzie przynajmniej trzecia część licznego wojska pruskiego była zebrana i gdzie sam król się znajdował. Ileż to tam było cudzoziemców, z różnych części Europy zebranych! Wtedy poznałem margrabiego de la Fayette, który wkrótce miał się wslawić w Ameryce, a potem tak nieszczęśliwą rolę odegrał w rewolucji francuskiej i odnowiłem znajomość z księciem de Lauzun, którego miałem zaszczyt przed dwoma laty poznać w Warszawie.

Generał Schmetau miał zlecenie przedstawić królowi cudzoziemców wojskowych. Książę miał z nim znajomość, więc i mnie zapoznał. Generał wyznaczył nam dzień następny do przedstawienia, a potem miały się już rozpoczynać manewra. Król zajmował dość skromną kwaterę w mieście. Trzeba nam było być w gotowości o ósmej z rana.

Stanęliśmy oba na naznaczoną godzinę. Książę ubrany był w lśniący od złota mundur generała artylerji, ja zaś w skromny mundur ułanów niegdyś Szybilskiego. Było nas sześciu w przedpokoju: dwaj panowie francuscy, których wymieniłem, jakiś generał angielski, widać że personat, bo król na przedstawieniu od niego zaczął, książę Henryk XIV Reuss-Greiz, generał wojsk portugalskich i nas dwóch. Czekaliśmy blisko pół godziny, kiedy drzwi od pokoju królewskiego się rozwarły i on sam w towarzystwie dwóch generałów pruskich wyszedł przyjąć nas w przed-

pokoju. Król stanął, a generał Schmetau nas przedstawił, zaczynając od Anglika; potem był przedstawiony książę Henryk XIV, oddawna znany królowi, potem Francuzi.

Król był w najlepszym humorze. Był już starcem i trzymał się pochylonym, twarz była pomarszczona, ale młodzieńczy ogień błyskał w jego prześlicznych oczach. Miał na sobie mundur z grubego sukna, znacznie wytarty, z przodu poplamiony tabaką hiszpańską, której bez miary zażywał. Na jego ustach pokazywał się lekki uśmiech, nieco sardoniczny, ale więcej łagodny.

Ludzie wyżsi zwykle lubią żartować i nigdy się za żarty na nich samych odwrócone nie gniewają, bo mając wewnętrzne przekonanie o swojej wyższości, czują, że upokorzonemi być nie mogą. Ludzie tuzinkowi przeciwnie, obrażają się choćby najmniejszym żartem przeciwko nim wymierzonym, bo jakkolwiek miną nadrabiają, czują jednak swoje nicstwo; a że nie mają żadnej wartości wewnętrznej, wiedzą dobrze, iż lada żart może zniweczyć ich pożyczaną wziętość. Fryderyk Wielki lubił robić przycinki, ale jeżeli kto mu się odciął dowcipnie, ten nabywał u niego szacunku. Na tej prezentacji chciał zażartować z księcia Henryka XIV Reuss, ale ten odciął mu się dowcipnie i zauważyliśmy, iż odtąd król tylko na serjo z nim rozmawiał. Gdy z kolei i my mu byli przedstawieni, próbował wziąć na fundusz księcia Kazimierza, tylko że ten się nie dał. Zapytał go:

— Co to za mundur książę nosisz?

— Generała artylerji litewskiej — odpowiedział tenże.

— Więc książę jesteś generałem artylerji?

— Nie inaczej, Najjaśniejszy Panie.

— Wiele książę sobie lat rachujesz?

— Zacząłem rok dwudziesty drugi.

— Trzeba od czegoś rozpocząć swój zawód, winszuję księciu takiego stopnia w dwudziestym drugim roku życia. Powiedzże mi książę, czem myślisz być, kiedy doczekasz się moich lat?

— Może królem, tak jak Wasza Królewska Mość — śmiało odrzekł książę Kazimierz.

Ta dumna odpowiedź musiała się królowi podobać, gdyż odtąd był bardzo grzecznym dla księcia.

Kiedy kolej przysłała na mnie, król rzekł:

— Mości pułkowniku wojsk polskich, wszak to nie w polskim mundurze chodzisz?

— Jest to mundur wysłużony wojsk cesarsko-rzymskich, Najjaśniejszy Panie — odpowiedziałem. — Mundur dla mnie miły, bo w nim dosłużyłem się stopnia sztabs-oficerskiego.

— A czemuż, równie jak księcia generała artylerji, nie mam zaszczytu widzieć waćpana w mundurze polskim?

— Już niejednokrotnie miałem zaszczyt przedstawiać się Waszej Królewskiej Mości w tym mundurze cesarskim, że zaś mam prawo noszenia go do śmierci, więc wolałem w nim stanąć przed Fryderykiem Wielkim, niż w takim, który nietyle może mu być znanym.

— A gdzie miałem zaszczyt go widzieć?

— W kilku miejscach, a mianowicie pod Hohenfriedberg, gdzie niebardzo dobrze byłem przyjęty, bo atakując jego kolumnę, otrzymałem kilka strzałów, a zwłaszcza jeden, który zamknął mój zawód wojskowy, gdyż wpakował mi w krzyże kulę, której dotąd pozbyć się nie mogę.

— Poznaję mundur ułanów Szybilskiego. Sam byłem wtedy przy moich kolumnach, kiedyście tak żwawo na jedną z nich natarli. Daliście mi na kilka chwil kęs twardy do zgryzienia, ale tego dnia szczęście przechyliło się na naszą stronę

To mówiąc, rozciągnął swoje ramiona, a potem złączył jedną rękę z drugą (był to zwykły jego gest) i dodał:

— Tak, tak, wasz pułk był czołem jazdy austriackiej, dał się on nam nieraz we znaki. A wasz Szybilski co to był za kawalerzysta! Mój Ziethen nie mógł dość go nachwalić.

Przez te dziesięć dni, które spędziliśmy w Neiss, król nadzwyczaj pokazał się dla mnie łaskawym. Ponieważ nie mogłem siedzieć na koniu, więc kazał mi dostarczyć lekką kolaskę, bym z niej mógł się przypatrzyć manewrom. Kilkakrotnie ze mną rozmawiał, a zawsze o wojnie siedmioletniej, miałem nawet zaszczyt siedzieć przy jego stole, razem z księciem Kazimierzem. Zauważyłem, że król lubił chłodzące owoce, na tym obiedzie zjadł sam połowę melona, a tylko pół kieliszka wina wypił.

Po skończonych manewrach, które wielce króla zadowolniły, kiedyśmy byli u niego na pożegnaniu, zaprosił nas do Berlina,

aleśmy mu służyć nie mogli. Księżę udał się zaraz do Wiednia, a ja i tam z nim pojechałem, Wiedeń bowiem zostawił w mojem sercu miłe pamiątki ubiegłej młodości. Wprawdzie moi łaskawi znajomi już nie żyli, ale chciałem nawiedzić u Tereżjanów mojego siostrzeńca. Zresztą księżę tyle mi okazywał przywiązania, że mu nawzajem serce moje w całości oddałem. Księżę udał się do Wiednia, żeby mu tamtejsi doktorowie pokrzepili zniszczone zdrowie, ale ci nie zdołali mu nic skutecznego poradzić, aż do śmierci cherłał. Trudno mu było poradzić, bo miał dwie namiętności zgubne, którym oprzeć się nie mógł: popęd do trunku i jeszcze inny szkodliwszy. Nieraz mnie rozbawił przeciw szóstemu przykazaniu, za powrotem do siebie przeproszał Pana Boga najdziwaczniejszym sposobem. Nietylko że się modlił głośno, ale na posadzce robił językiem krzyże, poprzysięgał Bogu, że to jest ostatnie jego przewinienie, ale wkrótce potem tę samą scenę odnawiał. Pomimo swoich słabości był on bardzo pobożny.

Księżę lubił Wiedeń i nawzajem wszystkim się tam podobał. Cesarz Józef II, wówczas panujący, okazywał mu wiele względów i lubił z nim obcować. Księżę miał wiele nauki obok niepospolitego przyrodzonego światła i na tem cesarz zaraz się poznał. Co do mnie, znalazłem w Wiedniu świat zupełnie nowy. Wszyscy moi znajomi już nie żyli, ani wodzów, ani kolegów nie zastałem. O wojnie siedmioletniej tak dobrze jakby zapomniano, gdyż wszyscy byli zajęci wojną, jaką cesarz toczył z klasztorami i innemi rozporządzeniami tego wprawdzie światłego monarchy, ale często zbyt ryzykownego w swoich reformach, z których niezawsze pomyślne skutki wypływały. Dopiero na śmiertelnem łożu poznał, że zadaleko się posunął i że świetne teorie niezawsze zastosować się dadzą narodom. Ostatnie jego słowa były: „O niczem nie myślałem, tylko żeby zapewnić szczęście moim poddanym, ale tak byłem nieszczęśliwym, że nic mi się nie powiedło“.

Czułem się obcym w Wiedniu, tak dalece, że kiedy poszedłem po wypłatę mojej pensji, to chociaż mi odliczono moją należność, ale bez żadnej uprzejmości, a nawet w taki sposób, jak gdyby to był dar nie zasłużony, a tylko skutek marnotrawnej dobroczynności nieboszczki cesarzowej. To wszystko sprawiło,

iż zatęskniłem za własnym krajem i gdybym dłużej bawił w Wiedniu, niezawodnie byłbym zapadł na melancholję.

Ksiązę wybierał się na karnawał wenecki, nalegając na mnie, bym mu towarzyszył w podróży, ale acz z boleścią serca, gdyż go bardzo miłowałem, nie dałem się ku temu skłonić. On pojechał do Włoch, a ja dyliżansem puściłem się do niedawno utworzonego królestwa Galicji, chcąc się zobaczyć z braćmi i siostrami. Jacek miał dwie wsi w Galicji, w których często prześiadywał, miałem więc nadzieję tam go znaleźć. Mężynscy cały swój majątek mieli za Wisłą, byli poddanymi cesarskiemi. Ksiądz Antoni prześiadywał albo we Lwowie, albo w Kulikowie; siostra zaś Rzepecka mieszkała na probostwie w tem ostatniem miasteczku. Mogłem się więc spodziewać, iż wkrótce, oprócz Walentego, który mi gospodarował pod Piotrkowem, całe moje drogie rodzeństwo przycisnę do swego łona.

W samej rzeczy zastałem miecznika w jego dobrach galicyjskich, gdzie nowe rozporządzenia go zatrzymały. Nieborak był wielce tem zniechęcony, gdyż jak mówił, gospodarstwo, do którego się przyzwyczaił, już przestało być sposobnem do dalszej administracji. Chciał się wyprzedać i kupić coś koło Porzecza, gdzie mieszkał; ale dobra tak były spadły w Galicji, że swoich pieniędzy za nicby nie odebrał. Skarżył się, że nie umiając ani słowa po niemiecku, nie rozumie, czego od niego żądają; najwięcej zaś bolało go to, że bez pośrednictwa jakiegoś mandatarjusza, nie miał prawa ukarać swojego poddanego. Każda odmiana stanu rzeczy jest przykrą, dopóki się do niej nie przyzwyczaja.

Zresztą wielu obywateli w Galicji zostało skrzywdzonymi: bo nietylko że odjęto wszelkie królewszczyzny tym, którzy je otrzymali w darze od królów polskich, ale nawet tym, którzy je w dobrej wierze za własne pieniądze nabyli, naznaczywszy za nie kompetencję niewynağradzającą i czwartej części przychodów, jakie z nich pobierali. W Prusach takąż samą drogą rząd poszedł, tem tylko różniąc się od cesarskiego, iż jeszcze mniejszą kompensatę przeznaczył. Nie pojmuję dlaczego te rządy odstąpiły od zasady zachowania *jus possidentis*, gdyż tym sposobem można im zarzucić naruszenie prawa własności, które nie może być stracone, tylko karą za przewinienie, a jakże może być kara, kiedy nie było występku? Ta czynność wielu ludzi

przed chwilą majątnych do ubóstwa przyprowadziła, bynajmniej nie wzbogaciwszy rządów. Zresztą sama różność obyczajów i mowy między Niemcami a Polakami, nie mogła robić władztwa pierwszych dla drugich przyjemnem. Do tego dodać potrzeba wzgardę, jaką Niemcy czują dla plemienia słowiańskiego, które wszędzie usiłowali wynarodowić. Nakoniec, oprócz kamiennej drogi, rząd cesarski nic dla pomyślności Galicji nie uczynił. Zaprowadził monopol tytoniu, a co uciążliwsze, soli; wszczepił fiskalność obrzydłą Słowianom i nasłał na Galicję obcych nam narodowością urzędników. Żeby przynajmniej jak rząd pruski wzbogacił świeżo przyłączony kraj pobudzeniem przemysłu, ale on ani jednej rękodzielni w tej części Polski, jaka mu się dostała, nie utworzył. Słowem Galicja zupełnie zubożała i mało kto się wzbogacił w tem nowem królestwie.

Bawiłem cały tydzień u miecznika. Miał on interesa w Warszawie i obiecał zająć do mnie za miesiąc. Bardzo mnie namawiał, żebym kupił jakie dobra dziedziczne w Polsce. „Bracie, mówił, ziemia jest najpewniejszą hipoteką, jej wartość może się czasem zaćmić, ale swojego czasu znowu z większym blaskiem zaświeci. Prowadź się jak chcesz z kapitałem w gotowym groszu, szukaj najbezpieczniejszych lokacyj, zawsze nakoniec spotkasz się z jakim bankructwem“.

Ja mu na to odpowiedziałem: „Nie moja rzecz gospodarować na wsi, nad wszystko bowiem cenię spokojność. Mam dwie wsi pojezuickie, z których corocznie płacę komisji edukacyjnej cztery tysiące złotych i to już mi dokucza, tyle tylko, że darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Dziś w Polsce ziemia szlachecka nie płaci podatku, ale wcześniej czy później nałożą na nią podatki, jak wszędzie, a na co mi zdrową głowę kłaść pod ewangelję? Miło mi jest najspokojniej pobierać procenta z sum, które aż nadto przenoszą moje potrzeby. Z nich podatku nie opłacam i ten tylko wie co ja posiadam, któremu sam się z tego wypowiadam. Przytem proszę dokazać tej sztuki, żeby mając dobra w Polsce, zaraz nie mieć i procesów, a na co mi się to zdało? Boję się procesów jak gorącej wody. Z mojej pojezuickizny dostarczają mi owies, mąkę, leguminy, tak, że tylko na drwa, siano i wołowinę trochę grosza wydaję. Przysyłają mi co tydzień drób, tak dobrze karmiony, że ma sławę

w Warszawie, bo o to się stara nasza Walentowa; a poczciwy Walenty tak się bierze w kupę, że i podatki opłaca i dobytek pomnaża i opatrzył mój mająteczek we wszelkie zapasy gospodarskie i koniec końcem co kwartał przywozi mi jakie parę tysięcy złotych, z których trzecią część zawsze mu wracam. A jakie mam owoce z po-jezuickiego ogrodu! Do tego własną kamienicę tak umeblowaną, że mieszkam jak jaki król, a jeszcze mam kapitaliki. W takie wygody opływam, iż nieraz trwożę się o swoje zbawienie, ażali Bóg mi nie powie po śmierci: ty już miałeś raj na ziemi, a więc cię do mojego nie dopuszczę. A ty mi radzisz nabyć dobra, żeby ludzie złem okiem na mnie patrzyli? Jeżeli mnie przeżyjecie, zrobicie z mojami pieniędzmi co wam się spodoba, ale póki ja żyję, nic z tego nie będzie". Odtąd zaprzestał naprzykrzać mi się swoją radą.

Pożegnawszy poczciwego brata, który kiedyś był jakby ojcem dla mnie, chociaż wtedy był chudopachołkiem, bo dziedzicznej ziemi jeszcze nie posiadał, pojechałem do Lwowa. Ale przed odjazdem uczynił mi zwierzenie, które mnie niemało zadziwiło. Taki skrzętny gospodarz, tak doświadczonego rozsądku, zresztą przeciwny królowi, na starość zachorował na jego order. Wyraźnie mi powiedział, że nicby nie brakowało do jego szczęścia gdyby był orderowym panem i że gotów jest zaryzykować dziesięć tysięcy, byle mu się dostała gwiazda Ś-go Stanisława. Nadto go szanowałem, żeby mu parsknąć śmiechem w żywe oczy, ale ta jego próżność zaboląła mnie. Wymogłem na nim obietnicę, że do nikogo się o to nie uda, gdyż ja sam podejmuję się o mniejszym koszcie ten zaszczyt wyrobić.

We Lwowie zastałem mojego brata prałata, który zwykle tam bawił, zajmując się wiele szkołą duchowną, gdyż był mianowany profesorem prawa kanonicznego w urządzającej się akademii lwowskiej; a nasza siostra Rzepecka gospodarowała mu w probostwie, do którego tylko w czasie wakacyj przybywał. Przyjął mnie *corde et anima*, był bowiem przywiązany do swej rodziny. Dobrze mu się powodziło. Probostwo kulikowskie było uposażone porządną wioską, do tego pralatura intratna, gdyż do niej była przywiązana kamienica, którą całkowicie wynajmował, a sam mieszkał w seminarjum i prócz tego profesorował w akademii.

To wszystko razem zebrawszy, miało do trzydziestu tysięcy intryaty, a był dość oszczędny, gdyż po zaspokojeniu niezbędnych potrzeb życia i opatrzeniu ubogich, na co czwartą część wszystkich swoich przychodów obracał, nie wydał grosza, tylko na książki i tabakierki, których miał zbiór ogromny. Wiele, a może najwięcej było ich darowanych; ale i sam, byle tylko jaka mu się podobała, że podobnej mu niedostawało, na jej nabycie nie żałował pieniędzy. Znając jego w tem dziwaczną namiętność, przywiozłem mu z Wiednia złotą tabakierkę, wcale gustowną, za którą zapłaciłem trzydzieści dukatów, czem go więcej uradowałem, niż gdybym mu wyrobił biskupstwo. Po swojej śmierci zostawił około trzechset tabakierek różnego rozmiaru i gatunku. Były tam tabakiery złote, srebrne, tombakowe, papierowe, drewniane, skórzane, a nawet z kory, jednym słowem cały sklep. Żeby zaś nie niszczyły się częstym użyciem, więc codzień z innej zżywał tabakę.

Z tem wszystkiem, jakkolwiek był i bogatszym i swobodniejszym niżeli w klasztorze, jednak żałował jezuitów, na samo wspomnienie papieża Ganganellego błędną. Wybierał się nawet do Połocka, by tam na nowo oblec się w miłą mu sukienkę, kiedy go śmiertelna choroba zaskoczyła. Zrobił testament, w którym rozpiisał bardzo roztropnie to, co posiadał. Opatrzył kosztą pogrzebu, a kapitały swoje, sześćdziesiąt tysięcy wynoszące, podzielił w ten sposób: połowę zapisał siostrze Rzepeckiej, dziesięć tysięcy Walentemu, a dwadzieścia na kościoły, mianowicie kulikowski; dobytek i sprzęty rolnicze swojemu następcy w probostwie, żeby ten z gołemi rękami nie przychodził do gospodarstwa; meble i piwnicę dobrze opatrzoną miecznikowi; siostrze Mężynskiej swój pierścień kanoniczny, szafir brylancikami okolony, ale nie mały i pięknej wody; mnie się dostały jego srebra, przeszło sto funtów wążące. Co zaś uważał za najdroższe: bibliotekę i kolekcję tabakierek, przekazał oo. jezuitom białoruskim i zostawił fundusz na przewiezienie tego wszystkiego do Połocka, co też egzekutor testamentu, JW. Potocki starosta halicki, uskutečnił. Poczciwy kapłan, o nikim nie zapomniał.

Tak ciasno mieszkał w swoim seminarjum, że mnie nie mógł pomieścić u siebie. Stałem więc w najętej kwaterze, ale codzień chodziłem do niego na obiad i część wieczora zawsze

z nim przepędziłem. Kiedy po tygodniowym pobycie we Lwowie zabierałem się nawiedzić siostrę Rzepecką w Kulikowie, sam mnie odprowadził do swojego probostwa i tam kilka dni dla mnie poświęcił.

Siostra przyjęła mnie z największą czułością i nie mogła dość się mną nacieszyć, zwłaszcza kiedy zacząłem mówić o jej synu, któremu kilka razy odwiedził u Terezjanów. Przywiozłem dla niej sztukę przesłicznego płótna, ze które zapłaciłem w Cieszynie sto pięćdziesiąt reńskich. Poczciwa siostra pewnie nietyle się radowała pięknnością płótna, ile dowodem, że o niej pamiętał. Nieboga mogła o sobie powiedzieć, że jest pocziwą, bo doświadczyła i biedy i nędzy. Żaden bogaty człowiek nie może tego o sobie powiedzieć, gdyż cnota dopiero w walce z potrzebami życia się pokazuje, a ona przeszła przez ten kamień probierczy i ślady czystego złota na nim zostawiła. Bóg ją jeszcze w tem życiu wynagrodził za ufność, jaką zawsze w Nim pokładała. Los tak długo dla niej nieprzyjazny już się do niej uśmiechał, miała bowiem dużą wieś, z której przychody odkładała, gdyż brat prałat zaspakał wszystkie jej i dzieci potrzeby; a nad wszelkie dla niej szczęście te dzieci jej się jak najlepiej udały. Już ksiądz prałat był nas odjechał, a ja jeszcze u kochanej siostry pięć dni zabiwałem.

Podczas mojego pobytu we Lwowie miałem miłe spotkanie. Zastałem tam pana Rz., niegdyś mojego przełożonego w pułku Szybilskiego, a wtedy generał-majora wojsk cesarskich, który już był złożył chorążostwo wielkie litewskie i starostwo chełmskie, nie chcąc odrecesować się od konfederacji barskiej. Kiedy mu złożyłem moje uszanowanie, przyjął mnie z wylaniem sercem, jako kolegę. Był on wtedy kapitan-lejtnantem nowoutworzonej gwardji galicyjskiej i wielce się nią zajmował, gdyż jej kapitan, książę A. C., rzadko kiedy pokazywał się w Wiedniu. Nienawiść wzajemna między nim a królem wydalila go z Polski, o której nawet nierad był mówić, ale ta jego nienawiść była niczem w porównaniu z tą, jaką czuł do króla brat jego, hetman polny koronny, który wtedy mieszkał razem z bratem, gdyż oba przyjechali do Lwowa dla traktowania interesów rodzinnych. Oba bracia żyli z sobą w najcisłszych stosunkach, chociaż ich

charaktery były zupełnie odmienne: chorąży był rozrzutny, wolnych obyczajów, otwarty, lubiący zabawy; hetman zaś obyczajów surowych, dumny, skąpy, niełatwego przystępu. Wszakże jako wyznawca gorliwy zasad staropolskich, chociaż był wyższy dostojenstwem od chorążego przecież szanował starszego brata jak ojca i dość było dla niego, iż brat mnie lubił, żebym pozyskał i jego łaskę. Często ze mną rozmawiał, a zawsze o królu, przeciw któremu nie taił swej nienawiści, zwłaszcza w obecnej chwili, kiedy jego najściślejszy przyjaciel, książę biskup krakowski Sołtyk, za wpływem króla był ogłoszony za szalonego i jako taki uwięziony przez własną kapitułę upoważnioną do tego przez króla. O ile o tem wiedziałem, w istocie ten książę miewał chwile obłąkania, ale gdym się z tem wymówił, hetman do żywego okazał się wzruszonym. „Nie wierz waćpan temu, rzekł, jest to potwarz na niego rzucona przez króla w celu najnikczemniejszym. Nawiedziłem księcia biskupa w jego więzieniu i rozmawiałem z nim więcej dwóch godzin, daj Boże każdemu mieć podobny rozsądek. Ofiarowałem się wywieźć go z więzienia, wojsko bowiem oddane pod rozkazy kapituły byłoby posłusznem hetmanowi, on tego nie przyjął, oświadczyny, iż pragnie czekać w Bogu na to, co ludzie o nim postanowią. A wiesz waćpan z czego wynikła ta czarna intryga? Oto z tego, że kiedy książę biskup był razem ze mną w pięcioletniej niewoli, król porучzył administrację księstwa siewierskiego i wszelkich innych dóbr biskupich swojemu bratu księciu prymasowi i obadwa trwonili szerokie jego intraty. Otóż za powrotem do kraju książę biskup domagał się, by mu zdano rachunek z tej administracji, a król, żeby siebie i brata uwolnić od zwrotu znacznych sum, tak podbudził kapitułę, że nakoniec ogłoszono szalonym kiedyś z cnót i nauki wsławionego męża”. Powtarzam to, co mi mówił hetman, *relata refero*, wszakże słyszałem wielu nieskażonej cnoty mężów, mówiących o tem wcale inaczej, a mianowicie JW. Sołtyka podstolego koronnego, rodzzonego synowca księcia biskupa, który ze łzami mówił o obłąkaniu stryja. Zresztą, król był słabym, miał wiele wad, ale nie mógł być tak złym człowiekiem, by się stać rozmyślnem narzędziem czyjegokolwiek nieszczęścia.

Nakoniec po kilkomiesięcznej nieobecności powróciłem do mojej ulubionej kamienicy w Warszawie z szczerem postano-

wieniem już jej więcej nie opuszczać, a jednak musiałem ją znowu opuścić na pół roku, tak to przedsięwzięcia ludzkie są mało znaczące. Wprawdzie do tego nie zostałem zmuszony siłą, ale względy przyjaźni, żądza być uczynnym, wreszcie łatwość serca, dla tego, który jest dalekim od samolubstwa, są to istotne kajdany.

Na drugi dzień przedstawiłem się królowi, a ten mnie przyjął daleko uprzejmiej niż zwykle. Chciał bym mu opowiedział szczegóły mojej podróży, ja też zdając mu z nich sprawę, unikałem tego wszystkiego, coby mogło być mu nieprzyjemnem, a mówiąc o wziętości, jaką mu zjednały w Wiedniu jego wysokie światło i mądrość w sprawowaniu rządów burzliwego narodu, który tak się do niego przywiązał, bynajmniej nie kłamałem. Król mnie wielce uradował wiadomością, iż księżę Kazimierz w następnym miesiącu ma powrócić do Warszawy, a jeszcze więcej, że zdrowie jego się polepszyło. Była to dla mnie pierwsza o nim wiadomość od chwili naszego rozstania, gdyż tak był leniwym, iż pomimo powtarzanych obietnic nie tylko że do mnie nie pisał, ale nawet dwa moje listy zostawił bez odpowiedzi, czego mu za złe nie wziąłem, bo nawet do matki nie pisywał i ta tylko przez jego kamerdynera miała o nim wiadomości. Co więcej, te piękne jego głosy, któremi zachwycał sejm i publiczność, nigdy nie były pisane, a tylko *ex abrupto* wypowiedziane.

Moi przyjaciele ciągle mnie nawiedzali, a mianowicie dawni koledzy, jako to: pan Trembecki, który już stał na najwyższym szczyble sławy, pan Łuba i pan Grocholski, który później został obożnym koronnym, a wtedy był członkiem Rady Nieustającej; pan Łuszczewski starosta sochaczewski, pan Dzie duszycki pisarz wielki litewski, pan Tęgoborski, szef gabinetu królewskiego, pan Bacciarelli malarz nadworny królewski, pan Bogusławski dyrektor, a można powiedzieć twórca teatru narodowego, zawsze mili dla mnie goście, często bywali na moim szlacheckim obiedzie.

Z pomiędzy nich najczęściej u mnie bywał pan Zabłocki, ów autor *Fircyka w zalotach*, *Sarmatyzmu*, *Amfitriona* i tylu innych krotokwilnych sztuk, które mu tak wielką sławę zjednały. On mnie wielce miłował i często wpadał do mnie na obiad, ja też nawzajem do niego się przywiązałem. Był z niego dzi-

wak, ale z najpocziwszem sercem. Nasza przyjaźń nigdy się nie zachmurzyła, chociaż z nikim nie mógł się długo zgodzić. Powtarzał głośno, gdyż na nikogo się nie oglądał, a czem się wielu osobom naraził, że w Polsce są dwie klasy pożyteczne: szlachta i chłopcy; a dwie klasy szkodliwe: panowie i handlarze. Ja się niejednokrotnie o to z nim sprzeczałem, broniąc niektórych panów, których cnoty od nikogo nie były zaprzeczone, ale on był w tem tak uprzedzony, iż żadnego wyłączenia nie chciał przypuścić. Chociaż panowie, chcąc go mieć za sobą, ku niemu pierwsze kroki czynili, wszakże jego noga u żadnego z nich nie powstała; toż samo i od kupców uciekał jakby od zapowietrzonych. Na panów sywał paszkwile jakby z rękawa, a zawsze dowcipne i zjadliwe, bali się też go jak ognia. Miał on przeznaczone od króla mieszkanie w koszarach gwardji koronnej i dwa tysiące rocznej pensji, to mu wystarczało na jego potrzeby, był bowiem bardzo umiarkowany. Do króla był bardzo przywiązany i pokładał wielką wiarę w tem, że naród jemu będzie winien swoje szczęście. Między szlachtą miał wielu gorliwych stronników, co mu jednało wziętość u króla, jak niemniej i jego zdolności pisarskie; a choć miłowaliśmy się wzajemnie, jednakże zmuszony byłem z nim zerwać. Coś upatrzył do księcia Kazimierza S., a zwłaszcza do jego matki i zaczął ich bezcześcić rymowanemi paszkwilami, przeciwko wszelkim zasadom nie tylko delikatności, ale nawet sumienia. Księżę to wszystko z obojętnością przyjmował, a że jego matka nie była tak złą kobietą, jak ją opisywał, najlepiej dowodzi to, że mu nie szkodziła u króla, bo gdyby była mściwą, bez wątpienia król byłby go dla niej poświęcił. Ta ich obojga obojętność podwajała jeszcze jego żółć, bo uważał ją za wzgardę. Żałowałem jego miłego towarzystwa, ale nie było sposobu zachować stosunki z takim, który suchej nitki nie zostawił na tych, dla których miałem obowiązki i u których byłem domownikiem. Potem tego żałował, po upadku króla wpadł w pewien rodzaj melancholji, unikał wszelkiego towarzystwa, a nakoniec wstąpił do seminarjum i został kapłanem, później proboszczem w Kurowie i w zupełności oddał się Bogu, przepraszając wszystkich, których obłocił, ile razy się z niemi spotykał.

IV.

W kilka dni po moim powrocie do Warszawy zajechali do mojej kamienicy, jakby się zmówili aby mnie uszczęśliwić, brat miecznik i siostra Mężyńska. Pierwszy dla jakiegoś interesu, który miał w asesorji koronnej; druga, żeby sprawić wyprawę córce, którą z sobą przywiozła, a którą za kilka tygodni miał poślubić pan Dobrzański, sędzic radomski. Zająłem się ulokowaniem moich drogich gości, żeby na niczem im nie zbywało. Siostra zawsze była wesołą i choć miała lat pięćdziesiąt kilka, do czego jednak się nie przyznawała, jeszcze zachowała ślady piękności. Jej córka nie była tak piękną jak kiedyś matka, jednak wcale przystojna i dziwnie dobre dziecko. Było to najmłodsze dziecie mojej siostry, gdyż miała lat przeszło czterdzieści, kiedy ją na świat wydała. Przedstawiła mi siostra przyszłego mojego siostrzana, jakkolwiek nalegałem na niego, by przyjął u mnie mieszkanie, chłopiec nie dał się do tego nakłonić i ulokował się w poblizkiej gospodzie, tyle tylko, że codziennie u mnie obiadował i był nieodstępny od swojej narzeczonej. Małżeństwo było dobrane, oboje poczciwi, przystojni i skromni. Kawalerowi ojciec wypuścił wieś porządną w okolicach Sandomierza, Basia miała sto tysięcy w swoim fartuszkach, czegoż więc młodemu stadłu potrzeba?

Byłem rad mojemu bratu, bo go szczerze miłowałem, a jednak nie byłem tak zasmuconym jakbym być powinien kiedy się zbliżał dzień jego odjazdu; gdyż rady sobie dać nie mogłem, tak mnie męczył swoją pretensją do orderu Ś-go Stanisława, a tu nie było zręczności mówić o tem królowi, do którego zresztą nie miałem śmiałości. Nakarmiłem jednak brata tak obietnicami, że w dobrej myśli mnie pożegnał, gdyż przytem pomysłnie skończył sprawę, jaką miał w asesorji.

W sam dzień jego wyjazdu przyjechał książę Kazimierz do Warszawy i tego samego wieczora zjawił się u mnie. Zastał mnie grającego w szubieniczkę z siostrą, podczas gdy państwo młodzi trochę opodał od nas z sobą pocichu rozmawiali. Zerwałem się z krzesła, uściskaliśmy się serdecznie z sobą, przedstawiłem mu siostrę, siostrzenicę i jej kawalera. Książę ich wszystkich zawołał swoją grzecznością i oni mieli też szczęście jemu się po-

dobac. Księżę cały wieczór u nas przepędził i zjadł wieczerzę z nami.

W ciągu tego wieczora zażył mnie z mańki:

— Panie Bartłomieju — rzekł do mnie — przyszedłem ciebie uściskać, ale zarazem prosić o wielką łaskę.

Myslałem, że mu szło o dostanie u mnie pieniędzy i byłbym mu je dał, bo nie byłem bez kilku tysięcy czerwonych złotych, rzekłem więc:

— Księżę wiesz, że niczego mu odmówić nie umiem, byle to było w mojej możności.

— Możesz mi to zrobić, bo to zależy jedynie od twojej woli.

— A więc mów księżę, czem ci służyć mogę?

— Nie powiem, dopóki mi nie dasz słowa szlacheckiego, że nie odrzucisz mojej prośby.

— Tyle mam ufności w księciu, że je daję bez wahania się. Masz księżę moją rękę.

Księżę ją przyjął i odezwał się:

— Więc rzecz skończona. Za tydzień pojedziesz do Białej-rusi w moim interesie. Mam na Newlu sumę zastawną trzechkroć sto tysięcy po mojej babce, Newel poszedł na skarb imperatorowej i z nim razem moja suma się zawieruszyła, trzeba więc żebyś mi ją wydźwignął. Tym sposobem odbierzesz sumę, którą masz u mnie. *Verbum nobile debet esse stabile*. Wybieraj się do podróży! Nikomu nie wierzę, tylko tobie, a mój sekretarz przyniesie ci jutro moją plenipotencję z informacją interesu i wszelkimi do tego służącymi dokumentami.

— A! dobrze — odpowiedziałem — cóż robić? — Ale wielką markotność uczułem w duszy.

Już nazajutrz gruchnęło po całym mieście, że ja, *beatus procul negotiis*, podjąłem się z przyjaźni jurystować księciu w kordonie rosyjskim. Że zaś tego dnia byłem wyznaczony na służbę do króla, gdy mu się więc zameldowałem, on mi zaraz powiedział:

— Słyszałem, że wkrótce jedziesz na Białoruś.

Nie inaczej, Najjaśniejszy Panie! Robi człowiek nie to co chce, ale co musi i właśnie mam prosić Waszą Królewską Mość o błogosławieństwo i o pozwolenie wydalenia się na jakiś czas.

— Bardzo dziękuję waćpanu, że chcesz się opiekować pocziwym Kaziem. To dowodzi, że umiesz być przyjacielem, rzecz teraz nader rzadka. Mogę tego pozazdrościć Kaziowi, bo nie miałem szczęścia do przyjaciół, pan Tyz. został moim prześladowcą; pan Br. ciągle coś knuje przeciwko mnie; mój cioteczny brat ksiązę A. C. dziś jest jawnym moim nieprzyjacielem. O Boże! cierniową koronę włożyłeś mi na głowę! A co najwięcej mnie gryzie, to mój najdawniejszy przyjaciel, z którym wszystkim się dzieliłem kiedy byłem jeszcze w stanie równości, którego miłowałem nad moich braci: pan marszałek Rz. nie wahał się potargać trzydziestoletnie związki. — To mówiąc łyzy miał w oczach, o co mu nie było trudno.

Byliśmy sam na sam, nigdy przedemną podobnie się nie wywnętrzał, zaraz poznałem, że czegoś odemnie pragnie. Ta ostatnia jego aluzja do pana Rz. nie była sprawiedliwą, potarganie związków przyjacielskich nie jemu powinno było być zarzucane, gdyż ten niemało w życiu swoim dał dowodów przywiązania królowi, a król mu się za to na końcu wielkiem upokorzeniem odpłacił. Marszałkowstwo wielkie koronne przez śmierć Stanisława Lub. zawakowało, wyższa łaska należała się panu Rz., który mniejszą od tylu lat piastował; że zaś król życzył sobie oddać ją JW. M. mężowi jego siostrzenicy, więc nie chciał jej konferować panu Rz., tylko pod warunkiem, że da na piśmie przyrzeczenie, iż w trzy miesiące po jej przyjęciu złoży ją, tak, żeby pan M. po trzech miesiącach marszałkowstwa nadwornego, mógł na wielkie postąpić. Rad nie rad Rz. musiał podpisać tę ugodę, ale nigdy nie mógł odpuścić królowi, że nie poprzestał na jego słowie, a domagał się podpisu. Odtąd noga jego nie powstała u króla, a nawet na miesiąc przed założonym terminem odesłał łaskę królowi.

Ja czekałem co on mi powie po tej przedmowie, nakoniec rzekł:

— Nie umiałem się poznać na waćpanu, teraz widzę, że jesteś najpocziwszym człowiekiem i dam mu dowód, jaką nieograniczoną ufność w nim pokładam. Proszę waćpana, nie jako król, ale jako przyjaciel, byś się podjął i mojego interesu w Białejrusi, do której wyjeżdżasz, ale z zachowaniem najściślejszej

tajemnicy. — To mówiąc utkwiał we mnie swoje piękne oczy, w spojrzeniu których było coś błagalnego.

— Najjaśniejszy Paniel — odrzekłem — o ile to będzie w mojej mocy, spełnię rozkazy Waszej Królewskiej Mości. Obym tylko mógł być dość zręcznym, żeby aż zasłużyć na łaskę mojego monarchy.

Król powiedział mi, iż przed północą oświeci mnie o wszystkim i na tem skończył, bo zabierał się do przyjęcia posła pruskiego. Jakoż nim poszedł do wczasu, dał mi instrukcję i kilka listów.

Nazajutrz przyszedł do mnie sekretarz księcia z dokumentami i z czemiś tam na kosztą podróży. To ostatnie odesłałem przez tegoż samego sekretarza, prosząc, żeby księciu oświadczył odemnie, że jeszcze mi wystarcza o własnym koszcie zrobić przysługę przyjacielowi, a papiery zatrzymałem u siebie. Kiedy byłem u króla na pożegnaniu, ten jeszcze ze mną o swoim interesie rozmawiał, a potem otworzył biurko, z jednej szuflady wyjął pięć ładunków po sto czerwonych złotych każdy i dał mi je na wydatki podróży i życie w tamecznym kraju. Tych nie wahałem się przyjąć, bo od królów dobre czy złe z kornem sercem co dają przyjąć trzeba. Nazajutrz już toczyłem się po wielkim gościńcu.

Ósmego dnia po moim wyjeździe z Warszawy stanąłem w Witebsku pod wieczór, a nazajutrz w mundurze kawalera maltańskiego, z obydwoma moimi krzyżami, przedstawiłem się generałowi Passek, który zarządzał Białorusią jako namiestnik imperatorowej i wręczyłem mu list mojego króla. Generał przyjął mnie bardzo grzecznie, zapytał o króla, dla którego znał wielki szacunek, a nawet miał z nim przyjaźń, kiedy król był jeszcze posłem rzeczypospolitej w Petersburgu. Generał był lubionym od panów białoruskich, a stosując się do woli monarszej, całym krajem tak łagodnie rządził, że nietylko przywiązał do nowego rządu zamieszkałych tam obywateli, ale nawet były przykłady, że szlachta mająca dobra w Polsce, przenosiła się do Białejrusi, jakoto: hrabia Plater i książę Ksawery Lubomirski. W samej rzeczy, nietylko że szlachta nie utraciła osobistych przywilejów, jakie miała w Polsce, ale nawet nowe otrzymała: wybierała swoich sędziów, miała w osobie swoich marszałków stróżów jej



ELŻBIETA Z SZYDŁOWSKICH GRABOWSKA

przywilejów; żadnych podatków nie ponosiła, przy zachowaniu jezuitów w niczem nie odmienił się tryb wychowania, do jakiego była nawykła, a nakoniec utworzyła się staraniem imperatorowej metropolja rzymsko-katolicka, która zawiadywała wyznawcami tej świętej wiary. Nikt nie ucierpiał na swojej własności, nikomu żadnej królewskiej nie odebrano, nikomu spokojności nie zakłócono; nawet urzędy policyjne były w szafunku szlachty, która nigdy szczęśliwszą i swobodniejszą nie była. Jednem słowem, imperatorowa żadnej nie czyniła różnicy między rodowitym Rosjaninem a Polakiem, jej poddanym. Pan polski stał narówni z panem rosyjskim i święta przyjaźń łączyła ich z sobą.

Interes króla był taki. Przed podziałem posiadał on znaczne dobra stołowe na Białejrusi, które jako regalia, a nie prywatna własność, zabrane zostały na skarb monarszy rosyjski. Król, mając uszczuplone fundusze, starał się o jakąś dla siebie indemnizację od rządów, którym się dostały jego ekonomje. W Austrii i Prusiech nic nie wskórał, w Rosji był szczęśliwszym. Imperatorowa do tego stopnia posunęła wspaniałą delikatność, że oświadczyła, iż chce, aby było dwóch komisarzy wyznaczonych do oszacowania przychodów tych ekonomij: jeden z jej strony, drugi przysłany od króla; a jaką intratę oni przyznają, takowa do śmierci króla będzie mu wypłacana. Podobne układy nie mogły być do końca doprowadzone, tylko pod wielkim sekretem, bo gdyby wiadano, że król zezwala być pensjonarzem obcego rządu, temby siebie zdepopularyzował w swoim narodzie, gdzie i bez tego dość miał nieprzyjaciół. Otóż właśnie takie było moje posłannictwo, gdyż król wiedział, że sekretu, skoro mi jest powierzony, za nic w świecie nie wyjawię.

Imperatorowa i w tem okazała delikatność, że swoim komisarzem chciała mieć JW. Szczytę, Polaka przysięgłego na jej poddaństwo, ale mającego dobra i w Polsce, godnego obywatela, z którym koleżeństwo, choć krótkie, poczytuje dla siebie zaszczytem. Nasza komisja nie przedłużyła się nad dwanaście tygodni. Objeżdżaliśmy folwarki w asystencji przydanego nam przez JW. namiestnika sztabs-oficera pana Nelubowa, bardzo uczciwego człowieka i już dobrze znanego panu Szczytowi. Przejrzelśmy z uwagą inwentarze i oszacowaliśmy wspólnie, że ekonomja mo-

hilewska czterykroć sto tysięcy mogła rocznie przynosić królowi. Generał Passek posłał tę naszą decyzję imperatorowej przy swoim raporcie, a ta potwierdziła naszą opinię i dała rozkaz izbie skarbowej białoruskiej, żeby sześćdziesiąt tysięcy rubli srebrem co rok opłacała. Tę sumę do końca pobierał pan Łubaszynski, obywatel białoruski, szambelan królewski tytularny, któremu król dał umocowanie i który za tę przysługę miał przeznaczonych sobie dwanaście tysięcy rocznie.

Interes księcia Kazimierza niemniej gładko, a prędzej nierównie został załatwiony, bo nie potrzeba było posyłać do Petersburga, ale sam generał Passek, jako namiestnik, z wszelką sprawiedliwością postąpił. W istocie książę Kazimierz miał trzykroć sto tysięcy sumy babczynej lokowanej na Newlu. Kiedy imperatorowa napowrót wcieliła Białoruś do Rosji, zostawiła obywatelom wybór albo zaraz przysiąc jej na wierność poddańską i mieszkać w jej państwie, albo wyprzedać się z kraju, gdzie się podoba i na to cztery lata zostawiała. Książę Radziwiłł, wojewoda wileński nie chciał przysięgi wykonać, po wytrzymaniu więc czterech lat, gdy już termin normalny zapadł, majątki księcia w Białejrusi, ośmdziesiąt tysięcy dusz męskich wynoszące, zabrane były na skarb monarszy, ale długi radziwiłłowskie na tych dobrach oparte, przyjęte zostały; i skoro tylko wylegitymowałem należność księcia Kazimierza, natychmiast generał Passek kazał mi ją odliczyć. Jeszcze nie mało miałem kłopotu w szukaniu dukatów holenderskich, bo sumę tę wypłacono mi rublami srebrnymi, a gdzież mi było z takim ciężarem się wozic?

Kiedy byłem na pożegnaniu u namiestnika, oświadczając mu, że nazajutrz wyjeżdżam do Warszawy i że przychodzę pytać, czy nie da mi jakiego rozkazu do tego miasta, on mi odpowiedział, że czeka mnie z obiadem pożegnalnym, a gdy mu ten zaszczyt zrobię, da mi list do króla i jeszcze coś dla mnie samego, co przesłano na jego ręce. Myślałem, że to były listy z Warszawy.

Namiestnik był dla mnie uprzejmym, często zapraszał mnie na obiad, a miał stół wyborny i żył z okazałością zwykłą wielkim matadorom rosyjskim. U niego poznałem się z *sterletem* (jest to ryba poławiająca się w Wołdze); smaczniejszego jadła wy-

myśleć nie można, zwłaszcza rosół z niej zrobiony, nazwany *ucha*, był wyborny. Na tym ostatnim obiedzie zastałem kilku panów polskich przeszłych pod panowanie rosyjskie, a między nimi owego sławnego Żabę, wojewodę połockiego. Za stołem królewskim nie zdarzyło mi się widzieć tyle kontuszków, ile u namiestnika białoruskiego. On był dla nich ile tylko być może grzecznym, a rozmowa, jaką prowadził z nimi, była w sposobie dość śmiesznym, on do nich mówił po rosyjsku, a oni odpowiadali dżalektem białoruskim, do jakiego byli wzwyczajeni przez obcowanie z swojemi poddanymi. Ale doskonale rozumieli się z sobą i rozmowa szła płynnie.

Po obiedzie namiestnik zniknął na chwilę i wrócił trzymając w ręku list i pudełko okrągłe z czerwonego safjanu. Zbliżywszy się do mnie i ukłoniwszy się, rzekł:

— Oto jest, co na moje ręce przysłała waćpanu Najjaśniejsza Imperatorowa, pani moja, żebyś miał pamiątkę swojego pobytu w jej państwie. Winszuję waćpanu tego zaszczytu. A oto jest list do Najjaśniejszego króla polskiego.

Sam otworzył pudełko, w którym się mieściła złota tabakiera, na środku której była cyfra imperatorowej, a nad nią korona cesarska, wszystko z brylantów. Goście jeden po drugim oglądali ten dar monarszy, łącząc swoje powinszowania do tych, któremi mnie namiestnik zaszczycił. Takie było nasze pożegnanie.

Wartość tej tabakieri, którą dotąd w temże samem pudełku zachowuję, jubilerowie warszawscy oszacowali na czternaście tysięcy złotych polskich, co sownie wynagrodziło kosztu mojego kilkomiesięcznego pobytu w państwie rosyjskiem, gdyż do tych pięciuset czerwonych złotych, które mi dał król na drogę, moich własnych około dwóch tysięcy złotych polskich przyłożyłem, których mi król nigdy nie zwrócił. Książę Kazimierz coś mi w rękę wtykał, ale za nic w świecie nie przyjąłbym od niego wynagrodzenia za przyjacielską usługę, nawet nie zwrócił mi sumy, jaką miałem u niego, chociaż kiedyś wyjeżdżał, to mi obiecał, a nawet pozwolił wytrącić moją należność z kwoty, jaką odbiorę. Przez delikatność całą sumę mu przywiozłem, czekając aż mi sam odliczy. Wyprosił się jednak od zaspokojenia długu, a ja nic mu odmówić nie umiałem, tyle tylko, że wypłacił mi zaległy procent.

Była to ostatnia jego wypłata, gdyż sumę dopiero po jego śmierci, w kilkanaście lat potem, jak się już powiedziało, jego wuj mi w całkowitości wypłacił, tak, że najmniejsza krzywda, ani moja, ani żadnego z jego wierzycieli, nie obciąża jego szlachetnej i pocziwej duszy.

Wracalem do Warszawy na Nieśwież, chcąc złożyć w jego zamku moje uszanowanie księciu wojewodzie wileńskiemu, który zawsze szaszczytał mnie łaskawem przyjęciem. Wielki był rozruch w Nieświeżu, obchodzono bowiem przenosiny księcia Hieronima podkomorzego litewskiego z jego żoną, księżniczką panującego w Niemczech domu Tour et Taxis. Kiedy stanąłem przed księciem wojewodą, najpopularniejszym panem w Polsce, on mnie przyjął z uprzejmością szlachecką i na wstępie powiedział:

— *Panie kochanku*, nie puszczę waszeci przez kilka dni przy najmniej. Musisz z nami się pobawić przenosinami mojego brata.

W samej rzeczy pięć dni bawiłem w zamku nieświeskim, dokąd rozkazał mnie przenieść, ledwie szóstego wyprosiłem się, że mi pozwolił wyjechać. Co zaś go skłoniło że zadość uczynił moim prośbom, oto że mu powiedziałem, iż wiozę pieniądze dla księcia Kazimierza, a trzeba wiedzieć, iż książe wojewoda miał dla niego wielką przyjaźń i wielce go szacował. Wtedy dopiero odezwał się:

— Jedź, jedź *Panie kochanku*, bo pocziwy Kazio zawsze goły. Jak kania dżdzu, tak on musi waszeci oczekiwać.

Było coś monarchicznego w nieświeskiej dzielnicy Radziwiłłowskiego domu. Pomijam uczty, które tam zastałem i odjechałem, a na których biesiadowała prawie cała Litwa; pomijam nawet teatr, orkiestrę, milicję do ośmiu tysięcy ludzi rozmaitej broni wynoszącą, myśliwstwo tak liczne, że mało królów miało podobne, tłumy hajduków, pajuków, kozaków, bo to wszystko i syn dorobkowicza na wielką skalę, jeżeli ma pieniądze i jeżeli je traci, mieć może; ale ta chęć uszczęśliwiania drugich, żeby nikogo zasmuconym nie widzieć, to udzielanie się potrzebującym, ta delikatność uczuć, ta bojaźń żeby nie obciążyć ani sumienia, ani honoru, — oto jest coś takiego, czego przy największych bogactwach nabyć nie można. Trzeba kilkunastu pokoleń dla wyrobienia tak szlachetnej krwi, jaka płynęła w żyłach księcia wojewody wileńskiego.

In gratiam wesela księcia Hieronima, brata i spadkobiercy księcia wojewody, elektor bawarski przysłał order S-go Huberta czterem książętom Radziwiłłom, jego krewnym, a elektor-falcgrabia pięć orderów Złotego Lwa do rozdania księciu wedle jego woli. On nigdy księciu nie odmawiał swojego orderu, ile razy prosił o niego dla jakiego swojego krewnego lub przyjaciela, stąd nietrudno spotkać szlachcica litewskiego z wstęgą białą z niebieskimi brzegami.

Na owych przenosinach był książę Tour et Taxis, który od razu mnie polubił, mógł bowiem ze mną mówić po niemiecku. Póki bawiłem w Nieświeżu, rzadko mnie kiedy na krok od siebie puszczał, ciągle mnie o wszystko wypytywał, a ja musiałem mu tłumaczyć. Jako ojcu księżny podkomorzynej, wielkie honory oddawano mu w Nieświeżu. On także rozdawał swój order, który się nazywał *Vinculae amicitiae*. Był to krzyżyk czarny z białymi kropkami na brzegach, który się nosił w pętelce na wstążce szafirowej. Wielu osobom w Nieświeżu rozdał ten order i mnie ten zaszczyt nie minął, gdyż byłoby grubiaństwem tym dowodem życzliwości księcia, choć na szczuplutkiem państwie, wszakże zawsze regnanta, wzgardzić. Póki bawił w Nieświeżu wszyscy kawalerowie tego orderu, począwszy od księcia wojewody, krzyżyk ten nosili na sukni i ja także jak inni, lecz od mojego wyjazdu z Nieświeża po-dziś-dzień raz tylko wzięłem go na siebie, kiedy zaproszony zostałem od JW. Ch. starościny żmudzkiej na wielki obiad, który dawała dla księżny podkomorzynej litewskiej, dopiero owdowiałej, a znajdującej się w Warszawie. Uważałem za rzecz przyzwoitą pokazać się jej ze znakiem, od jej ojca otrzymanym.

W Nieświeżu jeszcze wyprosiłem także od tego księcia i to bez wielkiej trudności, że raczył dać rangę pułkownika mojemu bratu Walentemu. Śmieszny to był stopień w wojsku, które ledwo pięćdziesiąt głów liczyło; ale ten tytuł pani pułkownikowej, wdzięcznie brzmiał dla ucha mojej bratowej, brat zaś, mimo swojej skromności, lubił występować w mundurze, do tego stopnia przywiązany i pysznił się nim. A mundur był piękny: kontusz błękitny z białymi obszlęgami, żupan tejże barwy i dwie szlify.

Byłem tyle szczęśliwym, że za powrotem do Warszawy mogłem dogodzić próżności nie tylko Walentego, ale i starszego brata.

Kiedy bowiem stawilem się przed królem dla zdania mu sprawy z tego, co mi polecił, a król uradowany, że się sprawiłem nad jego nadzieję, oświadczył mi chęć nadania mi swojego orderu, z obietnicą pierwszego dygnitarstwa, które zawakuje. Ja mu odpowiedziałem:

— Najjaśniejszy Panie! ani gwiazdy, ani dygnitarstwa nie przystoją szlachcicowi tak dobrze jak nieosiadłemu, bo oprócz mojej biednej po-jezuickizny, z której daj Boże podatek opłacić, piędzi ziemi dziedzicznej nie posiadam; ale Wasza Królewska Mość możesz mnie uszczęśliwić, gdy dasz ten swój dostojny order mojemu bratu miecznikowi sandomierskiemu, który ma kilka wsi w Polsce i w kordonie cesarskim, a pragnie tego orderu jak dusznego zbawienia.

Lepszej pory do uproszenia łaski królewskiej wybrać nie mogłem. Król kazał przywołać księdza Naruszewicza, wówczas pisarza wielkiego koronnego i polecił mu napisanie przywileju na order dla mojego brata. Ksiądz Naruszewicz, któremu byłem dobrze znany, kazał mi ołówkiem zapisać imię i godność mojego brata i powiedział, żebym trzeciego dnia z rana przyszedł do niego po przywilej. Przy tej okoliczności podałem królowi rachunek z pieniędzy, które mi dał na kosztą podróży i prowadzenia jego interesu. Król o tem był zupełnie zapomniął, rzucił rachunek na stół, oka na niego nie zwracając. Tym sposobem przypieczętowałem moich własnych kilka tysięcy, za którymi wcale nie tęskniłem, bo przy darze, jaki otrzymałem od imperatorowej i radości, jaką czułem, że i dla brata wyrobiłem to, czego tak gorąco pragnął i wygodziłem księciu Kazimierzowi, którego prawie jak rodzonego brata miłowałem, aż nadto mogłem zapomnieć o mojej tak mało znaczącej szkodzi.

Jakaż to była dla mnie radość, kiedym się ujrzał na nowo w mojem mieszkaniu, kiedym zaczął rozkładać moje rupiecie! W jednej szufladzie biurka, gdzie składałem precjoza, schowałem bogatą tabakierkę obok innych kosztownych cacek, jakie w ciągu mojego życia uzbierałem. Do mojego nieszczupłego zbioru cybuchów, dołączyłem dwa z ogromnemi munsztukami bursztynowemi, jakich równych nie miałem, a które nabyłem w Grodnie za trzydzieści dukatów. Chociaż bowiem kurzenie tytoniu jeszcze w Polsce nie było tak rozpowszechnione, jak niem zostało

później, ja codzień cztery fajki tureckiego tytoniu paliłem, wyjąwszy soboty, bo w dniu tym dla czci Najświętszej Panny od tej rozkoszy się wstrzymuję, by choć tem małym umartwieniem Jej się przysłużyć. W kredensie postawiłem następnie srebrny samowar, który wywiozłem z Witebska i który mi dotąd służy. Herbata tak dobrze jakby nieznana była wtedy w Polsce, tyle tylko, że gdy kogo głowa bolała, szczyptę rozgotowaną w kwarcie wody pić mu radzono. Ja się do niej tak przyzwyczailem, że gdybym na dobę dwóch szklanek herbaty nie spożył, cośby mi brakowało. Nauczyłem się w Witebsku obchodzić z samowarem i wywiozłem stamtąd pud herbaty czarnej, ćwierć puda zielonej w doskonałym gatunku i ćwierć czarnej w mniej dobrym gatunku, nazwanej *familijną*, z tego zrobiłem proporcjonalną mieszalinę. Przyjaciele moi przychodzili często do mnie na herbatę i tytuń turecki, które słynęły w Warszawie. Raz przyjęty tryb życia dotąd się u mnie zachowuje.

O umówionej godzinie poszedłem do księdza Naruszewicza po przywilej. Ten mąż uczony mieszkał nad pokojami królewskimi. Mieszkanie jego było jakby całą klasztorną, którą zajmował z jednym służącym. Brudny płócienny parawan, za którym sypiał służący, wąziutkie łóżko żelazne dla samego pana, dwie szafy dębowe, jedna na książki, druga na bieliznę, wielki stół obity suknem zielonem, a wtedy pstrokatem, był obryzgany atramentem, a zastawiony książkami i papierami; trzy stołki dębowe pokryte podziurawionym manszestrem; wiszący na ścianie konterfekt króla, a pod nim zwierciadło; nad łóżkiem obrazek Najświętszej Panny Boruńskiej, kropidelnica przy ołowianej kropielniczce i poduszczyk na zegarek: oto całe *mobilier* księdza dygnitarza, nominata biskupa smoleńskiego, posiadającego przeszło sto tysięcy intraty. Nie pochodziło to jednak bynajmniej przez skąpstwo, bo ksiądz Naruszewicz ani grosza z swoich przychodów nie schował.

Był on wielkim oryginałem, nie cierpiał kiedy kto przychodził do niego przeszkadzać mu w pracy; a jednak jego drzwi, do których się wchodziło przez dość przykre schody, nigdy ze środka nie były zamknięte; że zaś nie miał ani przedpokoju, ani sieni, więc każde stąpanie po schodach, z za stołu, przy którym pisał, słyszał i dopiero zaczynały się sceny. Nigdy u niego nie byłem,

bo wiedziałem, że nawiedzin, jak je nazywał próżniackich, nie lubił; ale że kazał mi być u siebie dla odebrania przywileju, więc poszedłem prosto do niego. Ledwom nogę położył na pierwszym szczeblu schodów, już zaczął chimerować i taki głos dał się słyszeć z celi: „Durniu, durniu! czego leziesz? Czy myślisz, że każdy a każdy jest takim próżniakiem jak ty? Może chcesz, żebym się za tobą przymówił do króla? Oj! tak, trafiłeś na swego! Ja będę zajmował pomazańca Bożego takim osłem! A czy to król zakłada papiernię, żebym mu gałganów dostarczał? A może to jaki senator drażkowy? wielkie święto! Czy senatorskiego, czy rycerskiego stanu, dureń zawsze durniem!”

Taki był przedwstęp mojego przyjęcia, taki wtór każdemu mojemu stąpieniu po schodach. To mnie nie zraziło, bo wszyscy wiedzieli o jego dziwactwach i byli do nich przyzwyczajeni. Kiedy drzwi otworzyłem, on się do mnie najgrzeczniej odezwał:

— Kłaniam się waćpanu, panie szambelanie... przepraszam, chciałem powiedzieć mości starosto!

— Chyba ex-starosto, — odpowiedziałem — bo kto inny już dziś je posiada. Ale czemu Wasza Wielebność przed chwilą inaczej mnie honorowała? Wasza Wielebność z swojego pokoju wcale inaczej mnie tytułowała, za każdym krokiem, jaki po schodach zrobiłem.

— Przepraszam, przepraszam, wziąłem waćpana za kogo innego. A któżby sobie nie poczytał za zaszczyt nawiedziny nie próżniaka, ale tak godnej osoby? Waćpan nie masz czasu bywać u drugich, jakby sobie tego życzyli, gdyż zawsze masz jakieś zajęcie; nie tak jak nasi próżniacy, których cała zasługa jest w tem, że od jednego do drugiego domu chodzą naprzykrzać się gospodarzowi, żeby coś wyprosić u króla i tem natręctwem tak wszystkim dokuczają, że dla wyzwolenia się od nich, proszą za niemi przez co utrudniają drogi do łask królewskich prawdziwie godnym i zasłużonym mężom. Waćpan wcale innego kalibru królowi służysz, a swój własny chleb jesz, o nic się nie starasz, nikomu się nie kłaniasz, dla wyżebrania jakiejś oberchapki. Ja-bym rad, żeby wszyscy zapomnieli o mnie, bo jeden próżniak więcej znudzi, niż dziesięciu roztropnych zabawia. Ale od tych natrętników kijem się nie opędzisz. Ja też powtarzam królowi, naszemu panu miłościwemu: „Człowiek podły szuka urzędu, a od

człowieka szlachetnego owszem urząd ucieka. Czemu Wasza Królewska Mość pozwalasz, żeby baby przychodziły do niego z prośbami, iżby tego umieścić w asesorji, drugiego w skarbie, innego w komisji edukacyjnej? Oj! Panu Bogu odpowie sejm 1773 roku, że naznaczył żołd dla niektórych urzędów, tem utworzył klasę ludzi, wprzód nieznaną narodowi — żebraków salonowych. Dawniej ojczyźnie służyli, a swój chleb jedli, teraz namnożyło się takich, którzy sobie służą, a chleb ojczyzny jedzą. Waćpan chwala Bogu nie z takich, niczegoś nie wydrwił od króla, ale owszem, teraz uczyniłeś mu przysługę, za którą waćpanu jest więcej niż wdzięczny. Nie uwierzysz, ile cię wczoraj przedemną chwalił. Pan Bóg waćpanu nagrodzi, żeś pocieszył króla. To cnotliwy pan, koronę cierniową włożyliście mu na głowę, a on o niczem nie myśli, tylko o szczęściu swoich poddanych. Otóż rozgadałem się jak zwyczajnie stary. Masz waćpan przywilej na order Ś-go Stanisława dla godnego brata; że zaś nie wątpię, iż musisz korespondować z drugim bratem swoim, księdzem Antonim prałatem lwowskim, proszę mnie przypomnieć jego łaskawej pamięci. Wszakże to *noster vester* podemną kończył w Wilnie wyższą teologję. Głowę ma porządną, jest to rzecz zwyczajna w waszym rodzie, jak mówią w krakowskim, *chałupskim się dzieje*. To pewna, że się jeszcze nie urodził Michałowski głupi... Waćpan się nie śmieje, że mieszkam jak bernardyn, że nawet nie mam czem go przyjąć, jakby się należało, ale przyjedźno waćpan do Olity albo do Niemenczyna tam żyję po pańsku, a tu zwyczajnie, na cudzym charczu".

Stary się rozgadał, a wiedziałem, że kiedy się rozgada, to długo potrwa. Musiałem więc temu koniec położyć i rzekłem:

— Nie zabieram czasu księdzu biskupowi, bo ten na coś korzystniejszego dla kraju przezeń bywa użytym, niż na rozmowę z biednym symplakiem, jakim jestem. Dziękuję najpokorniej za ten przywilej, który za łaską Waszej Przewielebności tak rychło doszedł do rąk moich i pospieszam przesłać go mojemu bratu.

— Kłaniam się waćpanu, mości szambelanie! Odchodząc, zamkniesz drzwi za sobą, a mnie uwolnisz od odprowadzenia, bo kiedy ugrzęznę w krześle, nie tak łatwo mi z niego się wydobyć, starość nie radość. Wszakże niech to będzie między nami, a sió-

dmy krzyżyk przeszłego roku zapisał się na mojej metryce. Dziękuję za już, a proszę o jeszcze.

Powróciłem do siebie. Ani przywileju, ani insygnjów do niego dołączonych bratu nie odesłałem, tylko oznajmiłem mu listownie, że zaszczyt tyle od niego pożądaný nie ominął go i żeby sam raczył do mnie przyjechać, by jedno i drugie z rąk moich przyjął. Jakoż niedługo go oczekiwałem. W kilka dni po odebraniu mojego pisma, siadł w powóz z żoną i kazał się zawieźć do Warszawy, gdzie prosto do mnie zajechał.

Kiedy, zaraz po przywitaniu, wręczyłem mu order i prawo noszenia go, nietylko rzewnie się rozplakał z radości, ale i jego żona; a potem omal że mnie nie zamęczył, bo musiałem go wodzić po całym mieście, by go przedstawiać jego kolegom. Wiadomo, ile to było w Warszawie kawalerów orderu Ś-go Stanisława, on zaś żadnego z nich ominąć nie chciał. Przed wyjazdem dał dla nich u mnie wielki obiad, jako dla swoich kolegów; ja, jako nie-należący do ich grona, na nim nie byłem, ale wiem, że przeszło pięćdziesiąt osób przy stole siedziało i że cała beczka wina na tej biesiadzie pękła. Na prezentacji, dziękując królowi, padł mu do nóg jak dłuży. Wyraźnie szlachcic oszalał z radości.

Co do mnie, dla siebie nie miałem czego pragnąć i mam sobie to za zaletę, że o nic nie starałem się, przenosząc moję dobrze uposażoną niepodległość nad wszystkie zaszczyty. Król był się z tem odezwał, że pierwsze wakujące dygnitarstwo mnie się dostanie a ja tylko bałem się, żeby sobie tej obietnicy nie przypomniał i przez to nie postawił mnie w położeniu nieprzyjemnem, gdyż musiałbym mu odmówić przyjęcia tej łaski. Ale moja obawa pokazała się być próżną, gdyż od czasu podziękowania mojego za służbę, aż sześć wakansów się odkryło, a król o tem ani mi wspomniął, czem bynajmniej nie byłem zasmuconym. Ale to, co z jego łaski było pomyslnem dla moich braci, moje serce napełniało pociechą.

Wkrótce po otrzymaniu dla miecznika orderu, drugie szczęście mnie spotkało, tem większe, że się o nie nie starałem. Mój brat Walenty miał dwóch synów, starszy miał lat dziesięć, drugi jednym rokiem był młodszy. Król ich obydwóch umieścił w korpusie kadetów i doczekałem się widzieć ich obu oficerami artylerji. Młodszy, że był temperamentu cichego, lubiący spokojność.

zaraz po rozbrojeniu ryszturnek rycerski zamienił na lemiesz i radło; nawet do rewolucji Kościuszkowskiej nie należał, ale ożenił się i dotąd zarządza mojem gospodarstwem. Starszy, że miał animusz wojenny, po skończonych wojnach w Polsce zaciągnął się do legionów i z wielu innemi poległ na polach Lombardji.

V.

Korpus kadetów był zakładem, który gdyby dotrwał, uwieńczyłby wiekopomną sławą pamięć ostatniego króla polskiego. Lepszego wychowania młodzieży obmyśleć niepodobna. Oprócz kapelana korpusu, wszyscy nauczyciele byli wojskowi. Nie ubliżam zasługom szkół cywilnych, lecz jeżeli się na to zgodzimy, że wychowanie młodzieży powinno się koniecznie opierać albo na religji, albo na honorze, więc najwłaściwiej żeby to wychowanie poruczyć duchownym i wojskowym. Nie ulega wątpliwości, że odkąd to wychowanie wyszło z rąk duchownych, u nas przynajmniej, nauki i obyczaje znacznie się zniżyły w młodzieży. Niema przykładu, żeby który wychowaniec korpusu kadetów krzywo poszedł. Nietylko w naukach i obyczajności, ale nawet w odwadze osobistej nasza teraźniejsza młodzież dawniejszej sprościć nie może. Można przytoczyć wyrazy Parini'ego, że dawni nauczyciele byli *maestri di color che sanno*, a teraźniejsi, *di color che credono sapere*.

Nigdy Warszawa nie była weselszą, jak w owej porze. Był to jak gdyby karnawał, poprzedzający Wielki Post. Biesiady, bale, uczyły rychło jedno po drugich następowały. Na inaugurację posagu Jana III-go król urządził wielki karuzel, przypominający turnieje średniowieczne, na nim wstawili się gładkością i zgrabnością pan Szydłowski, brat pani Grabowskiej. Tej wesołości podzielać nie mogłem, a nawet musiałem opuścić Warszawę, gdyż bolesna strata dotknęła naszą rodzinę: nasz brat Antoni, prałat archikatedralny lwowski, po krótkiej chorobie żyć przestał. My pozostali bracia pośpieszyliśmy do Lwowa na jego pogrzeb, a za nami i siostra Mężynska z córkami i zięciami. Ksiądz Antoni zrobił był rozporządzenie, o którym wyżej wspomniałem. Byliśmy wszyscy pogrążeni w smutku, a zwłaszcza siostra Rzepicka, na której rękach skonał, tak mocno uczuła śmierć ulubionego

brata, że aż obłożnie zachorowała. Nie mogliśmy jej opuścić, aż wyzdrowiała, poczem odwieźliśmy ją do domu brata miecznika, u którego bawiła z córką dopóki nie skończył się kontrakt, którym zadzierżawiła swoją wieś, to jest, około półtora roku. Pocciwy brat wziął ją w opiekę i odtąd jej interesami trudnił się pewnie gorliwiej niż własnymi.

Podczas mojego pobytu we Lwowie, miałem drugi smutek. Pan Stanisław Rzewuski, feldmarszał-lejtnant wojsk cesarskich, po świeżem otrzymaniu tego stopnia wyjechał był na Ukrainę, by odwiedzić syna, który tam mieszkał w swoich dobrach. Otóż do Lwowa przyszła wiadomość o jego śmierci. A z jakiego powodu? Oto że był wielce wesoły, ni stąd, ni zowąd przyszło mu na myśl tańczyć węgierskiego walca z swoim sługą Francem, który później otworzył austerję w Bardjowie; trzeba takiego nie-szczęścia, że w ciągu tańca Franc ugodził go ostrogą w nogę, w to samo miejsce, gdzie miał ranę zagojoną, którą otrzymał przy zdobyciu Krakowa. Z tego już nazajutrz wywiązała się gangrena, a po pięciu dniach śmierć. Omal że nie tyle łez wylałem nad zgonem mojego dawnego wodza, ile po bracie.

Po trzymiesięcznem wydaleniu się z Warszawy, kiedy do niej powróciłem, już króla nie zastałem, pojechał bowiem do Grodna na sejm agitujący się pod laską JW. Chomińskiego, który później został wojewodą mściławskim. Był to mąż wysokiego światła i gdyby kto inny owemu sejmowi przewodniczył, możeby wiele złego wynikło, a to z powodu sprawy pani Dogrumowej, sprawy haniebnej, w której odważono się rzucić podejrzenie na króla, jakoby chciał otruć księcia G. Z. P. Ten książę przez lekkomyślność wleciał w tę sprawę, jak ptaszek w samotrząsk, gdyż wciągnęli go dwaj bracia P. w dość nikczemnym celu, chcieli bowiem przestraszyć króla i korzystać z tego przestachu, aby rozebrać między sobą resztę starostw, które sejm z 1773 roku zostawił jeszcze szafunkowi królewskiemu. Ta haniebna intryga wprawdzie wielce zmartwiła króla, gdyż jego kamerdyner Ryx uwięziony został, jako oskarżony o zbrodnię, ale braciom P. na nic się nie przydała. Skończyło się na tem, że sejm uznał niewinność pana Ryxa, a tem samem króla, a jego wyrokiem pani Dogrumowa, jako kalumniatorka, musiała stanąć pod

pręgiem, a potem książę G. Z. P. dał jej przytułek w dobrach, które posiadał w kordonie cesarskim.

Obaj bracia P. niemało złego zrobili w Polsce, że przez intrygi swoje udało się im stanąć na czele opinii publicznej. Jeszcze J. był przynajmniej światłym mężem i niezagrężłym w interesie osobistym, działał w dobrej wierze, zwłaszcza, że miał wiele słabości dla brata. Ale ten brat, największy w świecie bożym samolub, tak dalece umiał zbałamucić naród, że wszelkiego rodzaju, przywłaszczenia udawały mu się. I tak, zaledwo otynkowany nauką, pozyskał sławę głęboko uczonego męża, *zszywając perjody francuskie*, które płacziwym głosem recytował na sejsjach sejmowych, utworzył sobie cycerońską sławę, a wydaniem płytkich pism, których już dziś nikt nie czyta, dostąpił wziętości wielkiego pisarza. Zresztą był on ulubionem dzieckiem szczęścia. Nosząc nazwisko świetne w dziejach Polski, ale że się urodził ubogim, potrzebował majątku i przez ożenienie się z panną szpetną stanął narówni z najbogatszymi magnatami. Dostępny wszelkiemu rodzajowi próżności, zachciało mu się jednego z najwyższych stopni wojskowych i otrzymał go. Wprawdzie ten stopień objawił słabość jego serca, gdyż pod Mirem, jedynej bitwie w jakiej się pokazał, nie dotrzymał placu, jawne okazawszy dowody tchórzostwa; ale to bynajmniej nie zdołało nadwerężyć jego wziętości, kiedy dziś nawet piastuje jeszcze jeden z wysokich urzędów kraju; urząd, do którego opinia powszechna go powołała. Co dziwniejsza, czarna intryga, którą na sejmie grodzieńskim odpłacił dobrodziejstwa króla, nie przegrodziła go od dalszych łask królewskich.

Król nakoniec przyjechał do Warszawy i wrócił do zwyczajnego życia. Wtedy przywiązał się do pani G. Była to kobieta miła, blondynka, z pięknymi niebieskimi oczyma, ciałem jędrnem, rzadkiej nawet w Polsce białości, rysów twarzy wcale nieuderzających, ale miłego rozumu i wielkiej dobroci serca. Nie była ona podobną do tych innych przelotnych kochanek królewskich, bo szczerze była przywiązana do króla. Nic z jego miłości nie wyniosła dla siebie, ani dla swoich. Żadna potwarz nie odważyła się skazać jej bezinteresowności i szlachetnych uczuć. Ona jedna nietylko miłość, ale i szacunek króla umiała pozyskać. Do żadnych intryg się nie mieszała, dobrą i złą dolę króla

podzilała, jako prawdziwa przyjaciółka i zawsze dawała mu najzabawniejsze rady, co król lubił jej przyznawać.

Pani G. była potomkiem świetnego rodu. Kiedy się pokazała u dworu, dwóch z jej rodu byli już w senacie. Wszyscyśmy znali pana G., kasztelana żarnowskiego, a komandora maltańskiego, poczciwego człowieka, ale największego w świecie oryginała. Była to osobliwsza mieszanina pychy i bigoterji. Większą część dnia przepędzał w kościołach, gdzie na cały głos się modlił i wszystkich rozśmieszał szczególną formą swoich modlitw. I tak, jeżeli zaczynał z psalmistą: *Panie! wysłuchaj modlitwy nasze!* pewnie drugi wiersz musiał być: *a głos mój senatorski niech do Ciebie przyjdzie.* Jeżeli odezwał się: *Panie! zmiłuj się nademną!* można było iść w zakład, że doda: *i nad moją żoną z książąt W. kasztelanową żarnowiecką.* W Białogłęce, swojej komandorji ufundował kościół murowany i własnym kosztem go uposażył. Można w nim widzieć obraz Ukrzyżowanego Boga, a przed nim klęczącego kolatora w kontuszu ponsowym z czarnymi wyłogami z wstęgą Orła Białego, z krzyżami S-go Stanisława i Maltańskim na szyi, a z ust jego wychodzące te dwa wiersze:

*Nie śmiej do Ciebie oczy podnieść z publikanem,
Choć przecie żarnowieckim jestem kasztelanem.*

Nigdy nie powiedział: „ulica Senatorska“, ale „ulica nasza“; i inne podobne dziwactwa, pomimo których był powszechnie lubionym dla wielkiej swojej poczciwości. Ponieważ był komandorem maltańskim, więc uważał się za duchownego, księżom dawał napomnienia i brewiarz odmawiał z rubryceli. Ale co lepsze, że trzecią część swoich dochodów oddawał klasztorom i ubogim.

Pani G. w całym swoim życiu nie przestąpiła szranków cnoty niewieściej, jedyna jej słabość była dla króla, który pragnął ją rozwieść, o co w Polsce nie było trudno, bo brat królewski księżę prymas nietylko że nie utrudzał rozwodów, ale owszem do nich zachęcał. Był z niego człowiek rozwiązły, religji żadnej, dumny, mściwy, nie mający nic kapłańskiego oprócz sukienki, a nawet prześladowający kapłanów pobożnych i przykładnego życia. Nie zapominajmy, że wtedy była w całym blasku bezbożność XVIII wieku, nietylko wyższe towarzystwo omal że nie w cał-

kowitości było nią zarażone, ale nawet między młodzieżą na prowincji już się zaczynała szerzyć. Ta rozpusta umysłowa, zwykle poprzedzająca zgon ciał politycznych, tak dalece rozszerzyła się w naszym narodzie, że między biskupami, oprócz Cieciszowskiego kijowskiego, Turskiego krakowskiego i Skarszewskiego chełmskiego, którzy dawali przykład wzniosłych cnót chrześcijańskich, wszyscy inni byli jawno grzesznikami, żartowali z przepisów kościelnych i prowadzili życie gorszące, które tak weszło w obyczaj wyższego duchowieństwa, że już nikogo nie gorszyło.

Jednakże król, pomimo częstych obłąkań, miał w duszy grunt religijny, a ten dotrwał do końca, pomimo jego ścisłych stosunków z koryfeuszami bezbożności francuskiej i zepsutego towarzystwa, którem się otaczał. Co miesiąc się spowiadał, piątki pościł, w czasie Wielkiego Postu odbywał rekolekcje z księdzem Wargawskim, Paulinem, swoim spowiednikiem. Ta jego przyrodzona pobożność wzmogła się od czasu jego stosunków z panią G. Chciał więc żyć z nią po bożemu i uprawnić w sumieniu te stosunki, ale znalazł wielkie trudności ze strony swojego brata prymasa, gdyż ten był tak dumny, iż wzdygał się na samą myśl, że król może zostać małżonkiem, choć potajemnym, poddanki, i nie chciał dopuścić rozvodu pani G., przewidując jego następstwa. Ale Bóg to ułatwił. Pan G. wkrótce umarł i zaraz po jego śmierci, książdz Wargawski, w kaplicy zamkowej, już w późnej nocy, dał ślubne błogosławieństwo królowi i pani G. Rzecz dziwna, że ja, który nigdy nie byłem zaszczyconym szczególną łaską królewską, zostałem jednak wezwanym na świadka tego świętego obrzędu. Było nas tylko trzech świadków: pan S. brat pani G., książę ex-podkomorzy, brat króla i ja. Książę prymas nie wiem dlaczego swój gniew za to ku mnie jednemu obrócił. Kiedyś przemawiał do mnie łaskawie i na obiady zapraszał, odtąd ani spojrział na mnie, o co zresztą niewiele dbałem.

To pewna, że od czasu jak król się ożenił, jego skłonność do rozpusty odstała go, co wcale jego poufnych dworzan nie cieszyło. Byłem świadkiem, jak napróżno chcieli go zapalić do nowej piękności, która się wtedy zjawiała na dworze. Była to księżna L. z domu C., dama, można przyznać bez przesady, czarującej piękności, której każde poruszenie było gracją. Król był dla niej grzecznym i nic więcej; a pani G. tak była pewną jego sta-

łości, iż nie wahała się z nią zaprzyjaźnić i na swoje wieczory zapraszać. Chociaż księżna możeby nie pogardziła sercem męża w całej sile wieku, jeszcze rzadkiej piękności, zdolnego wysokim rozumem i najprzyjemniejszym obcowaniem zająć najwymyślniejszą kobietę, a noszącego koronę, jednak i tu król pokazał się wytrwałym w swoim postanowieniu odmiany życia. Mój Boże, kiedym zachwycił się, patrząc na tę miłą i powabną księżnę, czyż mogłem się spodziewać, że wściekłość ludu przodkującego w ukształceniu, tylu wdziękom, piękności i dobroci serca tak okropny koniec położy?!

W tym czasie dwa ciekawe ustępy pojawiły się w Warszawie: jednym był przyjazd sławnego hrabi Cagliostro, drugim, niemniej sławnego kuglarza Pinettego; obydwóch, a zwłaszcza Cagliostra, nadzwyczajny i rozpowszechniony odgłos poprzedzał. Ten awanturnik przyjechał z Paryża, gdzie zamknięty w więzieniu z powodu głośnej sprawy brylantowego naszyjnika królowej, uniewinniony wyrokiem parlamentu, świeżo wyszedł z niego na wolność. Ta sprawa, dowodząca, że już zgubne zasady filozofii XVIII wieku zamieniały się w czyn, była pierwszą zniewagą wyrządzoną majestatowi pasterzów ludu i można ją uważać za przedwstęp tej historii krwią napisanej, którą musieliśmy później przeczytać; sprawa, skutkiem której, gdyby król francuski miał cokolwiek więcej energii, nietylko nierządnicą złodziejka, ale cały parlament stanąłby pod pręgierzem. Sprawa ta zabawiła tylko publiczność, którąby zgrozą i strachem przerazić była powinna.

Bohatera tej sprawy, Cagliostra, damy i panicze wrywali sobie. Mówiono o nim i sam to powtarzał, że od jego urodzenia upłynęło około dwóch tysięcy lat; że miał krople, któremi bieg żywota odwracał i wracać umiał upłynioną młodość; że na jego głos umarli powstawali z grobów i z nim obcowali. Ci sami, którzy odrzucali tajemnice religii, dlatego, że ich wytłumaczyć swoim rozumem nie mogli, podobnym baśniom bez trudności wierzyli. Jednak sprawiedliwość winna być oddaną królowi, że ani na chwilę nie dał się obalamucić temu szarlatanowi, który był zawoował prawie całe wyższe towarzystwo w Warszawie.

JW. Humiecka, miecznikowa wielka koronna, była z liczby najgorliwszych jego stronniczek. Że miała czerwoności, szpecące

szlachetne jej rysy jej twarzy, udała się więc do Cagliostro, który rozpoczął jej leczenie. Ten swojemi maściami tak jej twarz skancerował, że do ludzi nie była podobna, skutkiem czego opuściła Warszawę, gdzie się pokazać nie mogła i ukryła się w dobach, jakie posiadała na Podolu, przeklinając oszusta, który tajemnie zniknął z Warszawy, bojąc się sromotnej kary z rąk krewnych JW. miecznikowej.

Pinetti, inny człowiek, był najznakomitszym na świecie kuglarzem i za nic też innego siebie nie sprzedawał, zresztą najpocziwszy człowiek. Miał wielką łaskę u króla i u wszystkich panów, których zabawiał; miłował też Polskę więcej niż własną ojczyznę, po kilkakrotnie wzdłuż i wszerz ją objechał i zdaje mi się, że w naszej ziemi spoczywają jego kości. Miałem z nim przyjaźń i czasem bywał u mnie na obiedzie i różne figle płatał, tak, że mój sługa miał go za czarnoksiężnika, wielu innych miało o nim także samo mniemanie. Razu jednego wspólnie z nim pozwoliłem sobie zażartować z mojego brata miecznika, który niespodzianie zajechał do mnie właśnie w tym dniu, kiedy Pinetti miał być u mnie na obiedzie i naturalnie mój brat był na nim. Poznałem go z Pinettim, tając przed nim kto on taki, a Pinettiego namówiłem, żeby w ciągu obiadu figle mu płatał. Podano bratu barszcz, ale zaledwo zabrał się do jedzenia, już barszcz zniknął, a w miejsce jego był jeż na talerzu. Zdziwiony brat zapytuje mnie, co to ma znaczyć? Ja niby zdziwiony odpowiadam mu; co takiego?

— A skądże się wziął jeż na moim talerzu?

— Jaki jeż?

On mi chce go pokazać, aż tu nie jeż, tylko barszcz.

— Co ci się przewidziało? — mówię do brata.

Ten nieco zmieszany, zabiera się spożywać barszcz, aż tu znowu jeż na talerzu. Zdziwiony, sam nie wie co począć, bierze się do zegarka, który nosił między kontuszem a żupanem, i dobywa, co? oto surową cebulę! Zerwał się od stołu przestraszony i zaczął się żegnać. Chcąc go uspokoić, przedstawiłem mu Pinetiego pod jego własnem nazwiskiem i stanem, ale brat tak się obraził, iż chciał się wynieść z mojego domu i z trudem dał się przeprosić.

Muszę tu wspomnieć o dwóch wypadkach wydarzonych podczas sejmu grodzieńskiego, gdyż te wielkie a pomyślne sprawiły wrażenie w narodzie. Szczęsny Potocki, wojewoda ruski, syn wojewody kijowskiego, wysztytował swoim kosztem pułk piechoty i darował go Rzeczypospolitej, przyjąwszy na siebie obowiązek utrzymywania go odtąd swoimi przychodami z włości humańskiej. Można sobie wyobrazić, jaki zapal ku sobie w publiczności obudził. Wszyscy nosili jego mundur przyjacielski, granatowy z błękitnymi wyłogami; nawet między damami utworzyła się moda noszenia amazonki podobnej barwy. Szczęsny był cnotliwym obywatelem, poświęconym dla kraju, a choć został spotwarzonym i tę popularność do szczytu ujrzał wywróconą, potomność jednak odda mu sprawiedliwość, że jego widoki i usiłowania były prawe i byłby kraj ocalił, gdyby namiętności publiczne nie wzięły góry nad prawidłami zdrowego rozsądku. Znałem go osobiście, a szacunek, jaki powziąłem dla niego, nigdy nie osłabił się w mojem przekonaniu. Była z niego prawdziwa ofiara niesprawiedliwości ludzkiej. Wymyślano na niego najniegodziwsze jakoby z jego strony uczucia, a oczy zamykano nad oczywistością. I tak, ogłoszono go za nieprzyjaciela wszelkich swobód, a on usamowolnił wszystkich swoich poddanych; mówiono o nim, że jest zaciętym arystokratą, pogardzającym każdym, który świętością rodu jego domowi nie sprostął, a on był pierwszym, który się zapisał w mieszczaństwo i jego to właśnie partja na sejmie czteroletnim wyjednała prawo, zacieraające wszelką różnicę między stanem miejskim a szlacheckim. Wyrzucano mu, że nie chciał, by naród miał siłę zbrojną poważną, a on tę siłę własnym kosztem pomnażał. Krzyczano na niego, że przenosił aljans rosyjski nad niemiecki, a czas najlepiej pokazał, kto tu zbawienniej dla kraju radził, czy on, czy jego przeciwnicy?

Drugim wypadkiem był postępek księcia Radziwiłła, wojewody wileńskiego, męża oddawna zasłużonego ojczyźnie. Już się powiedziało, że dał słowo królowi, któremu zawsze był przeciwnym i wielkie prześladowanie z jego strony doświadczał, iż odtąd mu w niczem przeszkadzać nie będzie, a że słowo przez niego dane było święte, więc na wszystkich sejmikach litewskich zawsze szło wedle woli króla, a książę zdawał się uchylać od interesów publicznych. Powtarzano w Warszawie, że już zależał pole

i że jego pełnowładztwo na Litwie upadło. Książę się o tem dowiedział i tylko czekał okoliczności dla pokazania paplarzom warszawskim, że on jest tym samym Radziwiłłem, jakim był zawsze. Owóż na sejmie grodzieńskim, gdzie jak Potocki i pod temi samemi warunkami usztyftował prześliczny pułk ósmy litewski, którego szefostwo porucił rodzonemu siostrzanowi i darował go Rzeczypospolitej; kiedy wniesiono, żeby królowi dać *subsidium charitativum* i o to wszczynać się poczęły rozprawy, książę Radziwiłł powstał z swojego krzesła i rzekł: „Prześwietne Stany! żeby nie marnować czasu, z mojego miejsca, w imieniu całkowitej prowincji litewskiej, daję *affirmative*“ — a cała Litwa umilkła, schyliwszy głowę na znak przyzwolenia. Był to bezprzykładowy dowód potęgi obywatelskiej. Wielko i Małopolska, wraz z królem, osłupieli z zadziwienia, że między tylu senatorami i posłami litewskimi, ani jeden się nie znalazł, któryby chciał się sprzeciwić woli księcia, tak despotycznie ogłoszonej.

Na tem kończę pierwszą część moich pamiętników. To, co mi zostaje do powiedzenia, zwłaszcza z początku jest tak bolesne, że potrzebuję jakiegoś wypoczynku, nim się na nowo wezmę do pióra. Nie piszę dla publiczności, ale jedynie dla moich spadkobierców, których uważam jako moje dzieci; a jeżeli nie ogłaszam zaraz tych pamiętników, to nie z powodu niedowierzania w moje zdolności autorskie (bo kto sumiennie opisuje to, na co patrzył, zawsze pokaże się dość dobrym autorem), ale dlatego się wstrzymuje, bo jeszcze nie nadeszła pora dla ziomeków, nie-szczęśliwych spadkobierców namiętności ich ojców, w którejby mogli słuchać głosu prawdy oskarżającej.

Koniec.



26733

26733_p

DRUKARNIA GOSPODARCZA
WARSZAWA, WSPÓLNA 54
TEL. 8-84-12
3304